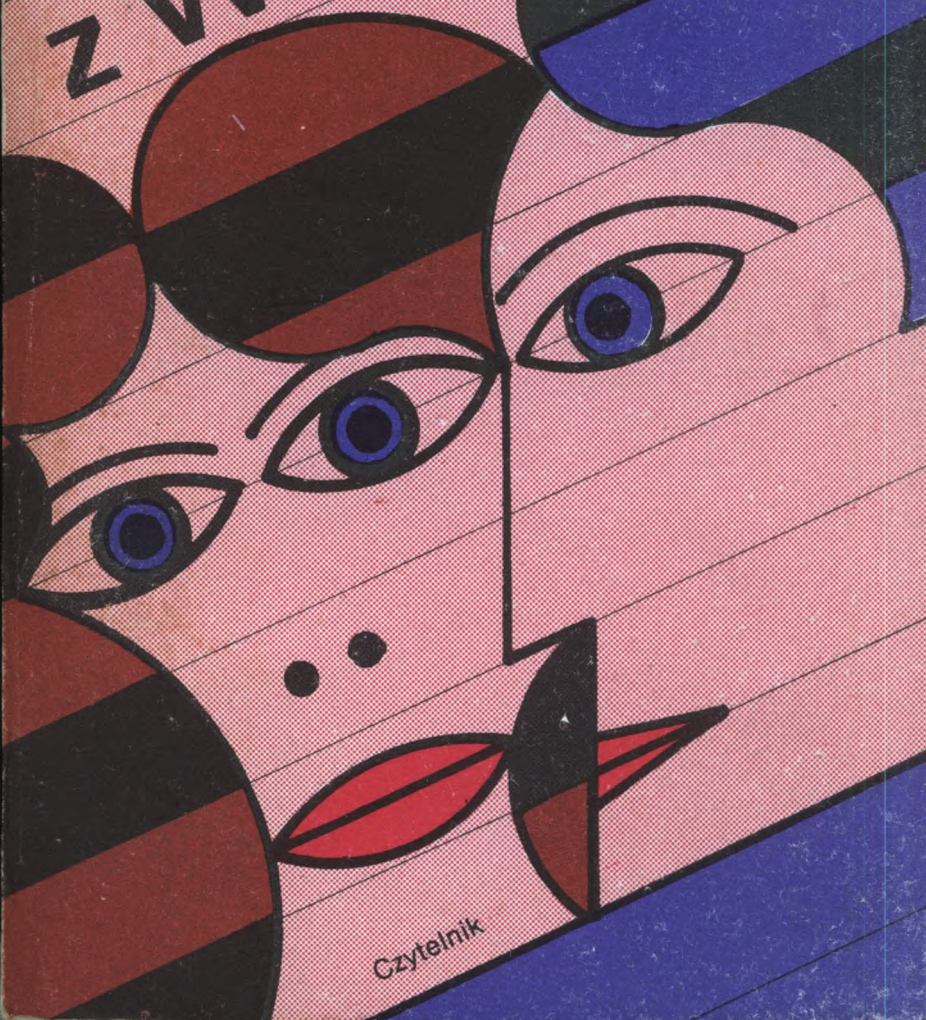


OLEG CZORNOHUZ

arystokrata z Wapniarki



Czytelnik

Oleg Czornohuz urodził się 1936 r. we wsi Kalinowskie Iwanowo na Ukrainie. w r. 1964 ukończył wydział dziennikarski Uniwersytetu Kijowskiego i rozpoczął pracę w znanym tygodniku satyrycznym „Pereć”, w którym pracuje do dzisiaj. Jest autorem humoresek i mikropowieści satyrycznych. „Arystokrata z Wapniarki” to pierwsza w jego dorobku powieść satyryczna dużego formatu.

Akcja powieści rozgrywa się współcześnie na Ukrainie w instytucie doświadczalnym, który prowadzi badania nad skrzyżowaniem jeża z piżmakiem. Ostrze satyry wymierzone jest w przejawy oportunistów, biurokrację, pseudonaukowe metody badań i bolączki życia społecznego, które wykraczają poza partykularz ukraiński.

O. CZORNOHUZ
arystokrata
z Wapniarki

**OLEG
CZORNOHUZ**

**arystokrata
z Wapniarki**

**POWIEŚĆ
SATYRYCZNA**

tłumaczył Stanisław Edward Bury

CZYTELNIK WARSZAWA 1982

Tytuł oryginału ukraińskiego
АРИСТОКРАТ ІЗ ВАПНЯРКИ

Okladkę i kartę tytułową projektował
Andrzej Krajewski

© Copyright for the Polish edition
by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 1982

„Czytelnik”, Warszawa 1982. Wydanie I.
Nakład 10 320 egz. Ark. wyd. 18,4; ark. druk. 24,5.
Papier druk. m/gł. 82×104, kl. IV, 65 g. Oddano
do składania 15 III 1982 r. Podpisano do druku
31 VIII 1982 r. Druk ukończono we wrześniu 1982 r.
Zakłady Graficzne w Toruniu — Zakład nr 3
w Grudziądzu

Zam. wyd. 394; druk. 778. Z-99. Cena zł. 120.—

Printed in Poland

ISBN 83-07-00701-1

KSIĘGA PIERWSZA

Nigdy niczego nie zmyślajcie. Przyjmijcie się tylko dobrze ludziom, a zobaczycie, ile w nich dziwactw.

Autor

Złoto wypróbowuje się ogniem, kobietę — złotem, mężczyznę — kobietą.

Zastyszane od Sidałkowskiego

ROZDZIAŁ PIERWSZY

w którym mówi się o eleganckim nieznanym, konduktorze międzynarodowego ekspresu, trzech panach w przedziale, chińskim bożku, dziewczynie z oliwkowymi oczyma i fotoreporterach

Pociąg zbliżał się już do Wapniarki, kiedy na peronie zjawił się pewien elegant w ciemnych okularach typu „dyplomata”. Marynarka lśniła na nim naturalnym srebrem dunajskiego śledzia, wywołując u pasażerów przemożne pragnienie wypicia i przegryzienia. Do jego lakierowanych buczków brakowało tylko smolistych, jak jego włosy, wąsików à la Don Juan, muszki i złotej „cebuli” z połączanym łańcuszkiem, zwisającym pretensjonalnie z kieszonki kamizelki.

Zatrzymali się równocześnie: pociąg i ten prowincjonalny elegancik, który w sposób artystyczny skrzyżował ręce na piersiach, dając świeżo przybyłym konduktorom okazję do podziwiania go. W rzeczy samej stał przed nimi urodziwy mężczyzna o marzycielskim, łagodnym i budzącym zaufanie spojrzeniu, któremu dziewczyny ulegają nawet wówczas, kiedy mają poważ-

ne wątpliwości, czy skończy się to w urzędzie stanu cywilnego. Dla kontrastu z tym spojrzeniem mięsiste i pożądlive wargi obwieszczały, że dostępne są dla zbyt uległych kobiet i gorących pocałunków. Jego postawa, figura, wejrzenie i klasyczny profil świadczyły niezbitcie, że starożytni Grecy zbyt pochłópnie ogłosili Apolla Belwederskiego ideałem męskiej urody, zaś antyczne wyrocznie przepowiadając przyszłość nie miały zielonego pojęcia, że w odległej przyszłości pojawi się taki sam jego potomek, tylko w znacznie ulepszonym wydaniu. Figura nieznanego miała takie klasyczne proporcje, że chciałoby się zawiesić na niej tabliczkę z napisem: „Model dla Domu Mody, wzrost 5, rozmiar 50”, oraz przystąpić jak najszybciej do seryjnej produkcji tych modeli.

Wykwintny młodzieniec podszedł z powagą do konduktorki i, wzięwszy ją poufale za łokieć, przemówił:

— Ślicznotko, do Kijowa. Mam delegację...

Konduktorka przez chwilę patrzyła na niego z roz-targnieniem, po czym oświadczyła bezapelacyjnie:

— Tu delegacja nie pomoże. To wagon międzynarodowy.

Nieznanomy spojrział na nią tak, że znów poczuła się bardzo niepewnie.

— Ja owszem, z radością, tylko że w moim wagonie jest polska i mołdawska delegacja — tłumaczyła się.

— Cudownie, kochana! Możesz uważać, że stoi przed tobą stuprocentowy cudzoziemiec. Tym bardziej że urodziłem się na samej granicy... między Wapniarką a Krzyżopolem...

Konduktorka uśmiechnęła się. Jego szare oczy promieniowały taką dobrocią i szczerością, że dziewczyna skłonna już była wpuścić go do swego wagonu, naruszając wszystkie przepisy i instrukcje, dostrzegła jednak zbliżającego się wysokiego kierownika pociągu z zieloną naszywką.

— Proszę tam — powiedziała, wskazując czerwoną chorągiewką. — Za wagonem restauracyjnym są wagony dla naszych obywateli. Doczepili w Ungenach.

Dotknięty odmową młodzieniec dumnie uniósł głowę, odwrócił się i ruszył we wskazanym kierunku.

— Witam uroczę loczki! — wskoczył na schodki jednego z wagonów, nie pozwalając tym razem opamiętać się sympatycznej konduktorce z figlarnymi loczkami koło uszu. — Spadły na mnie, ślicznotko, równocześnie radość i nieszczęście: w Kijowie umarła babcia, a w Wapniarce nie było już w kasie biletów.

— A jaki to powód do radości? — spytała prostodusznie dziewczyna.

— Bo moja babcia była miliarderką. W ciągu swego studwudziestoletniego życia skupiła pięć miliardów flaszek, płacąc za każdą o dwie kopiejki taniej...

— W moim wagonie nie ma wolnych miejsc — powiedziała rzeczowo dziewczyna.

— Ale masz za to, kochana, czułe dziewczęce serce, dobre oczy i rozkoszne loczki, jakie w ubiegłych wiekach sprowadzały mężczyzn na szafot lub do pojedynków! I jak ciebie, taką śliczną, mama wypuszcza samą w taką daleką podróż? I jeszcze pewnie bez pieniędzy?... Jeżeli pozwolisz, najmilsza, to przesiedzę w wagonie restauracyjnym, a zbędna pięciorublówka jeszcze nikomu w stolicy nie zawadzała. Pieniądze, jak mawiała nieboszczka babka, nigdy nie obciążają kieszeni...

— No dobrze, wsiadaj, bajtłowniku... Przesiedzisz w restauracji. Jeśli oczywiście masz za co.

Ostatnie słowa przykro go dotknęły. Spojrzał z wyrzutem na dziewczynę.

— Życie utkane jest z przeciwieństw. Taki śliczny buziak i takie słowa... Proza! A u człowieka wszystko powinno być piękne: odzież, maniery i kaligrafia.

— Och, ty kaligrafio!... Idź już.

Dwoma palcami wyjął z kieszeni pięciorublówkę,

przez chwilę patrzył na nią wzrokiem, jakim mężczyzna patrzy na kobietę, która go porzuca, po czym wytwornym gestem wyciągnął do konduktorki rękę z banknotem.

— Pańskie pieniądze nie są mi potrzebne — powiedziała urażona konduktorka. — Zgodziłam się nie dla pieniędzy... — i odsunęła jego rękę.

— Tylko bez międzynarodowych komplikacji — powiedział nie spojrzawszy na nią, wsunął pięciorubłówkę do kieszeni i wszedł do wagonu restauracyjnego.

Zlustrował wewnątrz wzrokiem świeżo upieczonego admirała; za zwierciadlaną przegrodą dostrzegł wolne miejsce. Bez pośpiechu, z godnością, jak czynił wszystko, zbliżył się do stolika, przy którym siedziało trzech mężczyzn.

— Do pełnego szczęścia i harmonii brakuje panom tylko czwartego, prawda? — powiedział z nonszalancką kurtuazją. — Czy wolno?

— Proszę — skinął z aprobatą całym swoim tułowiem krępy brzuchacz z dobrotliwym uśmiechem na ustach i dużą głową bez szyi. — Przepraszam — dodał po polsku.

„To Polacy”, przypomniał sobie informację konduktorki.

— Nic tak ludzi nie zbliża jak wspólny stolik w restauracji.

— O tak, tak — odpowiedzieli Polacy z uśmiechem.

Nasz bohater rzucił okiem na menu, wyłowił kilka ładnie brzmiących nazw i zwrócił się do cudzoziemców rzeczowym tonem:

— Czego się napijemy? Koniak, wódka, wino?

— O nie, nie! — zaprotestowali chórem. — Tylko kawa.

— Wspaniale! W życiu najbardziej lubię kawę i młode mamy po rozwodzie.

Nie wywarło to jednak efektu, na jaki liczył. „Zapewne słabo rozumieją po naszemu”.

— Panowie z Polski?

— Tak. A jak, przepraszam, pan się domyślił? — zainteresował się brzuchacz.

— Bo widzi pan... — zaczął i urwał. Omal nie wypalił, że sam kiedyś bywał w Polsce, nie mógł sobie jednak przypomnieć nazwy żadnego miasta prócz Warszawy, więc niezbyt pewnym tonem dodał: — Bo widzi pan, jak by to powiedzieć, trochę umiem po polsku...

— Oo... — uprzejmie zdziwił się sąsiad brzuchacza z lewej strony. — Na przykład?

— Na przykład: kobieta i życie albo przyjaciółka — wymienił po polsku nazwy znanych w ZSRR polskich pism kobiecych.

Polacy roześmieli się. Młody człowiek widocznie im się podobał, bo brzuchacz zamierzał mu się przedstawić, gdy nagle podeszła kelnerka, uzbrojona w długopis, notes i liczydło dla pierwszoklasistów, wyczierające z kieszeni fartucha, który już dawno upominał się o pralnię.

— Słucham panów.

Nasz elegant zakolysał się kokieteryjnie na krześle, jakby rozmyślał nad czymś niesłychanie ważnym, a potem wypalił jedno tylko słowo, rozbijając je na dwie sylaby.

— Szar-trez!

Kelnerka na moment osłupiała. Za jej pamięci nikt z gości nie zamawiał nigdy tego napoju o dźwięcznej i tajemniczej nazwie.

— Butelka i cztery kieliszki — dodał odrzucając głowę do tyłu. — Ja stawiam — zwrócił się z ukłonem do Polaków.

— Co też pan!... — zaprotestował jeden z nich, ale gość artystycznym gestem przeciął jego skrupuły. — Cztery kieliszki i cztery kawy — dodał.

Kelnerka skinęła głową, coś tam bazgrząc w bloczku.

— Kawa z mlekiem czy czarna?

— Po łaureku!

— Co po łaureku? — nie zrozumiała dziewczyna.

— Kawa po łaureku — westchnął młodzienciec.

— U nas wszystko po łaureku — zrozumiała chyba wreszcie, wzruszyła ramionami i podeszła do następnego stolika. — I barszcz, i gulasz... — mamrotała po drodze.

— Pan jest arystokratą? — ni to spytał, ni stwierdził akceptująco pękaty mężczyzna. — Jestem Osmołowski. Doktor habilitowany. Selekcjoner z Warszawy.

— Osowski — wyciągnął rękę drugi pasażer, chudy jak szczapa, o wspaniałych, rudych bokobrodach, które miało się ochotę poskubać. — Doktor. Też selekcjoner. Tylko, przepraszam, z Krakowa.

— Brzozowski — uśmiechnął się przyjaźnie trzeci Polak, niski i szczupły. — Magister z Poznania. A z kim mamy przyjemność?

— Sidałkowski — ni to żartując, ni to parodiując sposób prezentacji Polaków, przedstawił się nieznanomy. — Jewgraf — dodał, i tak zaakcentował swoje imię, że zabrzmiało to jak „ja graf”, po czym uściśnął podane mu dłonie i okrągłym gestem zaprosił, by znów usiedli.

— Pan jest graf? — ściągnął ze zdziwieniem brwi Osmołowski.

— Tak, Jewgraf! — huknął mu w ucho Sidałkowski, co zabrzmiało znów jak „ja graf”.

Kelnerka przyniosła chartreuse i kawę. Sidałkowski z wprawą odkorkował flaszkę i napełnił kieliszki.

— Za nieoczekiwane spotkanie i miłość! — wzniósł toast. — Za przyjaźń! — przypomniał sobie jeszcze jedno polskie słowo.

— Za druźbu! — odwzajemnił się kurtuazyjnie Osmołowski.

Wzniesli kielichy i wypili. Gęstawy zielonkawy płyn był słodki, kawę można było pić bez cukru.

Gdy dopili likier i kawę, Sidałkowski pstryknął palcami na kelnerkę. — Rachunek i piękny uśmiech!

Rachunek podała mu od razu, z uśmiechem jednak się wstrzymała. Sidałkowski wyciągnął dziesięć rubli, wręczył je niedbałym gestem.

— Dziękujemy — powiedział w imieniu wszystkich.
— Reszty nie trzeba.

Kelnerka podarowała mu nareszcie uśmiech, on jednak już tego nie widział. Osowski chwycił go za rękę.

— Towarzyszu graf! — zawołał z życzliwą ironią.
— Zapraszamy pana do siebie.

— Oczywiście — podtrzymał go Osmołowski. — Na kieliszek koniaku.

Sidałkowski dla fasonu trochę się certował, ale po chwili był już w przedziale międzynarodowego wagonu.

— Pan rzeczywiście jest grafem? — powrócił znów do tej sprawy Osmołowski.

— „Tak, Jewgraf”, chciał znów zawołać Sidałkowski, ale uprzedził go Osowski.

— Przepraszam, czy pan czasem nie jest z pochodzenia Polakiem?

— W dowodzie osobistym wpisano: Ukrainiec — uśmiechnął się zagadkowo Sidałkowski, zdejmując ciemne okulary.

— Ale jest pan z arystokratycznego rodu? — nalegał Osmołowski, podając mu swój bilet wizytowy.

— Tak. Ród jest, ale papiery zaginęły...

— Gdzie?

— W annałach historii — Sidałkowski na moment znieruchomiał w swojej ulubionej pozie: skrzyżowane na piersiach ręce i dumne spojrzenie.

— Pan chyba żartuje?

— Żartują tylko lowelasi.

— Ale pańskie nazwisko zostało chyba przez tę historię zniekształcone — zauważył ironicznie Brzozowski.

— Może brzmiało kiedyś Siodełkowski?

Sidałkowski myślał nad jakąś wymijającą odpowiedzią, ale wybawił go z kłopotu Brzozowski, który postawił na stole koniak.

— Za przyjaźń i wzajemną pomoc — nie zwracając się do nikogo zacytował sam siebie. — Nic tak nie zbliża ludzi, jak koniak i kobiety, jak powiedziano w Biblii.

— Genialne! — Osowski stulił cienkie wargi, jakby smakując usłyszaną maksymę. — Oryginał z pana!

— Nie, tylko kopia, ale trudno ją odróżnić od oryginału — Sidałkowski uśmiechnął się tak szczerze, że zawojował tym uśmiechem wszystkich.

Osowski podał mu szklaneczkę z koniakiem.

Ekspres tymczasem mknął naprzeciw wiatrom i przedwieczornemu słońcu, skracając drogę naszym bohaterów do stolicy. Wypity koniak powiększał liczbę mijanych słupów telegraficznych i podwyższał temperaturę ciała. Do wtóru rytmicznego stukotu kół i kolejnych toastów Sidałkowski sypał cytatami i opowiadał Polakom o Polsce z takim zapalem i przekonaniem, że odnosiło się wrażenie, jakby spędził w niej całe swoje życie, a jego towarzysze nie wychylili dotąd nosa poza Wapniarkę. I byłby tak długo jeszcze opowiadał, ale pociąg dojechał do Kijowa. Za oknem peron kwitł różnobarwnymi tulipanami, różami, piwoniami i czerwoną czapką dyżurnego ruchu.

Sidałkowski wziął walizkę Osmołowskiego i przepuszczając go przed sobą ruszył do wyjścia; na peronie stała zaskoczona tym widokiem **konduktorka**.

— Gud baj, madam — szepnęła. — Cudzoziemcy zaprosili, a tyś pogardziła takim chłopakiem i pięćiorubłówką. Przekazałem ją za pośrednictwem szartrez ministrowi handlu.

Było tłoczno i gwarno. Sidałkowski stał wśród nowych znajomych, uśmiechał się z zadowoleniem i protekcyjnym gestem witał czy to dętą orkiestrę, która

zagrała w tej chwili „tusz”, czy też pierwszego milicjanta, jakiego zauważył na peronie.

Do ich wagonu rzuciła się grupa dziewcząt w ukraińskich strojach ludowych z kwiatami i ręcznikami ludowymi, z tradycyjnym chlebem i solą. Niski człowieczek o wyglądzie chińskiego bożka, z głosem przypominającym dźwięk trąby jerychońskiej i przestrelonej harmonii, podszedł do Osmołowskiego i serdecznie się z nim przywitał.

— A kto jeszcze z tobą, Januszu?

— Poznajcie się — prezentował Osmołowski. — Osowski, Brzozowski i ...graf Sidałkowski.

„Chiński bożek” nie chwycił ironii Osmołowskiego.

— Straton Stratonowicz Kowbyk. Dyrektor „Findipoczu”.

Sidałkowski ukłonił się z szacunkiem. Straton Stratonowicz spojrział na niego tak, jak należy patrzeć na klasowego wroga, i odszedł na bok. Sidałkowski, nie poczuwając się do żadnej winy, odwzajemnił mu się takim samym spojrzeniem.

Orkiestra grała brawurowego marsza. Dziewczęta w kolorowych wstążkach biegały po peronie, szukając innych członków delegacji, którzy rozproszyli się wśród miejscowych pasażerów i witających. Różanolica dziewczyna o oczach dojrzałych oliwek zatrzymała się nagle przed Sidałkowskim, jak dziki, niespełniony jelen. Sidałkowski podarował jej jeden ze swoich niezawodnych uśmiechów. Dziewczyna odpowiedziała również uśmiechem.

— Pan z delegacją?

— Tak.

— Z polską czy mołdawską?

— Z mołdawską — nie wiadomo który raz skłamał dzisiaj Sidałkowski, bo bez kłamstw nie mógł istnieć. Sidałkowski strasznie lubił uchodzić nie za tego, kim

był w istocie, lecz za tego, za kogo w danej sytuacji brało go otoczenie.

— Ofiara schematu — żartował na swój temat.

Dziewczyna z policzkami jak zimowy jonatan dygnęła i wraz z ciepłym uśmiechem podarowała mu bukiet czerwonych tulipanów i róż.

— Buna ziwa! — powiedziała drżącym głosem.

— Serdecznie dziękuję — odparł uprzejmie.

Zorientował się, że ten wyuczony przez dziewczynę zwrot grzecznościowy należy do jednego z bratnich narodów, nie wiedział jednak, do którego ani co oznacza, bo nie znał żadnych języków obcych, a ojczystym posługiwał się przy pomocy cytat i słownika.

— Tamaro! — doleciał go z lewej strony bas Kowbyka. — Jak zwykle wszystko popałałaś. Ten towarzysz jest nie z mołdawskiej, lecz z polskiej delegacji.

— No to co? — odpowiedziała Tamara, ale tak cicho, że słowa te były adresowane raczej do Sidałkowskiego. — Przecież przyjechali do nas i Polacy, i Mołdawianie. Czyż nie tak?

Sidałkowski raz jeszcze uśmiechnął się do niej. I tym razem uśmiech został odwzajemniony, tylko w dyskretniejszym wydaniu. Dziewczyna miała zęby równe i białe, podobnie jak Sidałkowski. Widocznie też lubiła w dzieciństwie owoce, a teraz używała regularnie szczoteczki do zębów i bułgarskiej pasty „Pomorin”.

Fotoreporterzy, którzy muszą dostarczać swoim redakcjom na pierwsze strony gazet i na okładki czasopism zdjęcia znanych, ale jednocześnie przystojnych i fotogenicznych postaci, obścąpili Sidałkowskiego, fotografując go z różnych stron i w różnych ujęciach. Sidałkowski zmieniał pozy, zdejmował i wkładał okulary, prezentując aparatom filmowym i fotograficznym całą kolekcję swych niezawodnych uśmiechów, które wielu dziewczętom podcinały nogi.

Już w kilka minut po przybyciu międzynarodowego

ekspresu Warszawa—Kijów „graf” Sidałkowski (syn epoki i różowych iluzji, jak sam o sobie mawiał) postanowił niezwłocznie przeprowadzić zwiad i rozpocząć atak na jeszcze nie zajęte, jak mu się zdawało, serce Tamarę.

— Nic tak nie zbliża ludzi, jak obiektyw fotograficzny — zacytował siebie w nowym wariacie i przycisnął Tamarę mocniej, niż tego wymagały technika i obyczaj fotografowania.

W odpowiedzi dziewczyna tylko się uśmiechnęła z miłą siostry witającej brata po demobilizacji.

— Buna ac weni! — szepnęła z przejęciem zapominając, że Sidałkowski jest nie z mołdawskiej, lecz polskiej delegacji. Ale, jak sądziła, wyuczony zgodnie ze scenariuszem slogan powinien zostać wypowiedziany. Na lewy jej policzek wystąpił rumieniec. Sidałkowski zrozumiał to po swojemu i przypomniawszy sobie zwyczaj praktykowany na wszystkich peronach świata przypadł spragnionymi wargami do różowego policzka tak, jak na drugi dzień po imieninach przypada się do soku z ogórków.

Jego pocałunek wydał się obecnym na peronie zbyt realistyczny i przydługi. Fotoreporter w kraciatej kurtce, obwieszony aparatami fotograficznymi i skrzynkami, jak partyzant z desantu, wziął go delikatnie za łokieć.

— Chleb i sól — poprosił. — Proszę ułamać kawałek chleba i umaczać w soli — podpowiadał.

Sidałkowski, jak należało się spodziewać, nie zdeprimował się: przekazał kwiaty Tamarze, ucałował trzykrotnie pachnący korowaj i dopełnił innych czynności rytuału, po czym wygłosił najpiękniejsze, jak mu się zdawało, w swoim życiu przemówienie o gościnności i dobroci ukraińskiego narodu, który od wieków słynie ze swej szczodroblewości, pieśni i pachnących placków. Nie zdążył jednak zakończyć przemówienia, bo zagłuszyła go burza oklasków, jakimi nagrodzono przemawiającego

obok Kowbyka. Fotoreporter, który podał Sidałkowskiemu na ręczniku chleb i sól, wyjaśnił, że jego przemówienie nie jest do zdjęcia potrzebne, po czym wyjął notes i usiłując przekrzyczeć gwar i gwizdy lokomotyw, zapytał o jego nazwisko i z jakiej jest delegacji.

— Z polskiej! — huknął mu do ucha Sidałkowski.

Uniósłszy pożegnalnym gestem rękę, jakby mówił swoje ulubione „Dziękuję za uwagę. Honorarium nie trzeba!”, kłaniał się bez powodu na wszystkie strony, rozsypując hojnie oślepiające uśmiechy. No tak, innego powitania nie oczekiwał od stolicy.

ROZDZIAŁ DRUGI

który opowiada o fenomenie „Findipoczu”, trzeciej teorii, ósmym cudzie świata, historii, dwóch plemionach, oryginalnym hasle i równie oryginalnych schodach, o kolejnej reorganizacji i o ludowej mądrości

Kiedy wreszcie kilka delegacji połączyło się w jedną grupę, która zgodnie ze scenariuszem, wzięła prosty i konkretny kurs na restaurację, naszym bohaterem miały sprzeczne uczucia i myśli. Nowy wielki szlak życiowy, na który dopiero co wstąpił z twardym postanowieniem zawładnięcia złotowieżnym Kijowem i zarzucenia na wieki kotwicy u brzegów błękitnego Sławutycza, rozdzielił się teraz na trzy różne kierunki. To, co działo się teraz w jego duszy, przypominało znany obraz Wasniecowa „Witeź na rozdrożu”.

Kierunek pierwszy: natychmiast wycofać się z tego spektaklu, którego stał się przypadkowym aktorem. Kierunek drugi: odnaleźć jak najszybciej Tamarę, różowolicą właścicielkę czerwonych bucików i oczu koloru dojrziałych oliwek, i jeśli ma klucz od własnego mieszkania, spróbować oddać jej za ów klucz swoje na razie jeszcze

przez nikogo nie zajęte serce, żeby tymczasowo umocnić się na zajętych przyczółku, którym zamierzał owoładnąć po pierwszym udanym ataku. Kierunek trzeci: z biletem wizytowym Janusza Osmołowskiego i zaproszeniem Kowbyka na bankiet przyłączyć się do towarzyszy podróży rzucając wyzwanie losowi, nawet jeśli miały się później okazać bardzo gorzki.

Podczas gdy delegacje po ceremonialnych powitaniach i przemówieniach przygotowują się do wielkiej batalii za suto zastawionym stołem, a burzliwe myśli Sidałkowskiego musują w głowie jak młode wino, zaś on sam jak głodny lampart, który trafiwszy na zdobycz zgubił nagle jej ślad, hasa teraz po peronie, przeklinając siebie, fotoreportera i tegoż Janusza Osmołowskiego, któremu przypadł do serca tak jak jemu Tamara — my na skrzydłach wyobraźni polecimy do światowej sławy Filii Naukowo-Doświadczalnego Instytutu Badania Popytu na Czapki, czyli — jak nazywają go sami naukowcy w skrócie — „Findipocz”. Ten znakomity zakład naukowy o prostej i lakonicznej jak telegram nazwie ma związek z naszą opowieścią chociażby dlatego, że jego najznakomitszy przedstawiciel w osobie niezastąpionego dyrektora Stratona Stratonowicza Kowbyka przywitał osobiście naszego, niczym jeszcze, prócz powierzchowności, nie wyróżniającego się bohatera i uważając za czwartego członka polskiej delegacji zaprosił go nawet na bankiet.

Epokowe odkrycia, podobnie jak trzęsienia ziemi, zdarzają się bardzo rzadko. Ale jeśli trzęsienia ziemi wstrząsają lądami, to epokowe odkrycia — całym światem. W każdym razie na pewno światem uczonych. Otóż żeby czytelnik był świadom, w jakim celu przybyły do naszej stolicy międzynarodowe delegacje, powiemy od razu: otóż w sławnym instytucie „Findipocz” dawni selekcyonerzy * z powołania, a obecnie socjologowie z zawo-

Hodowcy-genetycy.

du, w domowych niemal warunkach, niespodziewanie nawet dla samych siebie, skrzyżowali północnoamerykańskiego piżmaka (*Ondatra zibethica*) z pospolitym ukraińskim jeżem (*Erinaceus europaeus*), dowodząc tym samym, że nie ma na świecie nic niemożliwego. Dla uczczenia tego epokowego wydarzenia „Findipocz” zamówił pamiątkowe medale z wytłoczonym srebrzystym długogonowym piżmakiem i bezogonowym jeżem, zaś najlepszy uczeń Karola Darwina i Jeana Lamarcka, młody, ale o olbrzymich perspektywach naukowiec Mychajło Tana-sowicz Chowraszkiewicz otrzymał za ten wiekopomny eksperyment nagrodę findipoczowską „Złoty jeż i błękitny piżmak”. Straton Stratonowicz Kowbyk, wręczając laureatowi nagrodę, dyplom i medal, nazwał ten nauko-wodoświadczalny sukces Chowraszkiewicza „ósmym cudem świata” oraz zgłosił propozycję zarejestrowania go jako „trzecią teorię Chowraszkiewicza”. Eksperymentem tym Chowraszkiewicz udowodnił nie tylko teoretycznie, ale i praktycznie możliwość krzyżowania gatunków nie podlegających hybrydyzacji, skierowując teorię i praktykę przetwarzania natury żywych organizmów w kierunku pożądanym przez konsumenta.

No ale z tym eksperymentem i z współpracownikami „Findipoczu” będzie jeszcze okazja się spotkać, i to niejednokrotnie. Tymczasem trzeba jeszcze zaznajomić krótko czytelnika z historią naszego instytutu. Opowiemy, jak się narodził, jaki jest jego zewnętrzny wygląd, uważając, że te szczegóły są nie mniej ważne niż, powiedzmy, szczegółowy opis ust lub oczu bohaterki czy bohatera. Zwłaszcza że właśnie tu, w „Findipoczu”, zarzuci kotwicę nasz rycerz aforyzmów i idei Sidałkowski, gdzie również znajdzie właściwe zastosowanie piękny charakter jego pisma. Zaczniemy jednak od historii, która — jak zwykł mawiać Sidałkowski — okresowo się powtarza.

Otóż historia „Findipoczu” sięga zamierzchłych cza-

sów. Gliniane księgi w kształcie garnków i makuter, które można teraz oglądać w muzeach, świadczą, że w czasach paleolitu miejscowa ludność zaczęła zakrywać swoją goliznę właśnie od ciemienia. W tych odległych czasach ciemię uchodziło za najbardziej nieprzyzwoitą część ciała i ten cnotliwy rys przetrwał we krwi niektórych naszych rodaków do dziś. Jaskrawym przykładem tego, zwłaszcza podczas słonecznej pogody, może być łysina głównego buchaltera „Findipoczu” Karola Iwanowicza Bubona, z którym będziemy mieli jeszcze honor się zapoznać.

Pierwszym wynalazkiem ówczesnego przemysłu lekkiego była ciężka czapka, przypominająca drewniany cebrzyk. W miarę rozwoju cywilizacji wynaleziono cebrzyk w kształcie czapki. Niewielkie wówczas plemię rozdzieliło się na dwa różne plemiona. Jedno nazwało siebie „czapkarzami”, ponieważ nosiło wspomniane cebrzyki, zasłaniające wstydlive ciemię, drugie zaś, które chodziło bez czapek, otrzymało nazwę „bezglowych”. Oba plemiona zaczęły się intensywnie rozmnażać i stopniowo naciągać na siebie różne niepotrzebne łąchy: a to szubę z zabitego mamuta, a to tygrysie skóry, w końcu syntetyczny kożuszek pokryty syntetycznym zamsem oraz piżmakową czapkę. Wszystko to jednak przemijało szybko, jak każda moda, ulegając zmieniającym się wymogom i gustom. Pozostało jak dotąd niezmienione tylko ciało, zachowały się też jakimś cudem w annałach historii nazwy dwóch starożytnych plemion: czapkarzy i bezglowych, które to plemiona strzegły wiernie tradycji swoich odległych praszczurów. Również i dziś możemy bezbłędnie określić, do którego z tych dwóch plemion należą nasi bliźni. Czapkarze z zasady nie zdejmują czapek nawet w cerkwi. W nakryciach głowy jedzą, śpią, zwiedzają muzea, chodzą do teatru, a szczególnie hardo trzymają nakryte czapkami głowy w kinach, sądząc słusznie, że czapka czyni ich wyższy-

mi wobec otoczenia. Zwłaszcza taka, która przypomina wysoką budowlę ze wszystkimi możliwymi ozdobami architektonicznymi. I na nic tu zdają się uwagi i prośby: „Słuchaj, zdejmij czapkę, bo zasłaniasz!” Ani drgnie, czasami tylko co lepiej wychowany przesiądzie się na inne miejsce, jednak czapki nie zdejmie, słusznie uważając, że na czapkę trzeba patrzeć głębiej, ma ona bowiem swoje drugie dno. Przecież każda czapka to dach nad siedliskiem marzeń i pomysłów czapkarza, dlatego powinna być zawsze piękna i okazała, zarówno pod względem wewnętrznej treści, jak też zewnętrznego kształtu. A jednak zdejmują te czapki. Przed dobrymi znajomymi i przed przełożonymi, ryzykując bardzo wiele, bo pokazanie swego wstydliwego ciemienia.

Zupełnie inny charakter mają przedstawiciele plemienia bezgłowych. W przeciwieństwie do czapkarzy nie noszą w ogóle żadnych nakryć głowy, ni w lecie, ni w zimie, nawet podczas najsilniejszych mrozów. No i strasznie nienawidzą czapkarzy. Przejawem tej nienawiści, zakodowanej w genach, jest nieustająca żądza, by zerwać czapkę z każdej nakrytej głowy i wyrzucić ją o ziemię lub też kopnąć jak piłkę na gruszę lub płot. Co bardziej wstrzemięźliwi bezgłowi nasuwają wam tylko czapkę na oczy, pobłażliwie się uśmiechając. Inni reagują bardziej złośliwie:

— A co, kupiłeś sobie nową czapeczkę? Noś, noś, kochany, wkrótce będziesz miał głowę jak kolano — ostrzegają, poklepując czapkarza po ciemieniu.

Zatrzymaliśmy się dłużej na prehistorii czapki dlatego, że „Findipocz” w swoim obecnym kształcie nauko-woorganizacyjnym ściśle się z nią wiąże. Po pierwsze, pracują tu ludzie należący do obu plemion. Tak na przykład Kowbyk, Bubon i Chowraszkiewicz są czapkarzami, natomiast Arij Fedorowicz Neszczadym, Daromir Czyhyrenko-Repniński, a nawet Adam Baronecki należą do plemion bezgłowych. Jeden tylko Georg Panczisz-

ka, w zależności od okoliczności, przerzuca się z jednego plemienia do drugiego. Więc żeby przypodobać się Stratonowi Stratonowiczowi, nosi w jego obecności czapkę, a kiedy spotka Nieszczadyma, już z daleka szybko ją zdejmuje i chowa za siebie. Po drugie, „Findipocz” zanim zaczął zajmować się socjologicznymi badaniami popytu na czapki, był zwyczajną spółdzielnią pod nazwą „Czapka dla głowy”. Z czasem spółdzielnia przekształciła się w naukowobadawczą selekcyjną stację hodowli, poprawiania i ulepszania zwierząt jako wyjściowego materiału na czapki. Rozpoczęto intensywną hodowlę piżmaków i twórcze poszukiwania skierowano na doskonalenie ich cech. Naukowców interesował przede wszystkim eksterier gatunku, jego płodność i szybkość dojrzewania. W następnym etapie selekcjonerzy, chcąc powiększyć płodność piżmaka, zaczęli go krzyżować ze zwykłym królikiem domowym, jak wiadomo, niezwykle płodnym, odpornym na otaczające warunki i niewybrednym w jedzeniu. Właśnie wówczas nad stacją selekcyjną pojawiło się to niezwykle hasło, które do dziś zdobi fasadę „Findipoczu”: „Damy każdemu obywatelowi po czapce!”

Wkrótce jednak stacja selekcyjna uległa reorganizacji. Pozostało tylko hasło. W tym okresie hasła były modniejsze od czapek. Dla selekstacji, jak ją wtedy nazywano, zbudowano nowe dwupiętrowe pomieszczenie, na którym pozostało stare hasło. Wtedy właśnie narodził się „Szkolkomszczap”, czyli Szkoleniowy Kombinat Szycia Czapek. Nie szyło się tu czapek, lecz uczono, jak je szyc.

Po pewnym czasie „Szkolkomszczap” został przekształcony ostatecznie na „Findipocz”, ponieważ przyszła moda na instytuty naukowodoświadczałne, modniejsze co prawda od czapek, ale mniej modne niż reorganizacja. „Findipocz” w swym intensywnym rozwoju zrobił jeszcze jeden krok do przodu: tu już nie szyło się ani nie uczono szyc czapek, tylko badano popyt na nie.

Findipoczowcy odpowiadając na ówczesne hasło: „Zawładnij pokrewnymi naukami!” — znowu zaczęli się zajmować selekcją, podejmując zobowiązanie stworzenia nowego nie istniejącego dotąd zwierzęcia. I tak narodziła się idea skrzyżowania piżmaka z jeżem. Na gmachu instytutu wisiało to samo hasło. Plastyk „Findipocz” Daromir Czyhyrenko-Repniński, który był na etacie młodszego pracownika naukowego, w zależności od sezonu i okoliczności odświeżał hasło farbami o różnym natężeniu barw, w związku z czym otrzymywał często od kierownictwa krytyczne uwagi, by kładł farby równomiernie, bez akcentowania poszczególnych słów hasła.

Z zewnątrz „Findipocz” niczym nie różnił się od innych budynków. Może chyba tylko tym, że przypominał dworzec kolejowy: kiedy weszło się do niego przez frontowe drzwi, wychodziło się od razu na podwórze przez drzwi zapasowe. Różnił się też żelaznymi, śpiewającymi schodami, bez których żaden pracownik naukowy nie mógłby wznieść się na prawdziwe wyżyny nauki, ponieważ cały miejscowy świat naukowy mieścił się na drugim, czyli ostatnim piętrze; na pierwszym oraz na parterze były magazyny, w których przechowywano różne eksponaty naukowe, cierpliwie czekające na swój czas. Schody miały jeszcze i tę osobliwość, że podczas schodzenia górna ich część wydawała wszystkie tony oktawy górnej, a druga, dolna część — tony oktawy dolnej. Gdy dochodziło się do drugiego piętra, tony stawały się tak wysokie, iż zdawało się, że się zerwą i przejdą w piskliwy wrzask, jaki można usłyszeć tylko pod drzwiami dentysty. Ale właśnie na tej najwyższej nucie schody się kończyły.

Aby trafić do królestwa nauki „Findipocz”, należało zrobić najpierw kilka próbnych wejść, by znowu nie wyjść na podwórze, gdzie mieściły się woliery z piżmakami, niebieskimi norkami, akwaria z dziobakami,

oraz dwie szklane klatki z kameleonami, oczekującymi z niecierpliwością przyszłych eksperymentów; na jednej z klatek przyczepiono transparent, wykonany przez znanego plastyka Czyhyrenkę-Repnińskiego, głoszący: „Weźmiemy przyrodę w swoje ręce”.

Przyjmijmy, drodzy czytelnicy, że udało wam się wreszcie trafić na schody, wiodące na findipoczesny Olimp. Schody pod waszymi stopami biorą ostatnie wysokie „c” i trafiacie na korytarz. Najlepiej byłoby u wejścia zaczepić nić Ariadny, bo do pokoi drugiego piętra trudno zarówno trafić, jak i z nich wyjść: wszystkie pokoje są przechodnie i mają po troje drzwi. Wyjątek stanowi jedynie gabinet Stratona Stratonowicza Kowbyka, który ma aż czworo drzwi. Co prawda przez te czwarte drzwi nikt nigdy nie wchodził ani nie wychodził. Być może, była to wmurowana w ścianę szafa, za którą było kiedyś okno.

Oryginalność budowy „Findipoczu” polegała jeszcze na tym, że wszystkie pokoje do pracy i korytarz były ze sobą połączone. By lepiej zrozumieć ten oryginalny zamysł architektoniczny, trzeba by spojrzeć na budynek z lotu ptaka. Gdyby się to komuś udało, dostrzegłby, przyjemnie zdziwiony, że budynek przypomina czapkę-uszatkę z oderwanym jednym uchem. Osobliwością architektury było to właśnie oderwane ucho.

Zdajemy sobie doskonale sprawę, jak nudzą czytelnika wszelkie opisy, zwłaszcza budynków, jak również wycieczki w historię, nic jednak nie można na to poradzić, bo powieść ma swoje żelazne reguły. Nawet najbardziej oryginalna. Dlatego też będziemy kontynuować te nudne zajęcia, by w wyobraźni czytelnika pojawił się jak najpełniejszy obraz „Findipoczu”, wokół którego koncentrują się wszystkie opisane dalej wydarzenia.

Centralnym wydziałem instytutu, jak łatwo się domyślić, była buchalteria. Nie tylko dlatego, że właśnie

ona na każdego pierwszego scalała zróżnicowany kolektyw, ale i dlatego, że służyła za palarnię i gabinet dyskusyjny. Oto i teraz rozgorzała tam poważna i ożywiona debata. Mychajło Tanasowicz Chowraszkiewicz przedstawiał kolegom naukowcom swą nową teorię.

— Więc powiem wam tak — jak zwykł zawsze zaczynać swoje wywody. — Od dłuższego już czasu zastanawiam się nad pewnym nienormalnym zjawiskiem, które można by określić jako organiczny błąd ludzkości. Ot na przykład zebraliśmy się tu i rozmawiamy, i zapewne powiedzą o nas: „Między nimi toczył się dialog”. Ale to jest niesłuszne! — Chowraszkiewicz uniósł w górę wskazujący palec. — Dlaczego? Bo kiedy rozmówców jest nie dwoje, tylko troje, to nie będzie dialog, lecz trialog, jeśli czworo, to tetralog, no i tak dalej: kwintalog, decylog... Otóż właśnie teraz nad tym pracuję. Ale to tylko między nami... Nie jest to co prawda związane z wykonywanym przeze mnie zawodem, ale robię to w godzinach pozasłużbowych, że tak powiem — Chowraszkiewicz na chwilę zamilkł, jakby coś w myśli obliczał. — Więc powiem wam tak — zaczął znów. — Prowadzimy teraz z sobą nie dialog, lecz sektylog. Przepraszam, w tej chwili już septylog, bo wszedł Karol Iwanowicz.

Bubon spojrzał spode łba na Chowraszkiewicza i usiadł w milczeniu. Nie cierpiał dymu z papierosów, więc findipoczowcy paląc mścili się za obcinanie diet oraz nieuwzględnianie przy rozliczeniu delegacji biletów sypialnych i podróży samolotem TU-134. Ograniczenia te nie dotyczyły tylko Stratona Stratonowicza, który w ogóle nigdzie nie wyjeżdżał.

Nie była to jedyna zemsta Bubona za zadymianie jego pokoju. Mógł działać jeszcze pośrednio przez swego kasjera Adama Baroneckiego, nazywanego Kuchłykiem. Na jego ciche polecenie Baronecki tym, którzy narazili się księgowemu, dawał zaliczki na delegacje

trzykrotnie większe, z których po powrocie musieli się rozliczyć... Przeważnie nie mieli już tych pieniędzy, a wówczas Bubon czekał na krytyczny moment, kiedy z pieniędzmi było całkiem krucho, no i wtedy z rozkoszą przyciskał ich do muru.

Na drzwiach każdego findipoczowskiego gabinetu była duża tabliczka z nazwą wydziału. Kierownikiem wydziału hybrydyzacji i zewnętrznego wyglądu czapki był Chowraszkiewicz. Do jednej z ostatnich reorganizacji były tu jeszcze dwa wydziały: zewnętrzny (skóra) i wewnętrzny (wszystko to, co pod skórą). Później połączono je w jeden wydział, który po kolejnej ostatniej reorganizacji otrzymał nazwę wydziału piżmakożywnoznawstwa i piżmakomartwoznawstwa. Był to najważniejszy wydział instytutu, podlegający bezpośrednio Arijowi Fedorowiczowi Neszczadymowi, zastępcy Stratona Stratonowicza.

Georg Pancziszka, zwany Masikiem, kierował wydziałem „pojemność czapki a rozmiary głowy klienta”. Dlatego też rozmowę z każdym, kto do niego przychodził, rozpoczynał od robienia tych pomiarów. Na czele wydziału wyprawiania wewnętrznej strony skóry stał Warfołomij Czadiuk, który nie poddawał się żadnym próbom opisania go. Chodził tylko po linii prostej, a kiedy chciał zawrócić, to zatrzymywał się, odwracał się powoli całym ciałem i dopiero wtedy szedł we właściwym kierunku. Chodził cicho, nie podnosząc nóg, a więc raczej posuwał się, niż chodził; odnosiło się wrażenie, że on zawsze froteruje parkiet. I właśnie ten cichy chód przyniósł mu przydomek Cichołaza. Kiedy przechodził obok jakichś drzwi, automatycznie się zatrzymywał pod nimi, jego uszy wydłużały się. Gdy ktoś przyłapywał go na podsłuchiwanie, Czadiuk obrzucał go takim spojrzeniem, że przypadkowemu świadkowi włos jeżył się na głowie i czapka — jeśli należał do plemienia czapkarzy — sama się unosiła. Wówczas

odwracał swój korpus o czterdzieści pięć lub dziewięćdziesiąt stopni i pełzał cicho dalej. Wszyscy findipoczowcy bali się go jak ognia, każdy z nich myślał ze strachem, że to jego własny cień, od którego nigdy się nie uwolni.

Jeśli ktoś z zewnątrz przyszedł po raz pierwszy do „Findipoczu”, nawet na podstawie pobieżnych obserwacji odnosił wrażenie, że tu naukowcy rzeczywiście chcą coś odkryć i wynaleźć, nikt z nich jednak nie wie, co. A kiedy zdawało się, że stoją już u progu epokowego odkrycia, które wstrząśnie światem, przychodziła kolejna reorganizacja i wszystko zaczynało się od nowa. Było to na rękę konserwatyście Kowbykowi, który bał się każdego nowego odkrycia jak czapka nie posypana naftaliną — moli. I również dzięki tym nieustannym reorganizacjom „Findipocz” stał się nieoczekiwanie autonomiczną filią — tylko nie wiadomo jakiego instytutu.

ROZDZIAŁ TRZECI

*w którym opowiada się o namiętnościach, szczęściu,
nowej znajomości, odnalezieniu zguby, bankiecie,
menu i zagadkowym czapopiżu*

Każdy ma jakąś namiętność. Sidałkowski miał dwie: dziewczęta i tzw. życiowe maksymy. Dziewczęta kochał jak poeta, szczególnie te, które na danym etapie mu się podobały. Nazywał to etapową miłością. Co zaś do maksym, to nie mógł po prostu bez nich żyć, tak jak dołbosz bez bębna. Co prawda dziewczęta cenił wyżej, bo wymagały pewnych wydatków finansowych, ale aforyzmy — równie wysoko, choć nie w kategoriach pieniężnych, bo otrzymywał je bezpłatnie.

Miał jeszcze jedną zaletę: piękny charakter pisma, dla którego nie znalazł dotąd godnego zastosowania.

Ta cecha wzbogacała jego samoświadomość, wyrażającą się w określeniu „człowiek z pięknym charakterem pisma oraz rycerz maksym i idei”. Pismem szczycił się jak majątkiem, który otrzymał w spadku; idei, jak dotąd, nie udało mu się wcielić w życie, a maksymami sypał tak szczerze, jakby ich zapasy były niewyczerpane. Również i teraz, utraciwszy wszelkie nadzieje na zdobycie Tamary, pomyślał z filozoficznym spokojem:

— Szczęście jak młodość i moda jest nietrwałe. A teraz naprzód! Mont Blanc poddaje się tylko odważnym!

Wyszedł na plac przed dworcem i zatrzymał się: obok niego przebiegły trzy tak miłe stworzenia, że zamarł na moment.

— Za trzema dziewczętami, tak jak i za trzema zajęcami, nie można pogonić jednocześnie — pomyślał i rozejrzał się po placu.

Przed nim, jak przed dowódcą, szli, biegli, tłoczyli się i popychali ludzie, dając upust swoim emocjom, słowom i łokciom. Każdy, jak się zdawało, miał przed sobą jakąś konkretną metę, do której torował sobie drogę wszelkimi sposobami. Jedni wyskakiwali z tramwajów i zapominając o tym, że głowę ma się tylko jedną, mknęli jak opętani do głównego wejścia dworca, nie zwracając najmniejszej uwagi na nacierające w obu kierunkach tłumy oraz na ostrzegawcze napisy „Przejścia nie ma”. Inni, jak desantowcy z łodzi podwodnych, wylaniali się z podziemnych tuneli i machając teczkami i walizkami zdobywali szturmem tramwaje, trolejbusy i taksówki, jak gdyby wybierały się one w ostatni kurs.

Sidałkowski nie miał ani walizek, ani skonkretyzowanych planów, dlatego też nie rzucał się na komunikację miejską z rozpaczą człowieka gotowego na wszystko i nie błagał kierowców, by go podrzucili do centrum. Stał w milczeniu i zastanawiał się, w jakim kierunku ma zrobić następny krok w życiu.

W pobliżu miotał się kędzierzawy młodzieniec w okularach o wypukłych szklach na perkatym nosie i jak naczelnik straży pożarnej po otrzymaniu sygnału o pożarze krzyczał ochryplym głosem:

— Do samochodów! Do samochodów, towarzysze! Szybciej, do samochodów!

Nagle zza pleców Sidałkowskiego wyłonił się wózek, załadowany walizami, tobołami i olbrzymimi torbami, popychany przez bagażowego, który powtarzając swoje sakramentalne „Uwaga! Uwaga!...” — sunął do przodu jak czołg po zaminowanym polu. Za bagażowym szedł właściciel bagażu krokiem pewnym i dumnym, jak oficer intendentury, posuwający się w ślad za nacierającymi wojskami.

— Naprzód! Kierunek farwater! — rzucił sam sobie komendę Sidałkowski, ruszając za właścicielem bagażu, który spojrzał na niego podejrzliwie.

Nie zdążył jednak zrobić nawet dziesięciu kroków, kiedy nieoczekiwanie chwycił go za rękę kędzierzawy „naczelnik straży pożarnej” i pociągnął za sobą.

— Do samochodu! Towarzyszu Sidałkowski, do samochodu! I tak już się przez pana spóźnimy. Kowbyk się wścieka. Gdzie się pan zawieruszył? — zrzędził. — I tak mamy opóźnienie. Ale z nimi tak zawsze. Kiedy człowiek się spieszy, to oni się opóźniają, a kiedy się spóźnia, to właśnie im się wtedy spieszy.

Drzwi samochodu marki M-21 gościnnie się przed nim otworzyły i Sidałkowski zobaczył, że oprócz kierowcy siedzą tam jeszcze dwie dziewczyny z takimi kolanami, dla których nawet żonaci mężczyźni jadą nawet na bardzo odległe osiedla, wiedząc z góry, że to się dobrze nie skończy. Twarzy ich nie mógł dostrzec. Usiadł obok kierowcy.

— Gdzie pan się podziewał?

Sidałkowski odwrócił się i ich spojrzenia się spotkały: w samochodzie siedziała Tamara. Miała taką minę, jak-

by w tej chwili wygrała w totolotka i nie mogła uwierzyć w swoje szczęście.

— Moje jeszcze tak niedawno utracone nadzieje i iluzje — powiedział Sidałkowski głosem zwycięzcy konkursu teatralnego. — A ja przez panią omal nie straciłem głowy, chociaż wiedziałem, że to nie głowica cylindra i nie można jej wymienić na stacji obsługi samochodów.

— Tak od razu stracił głowę... Dokąd chciał pan iść?

— Na zew serca i przygód...

— Widzę, że z pana szybkościowiec... — Tamara zaśmiała się. Sidałkowski od razu jej się spodobał, wołałaby jednak, żeby nie był cudzoziemcem.

— Szybkimi bywają tylko pociągi i sprinterzy.

— A skąd zna pan tak dobrze nasz język?

— Uczyłem się w koledżu — odpowiedział pewnym tonem.

Odwrócił się, położył rękę na oparciu siedzenia i jego wzrok znów prześliznął się po dziewczęcych kolanach. Oczy świeciły samozadowoleniem i dobrze maskowanym tupetem. Jedna para kolan była bez pończoch i raziła wzrok wczesnowiosenną bielą. Tamara wiedząc o tym miała na nogach pończochy koloru kapronów, kupowanych posezonowo tylko na czarnomorskich plażach, jakiego nie mogło jeszcze zapewnić dziewczynom bezpłatnie majowe kijowskie słońce. „Takie nogi mogłyby zdobić wystawy stołecznych domów towarowych — pomyślał Sidałkowski, bo w tej chwili jego głowa była zaprzątnięta wyłącznie nogami. — Albo wziąć udział w konkursie piękności «Kobiece nóżki 79»”.

Nogi rzeczywiście były ładne. Wprost wrywały się spod jaskrawego stroju ludowego, przybranego kolorowymi paciorkami i błyskotkami, i wlewały się jak dwa żywe strumienie spadzistego wodospadu do czerwonych trzewiczków. Tych samych trzewiczków, które podbiły

kiedyś Paryż, a teraz miały zawojować również Sidałkowskiego.

— Zespoły amatorskie — rzucił Sidałkowski.

— Co pan powiedział? — wtrącił się do rozmowy „naczelnik straży pożarnej” o ufnych, krótkowzrocznych oczach.

— Przepraszam. Pomyślałem, że nie tylko u nas, ale i u was są pewnie wspaniałe zespoły amatorskie i twórczość ludowa.

— Oczywiście! Wszystko panu pokazemy, ale później. Po oficjalnym spotkaniu. I po kolacji... A teraz poznajmy się. Sławutij Murczenko. Może mi pan po prostu mówić Sława, wszyscy tak do mnie mówią — skandował sucho, jak aparat telegraficzny. Sidałkowski na wszelki wypadek odsunął się od niego w obawie, by jedno z tych wyrzucanych krótkich zdań nie zbiło mu ciemnych okularów. — Pan z polskiej delegacji? Mówi pan świetnie po naszymu. Pańskie wystąpienie powitalne było znakomite! Byliśmy zachwyceni!

Murczenko mówił „my”, jednak Sidałkowski nie wiedział jeszcze, w czym imieniu.

— Nikt z naszych nie mógł wprost uwierzyć! Prawdziwy selekcyoner-poliglota! Znakomicie! Jaka czysta wymowa, ani cienia obcego akcentu! Jest pan kandydatem nauk?

— Kandydatem na kandytata — wykiął się Sidałkowski.

— Wymowa wspaniała! Czysto literacka!

— Kijowsko-połtawski dialekt...

— O, i o tym pan wie? Wspaniale! Ale my pana też zadziwimy. W „Findipoczu” pracuje znany naukowiec Chowraszkiewicz, który posługuje się językiem polskim jak własnym, a własnym jak polskim. Zresztą, być może, jest z pochodzenia Polakiem. Poznacie się na sympozjum. Nie, wcześniej. Przecież Chowraszkiewicz będzie na bankiecie.

Sidałkowski już dawno wytrzeźwiał po wypitym winie i koniaku i w głowie zaczęło mu się przejaśniać, jak po deszczu. „Teraz jest u nas tyle różnych dekad — myślał — tyle sympozjów, tygodni, wymiany doświadczeń, spotkań z przodownikami pracy oraz z zakładami sprawującymi patronat i ich podopiecznymi, że mogli łatwo się pomylić i wziąć mnie za kogo innego, a teraz na bankiet.”

Oczywiście wkrótce wszystko się wyjaśni. Więc czy nie lepiej skończyć zaraz z tą komedią, zatrzymać samochód, wysiąść na bulwarze Szewczenki i przenocować u swego dawnego przyjaciela i ziomka, który gdzieś tu mieszkał i zapraszał do siebie?

Ale tę refleksję zdmuchnęła inna myśl: a dlaczego by nie zjeść darmowej kolacji? Ma przecież oficjalne zaproszenie. Tym bardziej że na bankietach siedzą często ludzie, którzy mają z ich organizatorami tyle wspólnego, co Sidałkowski z polską delegacją.

Obejrzał się raz jeszcze, czując na sobie czyjeś spojrzenie. Tamara odsoniła mu w uśmiechu zęby, którym w przeciągu najbliższych dziesiątków lat nie grozi żadna korozja. Sidałkowski też się uśmiechnął, czuł jednak, że uśmiech wypadł sztucznie, co popsuło mu nastrój.

— Jesteśmy na miejscu! — zawiadomił Murczenko, uderzając przyjacielsko Sidałkowskiego po ramieniu. — Hotel „Ukraina”. Jeden z ładniejszych w mieście. Zabytkowy. W stylu empire. — Wziął Sidałkowskiego pod rękę i poprowadził do hotelu.

Przy wejściu stały małe grupki ludzi. „Zbierają się swoi”, pomyślał Sidałkowski. Kowbyk wydawał kierowcom jakieś zarządzenia, samochody przyjeżdżały i odjeżdżały. Było jasne, że bankiet zapowiadał się hucznie.

Sidałkowski chciał przejść obok Kowbyka niepostrzeżenie, ale Murczenko spychał go z obranego kursu, jak barkę na latarnię morską, w kierunku Stratona Stratonowicza.

— Znalazłem go. Spóźniliśmy się trochę, bo się gdzieś zawieruszył — raportował Murczenko.

— W porządku. Proszę iść do sali bankietowej. Wasi już tam są — zwrócił się do Sidałkowskiego ze spojrzeniem, w którym wyczytał: „Też nam tu jakichś przysłali! Pysznią się tytułami hrabiowskimi!”

Spojrzenie to na chwilę sparaliżowało Sidałkowskiego: „Taki to może i milicję wezwać.” Rozejrzał się. Chciał w tej chwili dać nura w boczne drzwi i ulotnić się. Ale nie leżało to w jego charakterze. A poza tym Murczenko chodził za nim krok w krok jak nieodstępny cień.

— Oczywiście bardzo się panu podobam, Sławo? — zapytał bezczelnie Sidałkowski, żeby go zrazić do siebie.

— Bardzo — wyznał szczerze Sława. — Lubię takich. I szanuję. Zazdroszczę im. Serio. I tak właśnie proszę do mnie mówić: Sława.

Sidałkowski nic nie odpowiedział. Mózg jego pracował jak indykator po ujawnieniu owadów w ziarnie siewnym: dużo szumu, a pożytku żadnego.

— Proszę do sali bankietowej — Murczenko trwał przy nim, jak jesienny liść przyklejony pierwszym przymrozkiem do asfaltu. A i dziewczyny mu nadskakiwały — „Proszę bardzo! Prosimy do nas!” — że w końcu Sidałkowski skapitulował.

— Nic tak nie zbliża ludzi, jak stół w sali bankietowej — wygłosił jeszcze jeden ze swoich aforyzmów.

Dziewczęta zaśmiały się. Sidałkowski poczuł, jak głód daje o sobie znać potężnym burczeniem w żołądku, przypominając mu powojenne lata głodnego dzieciństwa.

Stół był istotnie zastawiony bardzo obficie. Choć za oknami była wiosna, tu królowała późna jesień w postaci martwej natury i zimnych zakąsek. Obok stały baterie flaszek: koniaki „Doina” i „Moldowa”, polska „Wyborowa”, niemiecki sznaps, czeski likier „Kord”,

armeński koniak, węgierski „Budafok”, bułgarska „Płodowa rakija”, „Anisowa mastyka”, brandy „Złatna kotwa”, słowacka śliwowica „Trakija”, „Kodarka”, kubański rum „Złoty brzeg”, arabski i ryski balsam, wódka „Moskowskaja” z medalami i ukraińska z pieprzem oraz włoskie wermuty „Martini” i „Cinzano”.

— Gościnność ponad wszystko! — rzucił jeszcze jeden slogan Sidałkowski, który usiadł między Sławą i Tamarą a swoimi polskimi znajomymi. — Czym chata bogata, tym rada... A widać, że bogata!

— Polska „Wyborowa”, widzi pan? — szepnął mu Murczenko. — Zamówili specjalnie dla pana.

Sidałkowski postanowił grać dalej komedię.

— O, tego mam dosyć w Polsce, a tu, na Ukrainie, chciałoby się czegoś waszego, ukraińskiego...

— Będzie, będzie i po ukraińsku: szczupak z chrzaniem! — Murczenko wyjął z kieszeni menu i przetarłszy okulary kontynuował: — Lin z kapustą. Na pierwsze barszcz z uszkami i polewka myśliwska. Na drugie... O daniach rybnych już mówiłem, a z mięsnych — bitki po zaporosku, zawijane zrazy po wołyńsku, mielone sznycle po połtawsku, flaki po ukraińsku, kurczęta w śmietanie, gęś z jabłkami.

Dalej Sidałkowski nic już nie pamiętał: zaczęły bardzo intensywnie pracować gruczoły wydzielające ślinę i sok żołądkowy, co, jak wiadomo, utrudnia koncentrację myślową.

Kowbyk kierował stołem jak kapitan statkiem, wygłaszając toasty na cześć gości. Mówił krótko i trafnie, Sidałkowskiemu wydawało się jednak, że ten pierwszy toast ciągnie się całą wieczność. Poza tym miał wrażenie, że Kowbyk przez cały czas patrzy na niego niezbyt przychylnym wzrokiem, co nie było przyjemne.

„Żeby już wreszcie skończył” — westchnął w duchu, bo siedzenie krzesła było coraz twardsze, a śliny przybywało coraz więcej.

— Pierwszy toast pijemy wódką w kieliszkach do wina. I do dna, po findipoczowsku! — doleciało do Sidałkowskiego.

Spojrzał na Murczenkę i zobaczył tylko okulary i długi sterczący nos, na którym śmiało można by wieszać wszystkie nakrycia głowy, od czapek aż po kapelusze.

— Jestem „za”! — zawołał Sidałkowski wstając. — Kto przeciw? Kto się wstrzymał? Nie widzę.

Ostatnie jego słowa utonęły w wesołej wrzawie i oklaskach.

Podniósł kielich do ust, przechylił i wypił do dna. Ciecz przyjemnie rozeszła się po całym ciele, jak ciepło po kaloryferze.

— No i jak? — spytał Murczenko.

— Jem, więc jestem — odpowiedział wesoło, nakładając sobie na talerzyk ozorek z rodzynekami.

— Proszę brać grzybki! A może sałaty? Tu jest cytryna — Murczenko nadskakiwał Sidałkowskiemu jak dyrektor bazy kontrolerowi. — Jest pan stanowczo za skromny.

— Głos ma kierownik delegacji mołdawskiej, towarzysz Wasylaku! — zadzwonił nożem o kieliszek i podniósł się wysoki, chudy mężczyzna, Arij Fedorowicz Neszczadym zastępca Kowbyka; gdy zamykał usta, wydawało się, że pod długim i cienkim nosem nie ma w ogóle warg.

— Drodzy towarzysze! — rozpoczął Wasylaku z czysto mołdawskim akcentem.

Głowy momentalnie zwróciły się w jego stronę, jak na głos przewodnika w turystycznym autokarze. Sidałkowski instynktownie uczynił to samo. Mówca był brunetem średniego wzrostu tak przystojnym, że nawet Sidałkowski pozazdrościł mu urody.

— Powinien brać udział w konkursach na najprzystojniejszego mężczyznę, zamiast zajmować się selekcją — szepnęła Murczenko do ucha Sidałkowskiemu. — Ale

pan i tak by zwyciężył. Pański wzrost, figurá, twarz, fryzura... — nie dokończył jednak wyliczać zalet cielesnych Sidałkowskiego, bo Neszczadym spojrział na niego takim wzrokiem, że ten urwał i zaczął parować.

Po trzecim toaście Neszczadym, poruszając cienkimi jak rasowy koń nozdrzami, udzielił głosu Chowraszkiewiczowi, siedzącemu po prawej ręce Kowbyka. Z gładką i żółtawą jak pergamin twarzą Chowraszkiewicza kontrastowały gęste rude wąsy, a pod czarnymi, zrosniętymi brwiami myszkowały małe i rozbiegane, nieufne i czujne oczy. Podniósł się, obrzucił taksującym spojrzeniem obecnych i jakby pyszniąc się swoim wyglądem poprawił kraciatą pretensjonalną marynarkę.

— Żeby długo nie mówić — rozpoczął wolno — to powiem krótko. Zacznę od tego, jak my... My, to znaczy mam na myśli mego nauczyciela... A ściślej mówiąc, wychowawcę — zwrócił się do Kowbyka — dyrektora, że tak powiem, niezastąpionego kierownika „Findipoczu” Stratona Stratonowicza Kowbyka. Bo, będę szczery, proces selekcyjny, że tak powiem, rozpoczyna się od przestudiowania... dokładnego i drobiazgowego przestudiowania materiału wyjściowego. W danym wypadku takim materiałem były północnoamerykański piżmak i... nasz ulubiony, mówiąc obrazowo, bohater dziecięcych wierszyków oraz bajek ludowych, mądry jeź. W drodze doboru tych, że tak powiem, żywych organizmów, z korzystnymi, że tak powiem, wynikami, został stworzony nowy gatunek... tak zwany... no, nazwa na razie umowna... czapopiż. Czapopiż, czyli czapkopodobny piżmak z naturalnym srebrzystym futrem i kolcami jeża, czyli, że tak powiem, srebrzystymi kolcami piżmojeża. Żeby nie zabierać czasu, nie będę się rozwodził, tylko powiem jeszcze krótko, że...

Tłumacze mieli bardzo trudne zadanie. Złani potem wycierali twarze chusteczkami, a gdy te były już mokre, zastąpili je nakrochmalonymi serwetkami z bie-

siadnego stołu. Chowraszkiewicz długo jeszcze mówił o sztucznym doborze, mieszańcach i innych cudach dokonywanych w „Findipoczu”, używając oczywiście bardzo mądrych i naukowych określeń w rodzaju: dywergencja, heterozis, homogeniczny, heterogeniczny itp. Najbardziej szczegółowo omawiał jednak absorbującą metodę krzyżowania samic ulepszonej rasy. Ktoś zrobił półgłosem jakąś krytyczną uwagę, ale zaraz tego pożałował, bo Chowraszkiewicz, pozostawiając w spokoju samice, zwrócił się bezpośrednio do oponenta:

— Zaraz to panu wyjaśnię... Otóż przez heterozis rozumiem hybrydową siłę, która powstaje przy skrzyżowaniu różnych ras i, że tak powiem...

Sidałkowski w miarę słuchania tego, jak go określił, Cicerona „Findipoczu”, coraz bardziej umacniał się w przekonaniu, że Chowraszkiewicz i tak dziś nie osiągnie szczytów swego naukowego krasomówstwa, nawet gdyby go wspólnie podsadzali Nieszczadym i Kowbyk. Nad Stratonem Stratonowiczem zawisły kłęby oparów. Czerwieniał na twarzy coraz mocniej i nie zważając na swoje drogi oddechowe pił zimną wodę mineralną.

— Mychajle Tanasowiczu, chyba wystarczy — nie wytrzymał wreszcie. — Mieście litość nad tłumaczami. I nad naszymi gośćmi. Ludzie zmęczeni drogą, a poza tym mamy jeszcze tyle pracy — wskazał na zastawiony stół.

— Chciałbym tylko zakończyć swoją myśl...

— Zakończy pan jutro. W pracy. — Kowbyk zwrócił się do Nieszczadyma. — Arijju Fedorowiczu, co tam jeszcze przewiduje na dziś nasz program?

— Wręczenie upominków.

— No więc niech zabierze teraz głos Karol Iwanowicz.

Chowraszkiewicz wybuchnął jak papieros napełniony prochem strzelniczym.

— No to muszę powiedzieć, że w ustroju monarchistycznym...

— Patentowany osioł — powiedział cicho Kowbyk. — Niech pan już wreszcie siada! — zawołał głośno. — I trzeba mniej pić!

— Dyskusja nabiera rumieńców — mruknął Sidałkowski. — Ale chyba nie naukowego charakteru...

ROZDZIAŁ CZWARTY

*w którym poznajemy charakterystyczne cechy
Stratona Stratonowicza Kowbyka, jego hobby oraz
największy wyczyn jego młodości*

Korzystając z tego, że młody, dobrze się zapowiadający i pijany Mychajło Tanasowicz Chowraszkiewicz usiłuje o czymś przekonać swego dyrektora, spróbujemy tymczasem narysować portret Kowbyka. Był niskiego, jak już wiemy, wzrostu i przypominał w jakiś nieuchwytny sposób chińskiego bożka. Nie chodził ani do muzeów, ani do kina, ani do teatru, nie mówiąc już o operze i filharmonii. Najchętniej lubił mówić o różnych zakąskach i alkoholach i kto go nie znał, mógł pomyśleć, że jest dyrektorem kawiarni albo szefem zjednoczenia restauracji i jadłodajni. A potrafił opowiadać tak plastycznie i smakowicie, że słuchacze z trudem nadążali w przetykaniu śliny.

Mówił obrazowo, używając słów tak soczystych, jak solone kawony w zimie. Były to przeważnie neologizmy, których na próżno szukać w słownikach, a nawet w utworach współczesnych awangardowych pisarzy. W miarę rozwoju akcji powieści zaznajomimy się z jego leksykonem dokładniej, a teraz kilka przykładów. Powiedzmy słowa na literę M: mordocha, mordoskręt, mamłaniec...

Ale najbardziej ulubionym była „buchaltera”, którą Straton Stratonowicz wymawiał ze szczególną lubością,

częstując nią wszystkich swoich podwładnych, z wyjątkiem Karola Iwanowicza Bubona, chociaż z powołania, dyplomu i zawodu był on jedynym w „Findipoczcu” buchalterem.

Findipoczowcy natomiast specjalizowali się w wymyślaniu dla każdego różnych przezwisk. Miał je również Straton Stratonowicz. Wyglądając w czasie pracy przez okno, podwładni mówili o nim z miłością:

— Uwaga! Kolistrat idzie!

Na ten sygnał przerywano krzyżówki, kryminały i inne intelektualne zajęcia. Naukowcy razem z narękwakami nakładali na twarze poważne maski i mieli tak skupione miny, że gdyby ktoś spojrział na nich z boku, pomyślałby: „Ten zespół zgłosił zobowiązanie odkrycia jeszcze jednego prawa Newtona albo też wyhodowania zwierzęcia, które niczym nie różniłoby się od gotowej czapki”. Ale Straton Stratonowicz patrzył na to trzeźwo i płacił im za tego Kolistrata z nawiązką.

— Bu-chal-te-ra! — wołał. — Siedzicie tu i ziewacie tylko! Tak jakby rano nie było żadnej roboty! A w podróz służbową to i kijem nie można nikogo wygnąć! — Trzaskał drzwiami i już na korytarzu zadawał sam sobie retoryczne pytanie: — Żebym to ja mógł znaleźć dla siebie taką pracę? Ale gdzie jej szukać?

Pod jego udawanym grubiaństwem oraz pod grubym swetrem biło dobre, czułe serce, co skrzętnie ukrywał wobec postronnych. Jedni mówili: „Kowbyk umyślnie przybiera takie srogie pozy dla podtrzymania autorytetu”. Inni mieli wątpliwości: może tak, a może i nie... Zupełnie jednoznaczny natomiast pogląd na stosunki między przełożonymi i podwładnymi miał zastępca dyrektora, Neszczadym. „Trzeba — mawiał — żeby każdy podwładny na widok kierownictwa poczuł w sercu chłód, jak w zamrażalniku lodówki... Tylko wówczas będą mieli dla niego szacunek”. Przez „kierownictwo” rozumiał oczywiście przede wszystkim siebie. Byli też

tacy, którzy zapewniali: „Jeśliby nie trzymało się nas za pysk, to cały «Findipocz» by się rozleciał, a mole by nam uszy poobjadały”. Ale znaleźli się też zdecydowani apologetyci Kowbyka: „Lepszego dyrektora niż Straton Stratonowicz nigdy nie było, nie ma i nie będzie. Nikogo dotąd jeszcze nie zwolnił, nikomu niczego nie odmówił. A że czasem pogdera i poczęstuje kogoś jakimś swoim epitetem, to przecież od tego jeszcze nikt nie wyłysiał”.

Istotnie tak było. Kowbyk nigdy jeszcze osobiście nikogo nie zwolnił, przekazując tę prerogatywę Nieszczadymowi, któremu to sprawiało prawdziwą rozkosz. Kowbyk brał wówczas urlop, bo — jak zapewniał — nie mógłby znieść takiej rozłąki bez łez. Kiedy wyjeżdżał w tę wymuszoną podróż (sanatorium, wczasy, sympozjum naukowe), odprowadzany na peron lub lotnisko przez cały kolektyw, zwracał się do wszystkich po ojcowsku:

— Tylko znajdźcie najpierw temu wątrobiarzowi pracę, a dopiero później zwolnijcie. No i żeby obeszło się bez sądu!

Sądów i sędziów nie znosił, jak nieświeżej wieprzowiny.

Chowraszkiewicz wskakiwał na stopnie wagonu, skąd usiłowała go zepchnąć żółta chorągiewka konduktorka, i zapewniał Stratona Stratonowicza, że wszystko będzie dobrze, niech się nie przejmuje.

— Jak będzie wam beze mnie smutno, to przyjadę! — wołał już z okna wagonu. — Nie bacząc na nic! — dodawał, i na beton peronu spadała męska łza.

Jak więc widzimy, Straton Stratonowicz miał istotnie bardzo czułe, ojcowskie serce. I jeszcze kilka innych pozytywnych cech. Ale miał jedną szczególną zaletę, o której wiedział tylko on sam.

Prócz zakąsek i soczystych słów Kowbyk lubił jeszcze rodzaj nijaki, używając często zaimka „ono”.

— Takie to jakies delikatne... Wypije szklanke wódki i już gotowe.

Źle wyrażał się tylko o nieobecnych. Nieobecnego preparowano według wszelkich prawideł anatomii: od stóp do głowy, nie pozostawiając na nim suchej nitki. Wystarczyło jednak, by ten sam nieborak usiadł następnego wieczoru obok dyrektora, by ku ogólnemu i własnemu zdziwieniu dowiedzieć się, że jest zbiornicą wszelkich cnót, a jego wczorajsze wady i grzechy przechodziły na kolejnego nieobecnego.

Od kobiet Kowbyk nie stronił, ale porównywał je do sklepów.

— Na wystawie co innego, a co innego pod ladą — mawiał.

Wszystkich mężczyzn, zwłaszcza ze swego środowiska, określał mianem „sobaczych inteligentów” i „kłapouchych”.

— Nie bardzo mam zaufanie do tego kłapouchego — mówił do Neszczadyma. — Kiedy ja pasalem jeszcze krowy, ono chodziło do szkoły dla utalentowanych!

Od tego właśnie rozpoczynały się wszystkie rozmowy po godzinach pracy. Bo podczas pracy nie było żadnej popijawy, chyba że trafiała się jakaś specjalna okazja. Tylko na szczęście takich specjalnych okazji było znacznie mniej niż popijaw.

Największe osiągnięcie życiowe Kowbyka przypadło na jego młodość, nie wiadomo jednak, czy istotnie tak było, czy też sam to wymyślił lub od kogoś usłyszał, a potem uwierzył, że to właśnie jemu się przydarzyło. Lubił o tym często opowiadać, mimo że wszyscy findipoczowcy znali już tę historię na pamięć.

— Pamiętam jak dziś. Założyłem się z kolegą, że wypiję butelkę szampana z pantofelka pewnej damulki. No i wypilem! — wołał z triumfem do słuchaczy. — Szkoda tylko, że damulka nosiła zbyt mały numer pantofelków i pół litra się nie zmieściło.

Ludzi też charakteryzował po swojemu. Kiedy go pytali: „Kim jest ten towarzysz, Stratonie Stratonowiczu”, odpowiadał: „O, ten już wypił swoją cysternę”. Albo: „Nie umie ani wypić, ani zakąsić!”

Miał też i swoje hobby: kolekcjonował zapalniczki. I trudno powiedzieć, czego było więcej: oryginalnych neologizmów czy zapalniczek o przeróżnych kształtach. W jego sejfie znaleźć można było ustriackie pistolety, francuskie wieże Eiffla, amerykańskie liniowce, niemieckie rakiety, czeskie pochodnie, szwedzkie rowery, angielskie piłki futbolowe itp.

Prócz oryginalnych zapalniczek miał Kowbyk trzech ulubieńców: Chowraszkiewicza, Panczyszkę i Hraka. Dwaj pierwsi, kiedy zaczęła się ta opowieść, pracowali w „Findipoczu” już od dłuższego czasu, trzeci miał się tam dopiero pojawić.

ROZDZIAŁ PIĄTY

w którym opowiada się o apogeum, rozkazie, upominkach, pewnych danych z biografii, pięknej kelnerce, rzadkim indywiduum, prowincji i przejrzystych aluzjach

Obecnie, jak lubią mówić sprawozdawcy, zapraszamy państwa nie do Paryża i nie na wyspy dalekiej Polinezji, lecz do znanej nam już sali bankietowej. Na razie bankiet toczył się zgodnie z scenariuszem: według rangi wygłaszano przemówienia i wznoszono toasty.

Wreszcie bankiet osiągnął swe apogeum: toasty były coraz rzadsze, pito coraz mniej, mówiono natomiast coraz więcej i coraz głośniej, i to oczywiście równocześnie. Chowraszkiewicz patrzył na Kowbyka jak jeź na piźmaka. Straton Stratonowicz wydał rozkaz „kończyć z gadaniem!” — a wówczas Bubon, odkaszlnąwszy, wyszedł z za stołu.

— Będą teraz wręczać upominki i znaczki — szepnął Murczenko do Sidałkowskiego. — Oryginalne znaczki. Muzealna rzadkość. Marzenie numizmatyków!

Sidałkowski nie odpowiedział. Obok niego przepłynął Bubon. Murczenko znów nachylił się do Sidałkowskiego i chciał coś powiedzieć, ale zaczepił rękawem o talerz, który z brzękiem upadł na podłogę, obryzgawszy przedtem pomidorowym sosem biały obrus, i potoczył się groźnie do nóg Sidałkowskiego; arystokrata ledwie zdążył unieść swoje lakierowane buciki. W sali zrobiło się cicho jak przed bitwą.

Upominki wręczał osobiście sam Karol Iwanowicz, wycytując nazwiska ze spisu. Każdy z obdarowanych podchodził do stolika i składał w odpowiedniej rubryce swój podpis. Tłumacze objaśnili, że to nieodzowna formalność, bez której buchalter „Findipoczu” nie może, jak bez arytmomometra, ani żyć, ani pracować. Wreszcie wręczenie upominków i ich kwitowanie się skończyło.

— No, to chyba wszystko! — rzekł Bubon. — Mam nadzieję, że nie zapomnieliśmy o nikim.

Chciał wrócić na swoje miejsce przy stole, wycierając z łysiny obfity pot, kiedy nagle wstał podekscytowany Murczenko.

— Co takiego? — zawołał z oburzeniem. — A ten towarzysz?! Z polskiej delegacji.

W połyskujących szklach jego okularów odbijały się zastawione stoły ze skierowanymi w górę, jak lufy zenitówek, flaszkami, wysokie kolumny, pretendujące do epoki Odrodzenia, oraz poźółkły, oblaźły w wielu miejscach żyrandol na zardzewiałym haku, zwisający groźnie nad stołem.

Sidałkowski, który już rozkoszował się upragnioną ciszą po burzy, poczuł nagle, że momentalnie trzeźwieje.

— Jak wasze nazwisko, towarzyszu? — zwrócił się do niego Bubon.

— Sidałkowski — odpowiedział za niego Murczenko.

— Sidałkowski?! — Bubon zsunął na nos okulary i sprawdzał w spisie. — Osmołowski, Osowski, Brzeziński... A gdzie Sidałkowski? — zamilkł na chwilę i rozłożył bezradnie ręce. — W tym spisie go nie ma. — Karol Iwanowicz zamrugał oczami tak, jakby po raz pierwszy „debet” nie pokrywał się z „credit”.

Ale jeden upominek istotnie pozostał nie wręczony. Bubon spojrzął bezradnie na Kowbyka. W jego niewinnych oczach malował się strach kierownika sklepu, w którym kontroler ujawnił nieoczekiwanie poważną superatę.

— To nasz towarzysz — przeciął wieloznacznie Kowbyk, dając w ten sposób do zrozumienia, że ceremoniał wręczania upominków i znaczków z wizerunkami piżmaka i jeża uważa za zakończony.

Osmołowski, Osowski i Brzeziński również zwrócili spojrzenia na Sidałkowskiego. A Jewgraf patrzył na Kowbyka z wdzięcznością ucznia, któremu nauczyciel darował zasłużoną dwójkę. Murczenko był wyraźnie zbulwersowany. Wychylił bez zakąski kolejny kieliszek, wstał i stanął za Sidałkowskim, któremu to się zupełnie nie podobało.

— Za pokojowe współistnienie, Sławo! — Sidałkowski wziął go za klapę marynarki i delikatnie usadowił obok siebie. Następnie nalał sobie i Murczence i stuknął o jego kieliszek. Murczenko jednak demonstracyjnie swój odstawił. Kieliszek stał jak ołowiany żołnierz na jednej nodze w złotobursztynowym czaku.

— Kim pan jest? — spojrzął na Sidałkowskiego przez zapotniałe szkła okularów.

— Sidałkowski — odpowiedział spokojnie Jewgraf.

— To już słyszałem.

— Więc jakie dane z mojej biografii są jeszcze panu potrzebne? — spytał Sidałkowski nieco grubiańsko.

— Występował pan na peronie! W imieniu polskiej delegacji!

— Proszę nie hiperbolizować. Dopiero zacząłem mówić, lecz mi przerwano.

— Ale dlaczego? — Murczenko wczepił się w jego łokieć jak kleszcz.

— Nie mnie proszę o to pytać.

— Dlaczego chciał pan przemawiać? W jakim charakterze?

— Jako tymczasowo pełniący obowiązki — odparł Sidałkowski, próbując uwolnić się od Murczenki jak koń od natrętnego gza. — Proszę nie brać tak tego do serca... Z takim usposobieniem nigdy pan nie zrobi kariery...

— Sławo, przestań! — włączyła się Tamara.

— Nie zawracajcie mi głowy! — Murczenko zapiszczał dyszkantem jak kot, któremu nadepnięto na ogon.

— Ciszej tam, towarzysze! — huknął Neszczadym.

Kowbyk podniósł się. Za nim wstał Chowraszkiewicz, wymachując rękami; przypuszczalnie udowadniał mu, że nie ma racji.

— To niemożliwe! — strzelał krótkimi zdaniem w ucho Sidałkowskiego jego opiekun Murczenko. — Jeszcze mi się nigdy coś takiego nie przytrafiło.

— Niech pan nie robi tyle hałasu, Sławo! — Sidałkowski przeszedł do natarcia. — Za coś takiego premii nie dają. To mogłoby się nieprzyjemnie zakończyć. Dla nas obu.

— Nie rozumiem! Co pan chce przez to powiedzieć?

— A to, że może wyjść z tego dla wszystkich bardzo niemiła historia, towarzyszu Murczenko — Sidałkowski przeszedł na oficjalny ton.

Murczenko zbladł, jego twarz przypominała fajansowy talerz bez ornamentów.

— Chce pan powiedzieć, że nie jest pan tym, za kogo ja pana wziąłem?

— Jest pan bardzo domyślny. Ale proszę się nie obawiać. Za wiele poświęca mi pan uwagi. Nie jestem pa-

nienką, a Tamara się nudzi — Sidałkowski przestał już cackać się z Murczenką.

— Aha! Zrozumiałem — domyślił się nareszcie Sława. — Pan im tylko towarzyszy.

— Zrozumiał pan całkiem prawidłowo — odparł Sidałkowski. — Pańskie oko konia tuczy, jak mówią u nas w Warszawie — przypomniał sobie nagle porzekadło zasłyszane w wagonie restauracyjnym. — Wypijmy, Sławo. Za wzajemne zrozumienie.

— Za przyjaźń! — Murczenko przechylił ołowianego żołnierzyka i wypił do dna. Celował widelcem w kurczaka, którym właśnie zajadał się spokojnie Sidałkowski, ale mu się to nie udawało. Zaczęły się u niego, jak to zanotował w pamięci Sidałkowski, przypływy i odpływy: to nagle trzeźwiało, to znów był pijany. — Więc pan nie jest członkiem polskiej delegacji? — spytał znowu, trzeźwiejąc.

— Nie. Nie jestem nawet jej kierownikiem. Jestem ofiarą standardu.

Wzrok Murczenki znowu zmętniał.

— Co z panem, Sławo? — spytał troskliwie. — Stracił pan twarz?

— Pan by też stracił, jakby był na moim miejscu.

— Sądzi pan, że ją mam? Myli się pan. Też ją straciłem, kiedy wziął mnie pan za członka delegacji.

— Kiedy ja myślałem...

— Myślenie często szkodzi, Sławo...

Murczenko nie zareagował na tę uwagę.

— Myślałem, że... — próbował się usprawiedliwić przed Sidałkowskim czy też przed samym sobą. — Wysiadł pan przecież razem z nimi. Ubrany jak na galę...

— No więc właśnie mówię. Jestem ofiarą obiegowych wyobrażeń. Standardu. U nas tak jak ja ubierają się wszyscy: i szeregowi pracownicy, i kierownicy delegacji. Polacy odeszli od standardu i dlatego uznano mnie za ich kierownika. Jestem więc ofiarą...

— Jutro tą ofiarą będę ja — stwierdził gorzko Sława. — Jutro rano gazety ukażą się z pańską fotografią i pańskim przemówieniem powitalnym. Czy pan to sobie wyobraża?

— Nie, nie wyobrażam sobie. W ministerstwach dotąd nie pracowałem. Wygłaszać przemówień, drukowanych potem w gazetach, też mi się jeszcze nie zdarzyło. Kiedyś, co prawda, napisałem raz do miejscowej gazety artykuł na kilka stron, ale ukazała się z tego tylko krótka informacja, a i to podpisana innym nazwiskiem. Więc jutrzejszy występ w prasie będzie moim debiutem.

Kiedy zaczęto wstawać od stołu, Tamara spytała, czy Sidałkowski i Murczenko nie chcieliby pójść na koncert.

— Zostajemy tu — odpowiedział zdecydowanie Murczenko.

— A pani, Tamaro, radziłbym zrobić to samo — dodał Sidałkowski. — Niańki już poszły, więc dzieci mogą się pobawić — zwrócił się do zarumienionej dziewczyny. — To my, zdaje się, całowaliśmy się na dworcu?

— A pan już zapomniał? — spytała z wyrzutem Tamara.

— Takich rzeczy się nie zapomina.

Kiedy wreszcie goście już poszli i kelnerzy snuli się między stolami uprzątając puste flaszki i brudne talerze, Sidałkowski nareszcie poczuł się w swoim żywiole.

— Czuję się szczęśliwy jak młody bóg! — uśmiechnął się, przypadając ustami do ręki Tamary. — Mam nadzieję, że, zostanie pani z nami.

Tamara w milczeniu skinęła głową.

Sława chwycił Sidałkowskiego za guzik marynarki.

— Pan mi nie odpowiedział.

— Lepiej, Sławo, ogłośmy mobilizację.

— Nie rozumiem.

— Po rublu na butelkę koniaku i do hotelu. Mam nadzieję, że zamówił pan dla mnie pokój.

— Zamówilem — odparł Murczenko.

— Znakomicie! Kelner! Jeszcze jedną butelkę koniaku. Na mój rachunek. — Sidałkowski wyjął trzyrublówkę.

— A może dosyć? — spytała młoda i ładna kelnerka.

— Reszty nie trzeba — przeciął Sidałkowski tonem potomka arystokratycznego rodu.

— Napiwków nie biorę. Mam bogatego męża.

— Ach tak — uśmiechnął się Sidałkowski. — Zazdroszczę pani. A ile mąż ma lat?

— Po co to panu wiedzieć?

— Bo gdy jest już w tym wieku, kiedy bliscy z niecierpliwością czekają na spadek, a żona rozgląda się za następcą, to może mógłbym zgłosić swoją kandydaturę na tę posadę?

— Mówi pan tak jakoś zawile, ale pomyślę... — chciała już odejść.

— Chwileczkę, oto moja wizytówka — Sidałkowski wyjął notes, wydarł z niego kartę i kaligraficznym pismem napisał: „Kijów, Poczta Główna, poste-restante”.

Piękny charakter pisma Sidałkowskiego zwrócił uwagę Murczenki.

— Słuchaj, Sidałkowski, z takim pismem...

— Chce pan powiedzieć, że takim pismem można się podpisywać na banknotach lub książeczkach czekowych? Tylko że nie jestem Rockefellerem.

Kelnerka odeszła, odprowadzana wściekłym wzrokiem Tamary.

— Jakie piękne! — zachwycał się nadal Murczenko.

— U człowieka wszystko powinno być piękne: odzienie, maniery i pismo... — wygłosił jeden ze swych ulubionych frazesów.

— Gdzie pan pracuje, Sidałkowski?

— Czy u pana, Sławo, znów zaczął się przypływ? Niech pan zmieni płytę.

— Kiedy ja pytam serio. Bo potrzebny nam jest właśnie pracownik z ładnym pismem.

— Komu „nam” i jak w wieku magnetofonów i elektrycznych maszyn drukarskich za to płacą?

— Stawka pracownika naukowego z premią kwartalną. Praca w „Findipoczu”...

— Nazwa przypadła mi do serca: zagadka, iluzje, romantyka... A co miałbym tam robić? — spytał rzeźwoco.

— Nic. Będzie pan tylko pisać. Ale ładnie. Bonitacja zwierząt. Prowadzenie plemiennych ksiąg. Organizacja wystaw. Rejestracja przychówku...

— Trafił pan pod niewłaściwy adres.

— Będzie pan tylko pisać. A co do plemiennych ksiąg...

— Czy one nie mają innej nazwy? Bardzo lubię książki, ale nie z takimi epitetami.

— Chodzi o rasę poszczególnych zwierząt. Ich wskaźniki. Dane o pochodzeniu... Proponują mi inną pracę. Kowbyk się zgadza. Ale muszę kogoś dać. Na swoje miejsce. Więc jestem szczęśliwy. Znalazłem pana. Wykonałem polecenie Kowbyka.

Mówił jak zawsze krótkimi, urywanymi zdaniami.

— Od nieszczęścia do szczęścia tylko jeden krok — Sidałkowski wygłosił jeszcze jedną sentencję. — A pan co, jest kierownikiem działu kadr u Kowbyka?

— Nie... Ale przecież mówię. Proponują mi. Inną pracę. A te książki. To ja dotąd prowadziłem.

— Jak pan mówi, Sławo, proszę wciągać głębiej powietrze, a wtedy starczy go nie tylko na zdania główne, ale i poboczne.

— Już tak przywykłem. Pracowałem na poczcie. W dziale depesz.

— Czekaj na mnie. Przyjeżdżam. Wagon piąty. Całuję. Tamara — parodiował Sidałkowski i spojrzawszy na Tamarę zapytał: — Marzyła pani kiedyś o takim telegramie?

— A pan?

— Przez całe swoje świadome życie. A adres ten sam: „Kijów, Poczta Główna, poste-restante”.

— Jak pan ma na imię?

— Jewgraf. Ale w marynarce handlowej nazywali mnie prościej: graf. Graf Sidałkowski. Oczywiście z małej litery.

Tamara zaśmiała się.

— Jest pan dowcipny.

Podeszła kelnerka, podała Sidałkowskiemu butelkę koniaku i dziesięć kopiejek reszty...

— Ma pani gest — powiedział Sidałkowski.

Nie zgodził się jechać windą, więc poszli na górę piechotą. Murczenko ledwie trzymał się na nogach. Zgubił okulary i orientację. Gdy znaleźli się w pokoju, Sława położył się na dywanie i przysięgał, że to ostatni raz.

— Od jutra. Przysięgam. Na zawsze. Do ust nie wezmę. Chora wątroba. I żołądek. Ciągłe tylko te spotkania. Bankiety. Mam już tego dość!

Te przysięgi powtarzał po każdym przyjęciu delegacji. I chyba tylko dlatego, jak sam objaśniał, pełnił funkcje „chłopca na posyłki”. Bo nie umiał pić. Jego koledzy, którzy umieją pić, już dawno awansowali, a teraz nawet nie podają mu ręki, chociaż połowę z nich on sam urządził.

— Pisałem im podania. Prosiłem, błagałem. A teraz nawet się ze mną nie witają. Zarozumialcy. Chce pan, to i panu napiszę? I pomogę panu urządzić się u nas. Im na złość.

Sidałkowski ani nie zaprzeczał, ani nie aprobował.

— Chce pan czy nie? Bo mogę się rozmyślić.

Sidałkowski skinął głową.

— Wspaniała praca. Lepszej pan nie znajdzie. Ale jak pan się właściwie nazywa? — mówił coraz dłuższymi zdaniami.

— Sidałkowski — Jewgraf spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Więc posłuchaj, Sidałkowski... Chcesz? Chcesz czy nie? Nie ma plemiennych ksiąg. Jest socjologia, rozumiesz? A ty jesteś socjolog, rozumiesz? Może i ty później nie będziesz się ze mną witać, co? Może i ty staniesz się zarozumiały?

— Będę się z tobą witać, Sławo, z całą pewnością. I podawać ci rękę. Kiedy cię zobaczę na ulicy, będę wyskakiwać z trolejbusów i tramwajów tylko po to, żeby się z tobą przywitać.

— Nie łiesz? No to napiszę.

Sława był już zupełnie pijany. Sidałkowski otworzył butelkę i nalał sobie i Tamarze. Murczenko wyjął notes.

— Urządzę cię w „Findipoczu”. Chcesz w „Findipoczu”? To najbardziej nowoczesny zakład naukowy. Dyrektor Kowbyk. Straton Stratonowicz. Zapamiętaj. Zresztą nie trzeba. Sam zapamiętam. I napiszę za Ciebie. On trochę gburowaty, ale dusza chłop. Nie bój się go. On tylko taki z wyglądu. Nie lubi inteligentów. A ty, Sidałkowski, może inteligent, co? Przyznaj się. Ja mu nie powiem. Ale to widać i tak. Inteligent. Z prowincji. Z prowincji, prawda? Jak tyś powiedział? Graf Sidałkowski? Murczenki nie zawiedziesz. Murczenko widzi to i bez okularów.

Policzki Sidałkowskiego przybrały barwę topionego sera. Był tak zmieszany, że w pierwszej chwili nie mógł poznać sam siebie. Murczenko trafił w jego najczulsze miejsce, i to bez uprzedzenia.

— Ale ty się nie bój, Sidałkowski. Kowbyk tylko tak wygląda. Rozumiesz? Dla autorytetu. — Murczenko przymknął jedno oko i wyjął długopis. — Widzę tylko na jedno oko. W drugim zbite szkło. Jestem krótkowidzem. Słuchaj, Sidałkowski, jak ty się nazywasz?

— Sidałkowski.

— Aha. Więc słuchaj, Sidałkowski. Wiesz, w tobie

coś jest. Coś imponującego. I ekstrawaganckiego. Słowem, diabli wiedzą co. Ale ty mi się podobasz. Choć jesteś z prowincji. To widać od razu. Masz to napisane na czole. Ale jak właściwie ty się nazywasz?

Sidałkowskiemu obrzydła już ta komedia, zachowywał się jednak powściągliwie, mając perspektywę otrzymania zameldowania. Murczenko pograżył się w jakiejś pisaninie i wreszcie umilkł.

Sławatij Murczenko należał do tych ludzi, którzy częściej mlekiem się parzą, niż na nie dmuchają. Wbrew doświadczeniom mają ciągle do ludzi zaufanie. I sami je wzbudzają. Mają tyle uczciwości, że starczyłoby jej dla wszystkich kontrolujących i kontrolowanych. Takim ludziom zawsze wydaje się, że wokół nich są tylko sami uczciwi i porządni. I dobrzy. Słowem, Murczenko był tym rzadkim indywiduum, któremu sprawia radość i zadowolenie, jeśli może komuś pomóc i wyświadczyć przysługę. Zawsze kimś się kłopotał, komuś pomagał. Nosił stale przy sobie papierosy i zapalniczkę, chociaż sam nie palił. Najbardziej obawiał się pomówienia o skąpstwo. Dlatego nie tylko częstował papierosami, ale też udzielał pożyczek, których nikt nigdy nie zwracał.

Zdarzało się niekiedy, że zapomniał papierosów w domu. Więc kiedy go pytali: „Ma pan zapalić?” — był zmieszany i czuł się winny wobec pytającego.

— Przepraszam. Z wielką chęcią, ale... Nie palę. Wie pan, paliłem, ale właśnie rzuciłem palenie...

A teraz ciągle pisał, ale zamiast trzeźwieć, bełkotał coraz bardziej.

— Słuchaj... A jak ty się nazywasz? I w ogóle gdzie ty pracujesz? A jak z zameldowaniem? Kiepsko? Tymczasowe?

Sidałkowski zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie ma żadnego? Pss... — przyłożył palec do ust...

— Kiepska sprawa. Kowbyk nie przyjmie. Chyba że mu się bardzo spodobaś. Spodobaś mu się, co? Bo mnie się podobaś, wiesz? No i jak się gdzieś zameldujesz. Tu, prowincjo, nic ci nie mogę pomóc, choć cię lubię, rozumiesz?

Murczenko się zamyślił. Tamara wstała. Sidałkowski dał jej porozumiewawczy znak: wyjdziemy razem.

— Jesteś żonaty? — egzaminował znów Murczenko.

— Jeszczem się nie odważył...

— To cudownie! Możemy zorganizować komsomolskie wesele: klucze, mieszkanie, tobie, prowincjo, cały nasz zakład składa życzenia i gratulacje. To jest idea. Jesteśmy z Tamarą w tej samej komsomolskiej organizacji. Ona pracuje w sąsiedztwie, w fabryce. Jest przodownicą. Nie chce do nas przejść. Woli przy warsztacie. No to ożenimy cię, prowincjo. Prawda, Tamaro? No co, chcesz się z Tamarą ożenić?

— Sławo... — prosiła błagalnie Tamara.

— W porządku. Ożenimy cię z Tamarą. Chcesz z Tamarą, prowincjo? Tamara nie protestuje. Widzę to po jej oczach. Spodobałeś się jej, prowincjo.

Ale Sidałkowskiemu nie podobało się zachowanie Murczenki.

— Sprawa zdecydowana — ciągnął ten z pijackim uporem. — A nie podoba ci się Tamara, to znajdziemy inną aktywistkę. Czego ja dla ciebie nie zrobię! Dziękuj Bogu, że los zetknął cię ze mną. Mam lekką rękę — Murczenko na chwilę umilkł. — Ale można też zorganizować ślub fikcyjny — ciągnął po przerwie. — Teraz często się to praktykuje. Ale Sława Murczenko na to nie pójdzie. Nawet na to nie licz! Słyszałeś, prowincjo?

Sidałkowski słyszał, ale sposób traktowania go przez Murczenkę spowodował, że chyba po raz pierwszy w życiu był z siebie niezadowolony.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

który opowiada o naruszeniu dyscypliny, architekturze, zapłacie za miłość, nieprzystępnej fortecy, poddanym i wasalu, piersiach i erinaceusie

Rysując portret Chowraszkiewicza, naruszyliśmy findipoczowską hierarchię, bo pominęliśmy Arija Fedorowicza Neszczadyma, zastępcę dyrektora Kowbyka. Niech nam to wybaczy! Czynimy to tylko dlatego, że Chowraszkiewicz sterczał przy Kowbyku, tak, jak Mienszykow przy Piotrze Pierwszym albo Rasputin przy carycy, zaś jako naukowiec był centralną postacią „Findipoczu”.

Miał na imię Mychajło, po ojcu Tanasowicz, ale Kowbyk nazywał go poufale Michałkiem.

Michałko był dla Stratona Stratonowicza krynicą intelektu, inspiratorem wszelkich inicjatyw dyrektora oraz nosicielem korytarzowych idei. Podobnie jak Kowbyk, przez solidarność z nim, nie chodził ani do muzeów, ani do teatru. Ich jedynymi muzeami i teatrami były kijowskie restauracje, w których obok menu można było studiować kijowską architekturę, zarówno współczesną jak i dawną: specyfikę jej form, style, zastosowanie ludowych ornamentów i gamę kolorów. Tu zaznajamiali się z pięknymi mozaikami i ze smakowitymi potrawami.

Czasem, kiedy kelnerka długo nie podchodziła, prowadzili rozmowy o baroku XVII i XVIII wieku albo o krzyżowaniu się architektury współczesnej z dawną lub też soku pomidorowego z wódką lub na odwrót. Zdarzało się to jednak niestety rzadko, przeważnie w dniach wypłaty, ale obowiązkowo, gdy otrzymywali nagrody, które — tak się jakoś dziwnie składało — dostawali albo Chowraszkiewicz, albo Pancziszka lub też obaj równocześnie. „Zapłata za miłość” — określi to później Sidałkowski.

To, że Chowraszkiewicz kochał swego szefa więcej niż siebie samego, może potwierdzić każdy findipoczwiec. Zapewne z tego powodu Chowraszkiewicz nawet się nie ożenił, obawiając się, że Straton Stratonowicz nie będzie miał wieczorem z kim posiedzieć. W każdym razie takie wieści krążyły w „Findipoczu”, chociaż, być może, były nieco przesadzone. Pewne jest jednak, że Chowraszkiewicz zrezygnował z wielu ziemskich rozkoszy, zamieniając je na wieczorne rozmowy z Kowbykiem oraz na degustację win. Po każdej kolejnej wypitej butelce deklarowali sobie nawzajem dożgonną miłość. Kowbyk zapewniał Chowraszkiewicza, że uważa go za prawdziwego syna, Chowraszkiewicz zaś przekonywał swego szefa, że ma dla niego synowskie uczucia jak dla ojca.

W niektórych jednak sprawach różnili się. Chowraszkiewicz nie lubił periodyków i czytał tylko literaturę piękną oraz historycznonaukową, zaś Straton Stratonowicz nie miał na tę literaturę ani czasu, ani cierpliwości. Całą wiedzę czerpał bezpośrednio z ust swego ulubieńca. Kowbyk natomiast wzbogacał Chowraszkiewicza informacjami z gazet, które tamten wprawdzie prenumerował, ale nigdy ich nie czytał. Kiedy szef mu to wyrzucał, Chowraszkiewicz odpowiadał zawsze tym samym pytaniem:

— A po co?

Różnili się też zainteresowaniami. Straton Stratonowicz podejmował stale tylko jeden ulubiony temat: napoje i zakąski. Wznosząc ręce do nieba, z łezką w oku wspominał czasy, kiedy na raki nikt nawet nie chciał patrzeć, a taraan uważany był za pożywienie czumaków i dziwaków. Było w naszych sklepach raków i tych ryb tyle, ile teraz ludzi w kolejkach.

— Wchodzisz do sklepu — wspominał marzycielsko — patrzysz, a tu półki aż się uginają! Czerwona ryba! Świeże krewetki!. Wędzony jesiotr! Kawior prasowany!

Kupujesz to, wkładasz do ust... Niebo w gębie! Palce lizać!

Opowiadał tak obrazowo, że można było pić bezkar- nie bez żadnej zakąski nawet pięćdziesięciosześcio- procentową wódkę ukraińską.

Wachlarz tematyczny Chowraszkiewicza podczas tych seansów był znacznie szerszy: od telepatii aż po wirusy i Etrusków. Miał dar mówienia o wszystkim i o niczym. Nigdy nie udawało mu się osiągać szczyto- wego punktu swego opowiadania, nawet gdyby go pod- sadzano. Ale, jak wszyscy starzy kawalerowie, najwię- cej mówił o kobietach. Opowiadał o nich tak nudnie, jak stare panny o kotach. Jeśli mu wierzyć, to znał ty- le kobiet, ile buchalter Bubon przepuścił przez swoje ręce cudzych pieniędzy i kontrolerów. „Autoreklama” — określi to potem Sidałkowski.

Sława przyszła do Chowraszkiewicza, jako twórcy „trzeciej teorii”, nie od razu. Kroczył do niej, jak sam powiada, „przez ciernie i kolce”. W zasadzie jednak za ojca teorii należy uważać Pancziskę. Faktycznie on pierwszy poddał ideę wyhodowania czapkopodobnego zwierzęcia, powiedział to jednak tak jakoś mimochod- em, nie nadając temu naukowego znaczenia. Chowra- szkiewicz, który skwapliwie zbierał wszelkie koryta- rzowe nowinki, uczepił się tym razem mocno idei Pan- cziszki, długo i w tajemnicy nosił ją w sobie, marząc o tym, by swym odkryciem wstrząsnąć świat. Nie miał też oczywiście zamiaru z nikim dzielić się sławą. Nawet ze Stratonem Stratonowiczem.

W „Findipoczu” wszyscy byli mocno poruszeni „trze- cią teorią Chowraszkiewicza”. Zwłaszcza Pancziszka, który wyczuwał w niej coś własnego i bliskiego, nie przyznawał się jednak do tego nawet przed samym sobą.

Po oficjalnym ogłoszeniu „trzeciej teorii Chowrasz- kiewicza” findipoczowcy podzielili się, jak to zwykle

bywa w kołach naukowych, na dwa zwalczające się obozy. Optymiści na czele z Chowraszkiewiczem byli pewni, że uda im się przełamać nieskrzyżowalność par nawet przy absolutnie odległej hybrydyzacji gatunków, podczas gdy sceptycy uważali ten eksperyment za wręcz antynaukową bzdurę i podzielali tu zgodnie opinię Arija Fedorowicza, że nic z tego nie wyjdzie.

Kowbyk trzymał się w tym sporze na uboczu, zajmując pozycję administratora i neutralnego obserwatora. Z obojętnością odnosił się do tego eksperymentu Karol Iwanowicz Bubon oraz jego młodszy kolega, kasjer Adam Baronecki, przezywany Kuchłykiem.

Bubon swoje apogeum, jak mówił, już osiągnął, a Baronecki jeszcze o tym nie myślał. Kasjer miał tylko jedno marzenie: ożenić się, ale marzenie to było, jak dotąd, w sferze baśni i nigdzie nie zostało zarejestrowane.

Jak się już rzekło, ambitny Chowraszkiewicz nie zamierzał dzielić się sławą z nikim. Nawet z Newtonem. Dlaczego właśnie z Newtonem? Bo Chowraszkiewicz dopatrywał się między nimi wielu wspólnych cech. Powiedzmy, Newton stworzył trzy prawa, a Chowraszkiewicz — trzy teorie. „Trzecia teoria Chowraszkiewicza” (o dwóch pierwszych nikt nic nie wiedział) swą śmiałością i oryginalnością przypominała chyba tylko teorię Darwina (człowiek pochodzi od małpy). W „Fidipoczu” wierzyli w to wszyscy, z wyjątkiem Chowraszkiewicza, który stale teorię Darwina atakował, uważając, że jest wprost przeciwnie: nie człowiek pochodzi od małpy, ale małpa od człowieka.

Nawet jeśli Chowraszkiewicz wierzył w teorię Darwina, to nie chciał, aby inni o tym wiedzieli. Chociaż niektóre jego cechy biologiczne świadczyły na korzyść właśnie teorii jego, a nie Darwina. Miał na przykład nie tylko na piersiach, ale nawet na łopatkach gęste

kręcone czarne owłosienie, którym pysznił się, jak domorosły kowboj „teksasami”.

— Kiedy to właśnie świadczy, Michałko — udowodniał Kowbyk — że pochodzisz od makaka-rezusa. Bo tylko ten, kto oderwał się od przodka swego, darzy go taką biologiczną nienawiścią i z taką pasją zwalcza go tak, jak ty Darwina.

— Proszę wybaczyć, ale tym razem mówi pan bzdury! — zapalił się Chowraszkiewicz.

Straton Stratonowicz był w dobrym nastroju, więc mu przebaczył tę impertynencję, odgryzając się i rechocząc ze swego dowcipu:

— W porządku, jeśli nie od makaka-rezusa, to od makaka-lapundera.

W odpowiedzi na to Chowraszkiewicz wciskał Kowbykowi w wymownym milczeniu wycinek z jakiegoś czasopisma.

— Co pan mi tu wpycha jakieś szparagały. Wcale mi one niepotrzebne.

— Nie, nie, proszę jednak przeczytać. We Włoszech — bronił swych piersi jak honoru munduru — a zwłaszcza w Rzymie, owłosione piersi to ostatni krzyk mody. Jeśli ktoś nie ma takiego owłosienia, to może kupić napierśne peruki, produkowane przez firmę Pino Giovanni. Bo takie owłosione piersi to oznaka prawdziwego mężczyzny. Włosi nie noszą krawatów, chodzą natomiast w koszulach z głębokim dekoltem, tak jak kobiety.

— A pan znowu swoje... Lepiej zająłby się pan „trzecią teorią”.

Z tą „trzecią teorią” Chowraszkiewicz nosił się po „Findipoczu” jak ze swoją starą teczką. „Trzecia teoria Chowraszkiewicza” brzmiała w jego uszach jak trzecia symfonia lub trzecie prawo Newtona. Ale było to podobieństwo tylko numeryczne. Odkrycia jego i Newtona miały różnorodny charakter i nawet wywodziły się

od różnych przedmiotów: Newtona — od jabłka, a Chowraszkiewicza — od igły.

Wszystkim wiekopomnym odkryciom towarzyszył określony okrzyk, który przechodził potem do mowy potocznej, zapewniając odkrywcom nieśmiertelność. Galileusz zawołał do inkwizytorów: „A jednak się obraca!” „Eureka!” — krzyknął Archimedes, wyskoczywszy goły z wanny.

Krzyknął również Chowraszkiewicz, siadając niespodziewanie na igłę w swoim fotelu.

— Ach, dranie! Czas wreszcie zrobić porządek z tymi ostrymi dowcipami! — I jak kot, któremu dzieci przywiązały do ogona zapalony papier, wyskoczył na korytarz. Myśli jego pracowały jak wentylator. Kto to mógł zrobić? Czyżby stary Bubon za to, że Chowraszkiewicz nie rozliczył się dotąd z delegacji? A może Panczyszka? Ten ścichapek też potrafi czasem jakąś sztuczkę wywinąć.

Chowraszkiewicz pobiegł do palarni im. Taty Karola. Zastał tu już wszystkich. Palili w milczeniu z takim przejęciem, że nie zauważyli jego wtargnięcia. „Który z nich?” — lustrował obecnych wzrokiem doświadczonego detektywa. Odgadnąć było tak samo trudno, jak przez długie wieki sformułować prawo ciężenia.

— Igła! — Chowraszkiewicz cofnął się o krok i pokazawszy igłę stanął w pozie zawodowego fotografa, który zamierza zrobić grupowe zdjęcie. — Igła — powtórzył.

— A co pan chce przez to powiedzieć, mileńki? — przechylił głowę Neszczadym.

„Igła” — chciał powtórzyć raz jeszcze Chowraszkiewicz, kiedy nagle olśniła go genialna myśl.

— Igła jak i nitka to, że tak powiem, przestarzałe narzędzie produkcji. Szyć czapkę igłą i nicią to anachronizm, to, powiadam wam, przeżytek przeszłości.

Czas skończyć z igłą, tak jak z motyką. To nieekonomiczne.

— A co pan proponuje, Mychajle Tanasowiczu? — spytał Neszczadym.

— Proponuję szukać rezerw — oczy Chowraszkiewicza gorzały jak bengalskie ognie i zdawało się, że od rzucanych przez nie iskier zapalą się zaraz jego gęste, włochate brwi. — Rezerwy są wszędzie. Nawet w samych rezerwach — zakończył, drząc czy to z zadowolenia, czy też od ukłucia igły, które dawało jeszcze o sobie znać.

Zaczęła się rozpalać twórcza dyskusja. Płomienia nie było jeszcze widać, ale chmury dymu były już tak gęste, że porzekadło o siekierze można było sprawdzić z pozytywnym rezultatem.

— A wy, szanowni, idźcie palić do klozetu albo na dwór! — nie wytrzymał w końcu Karol Iwanowicz. — Tam już wiosna — poinformował findipoczowców, zawsze bowiem o wszystkim dowiadywał się pierwszy.

— Eureka! — zawołał nagle z ożywieniem Panciszka. — A gdyby wyhodować takie zwierzę, które miałoby kształt czapki, a futro piżmaka lub młodego jeleńca. Tylko przyszyć lub przykleić podszewkę — i czapka gotowa.

Następnego dnia odbyła się w „Findipoczu” rada naukowa. Jako pierwszy zabrał głos Chowraszkiewicz.

— Szyć czapki igłą to, ja wam powiadam, nieracjonalnie — rozpoczął, patrząc na Stratona Stratonowicza jak na barometr. — Naszym obowiązkiem jest poszukiwanie rezerw. A rezerwy są wszędzie. Nawet w samych rezerwach — Chowraszkiewicz zrobił pauzę i spojrzął na Kowbyka, który siedział jak mumia i myślał chyba o jakichś własnych sprawach. — Rezerwy są wszędzie, nawet...

— To już słyszeliśmy — przerwał mu Straton Stratonowicz. — Proszę się nie powtarzać.

Po twarzach findipoczowców jak lekka bryza przebiegł uśmiech. Chowraszkiewicz powinien był po tym zaczerwienić się jak rak wyjęty z ukropu, ale to nie leżało w jego charakterze.

— Igła to nasz wróg numer jeden — przypomniał sobie wczorajszą przygodę z igłą w fotelu. — Igła to dzień wczorajszy...

Gdzieś wybuchnął i natychmiast zgasł krótki śmiech. Chowraszkiewicz strzelił oczyma jak sprzężony kulomiot w poszukiwaniu celu, jednak we wszystkich oczach była obojętność. Jeden tylko Czyhyrenko-Repniński jakby się uśmiechał, ale w jego potężnym zarostcie trudno było coś odgadnąć, podobnie jak pod karnawałową maską.

— Igła to bomba! — zawołał z patosem Chowraszkiewicz. — Bomba, którą podkładamy pod przemyśl ciężki. A nitka to mina z opóźnionym działaniem. Mina, która podrywa autorytet naszych tekstylników. O igle i nitce trzeba zapomnieć. Niektóre nasze przedsiębiorstwa już dawno zapomniały o igle Singera. Wynalazły one aparat, który łączy materiał drogą zgrzewania. Zwłaszcza nylon, chlorowinyl i folię. Co to jest folia, to mam nadzieję, że wszyscy obecni wiedzą. Otóż folia...

Kowbyk podniósł rękę jak semafor. Chowraszkiewicz odebrał to prawidłowo i ruszył głównym traktem.

— No to mówię wam... Aha! Niektóre nasze fabryki wynalazły już aparat, który zszywa materiał bez nici. To zszywanie, a raczej zlepienie, jest trwalsze niż tradycyjne zszywanie igłą i nicią.

— A pan niech tradycji nie rusza. Nie rusza! — krzyknął Kowbyk, który to słowo rozumiał w bardzo wąskim znaczeniu i uważał je za święte i nietykalne.

— Prócz nici przemysł lekki produkuje ponadto sznury i sznurki. Pierwsze służą, jak wiadomo, do wieszania bielizny, a bez sznurków, jak bez koni, mimo

olbrzymiego postępu cywilizacyjnego obejść się też nie można. Sznurkami zawiązują worki z ziemniakami, sznurkami przywiązują trolejbusowe pałaki, na sznurkach suszą smaczne taranie... — Kowbyk przełknął ślinę i oblizał się. Chowraszkiewicz dostrzegł to i chciał szefowi przedłużyć tę przyjemność. — Taranie to... — Chowraszkiewicz chciał zrobić wykład na temat suszonych tarani, niezastąpionych jako przystawka do piwa, ale Straton Stratonowicz po raz drugi podniósł rękę.

— Już kończę — rozgniewał się Chowraszkiewicz. Spojrzał w okno, za którym jak kawałek rozbitego lustra lśnił trójkąt dniewprowej tafli. — No więc kontynuuję: przy pomocy sznurka na Dnieprze, ale nie tylko na Dnieprze, bo i na Prypeci, zapuszczają motory, przyczepiają nimi statki do mola...

— ...i przywiązują byczki do pali — Kowbyk podniósł się, dając tym do zrozumienia swemu pupilowi, że nie można nadużywać jego cierpliwości. — Kto chce jeszcze zabrać głos w tej sprawie?

Ale Chowraszkiewicz się nie poddawał. Wysunął jeszcze dwie propozycje. Pierwsza: oszczędzać na igłach i szyć czapki samymi nićmi. Przyjęto ją absolutną ciszą. Więc wystąpił z następną propozycją: oszczędzając na niciach, szyć tylko igłami. Również i tę propozycję przyjęto jednogłośnie milczeniem. Uznawszy to za pełną aprobatę, Chowraszkiewicz posunął się jeszcze dalej: czapki trzeba nie szyć, lecz kleić, oszczędzając i na igłach, i na niciach. I żeby ponadto zaoszczędzić na kleju, należy go sporządzać z odpadów surowcowych, powiedzmy, z kiszek piżmaka.

— Oto, jak wam mówiłem, są rezerwy w rezerwach — zakończył obejmując zebranych triumfującym spojrzeniem.

„Genialne! Nic mądrzejszego nie można było wymy-

ślić — czytał w oczach kolegów. — Jesteś geniuszem Chowraszkiewicz!”

— Genialne! — potwierdził głośno Kowbyk.

Idea Chowraszkiewicza została niebawem zatwierdzona przez radę naukową, która zaleciła projektodawcy sporządzenie odpowiedniej dokumentacji, a głównemu księgowemu wypłatę premii dla genialnego wynalazcy.

Jednak już po dwóch tygodniach naukowcy z „Findipoczu” pracujący nad nową technologią Chowraszkiewicza odrzucili bez apelacji jego teorię, wykazując, że proponowany przez niego klej nie może zastąpić nitki.

Chowraszkiewicz poszedł na kompromis: odrzucił i klej, i nici. Przypomniawszy sobie bowiem rozmowę w palarni o wyhodowaniu czapkopodobnego zwierzęcia, które miałyby futro piżmaka i kształt czapki. Myśl ta ostro jak igła utkwiała mu w głowie i przewijała się „czerwoną nitką” przez wszystkie jego rozmyślenia. „Trzeba skrzyżować piżmaka. Trzeba skrzyżować piżmaka. Trzeba koniecznie skrzyżować piżmaka” — puls wystukiwał w jego skroniach. — Ale z kim? Które zwierzę jest podobne do czapki?”

— Erinaceus! — poderwał się z krzesła. — Erinaceus! — wykrzyknął z pasją Archimedesesa. — Erinaceus! — wołał, przebiegając ze sprinterską szybkością odległość między swoim pokojem a gabinetem Kowbyka. — Erinaceus! — krzyknął, wpadając do świątyni mądrości Stratona Stratonowicza; nie podejrzewał jeszcze wówczas, że okrzyk ten wejdzie wkrótce do wszystkich encyklopedii świata. — Jeż — recytował Chowraszkiewicz jak z encyklopedii — z rodziny owadożernych ssaków. Ciało krótkie, zdolne do zaokrąglania się jak czapka. Grzbiet pokryty twardymi igłami. Bardzo aktywny w nocy... Jeż! tylko jeż! Nie dosypiając i nie dojadając od dziś będziemy pracować nad hodowlą go-

towej czapki dla pracujących. Jako pierwsi na świecie! Słyszał pan? Pierwsi na świecie! — krzyczał w euforii Chowraszkiewicz tak głośno, że z sufitu gabinetu Kowbyka odpadł kawałek tynku, a woda w karafce dostała drgawek.

W ten sposób narodziła się „trzecia teoria Chowraszkiewicza”, która jej twórcy kojarzyła się odtąd z piątą symfonią Beethovena i trzecim prawem Newtona.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

w którym opowiada się o babilońskich rzekach, przejażdżce na jachcie, zielonych światłach, Krezusie i Noblu, potomku arystokratycznego rodu, jego pochodzeniu, pewnych danych biograficznych, wilku morskim i uniwersytecie

Murczenko siedział w pokoju hotelowym i płakał. Nieco zagubiony i zdenerwowany Sidałkowski chodził po dwuosobowym numerze, jak kapitan po pokładzie przed nacierającym sztormem, i wydawał polecenia, których nikt nie wykonywał. Sławatij nie zwracał w ogóle na niego uwagi, a Tamara poruszała kokieteryjnie nogą i ironicznie się uśmiechała. Obraz ten drażnił Sidałkowskiego jak toreadora flegmatyczny byk.

— Sławo! — perswadował. — W takim stanie nie może pan żyć jako wzór dla dorastających pokoleń. Proszę wstać. Niech pan wytrze oczy ręcznikiem i przestanie zalewać hotel babilońskimi rzekami.

— Sidałkowski! Jesteś demagog i prowincja. Okłamałeś mnie — Murczenko spojrział na niego spoza okularów. — Wy wszyscy mnie okłamujecie! — Murczenko wstał i usiłował podtrzymać ścianę, która ledwie trzymała się na nogach i nagle zawisła nad nim, jak niebo nad skrzydłem pikującego samolotu. Widząc, że

nic ścianie nie może pomóc, Murczenko usiadł z powrotem na dawne miejsce.

Sidałkowski podszedł, wziął go pod pachy i próbował znów postawić na nogi.

— Sławo, przejażdżka na jachcie się skończyła. Trzeba wyciągnąć teraz organizacyjne wnioski...

Zapukano do drzwi.

— Towarzysze, trzeba mieć sumienie. Już wszyscy śpią. Nie jesteście u siebie w domu — skarciła recepcjonistka. — A kobietom — dodała, patrząc na Tamarę z dezaprobatą i zazdrością — wolno przebywać w pokojach hotelowych tylko do dwudziestej trzeciej.

— Słyszałeś Sidałkowski? — zaśmiał się Sława po jej wyjściu. — Tylko do dwudziestej trzeciej Masz ty sumienie?

— No, czas na mnie — Tamara wstała.

— Godzina wychowawcza skończona. Pora już dzieciom spać. — Sidałkowski podszedł do Murczenki, uniósł go w górę i rzucił wprost na pościel, nie zdejmując z niego ani ubrania, ani bucików.

Ale Sława się nie poddawał. Chwycił Sidałkowskiego za szyję i próbował pocałować w policzek.

— Leżeć! — nakazał Sidałkowski. — Niech słodki sen uratuje pana od gorzkiej zółci.

— Nie jestem alkoholikiem! — obraził się Sławatij. — Słyszysz pan? Piłem w imię przyjaźni! — Murczenko upadł na poduszkę, zrobiło mu się niedobrze. — I przez solidarność — dodał, zakrywając twarz rękami.

Ściana zaczęła wirować, a z nią sufit. Zupełnie jak w cyrku. Murczenko zebrał resztki sił, usiadł i potrząsał głową jak kot, który wyskoczył z napełnionej wanny. Poczul się nieco lepiej.

Sidałkowski ruszył do drzwi.

— Żegnaj, Sławo! Do lepszych czasów! Do nowych spotkań!

— Niech żyje „Findipocz!” — zawołał Murczenko

w nagłym przypiływie lokalnych uczuć patriotycznych, kiedy Sidałkowski z Tamarą zniknęli za drzwiami. — Cześć i chwała Stratonowi Stratonowiczowi!

Ale Sidałkowski już tego nie słyszał. Dreptał z Tamarą po opustoszałym o tej porze placu Besarabskim, próbując zatrzymać jakąś taksówkę. Samochody migając kokieteryjnie zielonymi światłami reagowały na teatralne gesty Sidałkowskiego jak nieboszczyk na postawioną diagnozę. Tamara tylko uśmiechała się w milczeniu, co Sidałkowskiego zaczęło drażnić.

— Czy pani nie umie rozmawiać?

— A co to da? — odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Sidałkowski sięgnął nagle do wewnętrznej kieszeni i wyjął ostatni banknot, który szeleścił jak jesienny liść na zmarzniętej jabłoni, i trzymał go w wyciągniętej ręce jak milicyjny „lizak”.

— Dokąd? — zapiszczały hamulce.

— Przed siebie! — zawołał Sidałkowski, chwytając za klamkę drzwi.

Kierowca chciał ruszyć, ale Sidałkowski zawołał obiecująco:

— Reszty nie trzeba!

Otworzył drzwi, przepuszczając przed siebie Tamarę, która nagle rozkwitła, podobnie jak nastrój Sidałkowskiego.

„Idiota — Sidałkowski-pierwszy zaczął nagle rugać Sidałkowskiego-drugiego. — Ostatnia pięćiorublówka. Dziesiątkę straciłeś na koniak. Co ty jutro będziesz robił, bałwanie? Gdzie się podziejesz bez pieniędzy? Na kogo się zgrywasz? Na Krezusa? Na Nobla? Czy ty nie możesz się obejść bez tych hochsztaplerskich gestów? Czy nie możesz być normalnym człowiekiem jak wszyscy?”

„No, dość już tych morałów. Mdli mnie od nich — odparował mu Sidałkowski-drugi. — Nie chce mi się

o tym myśleć, słyszysz? Nigdy nie odkładałam na jutro tego, co można zrobić dziś”.

Przysunął się do Tamary. Z bliska podobała mu się bardziej niż z daleka. Był w niej teraz jakiś łagodny, intymny spokój. „Jest przy niej zacisznie, jak przy kominku elektrycznym w jednopokojowym mieszkaniu wdowy” — pomyślał. Tamara założyła nogę na nogę i poruszała nią rytmicznie, jak wszystkie sentymentalne, niestałe natury. Świeże powietrze, wpadające przez uchyloną szybę, przyjemnie chłodziło i otrzeźwiało. „Dokąd ja jadę i po co ona jest mi potrzebna?” — zaczął analizować na chłodno swoją sytuację.

— Proszę nikogo po drodze nie zabierać — zwrócił się do kierowcy. — Moja przyjaciółka lubi ciasnotę, ale tylko ze mną.

Tamara uśmiechnęła się z wdzięcznością i pozwoliła Sidałkowskiemu przysunąć się jeszcze bliżej. Jechali dość długo, bo Tamara, jak się okazało, mieszkała na dalekim przedmieściu w domu robotniczym. Milczeli, bo z takimi dziewczynami jak Tamara rozmawia się jeszcze trudniej niż ze ścianą lasu, która niekiedy odpowie chociaż echem.

Niech więc sobie milczą na zdrowie, a my tymczasem spróbujemy nakreślić jej portret. Włosy miała ciemnokasztanowe, a wyraz twarzy przypominał w tej chwili gracza w totolotka, który siedząc przed ekranem telewizora z niecierpliwością oczekuje, kiedy kulka zatrzyma się na skreślonych przez niego cyfrach. Ramiona miała podatne i krągłe. Wszystko w niej zresztą było podatne: i ramiona, i ręce, i ciało. Można by ją umieścić we wczesnym renesansie.

„Ale ona nie jest ci zupełnie potrzebna!” — znów rozpoczął się spór Sidałkowskiego-pierwszego z Sidałkowskim-drugim. — Po co zawracasz dziewczynie głowę pięknymi słówkami? Chyba nie zamierzasz się w niej zakochać? Zresztą czy warto na jedną noc...”

„Słuchaj no, ty! — zareagował ostro Sidałkowski-drugi. — Wiem, że obce ci są takie pojęcia, jak uczciwość i szlachetność, ale mnie nie!”

„Dżentelmen! — kpił Sidałkowski-pierwszy. — Błędny rycerz dwudziestego wieku!”

„Nie gniewaj się, ale jesteś zwyczajny dureń” — za-replikował Sidałkowski-drugi.

„A ty co? Arystokrata z Wapniarki!”

Ostra wymiana zdań panów Sidałkowskich została nagle przerwana.

— Zdaje się, że jesteśmy na miejscu — rzekł szofer, zatrzymując taksówkę.

Tamara skinęła głową. Kierowca uczynił gest kasjera, wypłacającego honorarium, ale Sidałkowski odpowiedział mu gestem człowieka, który dopiero co przybył w delegacji służbowej.

„Jołop! — krzyknął na niego Sidałkowski-pierwszy. — Weź resztę, bo nie będziesz miał za co wrócić. Spójrz, ile jest na liczniku...”

„Już za późno” — odparł z rezygnacją Sidałkowski-drugi.

Taksówkarz uśmiechnął się i szybko ruszył z miejsca.

— Pan co, bankier? — już po raz trzeci spytała tego wieczoru Tamara głosem suflera z powiatowego domu kultury.

— Ja? Nobel pomnożony przez Krezusa — odpowiedział Sidałkowski i powiódł ją pod samotną lipę.

Nad ławką, na której usiedli, wisiał czarny metalowy klosz, podobny do damskiego kapelusza. Tam, gdzie kiedyś była oprawa żarówki, prześwitywało niebo, z którego Sidałkowski nie mógł podarować Tamarze ani księżycy, ani gwiazd.

— Ukraińska noc... Widok na Borszczahówkę — patrzył na niebo i rysujące się na jego tle wysokie dźwigi. — Ponieważ nie ma gwiazd — mówił głosem lektora

ra, czytającego tekst filmu obcojęzycznego w telewizji — mogę podarować pani równoleżniki i południki. W zamian za pocałunki.

Tamara milczała, jak studentka przed egzaminatorem, która jest przekonana, że niedostatki wiadomości rekompensuje dostatkami powierzchowności.

W oknie domu robotniczego zabłysło światło.

— Kogoś suszy...

— Sądzi pan tak po sobie? — ośmieliła się Tamara.

— Selawi. Jemu potrzebne światło, a nam wprost przeciwnie.

Ujął Tamarę za kibić. Przy pierwszym dotyku Tamara przymknęła oczy i rozchyliła wargi jak maciejka wieczorem płatki. Mdłe światło z odległego okna oświetlało jej zęby koloru azbestowobiałego koralu.

„Interesujące” — pomyślał Sidałkowski i odjął rękę. Tamara stuliła usta i otworzyła oczy, patrzące na niego ze zdziwieniem czy może wyrzutem.

Jewgraf powtórzył eksperyment: oczy znów się zamknęły, a usta zaczęły rozkwitać jak róża na przedwiośniu.

— Kim pan właściwie jest? — spytała, odczekawszy chwilę, kiedy znów nic się nie działo. — Słyszałam pańską rozmowę z Murczenką i zauważyłam, jak pan wykręcał się od odpowiedzi na jego pytania. Zorientowałam się, że nie jest pan z polskiej delegacji. Mnie pan nie zwiedzie. Jestem bardzo spostrzegawcza!

— Pocałunki działają na panią jak ług na papierek lakmusowy: pozytywnie. A mnie się zdawało, że pani nie potrafi rozmawiać. Więc ciekawi panią, kim jestem? A jak pani myśli?

— Nie wiem — wzruszyła ramionami. — Może artysta? — zgadywała. — A może student? Ale szasta pan pieniędzmi jak milioner lub arystokrata.

— Arystokrata — przemówił skromnie. — Ale nie

całkiem. Jestem tylko dalekim potomkiem arystokratycznego rodu.

— A tak bez żartów?

— Bez żartów? — Sidałkowski przygarnął Tamare mocniej, niż to było możliwe. — Jeśli mówić serio, to zacząłem tak samo jak premier Wielkiej Brytanii, Winston Churchill: urodziłem się w siódmym miesiącu i też zupełnie przypadkowo. On podczas balu, a ja podczas próby kółka dramatycznego. On w Londynie, a ja w Wapniarce. Potem gdzieś przeczytałem, że siedmiomiesięczne wcześniaki, tak jak i mańkuci, są albo geniuszami, albo kretynami. O tym, że nie jestem tym ostatnim, przekonałem się w średniej szkole w Wapniarce, której wprawdzie nie ukończyłem z odznaczeniem, ale repetowałem tylko niektóre klasy. Jedynie dwie pierwsze studiowałem szczególnie dokładnie i długo, uważając, że początki muszą być gruntowne. Poza tym program okazał się tak interesujący, że postanowiłem przerobić go jeszcze raz.

Tamara siedziała jak zaczarowana. Oczy o kolorze dojrzałych oliwek przypominały teraz pieczone kasztany. Patrzyła na Sidałkowskiego i nie mogła zrozumieć, kiedy on mówi prawdę, a kiedy żartuje.

— Nauka w szkole nie poszła na marne — kontynuował, wpatrzony w przejaśniający się już horyzont. — Nauczyłem się tam palić. Teraz nie palę. Bo lubię robić rzeczy zakazane, nie lubię dozwolonych.

Sidałkowski spojrzał na odsłonięte kolana Tamary: te same, co w „Wołdze”, ale wtedy bardziej mu się podobały. Może dlatego, że teraz miał je blisko. Spojrzał ukradkiem na zegarek. Sekundnik z szybkością karuzeli krążył wokół swojej osi. Sidałkowski dotknął tego miejsca, gdzie Tamara przypuszczalnie miała zamek błyskawiczny. W tym momencie usta jej zadrżały i rozchyliły się. „Interesujące” — stwierdził raz jeszcze.

W tej jednak chwili, w tym stadium akcji, usta oboj-

ga są mocno związane, więc zanim nastąpi ciąg dalszy, będziemy kontynuować jego curriculum vitae.

W wapniarskiej szkole nie tylko nauczył się, a potem przestał palić, ale stał się ponadto romantykiem. Po ukończeniu szkoły pojechał w daleki świat: do Odessy. Marzył, by zostać nawigatorem żeglugi wielkiej. Jednak nie trafił do uczelni, przepadł na egzaminie. Nie chciał już wracać do domu, więc zaciągnął się na statek handlowy, gdzie wkrótce został młodszym marynarzem. Raz popłynął nawet do Włoch, gdzie zawijali do dwóch portów: Genui i Wenecji. W jednym z nich Sidałkowski zszedł na brzeg, ale dziś nawet nie pamięta, w którym, bo już w szkole nazwy te mu się plątały, tak jak zawsze plątał Litwę z Łotwą.

Języka włoskiego nie znał, a mówić po ukraińsku się wstydził, zresztą i tak nikt by go nie zrozumiał, nie wie więc, gdzie kupił pornograficzne pocztówki, japońskie filmy i dwa czarne garnitury: w Genui czy w Wenecji.

Po tej wyprawie powrócił do rodzinnej Wapniarki. Chodził po wsi w czarnym smokingu, jak konferansjer z wojewódzkiej filharmonii. Mówił, że za granicą ciuchy są o wiele tańsze niż u nas, ale żarcie znacznie droższe. Rozpowszechniał więc niezdrowe wieści, ale i tak nikt mu nie wierzył.

„Byłem zwyczajnym marynarzem — mówił — a kupiłem aż dwa świąteczne garnitury. I gdyby nie ten album z gołymi babkami, mógłbym ich kupić jeszcze kilka.” Pokazywał wszystkim etykiety z napisem: „Made in Italy”. Nie wiedział jednak, co to znaczyło. W szkole z językami obcymi był na bakier, nauczył się tylko kilka obcych wyrazów oraz łacińskiego alfabetu.

W tym miejscu trzeba jednak przerwać to interesujące curriculum vitae, bo Sidałkowski nagle oderwał się od ust Tamary, żeby zaczerpnąć powietrza, ale udało mu się to tylko częściowo, bo Tamara przejęła inicjatywę w swoje ręce. W Sidałkowskim wywołało to

dziwne skojarzenia: kamień, który dotychczas wydał się martwy, nagle ożył i potoczył się szybko w dół, powodując taką lawinę, że Sidałkowski obawiał się, iż i jego zagarnie. Miejmy jednak nadzieję, że jakoś sobie poradzi, i kontynuujemy jego życiorys.

Otóż kiedyś, gdy spacerował z dziewczyną po polu, za Wapniarką, lunął obfity deszcz. Okazało się wówczas, że kupiony we Włoszech garnitur był papierowy. Do domu powrócił dopiero wieczorem w kalesonach, ponosząc podwójną stratę: utracił dziewczynę, która ze wstydu uciekła, oraz garnitur, z którego pozostała tylko metka z niezrozumiałym napisem, oznaczającym, jak to się później wyjaśniło, że był to garnitur przeznaczony dla nieboszczyków. Śmiała się wtedy z niego cała Wapniarka, Sidałkowski ocenił to jako wrogi akt przeciw niemu ze strony Włoch i od tego czasu zniemawidził ten kraj.

Z zagranicznych zakupów pozostały mu japońskie płytki, w których chodził tylko na plaży, na wszelki wypadek nie wchodził w nich do wody: nie ufał Japończykom tak samo jak Włochom. Zniechęcił się też jeszcze bardziej do języków obcych, które zupełnie zarzucił. Ale nienawiść do kapitalistycznych ubiorów i języków osiągnęła swój zenit, kiedy odważył się po długim czasie zaryzykować i włożył drugi z przywiezionych z Włoch garniturów. I znów złapał go deszcz — z tym samym skutkiem. Tym razem biegł do domu w kąpielówkach rodzimej produkcji. Międzynarodowy konflikt zaostrzył się...

Straciwszy autorytet w rodzinnej wsi, powrócił do Odessy w nadziei, że uda mu się znów popłynąć w świat. Ale za przywiezienie do kraju pornograficznych fotografii, o czym ktoś z życzliwych poinformował, kogo należało, zabroniono mu dalekomorskich podróży, zezwalając na pływanie jedynie w strefie wód terytorialnych. I to nie na szalupach, lecz w pław, i tylko do boi...

Aby powieść nabrała rumieńców, poinformujemy, że właśnie nad Kijowem wstawał majowy błękitny poranek; w tym czasie w dalekiej Wapniarce chłopcy żegnając się z dziewczętami wpuszczają im za pazuchę majowe chrabąszcze...

Sidałkowski wstał.

— Dobranoc — ukłonił się z galanterią. — Różowych snów...

— Ale to już świta!

— O Boże! Nawet tego nie zauważyłem. Jak szybko zleciał czas! Kiedy zobaczymy się znowu? Nie wytrzymam długiej rozłąki, Tamaro — uśmiechnął się z zakłopotaniem i przypadł ostatni raz do nieco spuchniętych od pocałunków warg.

Sidałkowski odszedł, uzbrojony w jeszcze jeden adres: Tamary. Rozstał się z nią bez bólu i westchnień i ruszył do centrum miasta pieszo, bo nie było ani taksówki, ani pieniędzy. W drodze toczył się niemy dialog między Sidałkowskim-pierwszym a Sidałkowskim-drugim, nie było mu więc nudno.

Korzystając z tego uzupełnimy jego biografię. Gdy więc zabroniono mu pływać, przez jakiś czas mieszkał w porcie. W dziale kadr marynarki handlowej figurował pod nieco krótszym nazwiskiem: Sidałko. Pracował jako tragarz, nazywał siebie jednak dokerem. Podobała mu się nie tyle praca, co nazwa jego nowej specjalności. Niekiedy wypływał w morze, przeważnie w dni świąteczne na wycieczki statkiem lub na wynajętej szalupie. Ale to nie zbijało go z obranego raz kursu: opowiadał, jak i dawniej, o pięknej Hawanie, o Marsylii i o wyspach Fidzi, nie zapominając oczywiście o Genui i Wenecji, które, jak zapewniał, znał lepiej niż rodzinną Wapniarkę. Swoje opowieści szpikował morskimi terminami i nazwami wszystkich znanych mu z nazwy portów, jak prawdziwy wilk morski, chociaż w Odessie takich wil-

ków było zawsze więcej niż marynarzy. Przesiadywał wieczorami nad atlasem, ucząc się na pamięć wszystkich portów świata we wszystkich długościach i szerokościach geograficznych.

— Książki pchnęły mnie na morze — mawiał często — ale morze popchnęło mnie znów do książek.

Rozum, jak i doświadczenie, przychodzi z wiekiem. Nauka nie poszła w las. Przy egzaminach na uniwersytet zdał geografię na piątkę. Zamierzał właśnie studiować geografię. Wkrótce jednak pociągnęła go historia, zaliczył jednak tylko trzy semestry, okazało się bowiem, że najbardziej odpowiadała mu filologia, a ściślej, literatura antyczna. Oblał jednak egzamin, bo ludzie mieszały mu się z bogami. Wiedział natomiast dokładnie, co i w jakich okazjach mawiali starożytni Grecy i Rzymianie. Dwa cytaty przytaczał nawet po łacinie.

Wreszcie przerwał studia, na uczelni był bowiem coraz rzadszym gościem i mogło go uratować albo solidne zaświadczenie lekarskie, albo urlop dziekański. Chciał już jak najprędzej zarabiać pieniądze, które lubił tak samo jak dziewczyny, tylko że z pieniędzmi rozstawał się znacznie szybciej.

Bogatych wujów i ciotek nie miał, miał tylko bogate potrzeby. W Wapniarce mieszkała sama matka, która czekała z niecierpliwością, kiedy syn wreszcie „wyjdzie na ludzi” i zostanie jakąś znakomitością. Sidałkowski przeszedł na studia zaoczne i wrócił do Wapniarki nabierać siły i rozumu. W domu jednak długo nie usiedziały. Był naturą niespokojną, gdzieś go zawsze ciągnęło. Bez tego pociągu, jak bez morza i cudzych myśli, nie mógł żyć, postanowił więc tym razem zarzucić kotwicę u brzegów Sławutycza. Nie miał jednak pojęcia, jak to zrobić, bo mimo pozorów znał życie jeszcze mniej niż antyczną mitologię.

ROZDZIAŁ ÓSMY

w którym opowiada się o samej powieści i jej innych bohaterach oraz o artykułach powszechnego użytku, różowym kolorze, pufikach i skróconych wyrazach

Teraz, kiedy Murczenko opuścił Sidałkowskiego, a Sidałkowski — Tamare, możemy zająć się innymi bohaterami tej powieści. Trzeba jednak raz jeszcze powrócić do Chowraszkiewicza. Jest z natury milczący, ale tylko do pierwszego kieliszka. Lubi obgryzać paznokcie, czym manifestuje niezadowolenie ze swych dotychczasowych osiągnięć. Bolesnie i ostro reaguje na krytykę, zapewniając wszystkich, że odrzuca ją w całości tak, jak prawdziwy prawosławny odrzuca katolicyzm. Po pijanemu najbardziej daje się we znaki dyrektorom hoteli, kelnerom i swym kolegom z pracy. Po drugim kieliszku „zaczyna już mleć młyn” — według określenia Kowbyka. Trzeba przyznać, że potrafi podtrzymać każdą rozmowę, ale kiedy się już włączy, to prowadzi ją samodzielnie, nie dopuszczając nikogo do głosu. Opowiada tak, jakby wdrapywał się na wysoką sosnę, nie omijając żadnego sęczka ani żadnej gałązki. I nikt nigdy nie wie, kiedy opowieść powinna się skończyć, nie wyłączając samego opowiadającego. Jeśli ktoś usiłuje mu przerwać, nie zwraca na to uwagi i pędzi dalej, jak na czerwone światło ciężarówka, w której zawiodły hamulce. Jeśli jednak czasem uda się komuś go zatrzymać, zaczyna opowiadać od początku, dlatego też nikt nie chce tego ryzykować. Jeden tylko Straton Stratonowicz pozwala sobie na tę przyjemność. Inni czekają tylko na stosowny moment, by się ulotnić.

— Niech idzie! Nie ja stracę, tylko on — reagował spokojnie Chowraszkiewicz.

Wszystkie swoje wypowiedzi, bez względu na temat

— o leczeniu głodem, intelekcie delfinów, nauce języków obcych przez sen albo o etymologii słów — zaczynał zawsze jednakowo:

— No więc powiem wam tak. Otóż kiedy Aleksander Macedoński... A propos, słowo „macedoński”, podobnie jak słowo „holenderski” pochodzi od nazwy kraju. Podobnie jak ser, wielki wódz otrzymał przydomek od miejsca swego urodzenia. Nazwa „ser holenderski” powstała w Holandii, a przydomek „Macedoński” — w Macedonii. Jak, powiedzmy, „newski” od Newy. A propos... Jeśli kto nie wie, to mu powiem: Aleksander Newski był siostrzeńcem Danyła Halickiego. Książę Danyło Halicki był rodzonym bratem jego matki, czyli jego wujem. No ale my teraz nie o wuju, tylko o Macedonii... Macedonia to republika. Nie wszyscy może wiedzą, że wchodzi w skład Jugosławii, obok Czarnogóry, Chorwacji i innych. No więc Aleksander Macedoński...

— Niechże pan już da spokój temu Aleksandrowi Macedońskiemu! Jeszcze nawet sto gramów nie wypilo, a już młyn miele. Niech pan oszczędza tlen. Lepiej proszę mi powiedzieć, co to za restauracja ta „Myśliwska”? Ta niedawno otwarta. Dobrze tam karmią? Jarzabki są? A cietrzewie? A szynka z niedźwiedzia? Warto by sprawdzić, jak oni tam gotują.

— Pierwszoklasnie — wtrącił się Panczyszka i zaczerwienił się. — Ale najlepiej, Strat Stratycz, jada się w „Łabędziu”.

— Nie jestem dla pana żaden Strat Stratycz — strofuje go Straton Stratonowicz. — Pan zawsze wszystko skraca.

— No więc powiem panu tak, Stratonie Stratonowiczu — Chowraszkiewicz przejął na siebie atak gniewu szefa. — W „Łabędziu” jeszcze nie byłem, ale będę obowiązkowo. Przy najbliższej wypłacie.

— A pan, Panczyszka, był?

— Tak... Tak tylko wpadłem... Na chwilę...

Pancziszka patrzył lękliwie na Kowbyka, to zaciskając, to luzując węzeł krawatu. Był w stanie ciągłego napięcia. Bał się wszystkiego: szcurów, myszy domowych i polnych, nietoperzy, wszystkich bez wyjątku płazów, naczelników, a zwłaszcza własnych słów. Nigdy nie włączał się do podejrzanych, jego zdaniem, rozmów. Mówił tylko o artykułach powszechnego użytku, modnych spodniach i bucikach oraz o modzie na świece podczas przyjęć towarzyskich. Zdobywał spod lady swetry, bluzki, termosy i długopisy z importu albo damskie rajstopy i odprzedawał je znajomym, bo, jak wyjaśniał, były na jego żonę albo za duże, albo za małe.

Imię miał groźne: Georg. Ponieważ jednak do niego nie pasowało, nazwano go Masikiem.

Twarz miał okrągłą, jak gdyby narysowaną cyrklelem. Kiedy się dziwił, stawała się elipsoidalna (w pionie), a gdy się uśmiechał lub zabiegał o coś u Kowbyka, zmieniała się w elipsę (w poziomie). Zęby miał własne, z wyjątkiem dwóch trzonowych z nierdzewnej stali.

Pancziszka rósł w domu jak pod kloszem. Wszyscy na niego chuchali i dmuchali. W pogodne dni chodził z ciotkami na Wołodymyrską Górkę oddychać świeżym dnierzańskim powietrzem. Bał się zimnych wiatrów, dwudziestostopniowego mrozu i jesiennej mżawki. Mógł żyć tylko w umiarkowanym klimacie tropikalnym lub w mieszkaniu, w którym nie psuło się centralne ogrzewanie.

Jego mieszkanie było skrzyżowaniem sklepu z porcelaną i fajansem ze składem mebli z okresu NEP-u i renesansu. Ulubionym jego kolorem był różowy. Różowe były abażury, pufiki, obicia krzeseł, kapy na łózkach; nawet żona Masika też była różowa i nakładała różowy lakier na różowe paznokcie różowych paluszków. Miała oryginalne imię: Majolika. Nikt prócz niej, nawet Masik, nie wiedział, czy było to imię prawdziwe.

Pancziszkwowie nie mieli dzieci. Wieczorami, mrużąc

długie rzęsy, Majolika słuchała, jak Masik opowiadał o różnych pikantnych przygodach miłosnych, które rzekomo przydarzyły się Chowraszkiewiczowi, Bubonowi, a nawet samemu Kowbykowi. Mówił oszczędnie i skrótami. Skracał też imiona swoich krewnych: Łoka, Maka, Zika, Wika albo jeszcze krócej: Zi, Ma, Jo, Ło.

— Ła — mówił zwracając się do siostry. — Jo prosiła, żebyś pobyła trochę z Ma, co oznaczało: „Łaryso, Majolika prosiła, żebyś pobyła trochę z mamą”. Wypowiadał też często dwa tajemnicze słowa „joli-pali”, których używał w różnych sytuacjach: gdy chciał zakląć, wymyślać kogoś, wyrazić zdziwienie itp. Swój zachwyty wyrażał superlatywami: „kolosalnie, fenomenalnie, wstrząsająco!” Gdy się oburzał, rzucał tylko jedno słowo: „Strach!” — jakby przecinając papier linijką.

Rzadko widywano go złym lub rozgniewanym. Chodził zwykle uśmiechnięty, wypromieniowując z siebie, jak świąteczna kartka, same najlepsze życzenia. Kiedy grano w szachy lub domino, a Pancziszka musiał już iść do domu, żegnając się mówił do grających: „Życze wygranej wam obu”.

Ale słabszym od siebie lub tym, których nie lubił Kowbyk, potrafił Masik podłożyć jeśli nie świnię, to chociaż małego prosiaczka. Pił bardzo umiarkowanie i to tylko dlatego, by nie uchodzić za człowieka nietowarzyskiego.

W „Findipoczu” był jedynym, który — jak mawiał Straton Stratonowicz — urodził się „na asfalcie”, czyli w mieście, a nie na wsi. Z tego tytułu również i do niego odnosiłby się, być może, Kowbyk nieprzyjaźnie. Masik należał jednak do ludzi, na których trudno się gniewać. Zachowywał się z galanterią, kłaniał się elegancko, kobiety całował w rękę, co szczególnie podobało się Winiaminie Ipatownie, żonie Kowbyka. Pięknie grał na pianinie, na skrzypcach, tańczył lekko walca, nie cierpiał jednak polki, czardasza i ukraińskiego kozaka.

Winiamina Ipatowna stawiała wszystkim Masika za wzór do naśladowania jako człowieka dobrze ułożonego i kulturalnego, co wywoływało w jej mężu zawsze tę samą replikę.

— Kiedy ja pasalem gęsi, to ono siedziało jeszcze na nocniczku i słuchało poloneza Ogińskiego.

Pancziszka miała jeszcze jedną osobliwość: z tyłu trudno by poznać, czy to mężczyzna, czy kobieta, bo ani spodnie, ani włosy przy obecnej modzie nie są wyróżnikiem płci.

Ale wróćmy do interesującej dyskusji o restauracjach. Otóż Masik siedział czerwony jak czapka dyżurnego ruchu.

— No więc tak naprawdę to w „Łabędziu” nie byłem, opowiadali mi jednak, że tam...

— To trzeba tak od razu mówić. A w „Natałce” albo „Werchowynie”?

— Byłem, Stratonie Stratonowiczu. Ale to już nie to. Nie ten szyk...

— No, będziemy się zbierać — przerwał mu Kowbyk i wstał od stołu. — Zresztą, jak sobie chcecie...

— A strzemienego? — nacierał Chowraszkiewicz. — A propos... Czy wie pan, skąd pochodzi ten zwyczaj? Jeszcze w czasach Siczy Zaporoskiej, kiedy Kozacy...

— To niech pan, Masiku, słucha dalej jego gładzenia, na mnie już czas.

— A szkoda, bo to bardzo ciekawe. Kończyłem przecież historyczno-filologiczny wydział... A propos... Nie lubię się chwalić, jak wiecie, ale ukończyłem go z odznaczeniem, chociaż prawie zupełnie się nie uczyłem. Ale dużo czytałem. I z wykształcenia... Słyszysz pan, Stratonie Stratonowiczu? Z wykształcenia jestem raczej historyk niż filolog.

— Z wykształcenia tośmy wszyscy historycy — mówił już od progu Kowbyk. — A z zawodu: buchal-tera! Z narękawkami! — Wydobył z cygarniczki niedo-

pałek. — A wy mi tu, chłopcy, uważajcie, bo jeszcze „Findipocz” spalicie...

Pancziszka rozplątywał się w różowopomarańczowym uśmiechu, zapewniając Stratona Stratonowicza, że wszystko będzie „azur”. Chowraszkiewicz zaczął wyjaśniać, skąd pochodzi to słowo, ale Straton Stratonowicz już tego nie słyszał. Jego wieczorny program na tym się zakończył, a wraz z nim ósmy rozdział naszej powieści.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

w którym opowiada się o dobrym znaku, wielkim zaciemnieniu, mieście-parku, mechaniku Bubłyku, córeczce Rotszylda, pączkach, ogłoszeniach, filologu na emeryturze, matce Karapet i jej przyszłym lokatorze

Wszystko układało się jak najlepiej. Takiej gościnności ze strony stolicy Sidałkowski się nie spodziewał.

— To dobry znak — pomyślał. — Stolica przyjmuje w swoje objęcia prowincjusza.

Miał tylko dwa pragnienia: otrzymać kwiaty z rąk Tamary i wygłosić przemówienie w imieniu polskiej delegacji, do jakiej go na początku włączyli.

A teraz szedł ulicami Kijowa. Uśmiechające się do niego słońce oświetlało Kreszczatyk, baniaste złote wieże Sofijskiego Soboru i Ławry Peczerskiej, wybuchalo oślepiającymi racami na kasztanowych świeczkach i grało zajęczkami na zakurzonych lakierowanych bucikach Sidałkowskiego, kontrastujących z wymyętymi ulicami i chodnikami. Szedł obok ogrodu botanicznego kijowskiego uniwersytetu wśród strzelistych topoli i rozłożystych kasztanów i myślał: „To nie miasto, tylko jeden wielki park kultury i wypoczynku. Dla takiego

miasta warto żyć. Ale nie w tym budynku... — Spojrzał w górę na olbrzymią budowlę z betonu i szkła, która, jak mu się zdawało, czai się, by w odpowiedniej chwili runąć na stary gmach opery i zgnieść go.

Kiedyś tu właśnie, przy ulicy Wołodymyrskiej, w tym samym miejscu, gdzie teraz stoi olbrzymi wielopiętrowy dom mieszkalny, w starym zabytkowym domu mieszkał jego dawny kolega i przyjaciel, mechanik Bubłyk z floty rzecznej. Teraz nie było już tego domu i nie było Bubłyka. A właśnie u niego zamierzał tymczasowo zarzucić kotwicę. Ale, jak go poinformowano na dworcu rzeczonym, mechanik Bubłyk mieszka teraz gdzieś aż pod Chersoniem.

Sidałkowski poczuł się tak, jak Robinson Kruzoe po pierwszej nocy, spędzonej na nieznannej wyspie. Słońce zaszło za chmury. Poszedł dalej Wołodymyrską aż do Złotych Wrót. Na tych wrotach żadnego złota nie było, pozostała tylko nazwa, wywołująca niezdrowe skojarzenia. Sidałkowski sięgnął ręką do kieszeni, z góry wiedząc, że jest pusta. Ale ku swemu zdziwieniu w wewnętrznej kieszeni marynarki znalazł drobną monetę. „Skąd się wzięła?” — zdziwił się pamiętając, że nigdy nie brał reszty. Nagle przypomniał sobie kelnerkę z restauracji „Ukraina”, która powiedziała mu wczoraj na jego „reszty nie trzeba”: „Napiwków nie biorę. Mam bogatego męża”. „Córeczka Rotszylda” — pomyślał o niej Sidałkowski.

Nagle poczuł ssanie w żołądku. Usiadł na najbliższej ławce, przymknął oczy i wydobył z pamięci młodą i urodziwą kelnerkę. Siedziała w oknie w rozchyłonym szlafroku, jadła kiełbasę i od czasu do czasu rzucała kawałeczki psu przybłądzie. „Dama z pieskiem — nazywał ją natychmiast. — Ma dobre serce i chyba dobrą kiełbasę.”

— Czy pani ze wszystkimi tak się szczerze dzieli? — spytał.

— A czy pan jest taki głodny jak ten pies?

— Porównanie niezbyt wyszukane, ale pierwsza połowa zdania zgadza się.

— Więc mogę się z panem też podzielić.

— Będę niezmiernie szczęśliwy. Tylko że... Dobrze orientuję się w oknach, ale kiepsko zapamiętuję drzwi.

— Drugie piętro, mieszkanie siedemnaście.

— Może pani nakrywać stół — posłał jej swój najbardziej czarowny uśmiech.

Nagle ktoś trącił go. Otworzył oczy.

— Spać trzeba w domu.

— Albo na dworcu — dodał Sidałkowski, patrząc na dwóch mężczyzn z bańkami zielonej farby i szczotkami.

— Będziemy malować ławki. Już wiosna — rzekł jeden z nich.

— Dziękuję za wiadomość — odpowiedział Sidałkowski i ruszył do hotelu: ciągnęło go tam, jak ciągnie zwykle złoczyńcę na miejsce zbrodni.

Poczuł się zmęczony i rozbity. Po co tam szedł? Przecież nikt na niego nie czekał. Delegacje pojechały do „Findipoczu”, żeby na miejscu zapoznać się z „trzecią teorią Chowraszkiewicza” i jego nową koncepcją. A Sławatij Murczenko poszedł do komitetu rejonowego Komсомоłu, gdzie zaproponowano mu posadę kierownika działu ewidencji.

Nie udało mu się więc ziścić skromnego rannego marzenia: położyć się w pokoju hotelowym i zasnąć snem studenta po pierwszym egzaminie.

Wyjął z kieszeni dziesięć kopiejek i podrzucił je na dłoni.

— Życie z pieniędzmi, nawet małymi, jest o wiele piękniejsze niż bez nich — pocieszył się tanim aforyzmem i podszedł do przekupki z dużym koszem napełnionym pierożkami.

— Do pączków, do pierożków — usłyszał zachętę.

„Albo nie wykonuje planu, albo też rozpoczął się

miesiąc kulturalnej obsługi klientów” — pomyślał i podszedł bliżej.

— Z czym te rumiane ślicznotki?

— Z powidłami, z ryżem, z grochem, z kapustą. Jakie panu smakują?

Sidałkowskiemu smakowałyby wszystkie, ale na taką degustację nie miał pieniędzy. Ani czasu do namysłu, bo właśnie zbliżała się grupa roześmianych studentek, które najaktywniej pomagały sprzedawczyniom wykonać plan.

— Proszę dwa — wypalił szybko. — Reszty nie trzeba — rzekł jak zwykle wręczając dziesięć kopiejek.

— Jakiej reszty? One są po pięć kopiejek. Z czym mam dać? Z kapustą, z grochem?

— Proszę wziąć z kapustą, pomaga w trawieniu i normalnym funkcjonowaniu żołądka — zaszczębiotało dziewczątko z noskiem przypominającym dzwonek elektryczny.

— No więc jak?

— Proszę z grochem.

Po zjedzeniu pierożków Sidałkowski powlókł się do tablicy ogłoszeń. Jego nastrój opadł, jak słupek rtęci w termometrze. Kilka osób studiowało ogłoszenia o ofiarowanej lub poszukiwanej pracy, pisane ręcznie lub na maszynie. Uwagę jego zwróciła kobieta z dużą torbą, z której jak warkocze północnoamerykańskich Indian sterczały zielone pędy wczesnych jarzyn. Obok stali jakaś młoda dziewczyna i staruszek z pięknymi profersorskimi wąsikami, który oburzał się na błędy językowe w ogłoszeniach.

— Tak pisać! Proszę tylko spojrzeć, dobrodzieju — zwrócił się po staroświecku do Sidałkowskiego — jak oni kaleczą ojczysty język. Proszę posłuchać: „Piekarnia poszukuje do stałej pracy kobiet do wyrobu bułek i ślusarzy. Zwracać się do działu kadr”. Widział pan coś

podobnego, dobrodzieju? Przepraszam, kim pan jest z zawodu?

— Historykiem.

— A ja jestem filologiem. Kandydat nauk filologicznych na emeryturze.

— Ajaj! — pokiwał głową Sidałkowski, nie spuszcza-
jąc oczu z tablicy ogłoszeń. — Tak zniekształcać naszą
śpiwną mowę! — dodał, żeby sprawę zakończyć.

Ale ten surowy purysta językowy, który już dawno
nie miał słuchacza, uznał to za zachętę do dalszej roz-
mowy.

— Taka niska kultura pisania, dobrodzieju! I to w
kraju powszechnej szkoły średniej.

— Syntaksa i interpunkcja.

— Co szanowny dobrodziej był łaskaw powiedzieć?
— spytał emeryt, przykładając dłoń do ucha.

— Wtórny analfabetyzm! — zawołał mu do ucha
Sidałkowski i przeszedł do drugiej tablicy ogłoszeń, na
której powiatowy zakład pogrzebowy wywiesił takie
ogłoszenie: „Potrzebny dozorca na cmentarz. Mieszkanie
na miejscu. Zameldowanie też. Administracja”.

To mu nie odpowiadało.

„Wynajmę pokój samotnemu kawalerowi.” „Naresz-
cie coś dla mnie” — pomyślał.

„Przyjmę na mieszkanie oficera wyższej rangi. Mo-
że być też student pierwszego roku. Pytać o mieszkanie
nr 3 tylko po siódmej wieczorem. Karapet.” Ktoś
z miejscowych dwcipnisiów dopisał do nazwiska imię:
Dusia. Sidałkowski usiłował zapamiętać adres. Zamknął
oczy i dwukrotnie go pwtórzył. Postanowił iść tam na-
tychmiast, szósty zmysł podpowiadał mu, że właściciel-
ka mieszkania numer 3 jest w domu. Na szczęście było
to niedaleko.

W pół godziny później skręcił z placu w uliczkę ob-
sadzoną gęsto amerykańskimi klonami. Stał przed
niedużym dwupiętrowym domem, który dożywał swo-

ich dni, nie spodziewając się już żadnych remontów. Przed domem, po obu stronach wejścia, rosły dwa kasztany. „Pierwszy buldożer wykarczuje je z korzeniami” — pomyślał współczująco o kasztanach, wspinając się skrzypiącymi drewnianymi schodami na drugie piętro. Nacisnął guzik. Ale dzwonek milczał jak cenzor na wieczorze humoru i satyry. Wówczas Sidałkowski pchnął ramieniem drzwi, które ustąpiły ze skrzypieniem, jak brama starego soboru przed renowacją. W twarz uderzył piwniczny zaduch ogórków, kapusty i pomidorów; przebijał przez to zapach smażonej na oleju cebuli. Na zapach suszącej się bielizny powonienie Sidałkowskiego już nie reagowało. Rozejrzał się i zanim zdążył się zorientować, gdzie jest, spoza białych prześcieradeł, zwisających jak flagi podczas kapitulacji, doszedł go głos:

— Kto tam?

— Ja — odpowiedział Sidałkowski głosem postaci z obrazu Repina „Nie oczekiwali”.

— Co za „ja”?

— Sidałkowski. Pani przyszły lokator, amator morza i przygód.

— To mi odpowiada — zza prześcieradła wyszła kobieta, której wiek było określić równie trudno, jak wiek Wieży Babel.

— Sidałkowski? — spytała pretensjonalnie wyglądająca paniusia. — To chyba o panu czytałam w gazecie? No tak, Sidałkowski! — zaśmiała się.

„Do diabła! — pomyślał z irytacją. — A więc jest już w gazetach. Tylko tego mi brakowało do szczęścia!”

— Widziałam dziś w gazecie pańskie zdjęcie — szczebiotało potężne babsko.

„Taka huzar-baba — myślał Sidałkowski — mogłaby potrzymać w ręku krzyż Wołodymyra Monomacha, żeby on sobie trochę odpoczął, albo też podpierać antyczne budowle greckie zamiast kariatyd.”

— Sfotografowali pana, jak pan przyjmował chleb i sól — świergotała dalej. — Kiedy spojrzałam na pana, od razu pomyślałam, że jest pan artystą. Poznajmy się — wytarła o fartuch czerwone od prania ręce i jedną podała Sidałkowskiemu.

— Karapet. Lusia Karapet.

— Lusia czy Dusia? — spytał Sidałkowski, przypomniawszy sobie dopisek na ogłoszeniu.

— W dowodzie osobistym mam Jewdokia Kapitonowna. A nazywają mnie po prostu Lusia albo Musia. Jak kto woli. Dobosze ze szkoły muzycznej i oficerowie wyższych rang nazywali mnie nawet Meri. Mój mąż też był oficerem. A pan nie jest oficerem?

— W cywilu.

— Rozumiem. Z milicji. Jak Wasia Saprykin.

— Nie, nie z milicji. Oficer rezerwy. Mikromajor. Jedna gwiazdka i tyleż belek. Odpowiada to pani?

— Może być. Z pana wesoły chłopak, chociaż bez harmonii. Kobiety lubią wesołych. Nie nudzą się z takimi — Karapet obdarowała go uśmiechem z gatunku „na zawsze twoja”. — A czy ja panu, proszę wybaczyć nieskromność, podobam się?

— I owszem — odpowiedział, i w tym momencie zawojował Lusię Karapet jak fortecę od pierwszego wystrzału.

Weszli do pokoju, który wyglądał jak sala sportowa urządzona w laboratorium chemicznym, przypominając jednocześnie gabinet kosmetyczny przy naukowo-doswiadczalnym instytucie. Na szafce nocnej, toaletce, etażerze i stoliku, jak porozrzucane gilzy z różnokalibrowego kulomiotu, sterczały flakoniki z perfumami, flaszeczki z mleczkiem kosmetycznym i szamponem, pudełeczka z kremami i pudrami oraz sztucznymi rzęsami. Przy wejściu podpierały ścianę obręcze do ćwiczeń „hula-hop”, leżały trzykilogramowe hantle oraz stał dumnie jak młody jeleni rower sportowy.

Na środku stało wielkie dwuosobowe łóżko z czasów Anny, córki Jarosława Mądrego. Mogłaby się na nim swobodnie ulokować załoga podwodnej łodzi atomowej. Na ścianach wisiały obrazy nieznanych malarzy z Żytniego Rynku. Na jednym z nich płały nagie nimfy, przykrywając najbardziej cnotliwe miejsce listkami figowymi; obok stała wieża, przeniesiona żywcem z basenu „Dynamo”, uwieńczona małym Amorkiem z kołczanem i strzałami, które kierował do wspomnianych leciwych nimf. Na drugim obrazie malarz przedstawił w sposób bardzo oryginalny „Narodziny Wenus”. Bogini miłości patrzyła na Sidałkowskiego takim wzrokiem, że zbierało mu się na płacz.

— Biedny Botticelli.

— Co pan powiedział?

— Powiedziałem: „Boże, jaka ona podobna do gospodyni tego domu”.

— Nie zrozumiałam.

— Bo to było po włosku.

Karapet uśmiechnęła się z wdzięcznością, rumieniec przebił warstwę pudru.

— Pan umie po włosku?

— Służyłem w Wenecji. A potem przenieśli mnie do Genui.

Karapet zrobiła pół obrotu i zamarła w pozie Spartanki z dyskiem.

— Zdaje się, że pan źle trafił.

— Nie rozumiem.

— Widzi pan, jestem kobieta prosta i stawiam sprawę otwarcie. Jest tylko jedno łóżko. Rozumie pan? Jedno na dwoje...

— Hm... — skrzywił się Sidałkowski. Nie oczekiwał takiego obrotu sprawy. Przez chwilę milczał zbity z tropu. — Widzi pani, patrzę na kobiety jak na książki. Zanim zabiorę się do ich czytania, muszę zapoznać się

ze wstępem lub znać ich streszczenie. Ale tak, od razu, nigdy ich nie czytam, a tym bardziej nie kupuję, bo można się sparzyć...

Z tego całego monologu Karapet zrozumiała, zdaje się, tylko ostatnie słowa.

— Na mnie się pan nie sparzy. Niech się pan nie obawia. Co prawda, pewien perkusista, który tu mieszkał, mówił, że jestem gorąca jak piec z piekarnikiem. Ale się nie sparzył. Bardzo mnie kochał... A mówił prosto i zrozumiale, tak żebym nie musiała łamać sobie głowy. A pan to chyba bardzo wykształcony.

— Mam to rozumieć jako komplement czy zarzut?

— Jak pan chce — powiedziała Karapet wyraźnie rozczarowana.

Sidałkowski był nie mniej rozczarowany, ale mimo wszystko usiadł. Na taborecie leżała tylko co wykręcona bielizna: firanki, powłoczki, prześcieradła, ręczniki; obok na podłodze stała miednica z krochmałem. Karapet zaśmiała się, Sidałkowski też się uśmiechnął, co rozładowało kłopotliwą atmosferę.

— Mam rzeczywiście tylko jedno łóżko — wróciła do poprzedniego tematu mamuńcia Karapet, jak ją w duchu nazwał Sidałkowski. — Nie mogę położyć pana na podłodze. A sama też kładę się na niej w wyjątkowych sytuacjach. Pan mnie zrozumiał? Ale kiedy tak patrzę na pana, to, zdaje mi się, że pan kochał się dotąd zawsze tylko na dobrze ubitych pierzynach.

— I na morskich falach w rejonie Polinezji — dodał.

Z kuchni doleciał swąd przypaleniźny. Karapet nie zwróciła na to uwagi.

— Więc proszę się rozejrzeć i pomyśleć. Może się panu u mnie nie podoba. Panu potrzebne mieszkanie z łazienką, z toaletą. U mnie tego nie ma. Nasz dom przeznaczony jest do rozbiórki, więc go już nawet nie remontują. Chodzimy się kąpać do miejskiej łaźni, a to-

aleta jest tam — wskazała na okno wychodzące na podwórze. — Za parkanem, pod bzem.

Sidałkowski wstał. Karapet patrzyła na niego z niepokojem. Sięgnął do kieszeni i wyjął białą flagę. W kształcie chusteczki. Skapitulował, W milczeniu, bez żadnych warunków. Tyłów nie było, a armia głodowała. Gotów był na wszystko.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

*w którym opowiada się o szwajcarskiej „cebuli”,
Ariju Fedorowiczu, welwetowych spodniach, filco-
wym kapeluszu, buchalterskich akselbantach,
czarnej limuzynie, starorzymskich oracjach, kani-
strze spirytusu, malarzu wszystkich istniejących
kierunków, psychicznym kompleksie oraz o dam-
skiej torebce*

Pozostawimy na razie w spokoju naszych bohaterów, tym bardziej że są we dwoje, bądźmy więc dyskretni i przekonani, że nie jest im smutno. Karapet nie dopuszczała do tego, wyznając zasadę, że śmiech to zdrowie. Tego samego zdania był również Sidałkowski. Mary miała tego dnia dzień wolny...

A w „Findipoczu” przeciwnie: zaczynał się właśnie dzień pracy. Zastępca dyrektora Arij Fedorowicz Neszczadym stał u zbiegu dwóch korytarzy i trzymając demonstracyjnie w rękę szwajcarską „cebule”, jaką podobno znalazł we Frankfurcie nad Menem, czekał na swoich kolegów, którzy stale się spóźniali.

Pierwszy przyplływał zwykle Karol Iwanowicz Bubon, podług którego Neszczadym nie tylko regulował swój zegarek, ale ponadto notował procent punktualności pracowników, który wynosił zero i dwie dziesiąte. Karol Iwanowicz albo — jak go nazywano familiarnie — papa Karol przypominał podstarzałego anioła z niewi-

docznymi skrzydłami w embrionalnym stanie. Nie chodził, lecz pływał jak japońska tancerka o znacznie powiększonych kształtach. W „Findipoczu” korytarze były takie wąskie, że kiedy Bubon wychodził i niespodziewanie spotykał Kowbyka, musiał się cofać, z konieczności i szacunku, aż do miejsca, w którym mógłby przesliznąć się obok niego, nie zaczepiając go brzuchem.

— Na wszystkim oszczędzają! — burczał Kowbyk. — Nawet na korytarzach!

— Tak, są za wąskie. Bardzo wąskie — zgadzał się z nim Karol Iwanowicz.

Kiedy Bubon rozbierał się w domu do mycia lub też spacerował w samych spodenkach po plaży, wyglądał jak duży kartofel na dwóch zapalkach. W dni wypłaty premii, kiedy humory wszystkich findipoczowców bardzo się poprawiały, Karol Iwanowicz zastanawiał się zwykle nad własną anatomią.

— Jak to jest? Brzuch rośnie, kark grubieje, a nogi wciąż tak samo cienkie.

— Dom na palach — odpowiadali koledzy.

Na głowie Bubona sterczał zawsze filcowy kapelusz, w którym, zdaje się, trzy razy do roku kwoka wysiadywała kurczęta. Skóra na jego twarzy była jak mocno naciągnięty papier. Sądząc z fizjonomii, Karol Iwanowicz należał do tych sympatycznych poczciwców, którzy ustępują miejsca w tramwaju lub w trolejbusie nawet dużo młodszym od siebie. Mówił cichym głosem i bardzo się peszył, kiedy znalazł się wśród obcych. Panicznie bał się pralni chemicznych oraz zaproszeń na imieniny do wyżej stojących od siebie w hierarchii społecznej.

Kiedy zdejmował kapelusz, można było stwierdzić, że jest łyсы, a ściślej: niedowłosiony, bo łysinę porastało rzadkie owłosienie koloru bielonego płótna. Zaczesał je od tyłu do przodu na kształt laurowego wieńca otaczającego łysinę.

Prócz filcowego kapelusza i świadectwa ukończenia technikum księgowości, Bubon miał jeszcze małe żywe oczka, czarne satynowe zarękawki, futerał ze skrzypcami i brunatne welwetowe spodnie, których nie zdejmował chyba od czasów wojny domowej.

— Ich nigdy nie trzeba prasować, szanowny — mawiał. — W naszej pracy welwetowe spodnie to buchalterskie akselbanty.

W jednym miejscu te buchalterskie akselbanty były tak mocno wyświecone, że kiedy Bubon płynął korytarem w jasny dzień, promienie słoneczne odbijały się od nich i słoneczne refleksy w kształcie zajęczków padały na ścianę.

Bubon był zabobonny, podobnie jak Sidałkowski, tylko się z tym nie krył. W poniedziałek niczego nie rozpoczynał, w środę się nie śmiał, żeby w piątek nie płakać, nie wsiadał nigdy do „trzynastki”, nie golił się, jak miał lecieć samolotem, i nie wsiadał w świeżo wypranych kalesonach do łódki lub na statek. W domu zabraniał żonie zamiatać na noc mieszkanie, córce — patrzeć przed snem do lustra, a synowi — gwizdać w toalecie. Wierzył nie tylko w magiczne właściwości przedmiotów, ale również w sny. Do Bubona zwracano się, jak do nie wydanego dotąd sennika.

Kiedy długo nie mógł zasnąć, zaczynał sobie wyobrażać siebie najpierw jako naczelnika powiatowego wydziału finansowego, później okręgowego, a w momencie gdy zasypiał, był już ministrem skarbu. Śniło mu się, że siedzi w ministerialnym fotelu, robi na aktach lakoniczne notatki w rodzaju: „wydać”, „odmówić”, i kładzie pod tą decyzją niezwykle piękny podpis: „Karol Bubon, minister skarbu”. Błogo uśmiechnięty widział siebie w czarnym garniturze, śnieżnobiałej koszuli ze złotymi spinkami, w czarnej otwartej limuzynie. Podjeżdżał nią do pięknej willi, stojącej na uboczu wśród jaśminów (bardzo lubił zapach jaśminu); przy świeżo

pomalowanej na zielono bramie wjazdowej, stał milicjant i salutował mu.

Naprzeciw niego wychodziły młode damy w różowych i błękitnych długich sukniach, podtrzymywanych trzema palcami, a Karol Iwanowicz pozdrawiał je dotknięciem lśniącego cylindra. Damy zatrzymywały się i odwracając w jego stronę pięknie ufryzowane głowy pytały: „Kto to?” „Jak to? Pani nie wie? To nowy minister skarbu Karol Iwanowicz Bubon...”

Bubon miał dwoje dzieci i tylko jedną żonę. Syn miał na imię Demian, córka — Muza, a żona — Macesta Elizarowna. Córka uczyła się grać na wiolonczeli i skrzypcach, syna zaś Bubon sposobił na ministra, dlatego codziennie przed snem Demian wygłaszał mowy Juliusza Cezara i Caiusa Katullusa, rano zaś przemówienia Cicerona skierowane przeciw Markowi Aureliuszowi.

— Dzieci, szanowny, powinny być zawsze bardziej wykształcone od swych rodziców — zwykł był mawiać.

Tak jak w pracy mówił do wszystkich „szanowny”, tak w domu zwracał się do żony i dzieci tylko pieśczośliwie, nawet wówczas gdy — co zdarzało się bardzo rzadko — na któreś z nich się pogniwał.

A tymczasem Nieszczadym, czatując na korytarzu, przesunął wskazówkę zegara o kilka minut bliżej dziewiętej. „Kto też przyjdzie dziś jako drugi i z której strony? — myślał. Ponieważ jednak na razie nikt się nie zjawia, skorzystajmy z tego, by uzupełnić jego portret.

Arij Fedorowicz Nieszczadym chodził zawsze wyciągnięty jak chart. Kiedy przechodził korytarzem, kaloryfery pokrywały się szronem. Nigdy się nie śmiał, a z podwładnymi rozmawiał tylko pytaniami w rodzaju: „A co wy o tym możecie powiedzieć, towarzyszu?” albo „A jak pan się na to zapatruje, mój drogi?” Najczęściej każde jego zdanie rozpoczynało się od „A”,

a kończyło zwrotami grzecznościowymi: „mój drogi”, „mój kochany”, „wielce szanowny towarzyszu”, „szanowny przyjacielu” itp. Oschły, nieprzystępny, pedantyczny, przesadnie ostrożny, demonstracyjnie inteligentny, manifestacyjnie porządny. I jeszcze oszczędny i dokładny. Gdy pożyczał u kogoś trzy kopiejki na tramwaj, zapisywał to zaraz w notesie i następnego dnia zwracał dług. Ze sportów uprawiał ćwiczenia jogów i bieg. Kładł się spać o dziesiątej wieczorem i budził się — bez budzika — punktualnie o siódmej. Przypominał tę bezosobową urodę mężczyzn, jaką widuje się na szyldach zakładów fryzjerskich lub fotograficznych.

Bali się go wszyscy, nie wyłączając samego Stratona Stratonowicza, który nawet sam przed sobą do tego się nie przyznawał, podobnie zresztą jak Neszczadym bał się Kowbyka, najstaranniej to tając. Znając słabość Stratona Stratonowicza do kielicha, Arij Fedorowicz często zdobywał gdzieś spirytus i próbował go upić; chciał go po prostu tak rozpić; aby zająć jego miejsce w „Findipoczu”. Neszczadym miał kanister spirytusu, ale Kowbyka można było spoić tylko cysterłą, a na to Arija Fedorowicza nie było stać.

Podobnie jak Chowraszkiwicz, stale zapewniał szefa, że go kocha, Kowbyk jednak nie wyczuwał w tym szczerości i ciepła, był więc wobec swego zastępcy czujny, jak angielski seter na polowaniu.

Kowbyk udawał, że nie domyśla się niczego. Pozwalał się Neszczadymowi częstować, ku jego rozpaczcy pił jednak nie więcej niż pół setki spirytusu czystego i setkę rozwodnionego. Starał się natomiast wlewać jak najwięcej w Neszczadyma, więc skutek był zwykle odwrotny od zamierzonego. Neszczadym bardzo szybko się upijał, bo jadł przy tym mało, chcąc zachować figurę. Ciągnęło go wtedy na powietrze, jak węgorza do morza.

— Pan skończy kiedyś w domu bez klamek — przestrzegał go ciągle Kowbyk.

Findipoczowcy zapewniali, że Kowbyk pije tylko wtedy, kiedy ma jakiś ważny powód, Neszczadym zaś — codziennie. . . .

We własnym domu Neszczadym był podobno zupełnie innym człowiekiem, nikt jednak nie wiedział, jakim, bo nikogo nigdy do domu nie zapraszał, nawet na własne urodziny.

Tymczasem wskazówka jego zegarka zbliżała się do godziny dziewiątej dwadzieścia dziewięć minut. Na schodach pojawił się nagle Pancziszka. Arij Fedorowicz nie wierząc własnym oczom spojrział raz jeszcze na zegarek i przyłożył go do ucha: zegarek szedł jak pierwszy kołchozowy traktor marki „Fordson”. Nie było wątpliwości: Pancziszka przyszedł dziś wcześniej.

— Coś podobnego — cedził Neszczadym wolno, trzymając ciągle zegarek przy uchu — Georgij Walerianowicz przyszedł wcześniej do pracy.

Różowe policzki Pancziszki zrobiły się sine i nagle obwisły. To był jego naturalny stan. Ożywiał się dopiero wówczas, kiedy znajdował się w towarzystwie Kowbyka, Chowraszkiewicza i nie napoczętej butelki. Wówczas, zacierając ręce, odkorkowywał flaszkę z taką zręcznością i wprawą, jak gdyby miał w wewnętrznej kieszeni dyplom „otwieracza”, wydany przez państwowy monopol spirytusowy.

Pancziszka znów poróżowiał, opuścił wstydliwie oczy (wstydził się wszystkiego i wszystkich, nawet samego siebie) i powiedział „dzień dobry”. Kolor jego oczu zmieniał się w zależności od okoliczności: były matowe albo zachodziły mgiełką, to znów pojawiały się w nich lekkie pastelowe odcienie albo różowe żyłki, zawsze jednak była w nich obłudna słodycz.

Arij Fedorowicz chciał go o coś zapytać, nie zdążył jednak, bo na schodach pojawiła się broda neandertal-

czyka. To Czyhyrenko-Repniński, „modernista z Pohrebyszcz”, jak go po ojcowsku nazywał Straton Stratonowicz.

Daromir Czyhyrenko-Repniński był reprezentantem wszystkich kierunków i tendencji panujących w malarstwie. Wyprzedzał znacznie swoich współczesnych, dlatego znali przeważnie tylko tył jego głowy. Kiedyś Daromir próbował swych sił artystycznych w rzeźbie, był jednak za wąty. Potem pociągnęła go inkrustacja słomą, nowa gałąź sztuki dekoracyjnej. Na twórczości tej, jak na wszystkim, wyciskał piętno swego oryginalnego talentu. I to na tyle oryginalnego, że nawet sam Czyhyrenko-Repniński nie mógł odnaleźć niekiedy w swych pracach samego siebie.

Obrazy jego wyróżniały się tym, że wszyscy bohaterowie jego płócien mieli wyczyszczone do połysku obuwie. Nieco gorzej wychodziły twarze, malował je niechętnie, bo całą swą energię twórczą i swój talent przelewał przede wszystkim na obuwie. Odnosiło się wrażenie, że twarze na obrazach Czyhyrenki-Repnińskiego stanowiły jedynie tło dla lśniącego obuwia.

Kiedy malował sceny zbiorowe, wydawało się, że każda z postaci obrazu ma jeszcze jedną, zapasową parę nóg i stosowne do nich obuwie.

Największym sukcesem w jego twórczości był znakomity obraz Rembrandta „Danae”; Czyhyrenko-Repniński namalował go w ciągu tygodnia, jednak nad buciczkami, które zastąpiły trzewiczki oryginału, trzeba było popracować znacznie dłużej. Nad samym tylko doborem farb. Daromir pracował dwa lata i zrobił tyle szkiców tych buciczków, ile Riepin do swoich nieśmiertelnych „Zaporożców”.

Aby mieć własne oblicze artystyczne (jego oblicza fizycznego nie możemy naszkicować, ponieważ jest zupełnie zarośnięte), Czyhyrenko-Repniński prenumerował czasopismo „Obuwie i nogi” oraz wysokonakłado-

we „Obuwie dla nóg pracujących”. Przyjaźnił się poważnie z majstrami szewskimi, z których jeden szył nawet buciki zamszowe na eksport. Chociaż postaci swych płócien wyposażał w tak wspaniałe obuwie, które służyło im niemal za postument, sam chodził w podniszczonych i przydeptanych trzewikach, co bardzo krytycznie oceniał Neszczadym.

— Każdy artysta — odpowiadał mu na to Daromir — musi mieć jakiś psychiczny kompleks.

— A pan by lepiej odświeżył na fasadzie nasz transparent! — przechodził na znajomy grunt zastępca dyrektora, nic nie rozumiejąc z tych tam jakichś „kompleksów”.

Czyhyrenko-Repniński coś tam mruczał i szedł do swojej pracowni, w której panował taki porządek, jak w damskiej torebce.

Arij Fedorowicz podchodził do okna i z wysokości drugiego piętra obserwował, jak topolową aleją idzie do „Findipoczu” jego władca, Straton Stratonowicz Kowbyk, a nieco dalej za nim jak nieodstępny cień kroczy Chowraszkiewicz. Twarz pierwszego przypominała gruszkę z gatunku „dobra Ludwika”; oblicze drugiego, bladozielone, było jak niedojrzałe, nie dopieczzone jabłko.

No ale trzeba przerwać te „szkice do portretu” i zobaczyć co się dzieje u Sidałkowskiego.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

w którym opowiada się o hipodromie, sobowtórze Sidałkowskiego, fotogeniczności, członku delegacji, pieśni, ideach, propozycjach, hasłach, artyście i doboszu

Sidałkowski siedział na łóżku przypominającym hipodrom i rozmawiał sam ze sobą. Jego rozmówca podo-

bał mu się. Był wesoły, pełen życia, nie pozbawiony poczucia humoru, mimo że w kieszeni nie miał ani kopiejki. Sidałkowski-pierwszy podobał mu się bardziej od drugiego. Z gazety uśmiechał się do niego wystudjowanym, nieco bezczelnym uśmiechem typ mało fotogeniczny i mocno podretuszowany. Obaj patrzyli na siebie krytycznie, prowadząc ożywiony dialog.

— To może i dobrze, że tak tu wyglądam. W domu nie poznają — uspokajał siebie Sidałkowski-drugi.

— No i kogo ty tu udajesz? Nie potrafisz żyć bez takich sztuczek? Spójrz tylko na siebie! — urągał mu Sidałkowski-pierwszy.

— Do tego zobowiązuje mnie moja powierzchowność — uśmiechnął się Sidałkowski-drugi.

— Nie kłam! — zareagował brutalnie Sidałkowski-pierwszy. — Taki się urodziłeś i nic cię już nie zmieni. Kroku nie zrobisz, żeby nie skłamać.

— Cóż zrobić, jestem, jaki jestem.

— To samolubstwo kiedyś ciebie zgubi.

— Wszyscy chcą uchodzić za nieco lepszych, niż są w istocie.

— Ale nie w tak rażący sposób.

— To zależy od tego, kogo na co stać — nie odrywał oczu od gazety, lubując się swoją podobizną.

— Ty źle skończysz. Historię twego życia spisze kiedyś sędzia śledczy, tylko w tej twojej powieści biograficznej zamiast rozdziałów będą paragrafy.

— No, no, tylko sobie za dużo nie pozwalaj!

— No ale spójrz sam, do czego już doszło: zdjęcie w gazecie, chleb i sól... I nazwisko grubym drukiem. I to jakie nazwisko! Sidałkowski... Jaki z ciebie, do diabła, Sidałkowski?!

Kilka gazet zamieściło notatkę o przybyciu polskiej i mołdawskiej delegacji, dwie zaś z nich opublikowały zdjęcie Sidałkowskiego z takim oto tekstem: „Na zdjęciu: Polscy i mołdawscy przyjaciele na peronie. Człon-

kowi polskiej delegacji Sidałkowskiemu gospodarze wręczają chleb i sól”.

„Nie kierownik, a tylko członek delegacji!” — ubodło do żywego Sidałkowskiego, który sięgnął kolejno po gazetę młodzieżową; też było w niej zdjęcie Sidałkowskiego, ale z nieco obszerniejszym tekstem.

Przejrzał raz jeszcze wszystkie dzienniki, szukając tekstu przemówienia, które wygłosił na dworcu. Owszem, było, ale jakiegoś ministra Hondurasu czy też Gwadelupy.

Wstał, wyprostował swe długie nogi i zaczął nie wiadomo już który raz wywracać wszystkie kieszenie, jak student swoje skrypty, któremu zdawało się, że kiedyś w któryś z nich włożył „na czarną godzinę” trzyrubłówkę. Kieszenie były jednak puste, jak głowa studenta na egzaminie. Tylko w wewnętrznej kieszeni marynarki znalazł złożoną we czworo kartkę z rekomendacją od Murczenki, a w kieszeni spodni wraz z chusteczką do nosa i pilnikiem do paznokci była karteczka z adresem Tamary. Pierwsza przedstawiała jakąś konkretną wartość, na drugą spojrział lekceważąco. „Żeby chociaż miała mieszkanie, a ona taka bezdomna jak i ja”. Nie spiesząc się podarł kartkę z adresem na drobne kawałki i wrzucił je do śmietnika.

Następnie rozprostował kartkę od Murczenki i zaczął się jej przyglądać. Kiedy patrzyło się na nią z boku i trochę z ukosa, odnosiło się wrażenie, że pisano na niej w Taszkencie podczas trzęsienia ziemi albo w tramwaju, który został wycofany z jazdy lub jechał bez motorniczego.

„Wielce szanowny i drogi Stratonie Stratonowiczu! — pisał Sławatij. — Wreszcie znalazłem godnego mnie następcę, człowieka z cudownym charakterem pisma, mego najbliższego i najlepszego przyjaciela Jewgrafa Sidałkowskiego. Jestem przekonany, że w pełni mnie zastąpi, a księgi plemienne tylko na tym zyskają, gdyż

pisze o wiele ładniej ode mnie”. List polecający kończył się słowami: „Może pan zawsze na niego liczyć. Wierzę, że Sidałkowski nie zawiedzie ani pańskiego, ani mojego zaufania”.

— Hurra! Hurra! Hurra! — zawołał trzykrotnie, zwinął list polecający z pietyzmem, jak chorągiew, i schował go do kieszeni, po czym znów się położył.

Do mieszkania nie tyle weszła, co wtoczyła się mamuńcia Karapet. Wesoła, pełna wigoru i okrągła, jak pocisk barona Münchhausena. Odnosiło się wrażenie, że ona nie chodzi, lecz przebiera w powietrzu krótkimi, ale masywnymi nogami jak zawieszona na nitce pacynka w teatrze lalkowym. Postawiła obok etażerki dużą torbę na zakupy, podobną do turystycznego plecaka, i podpłynęła do Sidałkowskiego, który leżał na pościeli w marynarce, spodniach i lakierowanych bucikach i podśpiewywał swoją ulubioną pieśń:

Kwitną w Kijowie kasztany,
na Kreszczatyku pełno zakochanych...
Miłość to jedyny teraz temat.

Byłem w Marsylii, w Londynie,
byłem w Wapniarce i w Gdyni —
od Kijowa piękniejszych miast nie ma!

Prawie cały świat zjechałem,
wiele pięknych dziewcząt znałem,
niejedna mi dała swój wianek...

Zastawiały na mnie sieci —
lecz nie ma na całym świecie
piękniejszych od Kijowianek! *

Piosenka Jewgraфа Sidałkowskiego na motywach wiersza Władysława Bojki w wolnym przekładzie tłumacza.

— Sidałkowski! — przerwała mu mamuńcia Karapet, której nie spodobał się zwłaszcza ostatni werset piosenki. — Dlaczego pan kładzie się na łóżko w bucikach?

— Ponieważ nie ukończyłem wyższych studiów — uśmiechnął się Sidałkowski i głosem Edyty Piechy* ciągnął dalej:

W parkach parki spacerują,
w „Wołgach” parki się całują,
szczęście się wszystkim w pas kłania!

Ja nie mam nic prócz frasunku,
brak w Kijowie stałego meldunku,
nie mówiąc już o własnym mieszkaniu

— Będzie pan miał wszystko, jeśli pan tylko zechce — pocieszała Karapat. — Trzeba tylko umieć się odpowiednio zakręcić.

— Jak u pani z wykonaniem planu? Jak utarg? — zainteresował się Sidałkowski.

— W porządku. U mnie plan zawsze w porządku — pochwaliła się Karapet, krzątając się przy kuchence tak sprawnie, jak średniowieczny alchemik przy swoich retortach.

— A jakie są plany na najbliższą przyszłość? — Sidałkowski zaczął chodzić po pokoju z miną historycznej postaci, z dumnie uniesioną głową. — Jakie mamy plany, jeśli to nie sekret?

— Do czego pan zmierza? — uśmiechnęła się Karapet czujnie.

Sidałkowski przyjrzał się jej uważnie. Mocna i umięśniona. Swą formę zawdzięczała nie tylko hantlom i różnym ćwiczeniom odłuszczaćającym; jeździła na nartach, a w lecie na rowerze, należała też do najaktyw-

Popularna piosenkarka radziecka polskiego pochodzenia.

niejszych zwolenniczek „biegu po zdrowie”, jaki uprawiała już przed wiekami słynna Eupraksja, córka księcia kijowskiego Mściława. Należała też do sekcji „morsów” i podczas silnych mrozów hartowała swoją młodość. Zamierzała dożyć przynajmniej do 2026 roku, w którym, według zapewnień profesora Amosowa, ludzie osiągną wieczną młodość i nieśmiertelność.

— Dziś wybieram się samochodem za miasto z eleganckim chłopakiem. W okolicę Krętorogiej Bałki z widokiem na most dla pieszych i dwa jelenie z rogami. On ma własne mieszkanie z oddzielnym wejściem oraz własny samochód. Zakarbowałam sobie jednak na nosie, że z samochodu nie wyjdę na krok. Mam, że tak powiem, swój kobiecy honor — poprawiła serwetę na stole, na którym w ramce za szkłem uśmiechał się cwańniacko ulizany typ, który wzbudził antypatię w Sidałkowskim.

— Kim jest ten grand? — spytał. — Czy to zięć? A może to ten właściciel samochodu i własnego mieszkania?

— To... — Karapet wstydliwie opuściła rzesy, które mogłyby służyć za wycieraczki w „Moskwiczu” lub „Zaporożcu”.

— No?... — nalegał Sidałkowski.

— To kawaler mego serca.

— Imponujący facet!

— Tak pan sądzi?

— Oczywiście. Podobny do Jeana Marais i równocześnie do Louisa de Funèsa..

— Ale pan przystojniejszy — zarumieniła się Karapet. — Jeśli pan chce, to wyjmę go z ramki i wstawię pana.

— Nie jestem fotogeniczny.

— To znaczy, że pan nie chce — wzięła papierosa, postukała nim o pudełko i próbowała założyć nogę na nogę, ale się jej to nie udało. — Tylko żeby pan zaraz

czegoś sobie nie wyobrażał. Lubię pana po prostu jak domowego pieska.

Puścił mimo uszu tego pieska.

— A właściwie dlaczego pan nigdzie nie pracuje?
— spytała, stawiając na stół smażone ziemniaki z kabaczkami.

— Bo nie ma dla mnie pracy. I chyba nie stworzono jeszcze instytucji, godnej uwagi i wysiłków Sidałkowskiego. Mógłbym nosić walizki na dworcu, ale nie chcę...

— Jest pan arystokratą, Sidałkowski.

— Arystokratą ducha i intelektu. Mam nie ukończone wyższe studia uniwersyteckie.

— Wielkie mi mecyje! Słyszałam o takich z wyższymi studiami, co pracują jako kelnerzy. Mogłabym pomóc. Moja córka jest kierowniczką jednej z restauracji. Czy pan jest prawnikiem?

— Nie. Filologiem-historykiem. Mógłbym zostać poetą, ale nie mam warunków.

— To niech pan sprzedaje losy loteryjne. Albo kupony totalizatora sportowego.

Sidałkowski odłożył widelec, ale przełknął razem z kabaczkami i tego sprzedawcę kuponów.

— Nawet koń bez roboty zdechnie, a co dopiero człowiek — perorowała Karapet.

— Wkrótce się jakoś urządzę i wtedy rozliczę się z panią — powiedział bez przekonania. — Mam pewną ideę i list polecający — dodał pewniejszym już głosem, przypomniawszy sobie list Murczenki. — List pracownika pewnej poważnej instytucji do dyrektora „Findipocz”. Nie wie pani, gdzie mieści się ten instytut?

— Pierwszy raz słyszę...

— Może ktoś z sąsiadów wie?

Ale nikt z sąsiadów nie wiedział: ani gdzie mieści się „Findipocz”, ani co to takiego jest.

— Spytam kapitana Saprykina. On wie wszystko.

Nawet o tym, że pan żyje ze mną — zapewniała Karapet, zapijając ostatnie słowo mlekiem.

— To nie życie, tylko wegetacja — wniósł poprawkę.

— A co, niezadowolony pan? — Karapet zrobiła pół obrotu i zamarła z talerzem w rękach.

„Spartanka z talerzem w rękach zamiast dysku” — pomyślał.

— Wprost przeciwnie. Z życia jestem zadowolony, ale co to za życie bez pracy i w samotności.

— To niech się pan ożeni — zaproponowała Karapet takim głosem, że Sidałkowski pomyślał: czy ona nie chce przypadkiem wysunąć na tę posadę swojej kandydatury?

— Więc niech mi pani poszuka kogoś odpowiedniego — Sidałkowski z przyjemnością przełknął słodki wermut. — Wcześniej czy później wszyscy musimy zacząć dźwigać ten krzyż.

— Co też pan mówi!

— Dlaczego to panią tak przeraża, to przecież naturalne — Sidałkowski po wypiciu wermutu czuł się znacznie pewniej. — Wcześniej czy później... Tylko że zaślepieni miłością robią to we wczesnej młodości. Podobnie jak daltoniści widzą swoją przyszłość w jednym kolorze, różowym. A życie rodzinne jest przeważnie czarno-białe. Doświadczeni starzy kawalerowie za nic nie chcieliby zamienić wolności na szafot. A jeśli już rezygnują z niej, to potem do końca życia walczą o utracone pozycje. I jest jeszcze trzecia kategoria mężczyzn, których nazywam średniakami. Swoją niezależność zamieniają na zaciszne ciepłe bajorko, porywają na dachę, a marzenia na samochód, i dopiero po tych handlowych transakcjach uspokajają się...

— Pan, zdaje się, należy do trzeciej kategorii?

— Lubię domyślne mamy...

Mary, jak będziemy dalej nazywać mamunię Ka-

rapet, żeby nie kwestionować jej wiecznej młodości, zaczęła sprzątać ze stołu. Sidałkowski wstał, wyprostował się i zwałił się na łóżko.

— Pan spada na pierzynę jak skoczek spadochronowy.

— Z desantu — uzupełnił Sidałkowski.

Mary zdjęła z niego buciki i, zostawiając na podłodze swoje pantofelki na wysokim obcasie, położyła się przy nim. W ciągu tych pięciu dni tak już przywykła do niego, jakby go znała od niepamiętnych czasów. Przytuliła się do niego. Szedł od niej taki żar, że gdyby się rozebrał, to mógłby spłonąć, a w najlepszym razie ulec poparzeniu.

— Proszę się odwrócić. Chcę się rozebrać.

— Pani się mnie jeszcze wstydzi, Meri?

— No pewnie. Jestem przecież normalną kobietą. A co pan najbardziej lubi? — spytała nagle.

— Papierowe garnitury dla umrzyków — odpowiedział bez namysłu.

— Inteligent z pana, Sidałkowski. Prawdziwy inteligent. Nawet w łóżku mówi pan do mnie „pani”. Takiego mężczyzny jeszcze nie miałam. A było już tych mężczyzn, było... — rzekła z rozmarzeniem. — I niech pan nie myśli, że byle jacy. Sami wysoko postawieni. Jeden to nawet skakał z wieży do wody. A drugi znów był sędzią. Od siatkówki. Zawsze siedział wysoko nad siatką i gwizdał. Ale najbardziej mi dogadzał pewien perkusista z konserwatorium. Miałam też chłopaków z orkiestry dętej. A jak pan myślał? Podczas defilady szli nawet przed generałem. — Mary wlaźła pod kołdrę. — Pan, Sidałkowski, to jak ten Marko Płut* Pan artysta. Aż strach, jaki pan edukowany! Miałam jednego takiego dobosza. I on, tak jak pan, też sypał takimi różnymi powiedzeniami. I też nie lubił kochać się w

Marko Płut — nieznaną bohater nieznanego utworu.

ubraniu, więc się zawsze rozbierałam. Bo lubię mężczyznom dogadzać, rozumie pan, Sidałkowski?

Sidałkowski to rozumiał. Zwłaszcza w sytuacji, kiedy w kieszeni nie miał ani kopiejki, a nad głową nawet takiego dziurawego własnego dachu, jak nad domem Karapet. Dlatego na razie płacił jej fałszywą czułością i wyszukany mi komplementar .

ROZDZIAŁ DWUNASTY

w którym opowiada się o kolegach-selekcjonerach, głuchym miasteczku, niespodziewanym spotkaniu, jedynym pociągu pasażerskim, dwukrotnie postrzelonym zającu, listach, lekarce, hobby, wróblach, kawalerze w delegacji oraz o Adamie i Ewie

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Sidałkowski przybył z prowincji do stolicy, ze stolicy na prowincję wybrał się kasjer „Findipoczu” Adam Baronecki. Wysiadł na stacji tak zwanego głuchego miasteczka, w którym żona, pokłóciwszy się z mężem, nie może go zdradzić z obcym, nawet gdyby tego bardzo chciała, bo miasteczko jest tak małe, że każdy wie o drugim wszystko, a nawet więcej niż sam o sobie. Moda przychodzi tu z takim opóźnieniem, że przyjezdny odnosi wrażenie, iż miasteczko to znacznie wyprzedza pod tym względem stolicę. Kiedyś było siedzibą powiatu, miało kilka dwupiętrowych domów, potem jednak zdegradowano je pod względem administracyjnym i włączono do większego powiatu. Pozostały pomieszczenia rady powiatowej, banku państwowego, zakładu ubezpieczeń oraz filia urzędu pocztowego z dwiema telefonistkami, Ameryki, ale nie z sąsiednią wsią. Prowadzono tu tylko które bez przeszkód mogły połączyć z każdym miastem ko telefoniczne rozmowy urzędowe i oficjalne, związane

jak telefonogramy, bo o ich treści po pół godzinie wiedzieli już wszyscy mieszkańcy. Może właśnie dlatego starano się utrzymywać z telefonistkami jak najlepsze stosunki, podobnie jak z dyrektorem miejscowej herbaciarni, który zawsze miał dla bliższych znajomych butelkowe piwo i wódkę z pieprzem. Telefonistki wiedziały o wszystkim: znały najbardziej intymne tajemnice, wiedziały, kto i w kim jest zakochany i kto z kim miał się spotkać, i to wcześniej, niż zainteresowani to planowali.

Jedyny pociąg pasażerski „Januszpol—Kobyłatyn—Turbiny przez Żornówkę” przychodził tu raz na dobę (nim właśnie przyjechał Adam Baronecki), co za każdym razem stawało się prawdziwym wydarzeniem. Na pół godziny przed przyjazdem pociągu przybywali na stację niemal wszyscy mieszkańcy, choć rzadko który z nich kogoś witał lub żegnał, a jeszcze rzadziej wyjeżdżał sam. Tutaj wyznaczano sobie spotkania, tu załatwiano i omawiano różne interesy, tu umawiali się zakochani. Pierwsze odbywały się w bufecie dworcowym przy kuflu piwa i „stugramówce” (nazwa raczej symboliczna), randki miłosne natomiast — w zagajniku przylegającym do stacji kolejowej lub na zapuszczonym skwerku, który nawet na wiosnę przypominał późną jesień.

W dzień powszedni przyjeżdżał tu zwykle jeden pasażer, w dni świąteczne — dwóch lub trzech. Wszystkich przyjeżdżających tu znali jak własną biografię. Nawet jeśli ktoś przyjeżdżał do miasteczka po raz pierwszy, to już wcześniej wiedziano, do kogo i po co. Adam Baronecki przybył incognito jak Gogolewski rewizor, co szczególnie intrygowało mieszkańców. Kto to jest? do kogo przyjechał? w jakim celu?

Ledwie zdążył dotknąć stopą peronu, kiedy wszyscy razem zaczęli mu się bezceremonialnie przyglądać, jak doświadczeni ichtiolodzy złowionej, ale nie znanej do-

tąd rybie. Kuchłyk chętnie zapadłby się pod ziemię, ale peron był wyasfaltowany i to mu się nie udało. Tłum ciekawskich powiększał się. Adam zrobił kilka niezrozumiałych piruetów, a ujrawszy szyld z napisem „Bufet”, zrozumiałym nawet dla cudzoziemców, ruszył w jego stronę.

Nagle z tłumu wyłoniła się grupa dziewcząt z kwiatami i podbiegła do Baroneckiego.

— Pan z Kijowa? — spytała najodważniejsza.

— Tak. A co?

— Pan jest Lonia?

— Nie, Adam — odetchnął z ulgą.

— Więc pan nie Lonia — mówiły rozczarowane, a kwiaty w ich rękach smutno zwiesiły kielichy. — To znaczy, że Lonia nie przyjedzie...

Adam stał zmieszany, przekładając teczkę z jednej ręki do drugiej.

— Chodzi o to — wyjaśniła dziewczyna, która mogłaby zostać „miss piękności”, gdyby takie konkursy się odbywały — chodzi więc o to, że jedna z naszych dziewcząt korespondowała z pewnym kijowskim chłopcem. Znali się tylko z listów i fotografii, Lonia jest trochę podobny do pana. Miał przyjechać właśnie tym pociągiem, ale nie przyjechał...

— Może jeszcze przyjedzie — pocieszał nieśmiało Adam.

— Do nas pociąg przyjeżdża tylko raz na dobę. A pan do kogo przyjechał, jeśli to nie sekret?

— Ja? — spytał stropiony. — Służbowo. Żeby zbadać popyt... w małych miastach... Na czapki. Jestem socjologiem — przyznał się szczerze jako człowiek uczciwy. — Z „Findipoczu” — zakończył z dumą.

— To może pan pójdzie z nami? — zaproponowała jedna z dziewcząt, wyczuwając w Adamie pokorę i łagodność.

„Z dziewczynami trzeba śmiało i natarczywie — po-

uczał nieśmiało Adama teoretyk życia rodzinnego okresu matriarchatu Mychajło Chowraszkiewicz. — Zgodnie z socjologicznymi badaniami, a także z moim własnym doświadczeniem na dziesięć dziewczyn tylko od pięciu dostaje się po gębie. Ale to choleryczki i histeryczki. Bo sangwinczki i pykniczki są bardziej opanowane”. Adam zawsze słuchał go z największą uwagą, ale tej głębokiej wiedzy z teorii stosunków męsko-damskich nie udało mu się dotąd sprawdzić w praktyce, podobnie zresztą jak Chowraszkiewiczowi. Obaj bowiem należeli do gatunku mężczyzn, których tylko kobieta bardzo sprytna i doświadczona może zaprowadzić do urzędu stanu cywilnego.

— No to co? Pójdziemy? — nalegało dziewczę.

— Zgoda! — Adam ścisnął w dłoni rączkę teczki.

— Pan rozumie... Wszystko zostało już zaplanowane. A teraz... Lonia nie przyjechał, a chłopców przychodzi zawsze mniej niż dziewcząt.

— Rozumiem — Adam skinął głową i ruszył do bufetu, który mieścił się w końcu sali dla przejezdnych, ale przejezdnych tu nigdy nie było.

— Pan dokąd? — spytała jedna z dziewcząt.

— Do bufetu.

— Nie trzeba. Myśmy wszystko przygotowały.

Adam spojrzał na półki bufetu, szukając szampana. Na lewo były słabo zamaskowane drzwi, jak wejście do schronu przeciwlotniczego. „Pokoik dla naczalstwa” — domyślił się.

Za kontuarem z papierowymi szpulami, przypominającymi urządzenia w trolejbusach bez konduktorów, piegowata bufetowa sprzedawała kwitki na kotlety i gulasz. Obok niej stały odkorkowane flaszki z różnymi etykietkami, szklanki oraz nadtłuczona szklaneczka z podziałką. Bufetowa jedną ręką liczyła pieniądze, drugą wydawała resztę, nie zapominając przy tym w odpowiednim momencie i miejscu poczochnąć się. Pa-

trzymała na wszystkich wyniośle. Takim właśnie wyniosłym spojrzeniem zmierzyła Adama, ale domyślając się w nim obcego, odsunęła gestem stałych bywalców, którym się nigdy donikąd nie spieszyło, i zwróciła się do Kuchłyka:

— Słucham pana.

— Butelka szampana i bukiet kwiatów — wypalił Adam i sam przeraził się swoich słów, zwłaszcza ostatnich.

Ktoś parsknął w kułak, ale bufetowa syknęła na niego. Była kobietą doświadczoną i praktyczną: a co, jeśli jutro okaże się, że ten brzuchaty człowieczek jest kontrolerem?

— Szampan, proszę bardzo — powiedziała takim tonem, jakby właśnie dziś rozpoczął się miesiąc kulturalnej obsługi gości. — Ale kwiatów nie prowadzimy. Ten asortyment nie leży w naszym profilu... Dostanie pan na placu przydworcowym w kwiaciarni „Tulipan”. Można też kupić prywatnie u kwiaciarek.

Zanim Kuchłyk dojdzie do chwilowego miejsca przeznaczenia, postaramy się uzupełnić jego portret.

Ubrany był w szary garnitur, przeznaczony tylko do wyjazdów służbowych, oraz w płaszcz przeciwdeszczowy typu „bolonia”, który już odkleił się w dwóch miejscach; Adam oddawał go do specjalnego punktu usługowego, znanego z przekraczania planów usług, ale za każdym razem musiał reperować płaszcz we własnym zakresie. Między dwoma rogami podniesionego kołnierza tkwił załamany nos zawodowego boksera, chociaż Kuchłyk ringu nawet na oczy nie widział.

W pokoju, do którego przyprowadzono Kuchłyka, dziewczęta nakrywają do stołu, przecierają kieliszki, kroją kielbasę i szynkę. Nie przeszkadzajmy im więc i kontynuujmy spokojnie biografię Baroneckiego. Będzie ona, jak to w życiu, raz wesoła, raz smutna. Ale częściej smutna, bo Adam miał skłonności do pesymiz-

mu. Uważał się za urodzonego pechowca: dynie kupował przejrzałe, kawony — zielone, orzechy — puste, owoce — robaczywe, a na loterii wygrywał najwyżej rubla, chociaż przy każdej wypłacie wydawał na nią dziesięć rubli.

W charakterze Adama było coś z zająca, do którego strzelali już dwa razy, po czym wpadł w samochodowe reflektory. Dlatego w jego oczach tała się czujność zmieszana z lękiem, ale też i dziecięca ufność. Przejmował się byle głupstwem. Kiedy ktoś przypadkowo z nim się nie przywitał, Adam nie potrafił już tego dnia pracować. Myślał, analizował, szperał w pamięci, szukając przyczyn. „Dlaczego? O co chodzi?” Jeśli ktoś ze zwierzchników podnosił głos, Adam był pewien, że popadł w niełaskę i że padnie ofiarą najbliższej kompresji etatów. Kiedy na zebraniu lub kolejnej naradzie ktoś wypowiedział pod jego adresem krytyczne uwagi, Adam przez całą noc nie zmrużył oka, rano zaś był zdecydowany napisać podanie o zwolnienie „na własną prośbę”.

— Pan tak długo nie pociągnie — mówiono mu. — Trzeba być takim jak Bubon, po nim wszystko spływa jak woda po gęsi.

Był przedmiotem różnych kpin i kawałów. Często wzywano go do telefonu, a to w imieniu Nieszczadyma, a to samego Stratona Stratonowicza, pisano do niego różne listy, wyznaczono fikcyjne spotkania itp.

Pewnego jednak razu Adam był już bliski szczęścia: zawarła z nim znajomość pewna lekarka z Sum imieniem Kława.

— Oto mój adres — podała mu kartkę na pożegnanie. — Proszę napisać.

Ale jego radość nie trwała długo. Okazało się, że nie potrafi pisać listów do młodych kobiet. Więc w sekrecie zwrócił się w tej sprawie do Chowraszkiwicza, który zawsze zapewniał, że wie o kobietach wszystko

i dlatego sam się nie żeni. Chowraszkiewicz napisał taki list, iż sam nie wierzył, że jest jego autorem.

Kławie się list podobał i wkrótce Adam otrzymał odpowiedź.

„Boże! — zaczynał się jeden z akapitów listu. — Jak pan pięknie pisze listy, z jakim naukowym podejściem. Proszę się nie obrazić, ale nie wygląda Pan na to. Pisze Pan jak Bernard Shaw. To nie list, a prawdziwa beletrystyka. Zwierciadło Pańskiej duszy. W jak naturalny sposób Pan pisze! To nie list, lecz rozmowa międzymiastowa. A co wychodzi u mnie? Ankieta biurokratyczna”.

„Pyta Pan — czytał dalej — czy nie jestem rozczarowana. Co Pan, Panie Adamie! Proszę mi wierzyć, że nawet nie wyobrażałam sobie, iż w naszych burzliwych i pełnych nerwowego napięcia czasach (wiem to jako lekarz) są jeszcze tacy wstydlivi i skromni mężczyźni jak Pan. Odnosi się wrażenie, że Pan nie miał dotąd żadnej kobiety. Ależ Pan jest jak święty! Chciałabym chociaż trochę być podobna do Pana.”

„Adamie, mój drogi Kuchłyku — pisała Kława w zakończeniu listu. — Proszę pisać jak najczęściej swoje natchnione, jak wiersze młodego poety, listy. Tylko nie kosztem swego snu, jak Pan to robi. W nocy trzeba spać. Pan przecież nie Balzac.”

Findipoczowski kasjer kwitł tego dnia, jak róża pod oknem Chowraszkiewicza. Obaj byli szczęśliwi: jeden zdobył kobietę, na drugim poznał się świat jako na prawdziwym poecie.

— Niech mi pan napisze jeszcze jeden list, Mychajle Tanasowiczu — błagał Kuchłyk. — Po takiej odpowiedzi sam tym bardziej nie mogę pisać.

— Dobrze — zgodził się Chowraszkiewicz. — Tylko trochę później.

— Zatelefonuję do pana z powiatowego wydziału finansowego. Zdajemy tam z Karolem Iwanowiczem kwartalne sprawozdanie.

Po południu list Chowraszkiewicza był gotów. Adam wysłuchał go z dużą uwagą.

— Wprost cudownie! — zawołał z zachwytem. — Jeśli pan już tak łaskaw, to proszę również i adres napisać swoim pismem. A u mnie ma pan butelczynę.

Wkrótce przyszedł Pancziszka. Był w tak odświeżonym nastroju, jakby jego Majolika kupiła nowy różowy pufik.

— Napisałem list do Kławy — pochwalił się Chowraszkiewicz. — Za Kuchłyka.

— A może napiszemy inny? — zaproponował Masik, który umierał z nudów.

„Droga Kławo! — rozpoczął Pancziszka. — Pani odpowiedź, wysłana 13.3.1970 roku, zrobiła na mnie większe wrażenie niż obrona mojej pracy doktorskiej i powołanie mnie na wiceministra przemyślu lekkiego. Nie wyobraża Pani sobie, Kławo, jaki jestem szczęśliwy! Kiedy wyjdzie Pani za mnie za mąż (a pobierzemy się na pewno!), zabiorę Panią natychmiast z Sum do Kijowa. Będziemy nie tylko mieszkać w samym centrum, ale wyjeżdżać do mojej podmiejskiej daczy, gdzie w każdą sobotę i niedzielę łapię wróble. To moje prawdziwe hobby. Bardzo lubię te małe passery (to nazwa łacińska). Są z rzędu wróblowatych. Długość 16—18 cm. Zdarzają się i większe. Waga 25—28 g. Żyją niemal na całej kuli ziemskiej, z wyjątkiem centralnej Afryki i Antarktydy. U nas, na Ukrainie, zaaklimatyzowały się dobrze. Występują tu dwa gatunki: wróbel domowy, czyli demesticus, i mazurek, czyli montanus. Mają mocny, stożkowaty dziób, skrzydła krótkie i długi ogon. Kolor brązowoszary. W zależności od sezonu i lokalnych warunków mogą być szkodliwe lub pożyteczne. Oczywiście, jeśli zechcą.

Wyjeżdżam teraz często służbowym samochodem w okolice Puszczy-Wodyci lub Darnicy i tam je łowię. Zdarzają się dni, że przywożę ich po sto, a nawet po sto

piećdziesiąt. Zapyta Pani zapewne: «A po co je Pan łąpie?» Odkryję Pani moją tajemnicę (teraz można już powiedzieć: «naszą tajemnicę»). Dla puchu, Kławo. Dla puchu. A nie dla pierza. Kiedy weźmiemy ślub, to będzie Pani spać na takich miękkich poduszkach i pierzynach, na jakich nie spał dotąd nikt na świecie. Nawet sam prezydent Ameryki.

Chciałbym się jeszcze pochwalić, że umiem piec wspaniałe pierogi z mięsem i ciasteczka z rodzynkami. Więc nigdy nie będzie Pani musiała zajmować się ani pieczeniem, ani kupowaniem ciasta...”

Po kilku dniach Adam otrzymał od Kławy list. Krótki jak zajęczy ogon: „Nie wiem, kto Pana mianował wiceministrem i w jaki sposób obronił Pan pracę doktorską, ale wiem, że Pańską żoną nie będę nigdy. Proszę wybaczyć, ale jako lekarz podejrzewam u Pana stan maniakałny. Radzę pić przez trzy miesiące na pół godziny przed jedzeniem haloperidol. Piszę po łacinie: Haloperidolum, i na wszelki wypadek załączam receptę. Z poważaniem Kława W.”

Żart był okrutny i niecny. Przez dziewięć dni i dziewięć nocy z błękitnych ufnych oczu Adama ciekły obfite, zupełnie niemęskie łzy. Później istotnie musiał zacząć zażywać wprawdzie nie haloperidol, którego nie mógł nigdzie dostać, lecz belaspon i elenium. Po zakończeniu leczenia Adam znienawidził cały świat, wszystkich findipoczowców bez wyjątku, i zaskorupił się jak ślimak. Teraz polegał już tylko na sobie i na „setce” dodającej mu śmiałości. Wypijał setkę przed wyjściem z domu, ale po wyjściu na ulicę nieśmiałość znów wracała, wypijał więc jeszcze jedną. Po takich dwóch setkach spotkał go raz Kowbyk.

— Ono skończy wnet na odwykówce, jeśli nie w domu bez klamek — powiedział w „Findipoczu”.

Słowa te powtórzono Adamowi. Od tego czasu więcej

już nie odważył się ani pić, ani podchodzić do kobiet.

Tym razem jednak Adam wypił nie tylko dla kurażu, ale i dla urzeczywistnienia pewnego zamysłu, który pojawił się tak nieoczekiwanie, jak dynia na grządce, gdzie posiano ogórki. Siedział przy zastawionym stole jak dżokej na torze wyścigowym i lustrował spojrzeniem kolejno wszystkie dziewczęta, czym zupełnie je zbił z tropu: żadna nie mogła się zorientować, która z nich wpładła przyjezdnemu jeśli już nie w serce, to chociaż w oko. Dziewcząt było pięć, Adamowi wydawało się jednak, że jest ich dwa razy więcej i że są dwa razy piękniejsze niż na dworcu. Nie miał jakichś szczególnych upodobań, podobały mu się jednakowo wszystkie. Kiedy alkohol już dobrze uderzył mu do głowy, powziął desperacką decyzję: dziś albo nigdy!

— Dziewczęta — wstał, chwiejąc się lekko. — Jestem kawalerem! — dodał uroczyście.

— Kawaler na delgacji — zawołał ktoś i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Nie żartuję. Jestem rzeczywiście kawalerem. Mogę pokazać dowód osobisty. Nie jestem żonaty. I mogę tego dowieść: która pójdzie dziś ze mną, z tą jutro pójdę do urzędu stanu cywilnego — zakończył nieoczekiwanie dla samego siebie i usiadł, jak oskarżony po ostatnim słowie, czekający na wyrok.

W pokoju zapanowała taka cisza, jaka zdarza się tylko na zebraniach związku zawodowego w momencie, kiedy mają odczytać listę przydziału mieszkań. „Czyżby mi nie wierzyły? Czyżby przyjęły moją propozycję za głupi żart?” Przypomniał sobie jednak pouczenie Chowraszkiewicza: „W takich sprawach najważniejsza jest śmiałość. I tupet!”

— Ja nie żartuję. Mówię poważnie. Zabiorę żonę do Kijowa. Mam tam własne mieszkanie! — rzucił na szalę najważniejszy atut. — Kawalerka — dodał nieco

ciszej. — Służbowa, z „Findipoczu”. W budynku dla uczonych. Nie kłamię.

— Ale zalewa — doleciało jego uszu.

— Będziemy mieszkali w Kijowie. Niemal w samym śródmieściu — zapadając się w łóżko i w niepamięć mówił już do poduszki.

...Ranek nad dawną stolicą powiatu rozpoczął się wcześniej niż to przewiduje kalendarz. Adam leżał pod rajskimi krzewami, podobnymi do magnolii. Obok niego płynęły gęsi czy może łabędzie, namalowane na ścianie przez czołowego miejscowego malarza. Adam nie mógł się zorientować, gdzie się znajduje. Głowę rozszadzało jak kawon przepełniony sokami i słońcem. Strasznie chciało mu się pić. Przewrócił się na bok. Obok niego ktoś leżał.

— Kim pani jest? — spytał, dotknąwszy czegoś ciepłego i miękkiego.

— Jestem Ewa. Twoja Ewa, Adamie.

— Nie o to mi chodzi, że pani jest w stroju Ewy — rozżłościł się nagle Adam. — Pytam, jak pani na imię.

— W dowodzie osobistym Eugenia. Ale wołają na mnie Ewa. Mam pokazać dowód?

Ale Adamowi wystarczył inny dowód: jej piękność.

— Obiecałeś się ze mną ożenić, Adasiu — mówiła czule. — Wszyscy chłopcy i dziewczęta to słyszeli.

Adam rozplakał się.

— Co, chcesz się wycofać? — spytała z lękiem.

— Płaczę ze szczęścia, Ewo. Trudno mi uwierzyć w takie szczęście. Może mi się to tylko śni, wołę się nie budzić — i zamknął oczy.

Leżał przez chwilę dokonując korekty mitu o stworzeniu człowieka. Pan Bóg stworzył najpierw Ewę, a Adama później. Włożył w nią cały swój talent, więc wyszła boska. A na Adama nie starczyło już natchnienia ni sił...

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

w którym opowiada się o handlowym hasle miesiąca, dyrektorze, jego sympatycznej sekretarce, dokładnych porcjach, sprzedaży losów loteryjnych, Waliko, Wirze, Nadiji i Lubow, Tartufie, wiecznej młodości i okrutnym ciosie*

Karapet promieniała jak wyczyszczony aluminiowy rondel od spodu.

— Jak tam moja idea? — zainteresował się Sidałkowski, nie wstając z łóżka.

— Pan o tym hasle miesiąca? — Karapet poprawiła spiętrzone na głowie loki, które przekrzywiły się. — Otrzymałam premię. Trzeba to jakoś uczcić. Może pójdziemy do kina? Albo do nowej kawiarni „Placek z makiem”? Teraz w sklepie wszyscy mi zazdroszczą i nie wierzą, że to ja wymyśliłam. Ale im się przyznałam, że to lokator, student z wyższych lat.

Sidałkowski przypomniał sobie ten dzień, kiedy Mary przybiegła ze sklepu spożywczego, w którym była ekspedientką, i opowiedziała mu o zebraniu. Kierownik sklepu marzył o tym, by zadziwić przełożonych jakąś nową, oryginalną inicjatywą. Był stanowczo przeciwny wszelkim wyświechtanym już „dekadom” czy „tygodniom” pod hasłem „Sprzedawca i klient kochają się jak bracia”.

— Musi być coś nowego, coś oryginalnego! — wołał, obiecując inicjatorom i pomysłodawcom wysoką premię.

Wówczas Sidałkowski podsunął za pośrednictwem Karapet hasło: „Pieniądze lubią obieg, a towar klienta!” Kierownikowi hasło się spodobało, nie mógł jednak za-

Popularne na Ukrainie (i w Rosji) imiona, które w przekładzie polskim oznaczają wiarę, nadzieję i miłość.

akceptować pierwszego z brzegu. Karapet wróciła do domu smutna.

— To głupstwo — zawyrokował beztrósco Sidałkowski, wychylając kieliszek importowanej wódki. — Premia i tak będzie nasza.

W głowie Sidałkowskiego było tyle pomysłów, co zwojów mózgowych, dlatego nigdy nie upadał na duchu. Wziął natychmiast arkusz papieru i swym pięknym pismem wykaligrafował: „Miesiąc kulturalnej obsługi zakończymy przed terminem!”

— A jeśli to nie chwyci, proszę zaproponować swemu kierownikowi jeszcze jedno hasło: „W naszym sklepie dla wygody klientów pracuje niemy sprzedawca”. Trzeba by to powiesić na drzwiach wejściowych. A kierownik niech wydzieli w sklepie „kącik niemej ekspedientki”. Za wykonanie planu utargu gwarantuję!

Inicjatywa Sidałkowskiego zdobyła duże uznanie i popularność, a wraz z nią i Karapet. Stała się inicjatorką współzawodnictwa w „niemym sprzedawaniu”, jej fotografię umieszczono w gazetce ściennej „Waga i reszta”. Zamówiono zarazem odpowiednie reklamy, transparenty, organizowano masówki i narady. Wkrótce akcję tę podjęła sąsiednia dzielnica. Sidałkowski, dowiedziawszy się, że jego hasło „Miesiąc kulturalnej obsługi zakończymy przed terminem” zmieniono na „Miesiąc kulturalnej obsługi zakończymy w ciągu tygodnia”, nie wytrzymał. Wyprasował spodnie, zmięte od ciągłego leżenia na łóżku, włożył buciki i wybrał się do dyrektora dzielnicowego zarządu zaopatrzenia w artykuły spożywcze.

Przestąpił próg urzędu z miną inspektora państwowej inspekcji handlowej.

— Proszę przekazać dyrektorowi, że przybył Sidałkowski — powiedział sekretarce, która przed otrzyma-

niem tej posady wygrała niewątpliwie zamknięty konkurs „Wdzięk i uroda”.

— Pan będzie łaskaw. Chwileczkę — zatrzepotała rękami, w wyniku czego w sekretariacie powiał łagodny wietrzyk, zniknęła za obitymi czarną ceratą drzwiami i po chwili znów się zjawiała.

— Proszę bardzo, towarzyszu Sidałkowski. Towarzysz Kalistrat Polikarpowicz oczekuje pana.

Nie zamierzamy opisywać szczegółowo spotkania Sidałkowskiego z dyrektorem Kalistratem Polikarpowiczem, bo ten ostatni jest w naszej powieści postacią epizodyczną, streścimy je tylko w kilku słowach. Otóż Sidałkowski wrzał z oburzenia i w wyniku temperatury wrzenia dyrektorskie czoło zrosił rześisty pot. Potem dyrektor długo ścisnął dłoń Sidałkowskiego.

— Towarzyszu Sidałkowski, pomyłka będzie natychmiast naprawiona. Ango — zwrócił się do dziewczyny o skrzydlatych rękach, która Sidałkowskiemu bardzo się podobała, przemógł jednak to w sobie dla idei. — Ango, proszę przekazać do wszystkich naszych filii, żeby usunąć stare transparenty i wywiesić nowe.

— Ale te wiszą dopiero trzy dni — próbowała oponować Anga.

— Ango — dyrektor zmierzył ją spojrzeniem zgoła nie ojcowskim. — Hasłem tego miesiąca będzie... Przepraszam, towarzyszu Sidałkowski... Jak wyście powiedzieli?

— Dokładna waga towaru miarą uczciwości sprzedawcy — odpowiedział Sidałkowski i wyszedł bardzo z siebie zadowolony, nie spojrzawszy nawet na dyrektora.

W domu zrzucił marynarkę i położył się na łóżku. W powietrzu zwalczały się wzajemnie dwa zapachy: tanich perfum i papierosów „Desdemona”.

— W dzielnicowym wydziale handlu — przebiera-

jąc się za szafą informowała Karapet — proponują panu pracę.

— Jaką?

— Sprzedawcy losów loteryjnych.

Sidałkowski skrzywił się tak, jakby ugryzł nadgniły pomidor.

— Powiedzieli — ciągnęła dalej, nie dostrzegając jego miny — że pańska głowa to prawdziwy gabinet ministrów. Dlaczego miałyby pan nie spróbować? I tak nie ma pan nic konkretnego na widoku.

— Meri, proszę wyjść z za szafy i spojrzeć na mnie.

Wyszła i z niepokojem zaczęła się rozglądać.

— No, niech pani na mnie spojrzy. Proszę dobrze mi się przyjrzyć i powiedzieć obiektywnie, jak sędzia o wyroku przed rozpoczęciem śledztwa: Sidałkowski i sprzedaż loteryjna? To przecież świętokradztwo! Albo szczyt paradoksów! Matka-przyroda nie po to mnie ulepiła, żebym sprzedawał losy loteryjne.

— Ale ktoś przecież powinien to robić.

— Tak, Meri. Ale dlaczego sądzi pani, że powinien tym zajmować się właśnie Sidałkowski? Do wyższych rzeczy jestem stworzony.

— Ale panem zainteresował się już nasz dzielnicowy, Wasia Saprykin. „Musia — pyta mnie wczoraj — kto u ciebie mieszka? A ja mu odpowiadam: „Student”.

— Zgadza się. Tylko trzeba było dodać: wieczny.

— Co „wieczny”?

— Wieczny student z jednym egzaminem z literatury antycznej.

— No więc jak: bierze pan tę pracę?

— Oświata mi nie pozwala. Nie ukończone wyższe wykształcenie.

— Ciągłe ta sama śpiewka.

— Takie jest życie — Sidałkowski teatralnym ges-

tem rozłożył ręce. — Im większa wiedza, tym mniejsze możliwości.

— Niech pan na razie sprzedaje te losy, zanim znajdziemy ten pański „Findipocz”. Mógłby pan trochę zarobić. Co prawda, nie ma pan dokumentów i dlatego nie mogliby panu powierzyć losów, ale ja mogę to wziąć na siebie. Ufam panu.

— Mersi — schylił kurtuazyjnie głowę.

— Więc jak? Zgoda?

— Niech będzie, jak pani chce. Tylko że potrzebny mi jest inny garnitur. Wszystko mam z importu: marynarkę, spodnie, koszulę, krawat, spinki, buciki, okulary.. Tylko ja sam z Wapniarki..

Sidałkowski zamyślił się. „Z moimi walorami... Jako kelner w restauracji hotelu «Inturist» to jeszcze, ale sprzedawać losy... Nigdy!”

— Jeśli dobrze pójdzie, to może pan nieźle zarobić. I będzie pan miał swoje pieniądze.

Po dwu dniach Karapet przyniosła kilka paczek losów i koło, podobne do tego, w jakim kręci się wieiórka w ogrodzie zoologicznym.

Sidałkowski przebrał się w inny garnitur, który Karapet wyjęła z szafy.

— To po Waliko. Moim Gruzynie. Uciekł gdzieś na Kaukaz. Jeździłam za nim, alem go nie znalazła. Schował się gdzieś w swoich górach. A mówił, że wróci. Tylko spojrz na Gruzję. Gruzini kochają swoją Gruzję bardziej niż kobiety. Mawiał do mnie: „Droga moja, bez Gruzji nie mogę żyć tak jak bez ciebie”.

— To dobrze czy źle?

— Dla Gruzji dobrze, ale dla mnie źle. Przysięgał, że wróci. A wziął i uciekł.

— I zostawił pani na pamiątkę ten garnitur?

— I Tamarę. Jak pan chce, to poznam pana z nią. Nie Tamara, a prawdziwa caryca gruzińska. Tylko bierz

i maluj jej portret. Wszystkie moje dziewczęta są takie ładne.

— A ile ich jest?

— Trzy: Wira, Nadija i Lubow.

— Szeroki asortyment...

— A jedna ładniejsza od drugiej — wyjęła album.

— Proszę spojrzeć. To Wira, najstarsza, wyszła już za mąż. Nadija się rozwiodła, a Lubow właśnie ma zamiar...

— Też się rozwieść?

— Nie, wyjść za mąż. Niech pan uważa, że się panu poszczęściło. Wyrażam swoją zgodę na wasz ślub. Chłopak z pana do rzeczy... I sprawdzony... Możecie się pobrać. Nie ma pan innego wyjścia. Niech pan bierze Tamare, pokorna i łagodna — reklamowała Mary towar własnej produkcji takim tonem, jakby nie miała pewności, czy jest na niego popyt. — Lepszej żony od Tamary pan nie znajdzie.

— Ale mówiła pani, że ona ma na imię Luba.

— W dowodzie osobistym jest Luba, tak jak ja Dusia. A w życiu Tamara. Bardziej jej z tym imieniem do twarzy. Oto ona — Karapat przewróciła kartkę albumu. — Proszę spojrzeć. Czy nie jest pana godna?

Sidałkowski wziął album do rąk jak świeżo upieczony saper minę nieznannej konstrukcji. W pokoju załęgła cisza. Na Jewgrafa patrzyła Tamara, nudna właścicielka krągłych kolan, obciągniętych kapronami w jego ulubionym kolorze.

— Może pan ją sobie wziąć. Nie mam nic przeciwko takiemu zięciowi — dodała. — Tamara jest aktywistką. Zajmuje się twórczością amatorską, tańczy, wita różne delegacje. Mieszka w hotelu robotniczym, ale zapisana jest w kolejce na mieszkanie.

„O tym wszystkim już wiem” — pomyślał.

— W fabryce przyrzekli jej, że dostanie mieszkanie,

jak tylko wyjdzie za mąż. Urządzimy wesele na cały Kreszczatyk!

„Tar-tuffe, Tar-tuffe — serce Sidałkowskiego wybi-
jało rytmicznie to słowo. — Tartuffe, słyszysz? Masz
się żenić z córką, a żyjesz z jej matką. A może to nie
ona?”

— Jakie pani córka nosi nazwisko?

— Która?

— Jak to, każda nazywa się inaczej?

— A jak pan myślał? Najstarsza Budkiewicz, śred-
nia Karapetian. To był prawdziwy mężczyzna! Nie
stroił się wprawdzie tak, jak pan, ale nie był gołodup-
cem. Zarabiał dużą forszę!

— A skąd pani wie, że jestem gołodupcem? — spy-
tał kwaśno Sidałkowski.

— A co to nie widać? Niby arystokrata, a tylko tyle,
co na panu.

Sidałkowski podszedł do serwantki i wyjął butelkę
sherry.

— No to pod tego zięcia — uśmiechnął się krzywo,
nalewając kieliszki.

— To rozumiem — uśmiechnęła się Karapet. — Ta-
kich to lubię.

Mary wyjęła z torby dwa donieckie „Guliwery”.
Sidałkowski trącił się z nią kieliszkiem i wypił.

— Moja średna córka — Karapet wyjęła papierosa
„Desdemona” i postukała nim o pudełko. — Więc śred-
nia, jak już mówiłam, to Nadia. Nadia Karapetian.
A najmłodsza, Luba, to właśnie ta, którą pan bierze.
Luba Gogoszwili. Z tym Waliko, o którym panu opo-
wiadałam. Tak że oddaję ją panu razem z posagiem
— wskazała na garnitur Waliko.

— Sądząc po pani córkach, ma pani bogatą biografię.

— Polaka jeszcze nie miałam. Pan pierwszy.

— Nie jestem Polakiem, tylko Ukraińcem.

— Nie szkodzi, z Ukraińcami najlepiej mi się żyje.

— Ilu pani miała już mężczyzn?

— Oficjalnie czterech. Pan może być piąty, jeśli pan chce. Podoba mi się pan...

— Mezalians — uśmiechnął się. — Oficjalnie czterech, a nieoficjalnie?

— Wprowadza mnie pan w zakłopotanie.

— Jestem przekonany, że pani już dawno wykonała plan z dużą nadwyżką, a są przecież kobiety, którym daleko jeszcze do wykonania planu.

— Nie rozumiem, o jakim planie pan mówi. W sklepie plan zawsze wykonuję, a nawet...

— Ale ja nie o tym... Według półoficjalnych danych na jednego mężczyznę przypadają u nas cztery kobiety. A u pani na odwrót. To nieładnie, Meri. Okrada pani swe siostry...

— Trzeba umieć żyć. Ja tylko pomagam ludziom, jak mogę. Daję ogłoszenia! Wynajmuję mieszkanie. Wiele kobiet tak robi, żeby złapać męża. Każdy się kręci, jak umie. Jeden jak mucha w ukropie, a drugi jak pieróg w śmietanie A pan mieszka u mnie, ale za mieszkanie nie płaci ani grosza.

— Nie za mieszkanie, tylko za łóżko. A dokładniej, za jedną dziesiątą łóżka.

— Niech będzie za łóżko, ale za ciepłe. Ale niech tam. Trudno człowiekowi żyć samotnie. A zwłaszcza takiej młodej jeszcze kobiecie jak ja. Jak pan sądzi, ile mam lat? Tylko niech pan nie żąda dowodu osobistego.

— Ja i bez dowodu widzę, że ma pani nie więcej niż trzydziestkę. Szkoda tylko, że pani najstarsza córka ma już dwadzieścia osiem...

— Pan jest bardzo złośliwy. A ja lubię mężczyzn delikatnych.

Sidałkowski na znak zgody skinął głową.

— No więc mówię, że powinien pan mieć swoje pie-

niądze. Chociażby na wodę mineralną. I chcę panu dać zarobić, a pan grymasi. Robota czysta, inteligentna, akurat coś dla pana.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

w którym opowiada się o powrocie Adama i Ewy z dalekich wędrówek, „Faktusie” i siódmym niebie, martwej naturze, Madagaskarze i Dahomeju, sukcesie Baroneckiego, jego podaniu i o dalekim imienniku

Zaabsorbowani Sidałkowskim, jak Chowraszkiewicz jeżami i piżmakami, zupełnie zapomnieliśmy o Adamie i Ewie, którzy zasługują, zwłaszcza Ewa, na nie mniejszą uwagę niż Sidałkowski i Chowraszkiewicz. Bez Adama i Ewy nie można by kontynuować tej powieści tak samo jak rodu ludzkiego.

No więc Adam powrócił ze swą ślubną żoną Ewą Granat; o tym, że Ewa została legalną żoną Adama, mogą zaświadczyć pieczęcie w ich dowodach osobistych, jak również wszyscy mieszkańcy miasteczka Przemyśłowa Bałka.

Adam przywiózł Ewę do Kijowa pociągiem pośpiesznym „Żornówka—Januszpol”. Młodzi wsiedli do trolejbusu, który postukując na skrzyżowaniach dowiózł ich do Ogrodu Botanicznego. Adam chciał pokazać Ewie dzielnicę, w której mieszkał, i ogród, w którym spacerowali zakochani i chodzili z tabliczkami na piersiach ci, którzy marzyli o zamianie dużego mieszkania na peryferiach na małe mieszkanie w centrum, i żeby koniecznie z widokiem na Kreszczatyk lub Sofijski Sobór.

Adam prowadził Ewę wśród egzotycznych drzew z tabliczkami na piersiach, wpatrzony w nią jak w gwiazdę filmową.

Weszli w kasztanową aleję. Na drzewach dopalały się ostatnie czerwone błyski, przypominające kolorowe świece w nocnym barze.

— To Kijów, Ewo — szepnął do niej Adam.

— To Kijów?... — w pytaniu Ewy był akceptujący zachwyty.

— Tak, Ewo, Kijów. To mój dom. — Wskazał na wysoki budynek.

— Ten? Taki wysoki?

— Tak. Najwyższy w mieście.

— Jakoś mi straszno, Adamie — Ewa przytuliła się do niego.

Adam mieszkał w tym domu na najwyższym piętrze, gdzie czuł się jak w siódmym niebie. Kiedy chmury przepływały nisko, Adamowi wydawało się, że siedzi w ponaddzwiękowym odrzutowcu. Ten nowy dom mieszkalny dla naukowców miał lakoniczną nazwę „Faktus”. Czuł się tu jak intruz wśród starych domów, pamiętających jeszcze czasy kniazia Jarosława. Plac, który z okien tych staruszków wyglądał bardzo okazale i przestronnie, z mieszkania Adama robił wrażenie małego skwerku dla dzieci, a ludzie przypominali lalki.

Na fasadzie budynku jaśniały kolorowe reklamy: „Foto”, „Um”, „Art”.

— Co to takiego? Fotograf? — spytała Ewa, wskazując na pierwszy neon.

— Nie, to kawiarnia dla pracowników naukowych. Wymyślono dla niej naukową nazwę „Foton”, ale ostatnia litera się przepaliła.

— A co to jest ten „Um”?

— To sklep. Jego pełna nazwa: „Wakuum”.

— Tutaj przepaliły się aż cztery litery, prawda?

— Tak, cztery.

— A „Art” to pewnie kawiarnia dla artystów.

— Nie, Ewo. To sklep z artykułami elektrotechnicznymi.

Ewa weszła do windy, która była przetronna i pusta jak kawalerski pokój. Ale nie Adama. Urządził go według najnowszych wymogów czasopisma „Rodzina i kłopoty”. Pokoik był mały, zaledwie czternaście metrów kwadratowych, ale Ewie podobało się tu, zwłaszcza fikusy i kapa z frędzlami.

— Ładnie tu! — zawołała i z miejsca zaczęła wszystko przemeblowywać po swojemu.

Wydawało się jej na przykład, że szafa stoi tam, gdzie powinno stać łóżko, a łóżko zajęło miejsce stołu. Ewa wyraziła życzenie, żeby na stole w glinianej misce leżały zawsze jabłka jako martwa natura.

W chwilach intymnych zbliżeń Ewa mówiła o sobie w trzeciej osobie, chociaż lubiła siebie w pierwszej.

— Adamie, rozwesel Ewę, Ewie smutno.

Adam nie miał pojęcia, jak to się robi, więc stawał na przykład na głowie, ale Ewy wcale to nie śmieszyło.

— Adamie, Ewa chce kawy. — A kiedy ruszał do kuchni po kawę, dodawała: — I jabłko. Przynies Ewie jabłko.

Zasypiała na jego piersi. A on bał się poruszyć, by jej nie obudzić, i tak z otwartymi oczyma, zdrętwiały, w niewygodnej pozycji leżał całą noc.

Rano poszli do drogiego Adamowemu sercu, a dalekiego i niezrozumiałego dla Ewy „Findipoczu”. Adam ciągle jeszcze nie wierzył w swoje szczęście. Spadło na niego tak nieoczekiwanie, jak i zmiana stanu cywilnego. Teraz w jednej ręce niósł teczkę, drugą zaś podtrzymywał Ewę z takim pietyzmem, jakby zdobył carski pektorał ze scytyjskiego kurhanu.

Był z natury milczący, teraz zaś ze szczęścia oniemiał zupełnie. Ciągle natomiast mówiła Ewa. Słuchał jej jak rajskiego ptaka z ogrodów Semiramidy.

— Adamie, to boli. Puść rękę Ewy.

Spełnił jej życzenie, ale nie spuszczał z niej oczu.

— Ewo, zaczekaj tu, na tej ławce, a ja wpadnę do Stratona Stratonowicza i wezmę urlop. Na trzy dni.

— To mało.

— To okolicznościowy. A potem wezmę urlop wypoczynkowy. Na cały miesiąc. Pojedziemy wtedy razem nad Morze Czarne. Aż do Odessy. A jak będą skierowania, to może aż do Charaksu.

— Będzie mi tu smutno samej. Weź Ewę z sobą.

— Straton Stratonowicz tego nie lubi. W naszym instytucie pracują wyłącznie mężczyźni.

— A ja chcę ich zobaczyć — Ewa wstała z ławki.

— Nic ciekawego. Tacy sami jak ja.

Oczy Ewy zaokrągliły się i stały się tak wielkie, że Adam odczytał odbite w nich findipoczowskie hasło. Ktoś wyjrzał przez okno, chyba Masik. Kiedy zobaczył Adama z kobietą, nie wierzył szybko i otworzył okno. Nie było wątpliwości: Adam stał w skruszonej pozie nad jakąś ślicznotką i, zdaje się, płakał. Wieść ta rozeszła się po „Findipoczu” z szybkością przekazu krótkofalowców. Nawet taki zawsze oficjalnie nadęty Neszczadym podszedł do okna. Tak, pomyłka wykluczona. Adam stał przed dziewczyną, trzymając ją za rękę i o czymś ją gorąco przekonywał. Ewa nie wyglądała ani na jego siostrę, ani tym bardziej na matkę. Była znacznie młodsza od Adama. Gładził ją w tej chwili po głowie, jak bez pamięci zakochany, który spędził na tej ławce z ukochaną noc i nagle z przerażeniem spostrzegł, że już dawno wzeszło słońce. Żegnał się teraz z nią tak, jakby wybierał się ponownie w podróż służbową, ale nie do jakiejś tam Przemysłowej Bałki, lecz przynajmniej na Madagaskar lub do Dahomeju.

— Ewie będzie smutno — powtarzała ciągle.

— Adam wnet wróci — odpowiadał tak, jak wszyscy zakochani.

Baronecki szedł teraz do Stratona Stratonowicza z podaniem. Napisał je własnoręcznie, bo po smutnych doś-

wiadzeniach z listami do lekarki z Sum już nikomu nie ufał. Podania, listy i sprawy miłosne przychodziły mu nielekkko, ale walczył z nimi, jak ze starą maszyną do liczenia, która od dawna już nie wybijała jednej cyfry. W cyfrach Adam kochał się tak, jak kiedyś w kobietach, tylko do tych pierwszych więcej miał oczywiście zaufania, cyfry nigdy nie sprawiały mu zawodu.

Adam wszedł do „Findipoczu” i ani się spostrzegł, kiedy znalazł się na dziedzińcu. Wrócił, wyszedł, zawrócił — z tym samym skutkiem. Czuł się jak człowiek zabłąkany w lesie, kiedy zapada noc, albo jak kajakarz, któremu wypadło z rąk wiosło, a przed nim nagle ukazał się wodospad. W takich sytuacjach ludzie zawsze wołają: „Ratunku!” — chociaż rozum im mówi, że to nie ma sensu. Adam też nie wytrzymał.

— Ewo!

Ewa zerwała się jak milicyjny samochód po otrzymaniu meldunku i wpadła w drzwi wejściowe z takim impetem, że wypadła na podwórze prosto w objęcia; Adama.

— Adam!

— Ewo!

— Źle się czujesz, Adamie?

— Nie, Ewo, bardzo dobrze!

W głowie Adama przejaśniło się, jak u człowieka po makabrycznym śnie: wygrał samochód, a nie ma garażu.

— Jak tu pięknie. Jak w raju, Adamie.

Podeszli do jedyne go rajskiego drzewa, które rosło na podwórzu „Findipoczu”. Potem oglądali klatki z łacińskimi napisami. Ewa nie znała łaciny i nie lubiła jej. Podobał się jej tylko jeden alfabet, bo tylko jeden znała: cyrylica, nie wiedziała tylko, że tak się nazywa.

— Czy to szczur wodny? — spytała, wskazując palcem na jakieś rude zwierzątko z nagim zadkiem jak u orangutana w ogrodzie zoologicznym.

— Nie, Ewo. To piżmak.

— Nigdy bym nie zgadła. Takie to brzydkie, a takie ładne z niego czapki.

— Wynajdziemy jeszcze ładniejsze. Nasz „Findipocz” pracuje teraz na tym, żeby czapki z piżmaka miały naturalny kolor serinus canaria.

Ewa tego terminu, oznaczającego kanarka, nie znała oczywiście. Adam też nie rozumiał, ale słyszał go od Chowraszkiewicza.

— Robimy tu różne, doświadczenia... — rozpoczął tajemniczo i szepnął jej coś do ucha.

— Coś takiego! — zawołała Ewa. — A czy to w ogóle możliwe?

— W przyrodzie wszystko jest możliwe. Chowraszkiewicz dowodzi...

— Czy to wasz uczony?

— Tak.

— A ty go znasz?

— Oczywiście — odpowiedział z dumą.

— Ciekawe! — Ewa przyglądała się piżmakowi. — A po co wy to robicie?

— Chcemy wyhodować nowe gatunki piżmaków.

— Ależ piżmak to nie jabłko!

Nagle z góry ktoś Adama zawołał. Podniósł głowę. Z okna wyglądała zarośnięta twarz.

— Kto to? — spytała Ewa.

— To nasz plastik. Daromir Czyhyrenko-Repniński.

— To bardzo ciekawe! — zawołała Ewa i nawet nie spostrzegła, kiedy znalazła się z powrotem w kasztanowej alei.

Adam tymczasem przyjmował uściski i gratulacje kolegów. Powiedział tylko trzy słowa: „Tak. Ożeniłem się”, ale z taką godnością i dumą, że nawet żonaci mu pozazdrościli.

— Skąd ta twoja piękność?

— Z Przemysłowej Bałki.

Postawił teczkę na korytarzu i zniknął za drzwiami gabinetu Stratona Stratonowicza.

— No cóż! — przemówił Kowbyk głosem jerychońskiej trąby. — O pańskim sukcesie już słyszałem. Gratuluję! Gratuluję! — rzucił ostatnie dwa słowa w przestrzeń, jakby z góry przewidując, czym takie małżeństwa się kończą.

— Dziękuję — Adam przestępował z nogi na nogę.

— Ale że też pan się na to odważył? — Kowbyk wypuścił z ust kłęby dymu jak parowóz. — Chlapnął pan przed tym chyba z pół litra.

— W nocy.

— Co w nocy?

— W nocy się ożeniłem, Stratonie Stratonowiczu.

— Ludzie żenią się w dzień, a w nocy... No dobra. Z czym pan przychodzi. Podanko?

Adam skinął głową. Kowbyk wziął w milczeniu podanie, głębiej usiadł w fotelu i przeczytał głośno:

— „Proszę o udzielenie mi urlopu w związku z tym, że się ożeniłem na trzy dni.” — Kowbyk spojrzał spoza okularów na Adama, którego twarz przybrała kolor soku pomidorowego „Cudryнку”. — Tylko na trzy dni? — zapytał.

— Na trzy — serce Adama podeszło do gardła. — Zgodnie z przepisami...

— Ja nie o urlopie. Na jak długo się pan ożenił? Na trzy dni?

Kuchłyk zmieszał się. Straton Stratonowicz w milczeniu podpisał podanie i wręczył je Kuchłykowi wraz ze swoją prawicą. Ten, półprzytomny, wybiegł z gabinetu i popędził do kasztanowej alei. Znów oslepiła go uroda Ewy, więc raz jeszcze poczuł się w siódmym niebie, chociaż nie bardzo wiedział, gdzie ono się znajduje.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

w którym opowiada się o życiu, o kolejnej reorganizacji, Kobylatynie Turbinnym, jeszcze raz o czapopiżu, wyjeździe służbowym, sceptycyzmie, Neschadzyma, o Czanicie i Kuźmie, dysertacji, ogrodzie zoologicznym oraz o roli spirytusu w zalotach piżmaka i jeża

Dudniły gromy, a grad zbijał liście i zielone zawiązki jabłek. A w „Findipoczu” grzmiał Kowbyk i od ciskanych przez niego gromów spadały z drzwi tabliczki, zaś słabo skrzyżowane jeże zrzucały swoje pierwsze, nie donoszone czapopiże.

„Życie jest jak loteria — myślał Kuchłyk, trzymając mocno za rękę Ewę. — Kiedy spodziewasz się wygrać rubla, to spada na ciebie milion, a gdy marzysz o wygraniu samochodu, trafiasz na pusty los.”

— Życie jest jak pływanie na żaglówce — powiedział Sidałkowski, kiedy wreszcie zdobył adres „Findipoczu”, ale na tym miejscu instytutu już nie było. — Idziesz z wiatrem nord-ost, a trafiasz na sud-west.

— Życie jest jak bilard — filozofował Kowbyk, patrząc z nie ukrywaną dezaprobatą na swego ulubieńca Chowraszkiewicza. — Trącasz bilę w jedną łuzę, a ona trafia w zupełnie inną.

Te i inne podobne aforyzmy mają pełne pokrycie w życiu bohaterów naszej powieści, w którym nastąpiły duże zmiany. No więc zmieniło się wiele nie tylko w życiu Adama i Ewy, ale również w życiu Sidałkowskiego, jak nastąpiły też zmiany w „Findipoczu”. Bo oto „Findipocz” został objęty nową reorganizacją i przeniesiony ze stolicy do małego miasteczka Kobylatyn Turbinny, zgodnie z nowym hasłem „Naukowo-doświadczalne instytuty bliżej baz produkcyjnych!”

— Żyjemy teraz — zapewniał Kowbyka Chowrasz-

kiewicz — że tak powiem, na łonie natury. Naturalne warunki przyrodnicze Kobylantyna wpłyną korzystnie na nasze doświadczenia i przyspieszą uzyskanie pozytywnych rezultatów. Ważne to jest zwłaszcza teraz, kiedy mamy naprawić, że tak powiem, bardzo istotną pomyłkę. Otóż trzeba będzie krzyżować nie piżmaki z jeżami, lecz jeże z piżmakami. I tu właśnie mamy bardzo korzystne do tego eksperymentu warunki naturalne. Proszę spojrzeć, jak zakwitły tu sady! Jakie tu powietrze! — zachwycał się Chowraszkiewicz, patrząc z drugiego piętra na Kobylatyn Turbinny. — W takich warunkach musi się nam udać wyhodowanie czapopizów!

Był tak pochłonięty swoją ideą, że nawet nie zauważył, iż nikt go nie słucha.

Kobylatyn Turbinny miał istotnie wspaniałe naturalne warunki do produkcji tlenu, chlorofilu i innych komponentów niezbędnych dla zdrowia pracujących i findipoczowców. Przywitał findipoczowców białoróżową kipiela jabłoni i grusz, dzwonieniem wyrabianych tu dużych kotłów do warzenia asfaltu i wyciem turbin, przypominającym jazgot dziurawych metalowych beczek zrzucanych z samolotu na beton. Wielkie kotły i stacja selekcji ziarna kukurydzy — symbol i chluba Kobylatyna Turbinnego — były uwiecznione w herbie miasta obok trójlistnego buraka, wyhodowanego przez miejscową stację selekcyjną.

Od niepamiętnych czasów miasteczko nazywało się Kobylatyn. Kiedy jednak przed dwoma laty patronackie lotnisko turboodrzutowców podarowało stacji selekcyjnej wycofaną z obiegu starą lotniczą turbinę, suszącą ziarno z kosmiczną szybkością — dla upamiętnienia tego historycznego wydarzenia oraz na żądanie robotników w nazwie miasteczka pojawił się przymiotnik. W ten sposób dawny prowincjonalny Kobylatyn nosił teraz dumną i nowoczesną nazwę Kobylatyn Turbinny.

Turbina lotnicza stała się więc trzecim tytułem do dumy kobylatynoturbinowców, dając o sobie znać wszystkim wsiom w promieniu czternastu kilometrów. Kiedy zaczynała suszyć kukurydzę, mieszkańcom pobliskich miejscowości zdawało się, że do Kobylatyna-Turbinnego zjechała ekipa dentystów i borują zęby wszystkim mieszkańcom jednocześnie.

No i wreszcie czwartym przedmiotem dumy miasteczka był teraz „Findipocz”. Ulokował się w dawnym pomieszczeniu ośmioklasowej szkoły, w pobliżu stacji kolejowej. Budynek dostawał drgawek jak domek dróżnika, zwłaszcza kiedy pod oknami przelatywały pociągi towarowe z szybkością tunguskiego meteoru. Kowbyk bladł wtedy i przeklinał Chowraszkiewicza oraz ten dzień, kiedy wyraził zgodę na wyhodowanie czapopiża. Dotąd jeszcze dzwonił mu w uszach ten bezsensowny okrzyk Chowraszkiewicza, kiedy wpadł bez pukania do gabinetu i krzyknął od progu:

— Erinaceus! Czyli jeż!

— Jaki jeż? — Straton Stratonowicz po raz pierwszy w życiu wypuścił z ust cygarniczkę.

— Piżmaka trzeba skrzyżować z jeżem.

— I co z tego wyjdzie?

— Wyjdą czapopiże. Pierwsi na świecie będziemy hodowali czapopiże!

— Kogo? Kogo będziemy hodowali? — Kowbyk podciągnął spodnie.

— Czapopiże — twarz Chowraszkiewicza była ze wzruszenia biała, jak kołnierzyk pierwszoklasisty z samego rana. — Czapopiż to skrót. Pełna nazwa: czapkopodobny piżmak. To ja wymyśliłem sam tę nazwę — Chowraszkiewicz wymachiwał z przejęcia rękami. — Potem będziemy hodować inne gatunki, na przykład kaczczapopiże. Ale dopiero w przyszłości. To jest moja nowa idea. Po prostu skrzyżujemy czapopiże z...

— ...z kaczką domową — uzupełnił domyślnie Kowbyk.

— Nie, nie będziemy go krzyżować z kaczką. Ani z domową, ani z dziką — wyjaśnił z przejęciem Chowraszkiewicz. — I nie z kaczką różeńcem ani z uhlą, lecz z australijskim dziobakiem. Żeby czapka miała daszek, jak cyklistówka. Od deszczu. Możemy też uzyskać nowy gatunek ze skrzyżowania norki z piżmakiem; będzie to norczapopiż, po łacinie lutreola-ondatra. Te ostatnie głównie dla kobiet: białe, niebieskie, ciemnobrązowe...

— A różowych nie będzie? Dla kobiet w wieku balzakowskim — Kowbyk wstał i jak zwykle podciągnął spodnie. — Wyobraża pan sobie?! Wystarczy skrzyżować pańskiego czapopiża z flamingiem.

— Pan niepotrzebnie pokpiwa sobie ze mnie, Stratonie Stratonowiczu. Przecież wiem, że nie jest pan konserwatystą, dlatego nie spodziewałem się tego po panu. Z Symyrenki i Miczurina kiedyś też pokpiwali. Albo, powiedzmy, taki Galileusz, Giordano Bruno, Kopernik...

— Faraday i Pitagoras — dokończył za niego Kowbyk. — No dobra. Niech pan próbuje. Tylko proszę pamiętać: cała odpowiedzialność spada na pana.

Kowbyk zgodził się, pamiętając ostatnią dyrektywę: „Nie ograniczać oddolnych inicjatyw i wszelkimi siłami je popierać”.

— A skąd pan weźmie tyle jeży? — spytał ugodowo.

— To już nie nasze zmartwienie. My mamy eksperymentalnie wyhodować czapopiża, a seryjną hodowlą niech się zajmą gospodarstwa hodowlane. Naukowe doświadczenia i wynalazki też właściwie nie należą do nas. Jesteśmy socjologami. Ale będziemy się zajmowali również czapopiżami. Nie możemy z założonymi rękami czekać, aż... — Chowraszkiewicz urwał, bo zdawało mu się, że cytuje kogoś z Najważniejszych, do czego nie mógł dopuścić, bo myślał zawsze samodzielnie. — Nie

możemy czekać, aż ktoś nas ubiegnie z tymi czapopizami.

— Dobra, dobra, niech pan już idzie! — zniecierpliwił się Kowbyk. — Robótki sobie powynajdywali — gderał. — Zamiast zająć się jakimś prawdziwym naukowym problemem, bawią się w czapopize. Żeby to ja mógł sobie znaleźć taką robotę...

Straton Stratonowicz jak zwykle przesadzał. Findipoczowcy zajmowali się przecież problemami naukowymi również, i to nie tylko socjologicznymi. Trudno było ich jednak namówić, by wyjeżdżali w teren dla prowadzenia badań nad popytem na czapki. A że fundusz przeznaczony na delegacje służbowe trzeba było wydać, bo pieniądze przepadały, jeździli tylko ci, co traktowali te wyjazdy jako wczasy, oraz kozły ofiarne. Do pierwszych należał Panczyszka, do drugich — Kuchłyk. Panczyszka lubił słoneczny Krym, a jego Majolika ubóstwiała Morze Czarne.

— Na Krymie chce pan badać popyt na czapki? — Kowbyk nie ukrywał swego zdziwienia.

— Nie ma pan racji, Stratonie Stratonowiczu — wstawiał się za Panczyszka Chowraszkiewicz, bo ten obiecał mu przywieźć z Krymu egzotyczny upominek. — Popyt na czapki można badać wszędzie.

— Nawet w Sarawaku * i w Hondurasie — przerwał mu Kowbyk, podpisując delegację na Krym.

Najgorzej było pod koniec roku, kiedy okazywało się, że nie wykorzystanych wyjazdów służbowych było znacznie więcej niż dni do końca roku. Przychodziła wtedy kolej na „ofiary delegacji”. Straton Stratonowicz z niepokojem patrzył na kalendarz i wyganiał w teren wszystkich, z wyjątkiem Chowraszkiewicza, nie oszczędzając nawet Neszczadyma, którego nie cierpiał.

— Może i pan by się trochę przewietrzył, Ariju Fe-

Sarawak — stan Malajzji w północnej części Borneo.

dorowiczu? Przepadną państwowe pieniądze. Jeśli nie wydamy w tym roku, to na przyszły zmniejszą nam fundusze na wyjazdy. Prawie wszyscy już w tym roku byli. Kogo mam wysłać? Tego nicponia Chowraszkiewicza? Bez przerwy kotłują mu się w głowie jakieś genialne pomysły i jeszcze zajedzie zupełnie gdzie indziej, i trzeba go będzie szukać przez milicję. Już raz tak było.

— A dlaczego pan się z nim tak cacka? Na pańskim miejscu już dawno bym go zwolnił.

— Wolnego — Kowbyk wstał, podciągnął spodnie i nie wypuszczając z ust długiej cygarniczki z papierosem, zaczął przemierzać gabinet. — Pan by tylko zwalniał. Czerwonych ciałek od tego panu przybywa? Zwalniać to nie metoda. Nie tego nas uczą. Ludzi trzeba wychowywać. — Kowbyk zatrzymał się pośrodku gabinetu, nie spuszczać z Neszczadyma chytrze przymrużonych oczu. — Czy właśnie tego nas, mnie i pana, uczą? Co? A pan zaraz: zwalniać... Chowraszkiewicz zajmuje się naukowymi problemami. A jakie doświadczenia prowadzi!

— Z tego nic nie wyjdzie.

— Sceptyk z pana. Swego czasu Miczurinowi też nie wierzyli, że wyhoduje gruszki na wierzbie.

— Chowraszkiewicz to nie Miczurin, Stratonie Stratonowiczu. Jego eksperymenty skończą się fiaskiem.

— Pan mu po prostu zazdrości. Naszym obowiązkiem jest ciągle poszukiwać. I podtrzymywać oddolne inicjatywy. Zwłaszcza że to u nas pierwsza od dziesięciu lat. Czy nie mam racji? — Kowbyk pyknął i papieros zadymił jak gotujący się czajnik.

— Ma pan rację, ale powtarzam, że z tych eksperymentów Chowraszkiewicza nic nie wyjdzie.

— A jak pańskim zdaniem wyjdzie?

— Na opak. — Arij Fedorowicz wziął zapałki, by zapalić trzymanego już od dłuższego czasu papierosa. —

Swoje uwagi na ten temat wyraziłem w piśmie, które panu dałem.

— Po powrocie z delegacji może się pan zabrać do równoległych doświadczeń. Nie bronię. Fundusze na to się znajdują.

Nieszczadym wyszedł z gabinetu Kowbyka w przekonaniu, że jednak utrzyma nosa temu „nosicielowi korytarzowych idei”, który sam nic nie wymyśli, tylko przechwytuje pomysły innych.

Jeszcze w tym samym dniu Kowbyk wezwał do siebie Chowraszkiewicza i poradził mu, by dokonywał hybrydyzacji na opak. Wkrótce więc dobór par się zmienił: pozamykano w jednych klatkach samice piżmaków z samcami jeży. Chowraszkiewicz wyobrażał sobie minę Nieszczadyma, kiedy po powrocie z delegacji dowiedział się, że jego idea stała się formalnie i faktycznie ideą Chowraszkiewicza.

— Już dawno to sobie obmyśliłem, Stratonie Stratonowiczu. To faktycznie był mój pomysł, Nieszczadym go przechwyił. I nawet wiem, gdzie: w palarni — oświadczył Chowraszkiewicz szefowi, nie wypuszczając z ust cygarniczki.

Naśladował Kowbyka we wszystkim: palił takie same papierosy, nosił taki sam krawat i nawet zaczął już kolekcjonować zapalniczki, co niekiedy drażniło Stratonę Stratonowicza.

— Dlaczego pan mnie we wszystkim naśladowuje? To małpowanie czy przedrzeźnianie?

Chowraszkiewicz zaprzeczał zapewniając, że przejmuje zawsze od starszych to, co najlepsze w nich.

W tym tygodniu kilka pierwszych par jeży i piżmaków rozpoczęło wstępne kroki prowadzące do wielkiego eksperymentu. Para najaktywniejsza otrzymała imiona: samicę piżmaka nazwano „Łzy Czarnoty”, a jej partnera, samca jeża — „Pocałunek Kuźmy”. Chowraszkiewicz

jakby się odrodził. Zjawiał się w „Findipoczu” jeszcze przed Neszczadymem, nocował tam, o czym Arij Fedorowicz nie wiedział i nigdy by na to nie zezwolił; Neszczadym zarzucał mu jednak, że nadal spóźnia się do pracy. A Chowraszkiewicz od świtu przesiadywał w ukryciu pod krzakiem bzu, nie spuszczać zaspanych oczu z korytek i klatek. Na korytarzu „Findipoczu” zjawiał się dopiero w porze obiadowej, brał w bufecie kanapkę i butelkę mleka lub piwa i wracał do laboratorium albo do klatek. Kiedy nad miasteczkiem zapadała „cicha ukraińska noc”, jaką opiewa Puszkina w „Połtawie”, Chowraszkiewicz, jak astronom, który marzy o tym, by jako pierwszy dostrzec blask nieznanej dotąd gwiazdy, czekał w napięciu na błogosławioną chwilę miłosnych igraszek Kuźmy i Czanity. Ale uparta Czanita szybciej zaczęła się przyzwyczajać do Chowraszkiewicza niż do Kuźmy i już łąsiła się do niego, jak kotka do starej panny. Chowraszkiewicz był jednak cierpliwy, a to oczekiwanie na spełnienie piżmakojeżowej miłości sprzyjało rozmyślaniom. „Jeż jest nieśmiały jak stary kawaler” — myślał. A ponieważ półroczny przydział spirytusu na cele naukowe skończył się już w pierwszym kwartale, Chowraszkiewicz przyniósł z domowych zapasów pół litra i rozpuściwszy go z wodą zaczął małymi dozami wlewać do pyszczka opornego adoratora. Kuźmy początkowo nie podniecało to erotycznie, ale po kilku dniach nastąpiła długo oczekiwana chwila: rzucił się na Czanię z furją namiętności, niestety Czanita przyjęła to obojętnie. W następnych dniach Kuźma ponawiał pod tęgim rauszem erotyczne zaloty, chcąc przysłużyć się zarówno nauce, jak i Chowraszkiewiczowi, jednak konserwatywna piżmaczka ostentacyjnie odmawiała swego udziału. Mimo to Chowraszkiewicz był dobrej myśli. Po dwudziestu kilku zaaplikowanych im przez Chowraszkiewicza dawkach alkoholu Kuzia i Czania, jak nazwał je pieśczołliwie

Pancziszka, zaczęły stopniowo przywykać nie tylko do spirytusu, ale i do „Winnickiej wyborowej”. Chowraszkiewicz namaszczał grzbiet piżmaczki alkoholem; gdy tylko Kuzia poczuł ten miły jego sercu zapach; biegł do Czani i nacierał na nią z taką furją, iż Chowraszkiewicz był już pewny zarówno czapopiża, jak i pracy doktorskiej.

W tych dniach Chowraszkiewicz zmienił raz jeszcze temat tej pracy: „Rola powietrznej poduszki czapopiża w ochronie owłosienia głowy klienta i jej pozytywny wpływ jako jednego z czynników walki z arteriosklerozą”.

W dawnej siedzibie w Kijowie pod klatki i laboratorium wydzielono duży plac, na którym kiedyś młodzi przyrodnicy próbowali krzyżować rajskie jabłka z mrozoodporną dziczką. Teraz pracowała tu doświadczalna grupa z Chowraszkiewiczem na czele. Mózg instytutu przeniósł się wraz z palarnią z buchalterii do laboratorium, które miało jedną wadę: cierpiało na chroniczne niedobory spirytusu, przez co wiele ważnych eksperymentów przedwcześnie wiodło; pracownicy naukowci nie upadali jednak na duchu.

I oto są już w nowej siedzibie w Kobylatynie Turbinnym. Właśnie z patronackiego leśnictwa przywieziono nową partię piżmaków i jeży i na podwórzu był taki rozgardiasz, jak podczas przeprowadzki. Po korytarzu z szybkością kurierskich pociągów śmigali laboranci i młodszy pracownicy naukowci. Pierwsi marzyli o tym, żeby zostać młodszymi, drudzy — starszymi. Mychajło Chowraszkiewicz przypominał cyrkowego prezentera. Stał na widocznym miejscu i przekazywał jakieś polecenia, które niczego ani nikogo nie dotyczyły; chodziło tylko o to, żeby ludzie z leśnictwa, którzy przywieźli jeże i piżmaki, wiedzieli, iż jest na miejscu kierownik grupy.

Wszyscy byli w bardzo dobrych humorach, jak Stra-

ton Stratonowicz na początku kwartału. Jeże podobały się, piżmakom natomiast nie zazdroszczono.

Tylko Czyhyrenko-Repniński był niezadowolony z tego „wędrownego zoo”. Zamknął się w swojej pracowni, pił dużymi łykami aromatyczną kawę „Bonn”, a potem, jakby zagryzając gwoźdźmi, które trzymał w ustach, wdrapał się powyżej jaskółczych gniazd i przybijał nowe findipoczowskie hasło: „Nie samą tylko socjologią”.

Jeden plakat Czyhyrenko-Repniński zawiesił nad tapczanem w gabinecie Chowraszkiewicza, w którym ten zamierzał teraz przebywać dniem i nocą. Na plakacie widniało hasło: „Pod czapopiżem waszym myślom nie będzie ciasno”. Chowraszkiewicza, jak i butelkę od mleka lub kefiru, można było teraz spotkać zarówno o szóstej rano, jak i o dwunastej w nocy. Przez pierwsze dni swoich badań zapominał o sobie uważając, że nauka, podobnie jak kobieta, wymaga ofiar i pieniędzy. Zapominał nawet o śnie, który kochał nie mniej niż naukę, oraz o kolegach, których też lubił, ale tylko wtedy, gdy mu przyznawali rację. Żył tylko pracą, jak milioner gromadzeniem pieniędzy.

Chęć wybicia się Chowraszkiewicza za wszelką cenę wywoływała u jednych złośliwe uśmieszki, u innych — zazdrość, a u Stratonona Stratonowicza strach przed dniem jutrzejszym „Findipoczu”. Takiej zawziętości i entuzjazmu nigdy jeszcze w nim nie dostrzegał. Chowraszkiewicz mógł wysuwać różne teorie, hipotezy i projekty, ale za każdym razem Kowbyk oblewał jego rozpaloną głowę kubłem zimnej wody. Tym razem jednak czapopiże tak go pochłoneły, że zapomniał nawet o Stratonie Stratonowiczu. Po ostatnim awansie zaczął przekraczać swoje kompetencje, szarogęsił się i nosił się wszędzie ze swoją „trzecią teorią”, jak kura z jajem, ale bez gniazda.

Na odgórne hasło opanowania przez naukowców pokrewnych dziedzin nauki Chowraszkiewicz odpowie-

dział aktywnie i od razu w kilku specjalnościach: był stolarzem (sam remontował klatki), elektromechanikiem (przeprowadził prąd elektryczny do klatek jeży, zapominając, że one nie znoszą światła i są najaktywniejsze właśnie w nocy), fizykiem (wyprowadzał wzory), agrobiologiem (eksperymenty z czapopiżem), a poza tym zamierzał specjalizować się w sztucznym zapładnianiu.

Nowe otoczenie miało, zdaniem Chowraszkiewicza, pozytywny wpływ na rozwój organizmów. Koncepcja „trzeciej teorii Chowraszkiewicza” przybierała na precyzji i wydawała mu się teraz taka strzelista, jak wieża telewizyjna, dominująca nad Kobylatynem Turbinnym.

Zmiana środowiska miała też wpływać na zmienność gatunków. W związku z tym narodziła się w jego głowie nowa idea: skrzyżować czapopiża z kameleonem. Czapopiż miał pokryć kameleona. Albo na odwrót. Chowraszkiewicz zamówił już nawet odpowiedni plakat u Czyhyrenki-Repnińskiego.

Czapki z czapopiża produkowałyby się specjalnie dla kobiet w różnym wieku. Mając na głowie to cudo dama mogłaby odpowiednio do koloru otoczenia zmieniać kolor swej czapki; a właściwie kolor ten sam by się zmieniał. Powiedzmy, w lesie czapeczka byłaby zielona, w polu podczas żniw przybierałaby kolor złocisty, na przystanku tramwajowym — czerwony, na wodzie w pogodny dzień — błękitny itp. Ale to była na razie jego słodka tajemnica, z którą z nikim jeszcze nie zamierzał się dzielić. Teraz absorbowały go czapopiże.

Dokonał już odpowiednich obliczeń. Gospodarka narodowa zaoszczędziłaby blisko dziesięć milionów metrów nici, którymi można by opasać kulę ziemską ileś tam razy. Przyszłe czapopiże charakteryzowałyby się jeszcze i tym, że rozmiar czapki zależałby od ich wieku. W przyszłej pracy naukowej Chowraszkiewicza znajdzie się przypuszczalnie taka oto tablica:

czapopiz jednoroczny — rozmiar głowy 52

czapopiz dwuletni — r. g. 54

czapopiz czteroletni — r. g. 56

Rozmiary głowy o liczbach nieparzystych odpowiadałyby odpowiednio półrocznym cyklom wieku czapopiza. Na przykład:

czapopiz półroczny — 51 r. g.

czapopiz półtoraroczny — 53 r. g.

czapopiz dwu i półletni — 55 r. g.

I wszystko, zdawało się, szło normalnym trybem, gdy nagle, jak śnieg na Zielone Świątki, spadł na biurko Kowbyka służbowy donos Warfołomija Czadiuka: „Chowraszkiewicz rozpija zwierzęta”.

Jeszcze tego samego dnia ukazało się zarządzenie, podpisane przez Kowbyka, zabraniające kategorycznie dawania przed kopulacją zwierzętom spirytusu, ponieważ mogą się narodzić osobniki niedorozwinięte. Chowraszkiewicz usiłował przekonać Kowbyka, że „Findipoczowi” potrzebny jest nie intelekt czapopiza, lecz jego futro. Straton Stratonowicz bronił jednak swego zarządzenia uważając, że metody sztucznego podniecania zwierząt doświadczalnych są antynaukowe, a jako humanista musi dbać o wszechstronny rozwój młodego pokolenia zarówno pod względem futrzarskim, jak i intelektualnym.

Dyskusje toczyły się w „Findipoczu” przez siedem dni i siedem nocy. Głównym oponentem Chowraszkiewicza był Czadiuk, którego aktywnie popierał Neszczadym: obaj dowiedzieli, że z eksperymentów Chowraszkiewicza nic nie wyjdzie.

— Piżmak na jeża nie pójdzie!

— Ja bardzo przepraszam! — Chowraszkiewicz zwrócił się do dyskutantów, przede wszystkim zaś do Neszczadyma. — Otóż towarzysz Czadiuk błędnie was

informuje. Już dawno dokonałem takich zmian, o jakich towarzysz Nieszczadym pisał w liście do towarzysza Kowbyka. My teraz napuszczamy nie piżmaka na jeża, lecz jeża na piżmaka.

— Od przestawienia składników ich suma się nie zmieni — wygłosił swą buchalterską formułę Karol Iwanowicz Bubon, którego ostatnio też zapraszano na narady naukowe dla zwiększenia frekwencji.

— Tu nie chodzi o jakieś tam pańskie waldo-saldo! — odparował ostro Chowraszkiewicz. — Mamy tu do czynienia, że tak powiem, nie z martwymi liczbami, lecz z żywą fauną.

— Szanowny! — oponował łagodnie Karol Iwanowicz. — Żywa fauna bez nas już dawno wyciągnęłaby kopyta.

— To są poglądy dyletanckie, a nie naukowe. Tak myślą tylko mieszczenie z Kobylatyna Turbinnego.

— Szanowny, ja pana nie obrażam — poderwał się Karol Iwanowicz. — Ja mieszkam w Kijowie!

— Chowraszkiewicz! — włączył się autorytatywnie w ten spór Kowbyk. — Proszę natychmiast przeprosić człowieka dwa razy od pana starszego. Zaraz, przy wszystkich.

— Przepraszam, czy to rozkaz, czy propozycja? — wybuchnął gwałtownie Chowraszkiewicz.

— Proszę uważać to za rozkaz i moją dobrą radę — Kowbyk wstał od stołu. — Myślę, towarzysze, że nasze niektóre eksperymenty zasły już za daleko i czas najwyższy je przerwać.

Chowraszkiewicz wparł się w swoją teorię, jak dyzel w wóz, i zaciekle jej bronił. Dowodził, iż Kuźma pokrył już Czanitę i niedaleki jest dzień, kiedy w klatkach pojawią się pierwsze małe czapopize. Istotnie Kuźnia i Czanita po niedużych dawkach spirytusu znajdowały wspólny język, ale że chodziło tu nie o język, więc zbliżenia kończyły się platonicznie. No a potem

w wyniku zarządzenia Kowbyka i pod czujną kontrolą Czadiuka trzeba było oszczędzać spirytus. Być może, nastalby jednak wielki dzień epokowego doświadczenia. Ale Straton Stratonowicz miał zawsze dobrego nosa i wyczuwał sytuację na odległość, jak zając wilka lub lisa. Kowbyk nie chciał poza tym tymi eksperymentami zniekształcić naukowego oblicza „Findipoczu” jako placówki socjologicznej, chociaż w duchu marzył, by „Findipocz” zasłynął w świecie naukowym jakimś wielkim odkryciem. „Trzeba coś przecież pozostawić potomności” — myślał, ale głośno tego nie powiedział, bo to też było odkrycie, a tego bał się najbardziej.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

w którym opowiada się o czerwonej koszuli, pomniku Aleksandra Puszkina, niezawodnej loterii, systemie Sidałkowskiego, niepożądanym spotkaniu, kapitanie-lejtnancie, aptekarskiej dokładności, spotkaniu z Kowbykiem, niezdrowej zazdrości i o arystokracie z Wapniarki

Dni przetaczały się jak puste wagony towarowe pod oknami Kowbyka: powoli i monotonnie. Sidałkowski, któremu obce były troski i smutki, codziennie wkładał garnitur Waliko i czerwoną kowbojską koszulę, wpychał do kieszeni paczki biletów loteryjnych i pogwizdując „Czerwoną rutę” wyruszał do parku imienia Puszkina. Poeta siedział pewnie na cokole, a obok niego toczyły się zacięte boje emerytów, rozwijających swoje analityczne uzdolnienia. W bitwach tych brali udział nie tylko zwolennicy systemu sycylijskiego i hiszpańskiego, ale także amatorzy warcabów i domino. Sidałkowski patrzył na nich z zazdrością: „Mają wszystko: emeryturę i zasłużony wypoczynek. A ja mogę tylko

śnić o wypoczynku. Możliwe, że w mojej kieszeni leży wielka wygrana, ale to nie ja wygram ten los, bo nie wiem, który to... Oni grają w warcaby, a ja gram w życie. Oni siedzą i myślą, a ja zamieniam papier mniej cenny na cenniejszy — losy loteryjne na pieniądze. A może by i ich włączyć do tej gry?"

I wkrótce zrealizował ten pomysł na szeroką skalę, zainteresowawszy loterią warcabistów i doministów. Wszyscy zaczęli grać na loterii, tak jak kiedyś w totalizatora sportowego.

— System Sidałkowskiego — mówił nie bez dumy do kolegi po fachu, sprzedającego kupony totalizatora sportowego. — Losy idą jak lody w ogrodzie zoologicznym podczas ferii szkolnych.

Z kompanem było łączy i weselej. Sidałkowski umiał szybko nawiązywać kontakt z ludźmi oraz zdobywać ich sympatię i zaufanie. Teraz podsuwał tylko pomysły „koledze po fachu”, udoskonalał system sprzedaży i sprawował ogólne kierownictwo.

— Rozum — mawiał do kolegi — można zastosować wszędzie. Jeśli oczywiście go się ma. Nawet w sprzedaży loteryjnej.

Dzięki systemowi Sidałkowskiego przed stoiskiem z losami tworzyły się takie kolejki, jak w Dniu Kobiet w punktach skupu butelek.

— Obywatele! To nie gra w oczko — zwracał się do tłumów sierżant milicji. — W moim rejonie nie grajcie i nie gromadźcie się — błagał, ale po zakończeniu służby przebierał się i już jako cywil ustawiał się w kolejce po bilet loteryjny.

Metoda Sidałkowskiego dawała wspaniałe rezultaty: w ciągu dwóch tygodni wykonał trzymiesięczny plan, za co otrzymał premię i nawet osobiste podziękowanie dyrektora zarządu gier liczbowych.

„Systemem Sidałkowskiego” zainteresowało się mi-

nisterstwo finansów, wciągnięto jego nazwisko na honorową listę przodowników-sprzedawców „Sportloto”, otrzymał też puchar przechodni z popiersiem Andrija Biby oraz fotografię drużyny piłkarskiej kijowskiego „Dynamo” z autografami.

W ten sposób już po raz drugi przysłała do Sidałkowskiego nieoczekiwana sława. Wprawdzie gazety nie piisały teraz o jego sukcesach, jednak legendy o nim szerzyły się we wszystkich oddziałach „Sportloto”. Jedni mówili, że jest zakonspirowanym synem milionera, który przez podstawione osoby sam wykupuje bilety loteryjne, ponieważ jest ich kolekcjonerem. Inni zapewniali, że Sidałkowski skupuje losy dla zamydlenia oczu: chce kupić za własne pieniądze samochód „Żyguli” z łódówką niby to za pieniądze wygrane na loterii, żeby nie wyszło na jaw, że otrzymał olbrzymi spadek po wuju zmarłym niedawno w Stanach Zjednoczonych czy też w Kanadzie.

Sława Sidałkowskiego dotarła również do dyrekcji tramwajowo-trolejbusowej. Do urzędującego w „Sportloto” Sidałkowskiego przybyła delegacja z prośbą, żeby podzielił się swym doświadczeniem. Dogadzało to jego próżności, więc chętnie się podzielił, i to zupełnie bezinteresownie. Miał też kilka zaproszeń do baz autobusowych. Zaproponowano mu etat kierowcy-przodownika i tytuł honorowego członka kolektywu w zamian za pomysł usprawnienia sprzedaży miesięcznych abonamentów i wieloprzejazdowych biletów. Sidałkowski zgodził się na jeden pokazowy seans pod kolorowym parasolem. Zebrały się oczywiście wokół niego takie tłumy, jakie gromadzą się na miejscu wypadku samochodowego. Trudno było dopchać się do niego nawet milicji.

I wszystko toczyłoby się pomyślnie, gdyby nie dwie „spadochroniarki”, które spadły na głowę Sidałkowskiego, jak sople lodu z wysokiego dachu.

— Patrz, to chyba Sidałko... Mańki Sidałkowej syn! Matka go wszędzie szuka, a on tu bilety sprzedaje.

— Przecież mówiła, że on gdzieś tam pływa w dalekich rejsach.

— A co miała mówić...

Sidałkowski splonął jak rubin pod światło i dał nura w tłum. „Od siebie samego nie uciekniesz... Od siebie samego nie uciekniesz...” — brzęczał natrętnie Sidałkowski-pierwszy. „Jak się teraz pokazać w Wapniarce? Wstyd! Co ludzie powiedzą? To już niech będzie Tamarra. W Wapniarce byłaby pierwszą pięknnością. W stolicy co prawda są ładniejsze...” — kombinował Sidałkowski-drugi. „Uroda nie ważna, ważny człowiek w małżeństwie” — perorował Sidałkowski-pierwszy. „Odczep się, nudny moralizatorze!” — machnął ręką Sidałkowski-drugi, wyłaniając się z podziemnego przejścia na przeciwległym chodniku.

Wskoczył do ruszającego właśnie tramwaju. Jakiś uczeń ustąpił mu miejsca.

— Nie siadam w tramwaju nigdy, gdy stoi chociaż jedna kobieta — rzekł głośno, uśmiechając się do stojącej obok ślicznotki w białej bluzeczce i plisowanej spódniczce.

— Są jeszcze dżentelmeni — skwitowała ten gest z wdzięcznym uśmiechem, ale nie usiadła.

Po tym, jak mu się zdawało, afroncie, wysiadł z tramwaju i ruszył do mamuńci Karapet.

— Żenię się i idę do „Findipoczu” — zdecydował, rzucając się na łóżko jak zwykle w ubraniu i bucikach.

Po kilku minutach weszła rumiana Mary, parując, jak parowóz, który przybył na końcową stację przez śnieżne zasy.

— Mam dla pana niespodziankę — rzekła, siadając ciężko na krześle.

Okazało się, że miała dwie niespodzianki. Pierwszą

był kapitan Saprykin, który był tylko porucznikiem awansowanym przez Karapet, z jego akceptacją, na kapitana.

Otóż kapitan-lejtnant Saprykin był, jak zapewniała Mary, „facetem na sto dwa”. Lubił dobrze wypić i jeszcze lepiej zjeść. I — czym najbardziej zaimponował Sidałkowskiemu — rozlewał wódkę do szklanek z zamkniętymi oczyma, nie roniąc ni kropli, i to z aptekarską dokładnością.

Saprykin obiecał załatwić Sidałkowskiemu dowód osobisty, który ten jakoby zgubił. Jako dodatkowy dokument do metryki posłużyły zdjęcia Sidałkowskiego w gazetach, stwierdzające jego tożsamość. Stałego zameldowania nie gwarantował, obiecał jednak załatwić dowód osobisty, jak tylko Sidałkowski się ożeni. Taka perspektywa niezbyt Sidałkowskiego pociągała, nie widział jednak innego wyjścia.

— Jak długo już pracujesz, Sidałkowski? — zainteresował się Saprykin.

— Trzy miesiące.

— Masz do dyspozycji jeszcze miesiąc — uścisnął mu dłoń, pozostawiając pod opieką Karapet.

Drugą niespodzianką była Tamara. Wyraziła zgodę na małżeństwo z Sidałkowskim bez jednego słowa. Jewgrafowi jednak nie było spieszno.

— Miłość tak jak konserwy bardzo szybko się przejada — wygłosił jeden ze swych aforyzmów.

— No więc jak, nie zgadza się pan?

— Zgadzam się, Meri, ale nie pozwalają mi na to nie tylko moje nie ukończone wyższe studia, lecz także uczciwość.

Mary była zdziwiona i równocześnie rozczarowana, jak po obejrzeniu bardzo trudnej i skomplikowanej sztuczki cyrkowej, która okazała się bardzo prosta.

— Nie mogę — rozłożył ręce.

— Czego pan nie może?

— Nie mógłbym spojrzeć pani w oczy, Meri.

— Można zawrzeć małżeństwo fikcyjne — powiedziała z wahaniem, kładąc na stół swój ulubiony omlet, przypominający żółtą meduzę. — Tamara się na to zgadza. Potrzebne jest jej mieszkanie.

— Muszę to dobrze przemyśleć.

— Ja pana nie poganiam, ale kapitan Saprykin...

— Niech mnie pani nie straszy milicją. Pamiętam jeszcze ze szkoły, że nasza milicja ma nas chronić. Jutro pójdę do „Findipocz”.

— Saprykin mówił, że ten pański „Findipocz”...

— Jeszcze, co prawda, nie mój, ale może w przyszłości...

— No więc że ten „Findipocz” przenieśli do Kobylatyna Turbinnego. Dziesięć minut pociągiem elektrycznym.

— Jutro pojedę!

Następnego dnia zbudził się wcześniej jak nigdy. Ogolił się elektryczną maszynką, umył ciepłą wodą z czajnika, zmoczył włosy i ułożył je, wypłukał usta płynem „Noce Kabirii”, skropił lekko skronie wodą kolońską „Kasztan kijowski”, wypróbował przed lustrem z przyzwyczajenia i dla wprawy kilka min i gestów i wyszedł na ulicę. Orientował się już dobrze w mieście, więc szybko dotarł do dworca.

W wagonie było pusto jak w kieszeni przed pierwszym.

„Zgadzam się na Tamarę. Zgadzam się na Tamarę” — wystukiwały koła pociągu w głowie Sidalkowskiego-drugiego.

„A co ci pozostało? Czy masz jakieś inne wyjście” — wystukiwała druga para kół w głowie Sidalkowskiego-pierwszego.

„Findipocz” znalazł bez kłopotu. W Kobylatynie Turbinnym był to jedyny dom dwupiętrowy, górujący nad ogrodami i sadami. Już z daleka dostrzegł sławetne fin-

dipoczowskie hasło. Włożył ciemne okulary, bo litery były tak jaskrawe, że oslepiały.

— Iść czy nie iść, oto jest pytanie? — zapytał sam siebie parafrazując duńskiego księcia. — No ale skoro już przyjechałem, to trzeba iść — monologował dalej, wspinając się na drugie piętro.

„No tak, ale ani dowodu osobistego, ani żadnego dyplomu... Jedynie wyciąg z aktu urodzenia z siedmioma tylko literami w nazwisku oraz studencki indeks z zaliczoną literaturą antyczną, ale ma go Saprykin. „Wchodzić czy nie wchodzić?” Zapukał jednak do drzwi z tabliczką: „S. S. Kowbyk”.

— Proszę wejść!

W dużym przestronnym gabinecie, w którym kiedyś mieściły się dwie klasy kobyłatyńskich uczniów, siedział znany mu już Straton Stratonowicz Kowbyk. Od jego pierwszego spojrzenia na Jewgrafa powiało chłodem Oceanu Lodowatego i czymś jeszcze nieuchwytnym, co nawet w Sidałkowskim wywoływało uczucie lęku.

Kowbyk siedział za masywnym szwedzkim biurkiem z karelskiej brzozy, wpatrując się w teczkę, pod której okładką miała się kiedyś narodzić jego praca doktorska na temat: „Wpływ dębowych póltek na mole podczas przechowywania czapek z naturalnego futra i z hybryd w otwartych i zamkniętych pomieszczeniach”. Sidałkowskiego jakby w ogóle nie dostrzegał. Ale była to jego wypróbowana metoda: sprawdzić petenta, dając mu odczuć swą powagę i autorytet.

— Witam pana serdecznie! — przemówił Sidałkowski.

— Ja pana też — odburknął Kowbyk, sięgając po karafkę z wodą.

„Widocznie go suszy — pomyślał Sidałkowski. — Gasi żar swojej duszy, jak tłące jeszcze pogorzeliśko.”

— Mam nadzieję, że mnie pan poznał?

— Oczywiście — odparł Kowbyk, po czym przełknął cztery łyki wody. — Graf Sidałkowski!

— Jewgraf — sprostował Sidałkowski.

— Kiedy graf bardziej do pana pasuje.

— Tak nazywali mnie w marynarce.

— A gdzie pan służył? Po jakich oceanach pan pływał?

— Trudno byłoby wymienić wszystkie porty, do których zawijałem — Sidałkowski usiadł, zakładając nogę na nogę.

— Ale może chociaż kilka?

— Genua, Wenecja, Odessa...

Kowbyk uśmiechnął się wyrozumiale. Dziś był w dobrym nastroju.

— I cóż pana sprowadza do prozaicznego Kobylatyna Turbinnego?

— Pomyślny wiatr i list polecający od Sławy Murczenki.

— Mtaak... Sława mi coś mówił... Tak, mówił. Już dawno na pana czekamy: Wszyscy zajmują się pracą naukową i nie ma nikogo do prowadzenia ksiąg. A jak tam nasz dzielny komsomolec? — Kowbyk skreślił list Murczenki w trąbkę, wcale go nie czytając.

— Dziękuję, jakoś mu leci — odparł Sidałkowski na prawach przyjaciela Murczenki. — Wszystko w porządku, pracuje...

— Proszę mi powiedzieć, Sidałkowski...

Sidałkowski sprężył się czujnie i pod badawczym spojrzeniem Kowbyka nagle wstał, nie wiedząc, co zrobić z rękami. Wzrok jego ześlizgnął się z Kowbyka na masywną suszkę, przypominającą dziecinną huśtawkę, potem na bukiet różnokolorowych ołówków, na stertę gazet i czasopism. Na stole po lewej stronie Kowbyka siedziały, jak dekoracyjne pieski na spiralnych łańcuszkach, trzy małe telefony: niebieski, czerwony i zielony. Sidałkowskiemu zdawało się, że mogą w każdej chwili

zawarczeń i skoczyć na niego. Atmosfera stawała się przygniatająca.

— Proszę siadać i nie sterczeć przed oczami! — Kowbyk jak wszyscy mężczyźni niskiego wzrostu nie lubił wysokich. — Niech pan siada — powtórzył, włożył papierosa do cygarniczki i kilka razy pstryknął zapalniczką, która zamiast ognia dawała tylko bengalskie iskierki. — To made in Odessa — wyjaśnił basem i sięgnął do kieszeni, wydając zapalniczkę. — A to made in Białoruś. Wygodne i niezawodne — zapalił papierosa. — No więc, proszę mi powiedzieć, jak pan się wplątał do tej polskiej delegacji?

— Jechałem z nimi w jednym przedziale. Wyszliśmy razem i wzięli mnie za członka delegacji. Ofiara standardu — Sidałkowski usiadł znowu, ale już nie jak oskarżony przed sędzią śledczym.

Kowbykowi podobała się szczerłość Jewgrafa.

— Donosów anonimowych pan nie pisze? — zaryzykował va banque.

— Piękny charakter pisma nie pozwala na to — uśmiechnął się Sidałkowski. — Nie chciałbym go popsuć anonimami.

— Mtaak... — mruknął Kowbyk. — Być może. A o pańskim piśmie już słyszałem. Sławatij mi mówił.

Sidałkowski podobał się Kowbykowi, choć, jego zdaniem, miał dwa mankamenty: zbyt wysoki wzrost i zbyt wiele inteligencji. O wzrostofobii już była mowa, a do „zgniłej inteligencji” odnosił się zawsze z nie ukrywaną niechęcią. „Kiedy ja pasalem gęsi, to ono siedziało na nocniczku, a nianie grały mu poloneza Ogińskiego” — mawiał.

Okazało się jednak, że Sidałkowski też kiedyś pasał gęsi i lód na sercu Kowbyka zaczął powoli topnieć, ale kra jeszcze nie zeszła, choć słońce grzało coraz cieplej. A ocieplilo się zupełnie, kiedy w pewnym momencie Kowbyk odniósł wrażenie, że Sidałkowski zmieszał się

i chyba nawet zaczerwienił, co Straton Stratonowicz ocenił pozytywnie.

— Ja się nie sprzeciwiam. Do pracy może pan przystąpić nawet od jutra. Zameldowanie jest?

— Nie ma, ale w ciągu miesiąca będzie — odpowiedział Sidałkowski zdecydowanym tonem.

— Żeni się pan?

Sidałkowski skinął głową.

— Nie pan pierwszy, nie pan ostatni. Miesiąc możemy poczekać.

Kowbyk zaczął chodzić po gabinecie, wyobrażając sobie, że jest wyższy od Sidałkowskiego.

— Proszę wybaczyć moją szczerość, ale wydaje mi się, że jest pan bardzo skromny, Stratonie Stratonowiczu.

„Ciekawe, do czego on zmierza?” — Kowbyk usiadł i słuchał dalej z uwagą.

— Otóż wydaje mi się, że z pańskiego gabinetu można by zrobić dwa. — O tu — wstał, podszedł do ściany i wskazał ręką — trzeba by postawić ścianę i urządzić sekretariat, posadzić w nim sekretarkę-maszynistkę i ustawić trzy telefony do przełączania. Do czego to podobne, żeby do pańskiego gabinetu wchodziło się wprost z ulicy jak z peronu do poczekalni.

— Ma pan rację. To nie gabinet tylko poczekalnia.

— Instytut od razu nabierze solidniejszego charakteru.

Pomysł Sidałkowskiego chwycił.

— A skąd ja wezmę etat dla sekretarki — zaczął nagle biadolić. — Chyba że nie przyjmę pana, ale za to zrealizuję pański pomysł — Kowbyk zmrużył oko, był w wyjątkowo dobrym humorze.

Sidałkowski nie dał się zbić z tropu. „Szósty zmysł, to nie kobieta, on nigdy mnie nie zawodzi — pomyślał. — Kowbyk tylko żartuje.”

— Trzeba więc kogoś zwolnić — poradził. — Ktoś nie

sprawdza się w pracy, ktoś częściej od innych bierze zwolnienia lekarskie, ktoś może wyrabia sobie charakter pisma na pisaniu anonimów...

Ostatnie słowa Sidałkowskiego trafiły w dziesiątkę. W „Findipoczu” bardzo rzadko chorowano. Ale jeśli ktoś z tego powodu ośmielał się nie przyjść do pracy, po powrocie obrywał porządnie od Kowbyka.

— Z taką rumianą gębą i chory? Nie wierzę! Symulant! Widział pan kiedy chorych, którzy by wyglądali tak jak pan? I jeszcze ma czelność podtykać mi ten świstek o niezdolności do pracy!

Chorzy więc nie wchodzili w grę, pozostawały donosy. I chwyciło. Zwłaszcza że Kowbyk już dawno zamierzał zwolnić Czadiuka. Zjawiał się zawsze niespodziewanie jako najmniej pożądany gość. Wyrastał jak spod ziemi, powodując u jednych sensacje sercowe, u innych lęk. Czadiuk prawie nigdy z nikim nie rozmawiał. Patrzył tylko na rozmówcę wzrokiem głuchoniemego lub hypnotyzera. Czadiuka bali się w „Findipoczu” wszyscy, z wyjątkiem Kowbyka, ale tylko w obecności innych. Spotkań i rozmów z Czadiukiem sam na sam Straton Stratonowicz wolał nie ryzykować.

To właśnie Czadiuk rzekomo w imieniu „mas pracujących” pisał często do wyższych instancji różne donosy na „Findipocz”.

— Kiedy to za wysoka pensja jak dla sekretarki — oponował jeszcze słabo Kowbyk.

— Więc niech pan wykroi z tego dwa etaty: sekretarki i gońca.

— Mhm... To jest myśl! Niech pan pisze podanie.

Kiedy podanie było gotowe, Kowbyk spojrzał na nie z niedowierzaniem, po czym chwycił za słuchawkę.

— Masik! Proszę zaraz do mnie.

— Słucham, panie dyrektorze — zjawił się za chwilę Pancziszka z przyklejonym uprzejmym uśmiechem na rumianej twarzy.

— Niech pan spojrzy, co za charakter pisma!
Panczyszka wziął podanie i przybliżył je do oczu.

— Kolosalne!

— Może je pan wziąć ze sobą. I pokazać Chówraszkiewiczowi.

Twarz Sidałkowskiego jaśniała, jak guziki na galowym mundurze.

— W sekretariacie — mówił Sidałkowski tonem człowieka który pracuje w „Findipoczu” od samego początku — warto by dać harmonizujący z głównym hasłem findipoczowskim napis: „Czapka to dach nad siedzibą naszych myśli!”

„Chowraszkiewicz numer dwa. Tylko w lepszym wydaniu” — pomyślał Kowbyk, nie spuszczać oczu z Sidałkowskiego.

— A w gabinecie, za pana plecami można by zawiesić takie na przykład hasło: „Czapka czyni was wyższym w oczach otoczenia!”

— Nie. Trudno coś głupszego wymyślić! — zareagował ostro a nieoczekiwanie Straton Stratonowicz, który wyczuł w tym złośliwą aluzję do siebie. — A w ogóle, Sidałkowski, niech pan nie robi z czapki przedmiotu kultu. My powinniśmy myśleć przede wszystkim o badaniach socjologicznych i opierać się na danych statystycznych, zdobytych drogą ankietowania świata pracy. To nasze główne zadanie i nasz cel. To profil naszej, hm... tego... — urwał, bo nie lubił nazywać „Findipoczu” filią. — Naszego zakładu — dokończył ciszej i zmienił temat. — I to właśnie będzie pańskie pierwsze zadanie: powinien pan wymyślić jakieś trafne hasło socjologiczne. Oczywiście współczesne. I żeby trafiało nie do czapki, tylko do głowy. Jasne?

— Jasne, Stratonie Stratonowiczu — Sidałkowski uprzejmie skinął głową.

— Skąd pan pochodzi? — spytał Kowbyk, odprowadzając Sidałkowskiego do drzwi.

— Z Wapniarki.

— A dlaczego przyjechał pan do Kijowa?

— Bo w Wapniarce nie położyli jeszcze asfaltu dla moich bucików — Sidałkowski dyskretnie się uśmiechnął.

— W Kobylatynie też go nie ma — Kowbyk zmierzył raz jeszcze Sidałkowskiego od stóp do głów i pożegnał się z nim.

„Arystokrata z Wapniarki” — ochrzcił go natychmiast, by podtrzymać findipoczowskie tradycje.

A w ogóle to był z Sidałkowskiego zadowolony, jak z dobrej porcji ormiańskiego koniaku. Oznaczało to, że Sidałkowski był teraz trzeci po Chowraszkiewiczzu i Pancziszce, któremu udało się zawojować, i to w tak krótkim czasie, nieprzystępnego jak średniowieczna forteca Kowbyka.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

*w którym opowiada się o ostatnim dniu Pompei,
pojawieniu się nieznanym, klasycznym obrazie
Kramskiego, jednym święcie i trzech wielkich da-
tach, smutnej i niewesołej Iji, uroczystej sytuacji,
orszaku weselnym, kwiatach, tańcach
i o gracji*

— No i jak? — spytała Sidałkowskiego od progu Karapet. — Był pan w tym... jak mu tam...

— W „Findipoczu”? Byłem — odpowiedział Sidałkowski, zdejmując marynarkę.

Mary powiesiła ją na krześle i przygotowała się do słuchania.

— Potrzebny jest dowód osobisty. Taki sam, jaki zgubiłem. Praca jest, i to niezła — Sidałkowski zdjął

krawat, w pokoju było bardzo ciepło. — Może pani zamawiać powóz.

— O czym pan mówi? — Karapet jak zwykle nie zrozumiała go.

— Dziś dla Sidałkowskiego ostatni dzień Pompei. Jewdokio Kapitanowno, od dziś może mnie pani uważać za swego krewnego. Ale gram w otwarte karty: na posadzie pani zięcia zamierzam być krócej niż prezydent Stanów Zjednoczonych w Białym Domu. Proszę o tym powiadomić Tamarę.

Mary zerwała się z miejsca, szybko się ubrała i ruszyła do drzwi.

— Pani na długo?

— Do jutra. Pojadę do Tamary. Prosiła, bym ją zawiadomiła, jeśli pan powyżmie ostateczną decyzję.

Po wyjściu Karapet Sidałkowski podszedł do okna. Na dworze był ciepły, błękitny wieczór. W takie wieczory w jego dalekiej rodzinnej Wapniarce chłopcy zbierają się na wieczornicach, pod pachnące miodem i pszczołami jabłonie prowadzą dziewczęta, które rozgrzane słońcem i nastrojem rozchylają nieśmiało swoje usta, jak wiśniowe pączki spragnione ciepła i wilgoci.

Sidałkowski przysunął krzesło bliżej parapetu i przykładając gorące czoło do chłodnej szyby, zamyślił się. Był zawsze głęboko przekonany, że przyszedł na ten świat nieprzypadkowo. Natura stworzyła go nie do sprzedaży losów loteryjnych, lecz do czegoś szczególnego. W tym jednak sęk, że nie wiedział, do czego.

Jak zwykle, kiedy popadał w zamyślenie, rozpoczął się dialog Sidałkowskiego-pierwszego z Sidałkowskim-drugim. „Kogo ty z siebie robisz, pyszałku? — pytał Sidałkowski-pierwszy. — Masz chorobliwą manię wielkości. Jesteś taki jak wszyscy...”

Nagle otworzyły się drzwi. Chciał zamknąć okno, sądząc, że to z przeciągu, ale na podłodze zamajaczył jakiś cień. Sidałkowski odwrócił się i spotkał się ze spoj-

rzeniem odmłodzonej i przeobrażonej Karapet. Nie wierząc własnym oczom przetarł je dłonią, pachnącą kremem ogórkowym. Głos Karapet, kiedy przemówiła, też był inny: delikatny jak ormiański instrument ludowy.

— Ija! — nieznajoma podała mu rękę.

— I pani? — zdziwił się Sidałkowski, całując ją w delikatną rączkę.

— Ija — powtórzyła nieznajoma, akcentując pierwszą literę — Ija, to moje imię — dodała.

„Jak klasyczny obraz: piękna, ale chłodna” — pomyślał.

— Ach tak? A ja myślałem, że i pani jest córką Jewdokii Kapitonowny.

— Nie pomylił się pan: i ja.

— Bardzo mi miło. Ale w pani rodzinnym spisie takiego imienia nie ma.

— To skrót od Nadija.

— To znacznie piękniejsze. Nadzieja napawa nas wiarą w przyszłość, prawda? — ożywił się Sidałkowski, usiłując wyjąć z ramek tę wymalowaną piękność. — Na łowcę i zwierz bieży.

— Co, proszę? — nieznajoma rozsiadła się jak u siebie w domu.

— Nic, ja o sobie. Cytuję Szekspira. Lubi pani Szekspira?

— Lubię Czechowa — odpowiedziała rzeczowym tonem.

„Taką wyjmuje się z ramek albo natychmiast, albo nigdy — myślał Sidałkowski, patrząc na nią. — Ale do tego to trzeba by samemu wyjść z ramek”.

— Pani matka będzie dopiero jutro rano. Ma pani szczęście...

— Pan uważa, że to szczęście?

— Oczywiście! Chyba nie odmówi pani spędzenia ostatniej majowej nocy w moim towarzystwie?

— Pan jest bezczelny!

— Nie, tylko nie jestem obłudny i...

Ija wstała i podeszła do lustra, poprawiając gęste krucze włosy. „To już coś znaczy!” Sidałkowski wyjął koniak, pokroił na plasterki cytrynę, posypując ją cukrem.

— Nic tak ludzi nie zbliża, jak koniak — biały plastikowy korek głucho stuknął o podłogę.

— Tak pan sądzi?

— A pani?

Ija nie odpowiedziała.

— Pani matka ciągle mówi, a ja milczę. Z panią jest zupełnie inaczej — Sidałkowski podał jej nalany kieliszek, szklaneczkę napełnił wodą mineralną.

— Ja tak dużo nie piję.

— To koniak. Ormiański. A jeśli się nie mylę, to pani Armenia nie jest obojętna.

— Pan za dużo mówi.

— Ma pani rację — przechylił kieliszek, ale koniak zatrzymał w ustach, nie spuszczać z niej oczu, jak kot z myszy. „Piękna i «nieznajoma», jak u Kramskiego”.

— Na mnie już czas — Ija obciągnęła spódniczkę z czarnym błyszczącym paskiem i dużą miedzianą kłamarą.

„Figura jak hawajska gitara. Dom bez takiej kobiety jak akwarium bez złotej rybki. Czyżby rzeczywiście chciała teraz odejść?” Jewgraf podszedł i położył delikatnie dłonie na jej ramionach. Odwróciła się i spojrzała na niego swoimi ciemnymi, jak otwory luf dubeltówki, oczyma, w których wyczytał: „A co dalej?” Speszycło go to spojrzenie, ale cofnąć się było już za późno. „Pocałuj ją! — podpowiedział mu Sidałkowski-drugi, — To jedyna i wypróbowana metoda wypełnienia kłopotliwej ciszy pierwszych chwil znajomości”.

— Wypijmy bruderszaft — zaproponował.

Ija wzięła kieliszek, ich ręce się splotyły. Pocałunek

wyszedł długi i uderzył do głowy jak ormiański koniak z pięcioma gwiazdkami.

Sidałkowski chwycił Iję na ręce i zaniósł do szerokiego jak ujeżdżalnia łózka...

...Pochmurnego czerwcowego ranka Sidałkowski żegnał się z wolnością i jednocześnie rejestrował trzy wydarzenia: dzień swoich urodzin, dzień swego ślubu i dzień utraty niezależności. Wszystkie te fakty były jednak fikcyjne, bo w rzeczywistości urodził się dwa tygodnie później, niż zarejestrował to notariusz, ożenił się dwa tygodnie wcześniej, niż opiewało podanie do urzędu stanu cywilnego, a utrata niezależności miała, jego zdaniem, charakter czysto formalny.

Mimo że niebo wisiało tego ranka matowe i smutne, Sidałkowski nie tracił właściwego mu optymizmu: żartował, sypał dowcipami i rzucał spojrzenia amanta filmowego o wiele częściej na Iję niż na Tamarę.

— W jednym święcie zmieściły się trzy wielkie daty, dzień urodzin, dzień ślubu i dzień rozstania.

Tamara spochmurniała, bo ta ostatnia perspektywa wcale jej nie cieszyła. Promieniała natomiast Ija, chociaż nic konkretnego jeszcze nie widziała nawet w perspektywie. Wychodząc posłała mu krótkie, pełne wyrzutu spojrzenie gwiazdy filmowej, a jednocześnie doświadczonego portiera hotelowego, który nie dostał napivku od gościa o wyglądzie milionera.

Wszyscy już dawno zeszli na dół. Sidałkowski pozostał sam na sam ze swą wolnością, by się z nią pożegnać. „Wolność — to pojęcie abstrakcyjne, dowód osobisty — pojęcie konkretne. I ten konkret leży już w mojej kieszeni” — poklepał się po piersiach. Był zadowolony z tej zamiany. Nie wiedział tylko jednego: że wolność traci się łatwo, ale odzyskuje bardzo ciężko.

Stał przy oknie w pozie Kolumba i powoli zawiązy-

wał krawat. Przed bramą stały czarne, błyszczące jak buciki Sidałkowskiego, ukwiecone „Wołgi”, skąd dochodziły odgłosy niecierpliwych klaksonów. Ale Jewgraf na to nie reagował. Bywają w życiu chwile, kiedy chciałoby się czymś dopiec ludziom, którzy nie tylko nic złego nam nie zrobili, ale czynią nam dobro. W małżeństwach skrupia się to zwykle na żonach, kiedy rozeźleni czymś tam mężowie, wracając z pracy czy od kochanek, zaczynają awanturować się o byle głupstwo i podnosić głos. Sidałkowski nie miał jeszcze na kogo wylać swej złości i dlatego chwycił duży talerz i rąbnął nim o ziemię.

— Na szczęście! — zawołał i zszedł na dół.

W pierwszej „Woldze” obok srogiego taksówkarza siedziała mamunia Karapet, rumiana i szczęśliwa. Na tylnym siedzeniu, podobnie jak w dniu, kiedy Sidałkowski po raz pierwszy wstąpił na stołeczny asfalt, zajęła miejsce legalna królowa jego serca — Tamara. W białym welonie. Ale uwagę przyciągał nie welon, lecz plastikowy kwiat o różnokolorowych płatkach, który zdziwiłby nawet Miczurina, gdyby go zobaczył.

Kiedy Tamara wzdychała, kwiat tak podskakiwał na jej piersiach, że, zdawało się, płatki wnet podpadają. Ale klej „BF-247” był przypuszczalnie z eksperymentalnej partii „Tylko jakość” i dlatego wszystko trzymało się na miejscu. Narzeczona siedziała smutna, wiedziała bowiem, czym ta komedia się skończy, chociaż nie znała się na prawidłach budowy sztuk teatralnych z zawiązaniem akcji i kulminacją. Ale jej rozwiązanie odczuwała całym swym siedemdziesięciosześcioletnim jestestwem.

W następnej „Woldze” siedzieli świadkowie: Sławatij Murczenko (zaproszony przez Tamarę), w okularach z nowymi szklami, „kapitan” Saprykin w cywilu oraz smutna Ija. Patrzyła na Sidałkowskiego przez szparę czystych kiedyś firanek tak, jak z klatki ogrodu zoolo-

gicznego patrzy domowa kotka, którą tam zamknęli z dzikimi zwierzętami. Ija siedziała w milczeniu, przypominając mogiłę, w której pochowano ostatnią kawalerską tajemnicę Sidałkowskiego.

Trzecią „Wołgę” zajęli przedstawiciele fabryki, w której pracowała Tamara i gdzie miało się odbyć tak modne wówczas komsomolskie wesele. Wraz ze świadectwem ślubu mieli oni wręczyć młodej parze nakaz i klucze do dwupokojowego mieszkania, które Sidałkowski zamierzał wymienić za dopłatą na dwie kawalerki.

— Czemu się spóźniasz, stary? — na prawach starego przyjaciela spytał Sława Murczenko.

— Żenić się i umierać, Sławo, nigdy nie jest za późno — wygłosił pan młody jeszcze jeden aforyzm, usiadł przy Tamarze i dla zachowania pozorów objął ją ramieniem.

Orszak czarnych limuzyn mknął do Pałacu Szczęścia, lecz Sidałkowskiego nazwa ta w tym dniu drażniła. Chciał być jednak miły, usiłował żartować i uspokajać Tamarę. Ale odnosiło się wrażenie, że to raczej sam siebie próbuje uspokoić, jak skazaniec prowadzony na szafot, który udaje przed widzami bohatera, chociaż wszyscy widzą, jak drżą mu kolana.

Przed samym wejściem do pałacu Sidałkowski chwycił się za serce: nie wyczuł pod ręką dowodu osobistego. Na szczęście dowód leżał spokojnie na siedzeniu w samochodzie. „To zły omen — pomyślał z lękiem. — Rozwód może się nie udać. Albo Tamara przyzwyczai się do mnie bardziej niż ja do niej, albo...”

Ija chwyciła go po drodze za rękę, którą czule uściskała, zapewniając szeptem, że „tajemne stanie się jawnym”.

— Wtedy będzie już za późno! — powiedziała zbyt głośno.

Udał, że tego nie słyszy. Wspiął się po schodach z

dumnie podniesioną głową zwycięzcy, pod nogi którego sypią kwiaty. Tak kroczą tylko słynni dowódcy lub właściciele kart wstępu na zamknięte pokazy filmowe.

Podpis został złożony, metryka ślubu wręczona. Obrączka na palcu przypominała Sidałkowskiemu starannie wypisane zero, jako arytmetyczny rezultat zamiany jego wolności na dowód osobisty.

Orszak weselny ruszył w powrotną drogę. Przy kiosku „Kwiaty — nasza radość” Sidałkowski gestem szypra zatrzymał samochody.

— Jak nazywają się te kwiaty? — spytał sprzedawczynię.

— Kalie.

— Kalie?

— Tak, kalie. Czemu się pan tak dziwi? Kupuje pan czy nie? Tu nie ogród botaniczny. Jeśli za drogo, to proszę wziąć tulipany, są tańsze.

— Pani mnie obraża — uśmiechnął się Sidałkowski. — Chodzi nie o pieniądze tylko o estetykę. Pani będzie uprzejma, cztery kalie. Reszty nie trzeba.

Wrócił do samochodu. Mamuńci Karapet wręczył jedną kalię, Tamarze — też jedną, a Iji — tyle, ile teściowej i żonie razem. Tamara z czysto kaukaskim temperamentem rzuciła swą kalię na jezdnię i po chwili kwiat zginął pod kołami przejeżdżającego samochodu. Sidałkowski zrozumiał: kobieta po ślubie jest zupełnie niepodobna do tej sprzed ślubu. To była jego druga pomyłka po pierwszej, jaką był właśnie ślub.

Prócz nowego dowodu osobistego, świeżej w nim pieczętki i złotej obrączki Sidałkowski otrzymał w zamian nylonową koszulę, czarne lakierowane buciki firmy „Cebo” oraz oczywiście japońskie skarpetki „shikishima boseki”. Wszystko to zostało zakupione przez teściową na talony w sklepie „Tylko dla tych, co po raz pierwszy”. Koszt był znaczny, co wywołało u Sidałkowskiego niezrozumiałe podejrzenia.

Przyjęcie weselne odbyło się w restauracji dla gości zagranicznych. Sidałkowski siedział na honorowym miejscu, lustrując okiem głównodowodzącego rozstawienie baterii. Oczywiście baterii butelek.

Przez cały wieczór tańczył z Iją nie wiedząc, że w całej Europie modna jest właśnie taka figura, jak jej. Tamara była obrażona jego demonstracyjnym zachowaniem i już zaczęła obmyślać plan zemsty.

— Żal mi pana — powiedziała Ija, przytulając się jeszcze mocniej do jego piersi. — Zapłaci pan jeszcze za swą lekkomyślność.

Spojrzał na nią jak Pączyszka na widok czegoś jeszcze bardziej różowego niż wszystko, co ma, i tylko mocniej ją przytulił. Czuł się z Iją cudownie.

Sidałkowski nie miał zwyczaju zastanawiać się nad dniem jutrzejszym, kiedy nie skończył się jeszcze dzisiejszy. Bawił się wesoło, pił, tańczył. Teściowa, sądząc z tego, ile zięć wypił, przewidywała burzliwą i pełną rozczarowań noc poślubną swej córki. Ale ambitna Tamara zrezygnowała sama z tej nocy.

KSIĘGA DRUGA

Bądźcie sobą!

Autor

Od śmieszności do tragizmu —
jeden krok.

Zastyszane od Sidałkowskiego

ROZDZIAŁ PIERWSZY

w którym opowiada się o pewnych zmianach w „Findipoczu”, nowych pracownikach tego światowej sławy zakładu, ich upodobaniach i smaku „śledzia w kożuchu”

Minął rok. Początek tego okresu liczymy nie od pojawienia się Sidałkowskiego w „Findipoczu”, lecz od jego przybycia na kijowski dworzec. Możemy sobie darować dalsze wydarzenia tego roku w życiu naszego bohatera zgodnie z dewizą życiową Sidałkowskiego, który nie przywiązywał znaczenia zarówno do przeszłości, jak i przyszłości, żyjąc wyłącznie dniem dzisiejszym. „Dzień jutrzejszy — mawiał — istnieje tylko po to, żeby naprawiać błędy dnia dzisiejszego”.

Nad Kobylatynem Turbinnym, podobnie jak tego pamiętnego lata, kiedy Sidałkowski wchodził w kolektyw „Findipoczu”, jak nóż do czekoladowego tortu, wisiał łagodny czerwiec; na czereśniach czerwieniały czereśnie, na wiśniach — wiśnie, a na uskrzydłone hasło „Findipoczu” — „Damy każdemu obywatelowi po

czapce!" — spływały ciepłe deszcze, usiłując zmyć mieszanek błyszczących farb, przygotowanych przez Daromira Czyhyrenkę-Repnińskiego według jego własnej receptury. „Findipocz” kwitł jak stara panna, która nieoczekiwanie włożyła na głowę welon, nie wiedząc jeszcze, czym to się dla niej skończy. Takim welonem dla „Findipoczu” było nowe hasło, które Czyhyrenko-Repniński na propozycję Sidałkowskiego zgodził się wyrzezać z drewna. Teraz każda litera przypominała wielką czapkę. Ale majowa burza zerwała dwa słowa i na fasadzie „Findipoczu” pyszniło się: „Damy... po czapce!” Wyglądało to nieco wojowniczo, dlatego Kowbyk polecił napis zrekonstruować, ale Czyhyrenko-Repniński przebywał właśnie na urlopie, pracując nad nowym obrazem. Podobno był całkowicie pochłonięty malowaniem bućków bohatera obrazu, a że wkładał w to zawsze najwięcej pracy, poprosił więc o dodatkowy miesiąc urlopu bezpłatnego, by dzieło zakończyć. Wczasy zwykł był spędzać nie na południu jak wszyscy, lecz na północy. Nie należał do marynistów i morza nie lubił, zwłaszcza Czarnego i Azowskiego, gdzie niemal przez cały rok ludzie chodzili boso.

W „Findipoczu” zmieniło się nie tylko hasło. Filia po raz pierwszy uległa wewnętrznej reorganizacji nie na mocy nakazu z góry i nawet nie na życzenie jej pracowników, lecz na propozycję Sidałkowskiego, którego aktywnie podtrzymywał Chowraszkiewicz, wierząc święcie, że autorem pomysłu jest sam Kowbyk, a nie nowicjusz, do którego odnosił się zresztą z dużą rezerwą.

Zastanawiając się nad propozycją Sidałkowskiego—Kowbyka, Mychajło Chowraszkiewicz nieoczekiwanie dla samego siebie odkrył genialną w swej prostocie formułę: $1:2=2$

Było to chyba pierwsze prawdziwe odkrycie Chowraszkiewicza, ale nie wgłębiał się w jego istotę, bo tu

już zaczynała się matematyka, która mogłaby zabić w nim humanistę i selekcjonera. A praktyczna realizacja tej formuły była bardzo prosta: za jednostkę (1) przyjęto gabinet Kowbyka, który, podzielony na dwie (2) różnej wielkości części, dawał dwa (2) nowe pomieszczenia: gabinet i sekretariat.

Według podobnej zasady, tylko przy pomocy arytmometra i pod naciskiem Nieszczadyma, Karol Iwanowicz Bubon podzielił pensję byłego pracownika „Findipoczu” Warfołomija Czadiuka na dwie części w takiej samej proporcji, co dawny gabinet, i otrzymano dwa nowe etaty: dla sekretarki Margaryty Izotowny Dulczenko, przezwanej „królową Margot”, oraz dla gońca Tezi Czudłowskiej, ochrzczonej Zosią.

Kiedy Czyhyrenko-Repniński ujrzał po raz pierwszy Margarytę, chwycił za sztalugi i pędzel i zafiksował na płótnie tylko jej nos z dwiema cętkami po bokach, oznaczającymi oczy.

— Co to za nos! — zachwycił się Czyhyrenko-Repniński nie bez zazdrości, nie spuszczać oczu z sekretarki.

Nos miała istotnie niezwykły. Zaczynał się zaraz pod fryzurą, przechodził przez całą twarz i opuszczał się aż do samej górnej wargi, która od czasu do czasu pokrywała się ledwie widoczną roślinnością.

Królowa Margot nienawidziła mężczyzn (z wyjątkiem oczywiście Stratona Stratonowicza), dzieląc ich na trzy kategorie: niechlujnych, podłych i podstępnych.

— Wszyscy oni to albo podrywacze, albo pijacy, albo jedno i drugie. Lepiej już przyjaźnić się z psem niż z mężczyzną. Są podstępni i zdrażliwi — powtarzała ciągle Zosi Czudłowskiej.

Margaryta Izotowna była przekonana, że wszyscy mężczyźni bez wyjątku, nie wyłączając autora tej powieści, mają kochanki. Zaś w każdym mieście, dokąd findipoczowcy wyjeżdżają służbowo, mieli dodatkowe

zony, których mieszkania przekształcały się wówczas na malutkie, ciepłutkie, jak je nazywała, „rodzinne filie rozgrzewania obcych kobiet”.

Wiek Dulczenko również trudno było określić, jak wiek starych monet bez znajomości archeologii, chociaż Margaryta Izotowna ciągle mówiła o swej młodości.

— Proszę mi wierzyć, że i ja kiedyś byłam młoda...

Ale w to nikt nie wierzył. W każdym razie w „Fin-dipoczu”.

Charakterystyczną cechą Margaryty był jej chód. Chodząc kiwała się jak kaczka albo mistrz maratonu, dlatego odnosiło się wrażenie, że wprawdzie ma gdzieś wmontowany silnik, ale wysiadły akumulatory. Jej usta zamykały się chyba tylko w nocy i w pierwsze dni znajomości Chowraszkiewicz patrzył na nią tak, jakby wreszcie udało mu się wyhodować czapopiza. Była dla niego istotą wręcz niewiarygodną, bo nigdy nie dopuszczał myśli, że ktoś mógłby go przegadać.

O czym mówiła? O wszystkim i o niczym. Jeśli Chowraszkiewicz, stary i doświadczony teoretyk „kobietoznawstwa” (jak go określał Sidałkowski), plotkował najczęściej o kobietach, to Dulczenko mówiła o nich rzadko i tylko dobrze.

Margaryta Izotowna miała swoje hobby: udzielała wszystkim porad kulinarnych: jak wypiekać ciasta, gotować różne zupy, barszcz, przyrządzać koktajle oraz „śledzia w kożuchu”. To był jej „koń trojański”, opowiadała o tym „śledziu w kożuchu” tak smakowicie, że Kowbyk nie wytrzymał i wydał surowy zakaz mówienia o nim. Odnosiło się wrażenie, że Margaryta Izotowna mogłaby obronić pracę doktorską z każdej dziedziny kulinarnej i stać się jednym z czołowych naukowców instytutu higieny i żywienia, ale po prostu nie zależało jej na tym. A poza tym w Kobylatynie Turbinnym takiego instytutu nie było, a do innego miasta, nawet do stolicy, nie miała ochoty się przenieść.

Porady i przepisy kulinarne, które przynosiła do „Findipoczu”, były rzeczywiście niezwykle oryginalne. Jedno tylko pozostawało tajemnicą: czy je skądś przepisywała, czy też wymyślała je sama, „z własnej głowy”, jak mówił Bubon. Różne przepisy w rodzaju „Jak nakryć do stołu”, „Co podać gościom na deser” i tym podobne można było znaleźć u niej wszędzie, w torebce na karteczkach papieru, na okładkach książek, na marginesach gazet i broszur. Kolekcjonowała je jak znaczki pocztowe i trzęsa się nad nimi jak numizmatyk nad monetami. Miała jedyną chyba w świecie kartotekę, zawierającą szczegółowe przepisy na sporządzanie dwustu rodzajów barszczu. Nikt jednak nie miał wglądu do tej kartoteki, bo właścicielka obawiała się plagiatów.

Obok Margaryty Izotowny, wyciągnąwszy pod stołem długie chłopiące nogi, dzięki którym w szkole przepowiadano jej błyskotliwą karierę koszykarki, siedziała Tezia Czudłowska, nazwana Zosią, goniec „Findipoczu”. Przypominała szybko rosnący bambus, ściśnięty dwiema pionowymi deskami.

Jeśli Zosia nie biega po papierosy dla Stratona Stratoniczka (a jest to niemal jedyne jej zajęcie w „Findipoczu”), to czyta, tak przy tym wzdychając, że kartki ze ściennego kalendarza odrywają się same i spadają na podłogę jak jesienne liście. Zosia uznawała tylko cztery książki, stworzone przez ludzkość: „Tristana i Izoldę”, „Romea i Julię”, „Angelikę i króla” oraz „Dama kameliową”. Czytała je dniami i nocami, a gdy zasnęła, śniła piękne kolorowe sny według scenariuszy, wywodzących się ze wspomnianych książek.

Tezia Czudłowska, podobnie jak wszyscy findipoczowcy, miała jeszcze przezwisko rezerwowe: dypkurier „Findipoczu”. Nie było w tym żadnej złośliwości, bo wszyscy odnosili się do niej z sympatią, ceniąc w niej skromność i wstydlivość. Należała do tych niewinnych stworzeń, które wchłaniały w siebie wszystko, jak mor-

ska gąbka. Była łagodna i dobra. Tak dobra, że nawet Nieszczadym nie ośmieliłby się jej obrazić. Nigdy nie miała myśli własnych, korzystała wyłącznie z cudzych, i to rzadko.

Pod sercem nosiła różowe marzenie. Marzyła o czystej, jak wymyte łzami jej oczy, miłości. Marzyło się jej, by wykradł ją jakiś niegodziwiec i ukrył w starym średniowiecznym zamku, a szlachetny rycerz, zakuty w pancerz i choć trochę podobny do Sidałkowskiego, zabił tego łotra i wyzwolił ją. A potem posadził ją na konia (samochodów Zosia nienawidziła, bo Margaryta Izotowna opowiadała jej, jakie to straszne historie z dziewczętami i kobietami wyprawia się w samochodach), a koń był w czarnym albo — jeszcze lepiej — w błękitnym czapraku, i na tym koniu rycerz zawiózł ją do swojego zamku. Zosia, co prawda, nie wiedziała, gdzie teraz znaleźć taki średniowieczny zamek, ale w jej wyobraźni rysował się bardzo wyraziście. Droga do niego prowadziła poprzez leśne ostępy i knieje, pełne strasznych zbójców, a potem przez zielone łąki i dębowe gaje wzdłuż błękitnych rzek. W drodze mieli mnóstwo różnych przygód, z których jako zwycięzca wychodził zawsze Sidałkowski.

Od pierwszego dnia, jak tylko Zosia przybyła do „Findipoczu”, siedział naprzeciw niej od rana do wieczora Daromir Czyhyrenko-Repniński. Przesiadywał dopóty, dopóki nie przegonił go Straton Stratonowicz. Daromir pożerał oczami Zosię, którą pokochał „od pierwszego wejrzenia i na zawsze”, ale ona — zgodnie z edukacją Dulczenko — nie wierzyła mu i nie odpowiadała wzajemnością. Margaryta zapewniała ją, że każdy malarz podczas studiów w akademii ogląda i maluje różne gołe kobiety, a tacy mężczyźni, którzy odkryli już tajemnicę wszystkich tajemnic, niezdolni są do wielkiego, a tym bardziej długotrwałego uczucia. Zosia, którą już w dzieciństwie nauczono szacunku dla

starszych, wierzyła Margarycie i nie zakochała się w Czyhyrence-Repnińskim.

— Pani pociąg już dawno odszedł — mówił zmarłwiony Czyhyrenko do Zosi — a pani pozostała na peronie szesnastego wieku. Niech pani wraca w nasz dwudziesty wiek — błagał ją.

Ale ona nie chciała wracać, mimo że nosiła spódniczkę-mini. Wstydziła się też swych długich, chociaż zgrabnych nóg i bardzo chciała być niższa. Dlatego Czyhyrenko-Repniński chciał ją poznać z pewnym szewcem, który zaprojektował obcas w taki sposób, że obniżał wzrost. Ale Zosia zapewniała go, że jest uczciwą dziewczyną i nie pozwoli mu się wciągać w żadne podejrzane kombinacje. Czyhyrenko-Repniński skapitulował, jak żołnierz na rozkaz dowódcy, wycofując się na z góry upatrzone pozycje, by uspić czujność przeciwnika, a potem niespodziewanym atakiem wziąć go do niewoli.

Tymczasem Chowraszkiewicz nielegalnie kontynuował eksperymenty z Czanitą i Kuźmą i podobno udało mu się w końcu wyhodować czapopiża. Ten eksperymentalny egzemplarz czapki z czapopiża bez wiedzy Kowbyka wręczył dyrektorowi bazy warzywnej dla wypróbowania jej w różnych warunkach. Czapka miała tylko jeden mankament: kłuła, ale i to miało swoje dobre strony, bo gdy dyrektor wracał do domu, do czapki, w zależności od pory roku, zawsze coś się przyczepiło: a to jabłko, a to gruszka, a to kiszony ogórek.

Okres „docierania” czapki nie przeszedł jednak wszystkich stadiów, bo za dyrektorem zaczęły chodzić jakieś podejrzane typy w normalnych czapkach, więc na wszelki wypadek zdjął z głowy czapkę z czapopiża i dał synowi. Synek zaniósł czapkę do szkoły, gdzie zrobiono z niej wypchanego jeża i wstawiono do gabinetu zoologicznego, co każdy przy okazji może sprawdzić.

W ostatnim roku Chowraszkiewicz zapuścił wąsy,

które ku jego zdziwieniu były rude, mimo iż na głowie i piersiach miał czarne. Zamierzał w najbliższym czasie zająć się tym fenomenem natury od strony naukowej i napisać pracę na ten temat.

A Pancziszka był jeszcze bardziej rumiany i coraz grubszy. W ich mieszkaniu zjawił się różowy bolończyk Niuzia. Majolika wezwała ze wsi mamę, która trzy razy dziennie wyprowadzała różowego pieska na różowej taśmce na spacer.

Adam Baronecki niespodziewanie polubił jabłka i zjadał wszystkie, jakie tylko Ewa mu dawała. Zmieniła się też nieco i Ewa. Koło jej lewego oka pojawiła się pierwsza, ledwie widoczna zmarszczka. Ewa stanęła przed dylematem: czy zrobić taką samą koło prawego oka, czy usunąć tamtą. Ale ponieważ było to niemożliwe, zafundowała sobie drugą zmarszczkę.

Nie zmienił się tylko Karol Iwanowicz Bubon. Chodził w tych samych welwetowych spodniach z dwoma reflektorami z tyłu i nosił te same zarekawki. Zmienił się natomiast Neszczadym. Teraz nawet w upał chodził w krawacie, w dobrze zaprasowanych spodniach i kobyłatyńskie psy nie odważały się już czekać na niego, warczały jedynie, podciągając pod siebie ogony, i znikwały za furtkami, ale nie swoimi, tylko cudzymi, by nie zdradzać przed Neszczadymem swego właściciela. Czasami spotykano Neszczadymą w Kijowie.

— Co nowego, Ariju Fedorowiczu?

Neszczadym poklepywał znacząco teczkę, jakby w niej były materiały najwyższej wagi państwowej.

— Zapraszali mnie do ministerstwa.

Nie mówił jednak, do jakiego. Poniżej tej instancji nie schodził nigdy.

A mamuńcia Karapet wywiesiła nowe ogłoszenie i ma teraz puzonistę z restauracji „Pod dębem”. Nie był wprawdzie tak przystojny jak Sidałkowski, ale za to głupszy od niego i Mary polubiła go już pierwszego

wieczoru, żeby następnego nie tracić na towarzyskie formalności.

Ija jeszcze bardziej wypiękniała i, jeśli wierzyć Sidałkowskiemu, była coraz młodsza, bo jej lata biegły w przeciwnym kierunku. Pracowała nadal jako kierownik sali restauracyjnej. Przeprowadzała teraz kampanię pod hasłem „Napiwki nas poniżają”. Ija walczyła więc o godność kelnerek, a kelnerki o napiwki. Wieczorami spieszyła do Sidałkowskiego jak zahipnotyzowane medium do hipnotyzera.

Wszystkie ważniejsze wydarzenia w życiu Sidałkowskiego wiązały się z jakimiś liczącymi się wydarzeniami w świecie lub w przyrodzie. Do Kijowa przybył w dniu zaćmienia, w „Findipoczu” zjawił się w dniu jego przeprowadzki do Kobylatyna Turbinnego, a sekretarzem-referentem „Findipoczu” został mianowany w dniu, w którym otwarta została nowa linia metra, na Niwki. Zdyszana Ija przybiegła do Sidałkowskiego, kiedy od jej domu do niego zmieniono trasę linii tramwajowej; tramwaju już nie było, autobusu jeszcze nie było, a tak-sówkarze nie chcieli zabierać na krótkie trasy.

— Witam! — zawołała od progu. — Uprzedzałam pana, że zapłaci pan jeszcze za swoją lekkomyślność. Ma pan syna, Sidałkowski.

— Raczej brata niż syna — uśmiechnął się niepewnie. „Więc Tamara ma syna. Równo w pół roku po pojawieniu się w moim dowodzie osobistym stempla o zawarciu związku małżeńskiego.” — No tak: sześciomiesięczny. Czyżby był genialniejszy ode mnie?

Pozornie nie tracił dobrego humoru, pogratulował Tamarze wspaniałego sukcesu w związku z przedterminowym wykonaniem planu. Tamara jak zwykle milczała, a dziecię powitało Sidałkowskiego głośnym „hurra!”, nie wymawiając litery „r”.

— Nastął czas zapłaty — powiedział z ironią. —

Mógłbym jeszcze walczyć o sprawiedliwość, ale to poniżej mojej godności. Dzieci nie są winne.

Napisał podanie i zaniósł do sądu. Udzielono mu wprawdzie rozwodu, ale nie za darmo. Dwa razy w miesiącu Bubon potrącał mu alimenty i byłoby nieprawdą, gdyby ktoś sądził, że robił to z przykrością.

ROZDZIAŁ DRUGI

*w którym opowiada się o ranku w „Findipoczu”,
nowej idei Chowraszkiewicza, durach i mollach,
małym człowieczku, Midasowych uszach, oryginalnym
sposobie picia wódki i dobrych radach Sidał-
kowskiego*

Ranek w „Findipoczu” rozpoczynał się w tym roku zupełnie inaczej niż w roku ubiegłym. Wówczas po prostu wkraczał do „Findipoczu”, a Nieszczadym tylko sprawdzał na swojej „cebuli” czas przyjscia. Teraz ranek, jak i wszyscy findipoczowcy, musiał wpisywać się do księgi obecności, w której na każdy dzień przeznaczona była jedna strona, opatrzona pieczęcią „Findipoczu”. Nieszczadym nie miał więc już po co stać u zbiegu korytarzy, bo korytarzy takich tu nie było, a poza tym nie miało to już sensu. Wprawdzie był jeden długi korytarz, ale miał więcej drzwi, niż było pokoi; można było wejść do pierwszego z brzegu pokoju i spokojnie przejść do swojego przez wewnętrzne drzwi. Schody też nie mogły już nikogo wydać, jeśli się spóźnił, bo miały do muzyki taki sam stosunek, jak słoń do tulskiego samowara. Co prawda, Chowraszkiewicz wpadł na pomysł ich umuzykalnienia i pobiegł ze swą nową ideą do Kowbyka.

— Drogo by nas ta przyjemność kosztowała — powiedział sceptycznie Straton Stratonowicz, który jak

zwykle odnosił się z dużą rezerwą do wszelkich innowacji.

— Można to zorganizować taniej — nie ustępował Chowraszkiewicz. — Trzeba tylko postarać się o patefon i kilka płyt, podstawić pod schodami i automatycznie...

— Ale po co? — zdziwił się Kowbyk.

— Jak to po co? — zdziwił się również Chowraszkiewicz. — Czy pańskim zdaniem muzyka w ogóle nie jest potrzebna?

— No, wie pan! — Straton Stratonowicz podciągnął spodnie, jakby szykował się do ataku. — Muzyka pod schodami...

— A Mychajło Tanasowicz ma rację, Stratonie Stratonowiczu — poparł Chowraszkiewicza Neszczadym. — Muzyka potrzebna nam tu jest nie ze względów estetycznych, lecz dla utrzymania dyscypliny. Kiedy spóźnialski wejdzie na pierwszy stopień schodów, włącza automatycznie patefon, który zaczyna grać. Patefon gra, a my czatujemy sobie spokojnie na drugim piętrze na spóźnialskiego...

— A jaką muzykę pan proponuje? — spytał Kowbyk, zrobiwszy pierwsze okrążenie wokół stołu.

— Oczywiście klasyczną — odparł Neszczadym, wiedząc o konserwatywnych gustach Stratona Stratonowicza.

— Myślę, że powinna ona zależeć od sezonu, od pory roku — Chowraszkiewicz rozwijał koncepcję Neszczadyma. — W zależności od kwartału — poprawił się wiedząc, że Kowbykowi ten termin jest bliższy.

Kowbyk zrobił jeszcze jedno okrążenie wokół stołu.

— Wiosną — ciągnął Chowraszkiewicz — można by dawać „Kiedy znów zakwitną białe bzy”.

— A latem? — Kowbyk jakby się nagle zainteresował pomysłem.

— Latem? „Lato, lato, lato czeka...”

— A jesienią można by puszczać „A mnie jest szkoda lata” albo „Jesienne róże” — uzupełniał Nieszczadym na prawach współautora projektu.

— A w zimie „Zimowy śniegu tren” — nie pozwolił się zdystansować Chowraszkiewicz.

Kowbykowi zdawało się, że Chowraszkiewicz z niego kpi i wybuchnął gniewem.

— Co to, zabawa w przedszkolu czy poważna instytucja naukowa?! Lepiej byście się zajęli nauką, a nie muzyką. Żadnej muzyki, słyszycie?! Ariju Fedorowiczu, proszę wymyślić jakąś sensowniejszą metodę. Durami i mollami nikt nie próbował jeszcze wzmocnić dyscypliny pracy i my też nie będziemy.

— Kiedy to wcale nie tak — wybuchnął nieoczekiwanie Chowraszkiewicz.

— Ma pan babcię? — przerwał mu Kowbyk.

— Nie mam. A co?

— Szkoda. Bo chciałem posłać pana do niej, by jej pan wyjaśnił, co to takiego muzyka pod schodami.

W ten sposób samo życie przy pomocy Nieszczadyma zrodziło tę księgę obecności, stwierdzającą każdego rana zdyscyplinowanie pracowników „Findipoczu”. Na straży dyscypliny stały trzy kałamarze, uzbrojone w trzy uczniowskie obsadki z rondówkami. To nowe zarządzenie nazwano „prawem trzech kałamarzy”. Księgą i kałamarzami zawiadywała z polecenia Kowbyka Margaryta Izotowna, znana ze swej bezwzględności wobec mężczyzn. Nowe zajęcie bardziej jej się podobało, wołała je od sekretarzowania, bo dawało jej nieograniczoną władzę nad mężczyznami, którzy oprócz wszystkich swoich wrodzonych wad jeszcze się spóźniają do pracy. Dulczenko była bezkompromisowa. Nie przyjmowała żadnych tłumaczeń, była głucha na wszelkie prośby. Miała szacunek tylko dla Stratona Stratonowicza, ale jedynie jako dyrektora.

Pracy miała bardzo mało, między monologowaniem

na temat niegodziwości mężczyzn i udzielaniem porad kulinarnych przyjmowała od czasu do czasu telefon.

— Stratonie Stratonowiczu! Proszę podnieść słuchawkę, czy nie słyszy pan, że telefon dzwoni? — wołała przez cienkie przepierzenie.

— A kto dzwoni?

— Czy ja wiem?

„Prawo trzech kałamarzy” wniosło niewątpliwie do pracy „Findipoczu” znaczne ożywienie, wpływając bardzo pozytywnie zwłaszcza na inicjatora Neszczadyma oraz na Margarytę Izotownę. Teraz Dulczenko musiała przychodzić do pracy pierwsza: należało sprawdzić, czy jest atrament w kałamarzach, czy pióra piszą — następnie znieść tę staroświeckie przyrządy do pisania na pierwsze piętro i ustawić je na stoliku przy wejściu. W księdze obecności podpisywała się oczywiście pierwsza. Jako drugi zjawiał się Karol Iwanowicz Bubon, punktualny jak stary zegarek, po nim przychodzili Zosia Czudłowska, Adam Kuchłyk i Neszczadym.

Arij Fedorowicz przybiegał zwykle spocony, zdyszany, jak sprinter. Ale zawsze zdążył na czas. Raz jednak zdarzyło mu się spóźnić. Chwycił obsadkę, umoczył w kałamarzu i zbladł jak pierwszoklasista przy tablicy: atrament był zielony. Spojrzał na zegarek: pięć minut po dziewiątej! „Spóźniłem się. Wszystkiego kilka minut, ale się spóźniłem!” — pomyślał z przerażeniem.

Zielonym atramentem podpisywali się tylko dwaj pracownicy: Sidałkowski i Czyhyrenko-Repniński. Znikał on o godzinie dziewiątej piętnaście, ustępując miejsca atramentowi czerwonemu, tak jak o godzinie dziewiątej miejsce atramentu czarnego zajmował zielony. Atrament czerwony stał do godziny dziewiątej czterdzieści pięć. Korzystało z niego również dwóch pracowników: Chowraškiiewicz i Panczyszka. Przychodzili później niż wszyscy, tłumacząc się tym, że wychodzą

również później i swoje odsiedzą, nie potrzebują więc żadnych ksiąg ani kałamarzy.

— Nie jesteśmy urzędnikami, ale naukowcami — dodawał Chowraszkiewicz, z czym nieśmiało solidaryzował się Panczyszka.

Faktycznie więc przestrzegał „prawa trzech kałamarzy” tylko jego ojciec — Arij Fedorowicz Neszczadym. W tym fatalnym dla siebie momencie, kiedy spostrzegł zielony atrament, postanowił skończyć raz na zawsze z tymi kałamarzami. Teraz jednak trzeba było jakoś się z tego wykręcić.

— Droga moja — błagał Margarytę — niech mi pani da czarny atrament. Ja pierwszy raz... Sprawa zupełnie wyjątkowa... Zatrzymano mnie w ministerstwie...

— W ministerstwach nie rozpoczynają pracy tak wcześnie...

— Wczoraj mnie zatrzymali... Zasiedziałem się tam do późna... Zasnąłem dopiero nad ranem.. Zaspałem. Żona mnie nie zbudziła... Błagam panią! Tu wszyscy są przeciwko mnie. Z wyjątkiem pani, oczywiście.

— Nic z tego Proszę zaczekać zresztą — uśmiechnęła się złośliwie i wstała, kierując się na schody. — Proszę zaczekać na Stratona Stratonowicza, zaraz przyjdzie. Jeśli pozwoli, to proszę bardzo, może się pan podpisać, nawet wszystkimi trzema kolorami.

Arij Fedorowicz, który śmiał się tylko w soboty i to jedynie w latach przestępnych, nagle rozjaśnił się uśmiechem, jak bucik Sidałkowskiego na obrazie Czyhyrenki-Repnińskiego. Margarycie ze zdumienia zadrżały ręce.

— Pan?!

— Ja!

— Nie trzeba — poprosiła drżącym głosem.

— Co „nie trzeba”!

— Tak się do mnie uśmiechać — westchnęła ciężko. — I tak się nie zgodzę — dodała z determinacją.

— Ale ja bardzo panią proszę. Chce pani, to przed panią ukłękne? Przecież to byłby cios w mój prestiż! Mógłbym stracić autorytet w „Findipoczu”!

— A jeśli ktoś zobaczy pana na kolanach przede mną, to autorytetu pan nie straci? Do czego mnie pan namawia, Ariju Fedorowiczu? Przede mną nie klęczał jeszcze żaden mężczyzna. A nawet gdyby klęczał, to i tak bym mu nie uwierzyła.

— Najmilsza...

— Chce pan, żebym naruszyła pańskie zarządzenie, które obowiązuje wszystkich jednakowo? Sam pan mnie pouczał: „Proszę być pryncypialną w sprawach dyscypliny pracy”. Więc jestem pryncypialna. Pan spóźnia się zresztą codziennie. Dwie, trzy minuty, ale się spóźnia. Jak długo można to tolerować?

— Najdroższa — Arij Fedorowicz złożył modlitewnie dłonie. — Proszę nie krzyczeć tak głośno, bo Zosia i Karol Iwanowicz usłyszą.

— A niech słyszą, ale czarnego atramentu panu nie dam! Więc jak to jest: ustanawia pan prawa tylko dla podwładnych?

— To nie prawa, wielce szanowna, to tylko instrukcje.

— Nie znam się na tym. Zakres moich obowiązków jest tak mały, jak moja pensja, ale będę je wypełniać pryncypialnie. Lepiej niech pan już idzie, bo nadchodzi Sidałkowski, a wnet pojawi się też Czyhyrenko-Repniński.

Nieszczadym z ciężkim westchnieniem wziął obsadkę, umoczył pióro jeszcze raz w kałamarzu i pozostawił po sobie zielony ślad. Jak gąsienica. W godzinę później siedział już w gabinecie Kowbyka.

— Trzeba wymyślić coś nowego — zaproponował.

— Dlaczego? Ta księga obecności, to wcale niegłupia rzecz — odparł Kowbyk, który nie wiedział jeszcze o spóźnieniu Nieszczadyma.

— Proszę wybaczyć, ale podpisują się tam czarnym atramentem jedynie ci, którzy i bez księgi zawsze przestrzegali dyscypliny.

— Co pan proponuje?

— Myślę, że trzeba zlecić Chowraszkiewiczowi, by wymyślił jakiś nowy system.

— Ten jego system zacznie działać nie wcześniej niż o godzinie jedenastej — odparł Kowbyk, biorąc papierosa.

Nieszczadym nie wyczuł ironii.

— No więc jak będzie z tymi kałamarzami, Stratonie Stratonowiczu?

— Mnie jest wszystko jedno. Niech będzie tak, jak pan chce. Tylko żeby dyscyplina nie osłabła. Polegam w zupełności na panu — zakończył dyplomatycznie.

— No to likwiduję kałamarze. I księgę obecności też — powiedział twardo.

— Proszę wrzucić ją w ogień! — zawołał Kowbyk. — To zawsze w modzie...

Nieszczadym wyskoczył z pokoju Kowbyka jak oparzony. Koło drzwi jego gabinetu stał niski człowieczek, podobny do pingwina, który w nieznanych bliżej okolicznościach jakimś cudem trafił na południe i tu go długo suszyli jak płótkę.

— Pan do kogo? — spytał Nieszczadym.

— Do towarzysza Sidałkowskiego.

— Naprzeciwno. Trzeba umieć czytać, mój drogi — wskazał na tabliczkę na drzwiach Sidałkowskiego.

Sidałkowski siedział przy biurku i starannie kaligrafował litery. Zazdrościł mu tego nawet Czyhyrenko-Repniński, który posługiwał się różnymi krojami pisma, daleko mu jednak było do Sidałkowskiego; dzięki charakterowi pisma Jewgraфа wybrano na przewodniczącego miejscowego komitetu zakładowego.

„Pingwin” zapukał do drzwi.

— Tak! — krzyknął Sidałkowski. „Znowu kogoś diabli niosą. Nie dadzą człowiekowi popisać.”

Na progu w szarym nakrapianym garniturze i w wielkiej gruzińskiej czapie stał znany już nam „pingwin”.

— Słucham pana — Sidałkowski odłożył pióro.

— Skierował mnie Sławatij Murczenko, oto list od niego. Moje nazwisko Hrak. Jewmen Mikołajowicz Hrak — zdjął gruzińską czapkę, spod której wyfrunęły dwa nietoperze — dwoje wielkich uszu.

„Midasowe uszy” — pomyślał Sidałkowski.

Hrak miał w rękach czapkę z taką zawziętością, jakby chciał ją zniweczyć. Jefgraf wyjął list i raz jeszcze obejrzał Hraka, który pod jego spojrzeniem dumnie uniósł głowę. „Napoleonopodobny — notował w pamięci Sidałkowski. — Objętość klatki piersiowej 76 cm, głowy — 52, wzrost 148, waga 32 kg łącznie z napełnionym wiecznym piórem. Jest w nim coś z konia Przewalskiego. Szczeka wysunięta. Łyżki chyba nie używa, siorbie prosto z talerza.”

— Historia się powtarza — powiedział głośno, wrzucając list do kosza.

— Co pan powiedział? — Hrak wyciągnął się i nadstawił „midasowych uszu”.

— Jak zapewnia mój mleczny brat Murczenko, idzie pan po moich śladach, chociaż rozmiar obuwia ma pan większy. Co pan umie? — spytał sekretarz-referent „Findipoczu” i nowy przewodniczący rady zakładowej.

— Widzi pan, z zawodu jestem weterynarzem...

— Według dyplomu — przerwał mu Sidałkowski. Hrak nie podobał mu się: takie ludziki są zwykle podstępne, chytre i fałszywe, dlatego zdecydował się nie robić sobie z nim ceregieli. — Lizać pan umie?

— Przepraszam, panie doktorze, jak to „lizać”?

Sidałkowski raz jeszcze spojrzał na niego: „Rozmiar obuwia o wiele za duży, buciki wykrzywione. Widać, że facet niespokojny, bezczelny i pewny siebie. Ciekawe,

jak on wygląda w kąpielówkach? Ale po co ja go rozbieram?"

— Jak pan powiedział, doktorze?

Taka forma łechtąła próżność Sidałkowskiego. „Jednak jest coś takiego we mnie..."

— Spytałem, czy umie pan lizać.

— Przepraszam, ale niezupełnie pana rozumiem — Hrak zaczął szpicem bucika kreślić coś na parkiecie.

— Proszę tego nie robić. U nas był niedawno kapitalny remont. A jeśli panu nie podoba się słowo „lizać” — spojrzął uważnie w oczy Hrakowi, który zaraz je spuścił — to powiem delikatniej: czy umie pan podlizywać się?

Hrak przez chwilę zastanawiał się, potem podniósł głowę i spojrzął na Sidałkowskiego ciepłym, infraczerwonym wzrokiem.

— Przepraszam, doktorze... No właśnie: znów mi się wyrwało. Prawie do wszystkich zwracam się per „doktor”.

— Może pan mówić do mnie po prostu: Sidałkowski, ale za doktora gniewać się nie będę. To u pana nieźle wychodzi. Zaraz widać, że działał pan w ruchu amatorskim — Sidałkowski wstał, demonstrując Hrakowi fizyczne walory, i usiadł z powrotem. W takich momentach bardzo się sobie podobał, a na tle Hraka mógł się nawet w sobie zakochać. Szkoda, że nie ma lustra... — Jak u pana z zameldowaniem? Jesteśmy rejonem podstołecznym.

Hrak się zmieszał. Twarz jego przybrała kolor różowego flaminga. „Aniołek z różowymi uszami” — pomyślał Sidałkowski, wziął pióro i namalował różowego diabełka.

— Wszystko jasne: zameldowania nie ma. Dziewczyny nie ma, mieszkania nie ma, mam nadzieję, że długów też...

— Są — ten dźwięk z trudem wydostał się z gardła,

stuknął o podniebienie i ugrzął w rzadkich, nieco zepsutych zębach.

„Widocznie zębami rozgryza orzechy, jak wiewiórka. Lepiej by jadł marchew, jak królik. Tak zaniedbać zęby! — oburzał się Sidałkowski. — Chyba niezbyt często je czyści. Oszczędza na bułgarskiej paście, a charkowska takim zębom nie da rady. Wstawiłby lepiej sztuczne. Chodzić z takimi zębami... Czyżby ludzie stracili zmysł estetyczny?”

— Więc co pan ma, prócz dyplomu, oczywiście? — Sidałkowski powtórzył pytanie.

— Dziewczyne — Hrak wstydliwie opuścił wzrok i zastygł z artystycznie pochyloną głową.

„Nieźle — ocenił Sidałkowski. — Interesujący kadr. Kowbykowi może się spodobać.”

— Mam dziewczynę — pwtórzył Hrak głośno.

— Proszę tak nie krzyczeć, mam dobry słuch — Sidałkowski podniósł rękę systemem „autostop”. — I nie akcentować tej sprawy. Jeśli pan ją kocha, to proszę natychmiast o tym zapomnieć. Słyszysz pan?!

Źrenice Hraka rozszerzyły się, jak przesłona w aparacie fotograficznym.

— Jak to „zapomnieć”?

— Zwyczajnie — Sidałkowski znów wstał. — Pańska dziewczyna pozamiejscowa. Mieszkania nie ma, zameldowania, tak samo jak pan, też nie ma. Ma skierowanie do pracy na wsi, a pan nie chce... Wyjdzie tam za mąż za wszechstronnego mechanizatora. I zapomni o panu, Hrak. Będzie wychowywać dzieci. Normalne, zdrowe, rumiane i nieco umorusane... Będzie od czasu do czasu jeździć do stolicy. I częściej niż pan będzie jeździć do teatru. Własnym samochodem. Mechanizatorom przydzielają w pierwszej kolejności. Będzie chodzić do cyrku, do opery, na balet na lodzie. A pan będzie siedział w Kijowie albo w Kobylatynie Turbinnym. Ożeni się pan z córką emerytowanego pułkownika lub...

Tu ich pełno wokół stolicy, jak sputników wokół ziemi. A może poszczęści się panu więcej niż innym i ożeni się pan z córką generała. Rodzaj broni nie ma dla pana, jak sądzę, żadnego znaczenia. Będzie pan biegać po sklepach meblowych. Po znajomości, dostanie pan, być może, meble z importu. Radzę niemieckie, z prasowanych trocin. A jak chce pan solidne, to rumuńskie. Potem żona będzie ciągać pana po różnych cepeliach i desach, gdzie będzie pan kupował kolorowe świece, pozłacane kandelabry i brązowe świeczniki. Możliwe, że uda się panu zdobyć kilka starych ikon i wyszywanych ręcznie ręczników. Generał podaruje wam magnetofon z dwoma taśmami. Żona włoży panu na szyję pozłacany krzyżyk. Krzyżyk ten i jaskrawe japońskie płytki będzie pan obnosił na plażach Jałty lub Eupatorii. Potem Krym panu obrzydnie. Pociągną pana Karpaty, a potem Bałtyk: Pałanga, a może Dubuły. Ale i to się przeje. Zachce się panu pełnej swobody, w pampasach. Ale u nas pampasów nie ma...

Hrak nie spuszczał z Sidałkowskiego oczu.

— Niech pan tak na mnie nie patrzy, Hrak. Nie jestem jasnowiedzem ani komisarzem Maigret, ani też Agatą Christie. Tu wszystko jasne. Gdyby pańska dziewczyna miała mieszkanie, przyszedłby pan do nas z dowodem osobistym i zameldowaniem. Lub chociaż zapewniłby pan mnie, że zameldowanie będzie najpóźniej w ciągu miesiąca lub dwóch... A tak to wiadomo: nie ma.

— Nie ma — westchnął Hrak.

— No więc proszę mnie posłuchać. Zaczyna mi się pan podobać. Jest w panu coś z adiutanta. To jest akurat to, czego mi brakuje. A przyroda, jak pan wie, nie znosi próżni. Więc niech pan siada i słucha. Co pan ma?

— Dyplom...

— Niech mi pan nie przerywa, Hrak. Ja filozofuję.

Dyplom to teraz każdy ma. Ale zupeł nie każdy umie gotować. Nawet ci, co kończą uniwersytety i akademie. Tak jak pan na przykład. Umie pan gotować zupeł?

— Jaką zupeł?

— Rybną: podwójną, potrójną lub zwyczajną. Z kaczka lub kurą na dnie kociołka...

Hrak wyprostował barki tak, jakby na nich zjawily się już adiutanckie akselbanty.

— Oczywiście — pouczał Sidałkowski. — Brak życiowego doświadczenia. Tego nie daje żaden zakład naukowy. A umie pan chociaż łowić ryby?

— Nigdy nie próbowałem.

— Co pan, żył w stepie pod Chersoniem?

— W stepie. U nas w lecie rzeczka wysychała.

— Z takimi kwalifikacjami, Hrak, nie ma pan czego szukać w „Findipoczu”. A ducha z flaszki umie pan wypuszczać? — zacytował powiedzenie Stratona Stratoniczaka. — Ach, prawda, pan nie wie, co to takiego. Nie przywykł pan do plastycznych skojarzeń. Więc spytam prościej: jak u pana z pićm? Tylko szczerze.

— Ja nie piję.

— Zupełnie? — spytał ze zdumieniem Sidałkowski.

— Ja wlewam — uzupełnił cicho Hrak.

— Jak to „wlewam”? — brwi Sidałkowskiego przypominały mewy w locie.

Hrak wstał, nalał z karafki wody do szklanki, podniósł ją na wysokość oczu, szeroko otworzył usta i nagle wlał wodę do otworu. Adamowe jabłko zadrgało tylko raz, jak wole u indyka.

— Interesujące — brwi Sidałkowskiego wyrównały się. — Czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Ano — nalał wody do szklanki — teraz ja spróbuję. — Przechylił szklankę, ale się zakrztusił, woda pociekła po marynarce. — W ten sposób utopić się można — Sidałkowski odkasznął. — No ale tak między nami mówiąc

to ta sztuczka spodoba się naszemu szefowi. Pije pan, żeby się popisywać czy z nawyku?

— Nie znoszę ani zapachu, ani smaku alkoholu. No ale od czasu do czasu musi się wypić. Dlatego właśnie wlewam, no i upijam się.

— To już gorzej. A szybko się pan upija?

— To zależy od dawki. Jeśli ćwiartkę i bez zakąski, to po piętnastu minutach.

— I co pan wtedy robi?

— Jak to co?

— Biję się pan, głądzi o polityce, odgraża się pan swemu naczalstwu, całuje się pan z mężczyznami, zabiera się pan do kobiet?

— Jeśli to możliwe, to kładę się spać.

— Do kompanii nie jest to najlepsza kandydatura. A jeśli wypije pan z zakąską?

— Jeśli z zakąską, to upijam się w ciągu pół godziny.

— A pół litra?

— Pół litra, przyznaję, nigdy jeszcze sam nie wypilem.

„Głupie pytanie — pomyślał Sidałkowski. — Przecież pół litra w nim się nie zmieści.”

Sidałkowski podszedł do okna, a Hrak zaczął wiercić dziurę w parkiecie, tym razem szpicem prawego buta.

— A czy guzików pan nie odrywa?

— Jakich guzików?

— Zwyczajnych. Przy marynarce. Podczas rozmowy. Chwyta się za guzik rozmówcy i zaczyna się nim kręcić.

— Czy to też trzeba umieć w „Findipoczu”?

— Nieobowiązkowo. Tak jak nieobowiązkowo wiercić dziurę w parkiecie.

— Rozumiem.

Sidałkowski usiadł, namalował jeszcze jednego diabła, postawił między nimi znak równania i spojrzał surowo na Hraka.

— Z takimi danymi to daleko pan nie zajędzie. Trze-

ba się będzie ożenić. Mam dla pana niezłą kandydatkę. Niepowiem, że to piękność. Bo kobieta, tak jak; i film, w miarę oglądania rozczarowuje. Więc lepiej, jeśli na pierwsze wejrzenie wydaje się brzydka, a przy bliższym poznaniu bardzo wiele zyskuje. W tym wypadku jednak nie mogę tego zagwarantować. Ale o ile wiem, ma domek jednorodzinny i łódź motorową. A więc niech pan nabiera odwagi i odpowiednio się nastawi. Sądze, że nie będzie to dla pana trudne. Jutro sobota. W poniedziałek w swaty nie pójdziemy, bo to pechowy dzień. Proszę przyjść we wtorek.

— A może jutro?

— Jutro urządzi pan pożegnalny wieczór dla swojej ukochanej. Tylko nie za dużo wina, bo utopi pana w swych łzach, jeśli pana rzeczywiście kocha. A niedzielę poświęci pan na naukę gotowania zupy rybnej i nawlekania robaków na haczyk. I niech pan przeczyta coś na temat ryb. Jeśli pan zamierza u nas pracować, musi pan przynajmniej odróżniać lina od młodego karpia, a karasia od raka. To wszystko, Hrak! Ściskam pańską potężną prawicę. Radzę uprawiać gimnastykę i nabierać sił. Do następnego spotkania — Sidałkowski eleganckim gestem pokiwał ręką.

ROZDZIAŁ TRZECI

w którym opowiada się o eksperymentalnym łóżku, stewardesach i recepcjonistkach, oknie na Europę, jeszcze jednej tajemnicy, baronie, skokach spadochronowych i innych dziwnych rzeczach

Była niedziela. Sidałkowski leżał na eksperymentalnym łóżku typu „Można i w trójkę” miejscowej fabryki „Specmaterac”, do którego dodawano bezpłatnie sprężynę, i myślał o tym, że „Findipocz” powinien

wziąć z owej fabryki przykład i dodawać do każdej czapki po jednym zapasowym uchu.

Dawno już myślał o takim dniu, jak dzisiejszy. Nareszcie, obudziwszy się rano, nie czuł się okradziony. „Trzy ruble za to, żeby przejść z jednego dnia w następny. Czy to nie za wiele?” — pytał sam siebie, mieszkając ostatnio w hotelu.

Kiedy stawał przed lustrem, by trochę porozmawiać z kimś inteligentnym, właśnie do drzwi zapukała pokojówka przypominając, że należy natychmiast zejść do recepcji i zapłacić za nocleg, bo recepcjonistka zaraz zdaje służbę i przekazuje pieniądze do kasy, a Sidałkowski ją zatrzymuje.

Schodził niechętnie na dół i myślał, że kierowniczką recepcji w hotelach przypominają stewardesy. Tylko że „Aeroflot” w wyborze kandydatek zwraca uwagę na figurę, a dyrektorzy hotelów — na głos. Sidałkowski płacił trzy ruble i ze zwyczajowym „reszty nie trzeba” wracał do siebie, myśląc po drodze, że każda recepcjonistka to niedoszła stewardesa, której nie przyjęli do pracy z powodu nadmiernej tuszy. I że stewardesy mają nad recepcjonistkami tę przewagę, iż nawet jeśli przekroczą obowiązującą wagę, to zawsze mogą zostać kierowniczkami recepcji w hotelach.

Teraz hotele już mu się tylko śniły. Udało mu się wreszcie zamienić dwupokojowe mieszkanie Tamary na dwie kawalerki. Ta, do której się wprowadził, mieściła się na pierwszym piętrze nad kotłownią centralnego ogrzewania, gdzie grzały się zakochane bezdomne pary. Pokój był jasny. Na polerowanych czeskich regałach, prócz książek, stały modele fregat, brygantyn i jachtów. Jedne z nich, jak zapewniał, podarowano mu w dalekich morskich rejsach, inne kupił na targu w Odessie. W pokoju, jak w kajucie kapitańskiej, porozwieszane były różne mapy, leżały atlasy i stały dumnie, chociaż na jednej nodze, dwa stare globusy. W po-

wietrze unosił się zapach morskich wodorostów, statków, soli kuchennej, którą Sidałkowski mieszał z chlorem i rozpylał w powietrzu. Na ścianach wisiały morskie pejzaże. Po wejściu do pokoju czuło się aromat morza, staroci i perfumerii.

Pokój miał piętnaście metrów kwadratowych powierzchni. Umeblowanie rozpoczął od powieszenia dużego lustra w stylu Ludwika XIV, które zajmowało całą ścianę. Mógł teraz godzinami przesiadywać przed tym lustrem i rozmawiać ze sobą, jak równy z równym. Przybierał różne pozy, stroił miny, czyścił i piłował swoje lakierowane paznokcie. Żałował tylko, że nie może zobaczyć siebie w całej okazałości, bo lustro miało mniej niż sto osiemdziesiąt dwa centymetry wysokości. Kiedy widział fryzurę, to nie mógł jednocześnie zobaczyć bucików, i odwrotnie.

Jadł też przed lustrem, trzymając przepisowo w prawej ręce nóż, a w lewej — widelec; od czasu do czasu zaglądał do „Zasad dobrego tonu”, które zastępowały mu francuską czy angielską guwernantkę.

Wszystko mu się udawało. Najczęściej smażył bitki, bo na nich mógł wprawiać się w umiejętności jedzenia widelcem i nożem. Niezle też sobie radził z ziemniakami. Gorzej szło z groszkiem, który zeskakiwał z widelca i toczył się po stole. Sidałkowski łowił go palcami i wrzucał do ust. Potem szedł do kuchni zaparzyć kawę. Pił ją bez cukru, bo tak podobno piła w tym roku cała Europa, na którą wychodziło właśnie jego kuchenne okno. Kiedy przychodziła do niego Ija, delikatnie ją obejmował i przy stereofonicznych dźwiękach płyty Gianniego Morandiego szedł z ukochaną do kuchni.

— Patrz, gdzie wychodzi moje okno.

Ija podchodziła do okna i patrzyła. Za wysokim, zbitym z desek, parkanem maszerowali po placu uczniowie zawodowej szkoły pożarnictwa. Każde z nich wi-

działo to, co chciało: Ija adeptów pożarnictwa, a Jewgraf — Europeę.

Potem wracali do pokoju. Sidałkowski wyjmował z barku butelkę szkockiej whisky, którą mu przynosiła z restauracji, zaciągał na oknach zasłony i zapalał świeczki, robiąc z dnia noc, i pili małymi łykami zagraniczną whisky przy zagranicznych dźwiękach, popijając zagraniczną kawą parzoną „po sidałkowski”.

Po przedterminowym pojawieniu się syna, którego Sidałkowski musiał uznać za swego, Ija, zdaje się, nie pretendowała już na posadę swojej siostry ani teraz, ani nawet w dalekiej przyszłości, chociaż Jewgraf stale ją zapewniał, że wdarała się w jego życie jak ciepły Golsztrom w brzegi chłodnej Skandynawii.

W niedzielę po śniadaniu lubił trochę poczytać, wypisując warte zapamiętania cytaty.

Bibliotekę miał dość szczególną. Z książkami przyjaźnił się tak jak z ludźmi, tylko z niektórymi. Do jednych przylgnął, do innych szybko się rozczarowywał. Zdawałoby się, że powinien zachwycać się Kafką, Hemingwayem, Dürrenmattem, Simenonem lub chociażby Agatą Christie. Nie był jednak współczesnym intelektualistą, dlatego w jego małym księgozbiorniku znaleźli się tylko najwięksi mędracy: Seneka, Spinoza, Saadi, Rousseau, Leonardo da Vinci, Michał Anioł. Wybrał sobie przyjaciół, którzy mieli nie tylko mądre myśli, ale i pięknie brzmiące imiona. „D’Alembert, Bacon, La Rochefoucauld, Buffon, Chopin, Alfons Daudet!” — deklamował z artystycznym gestem ręki. Ale nie mógł obejść się przede wszystkim bez Bernarda Shawa, którego uważał za swoje bożyszczko tylko dlatego, że już za życia stał się legendą. Dużo go kosztowało zameldowanie w swym mieszkaniu Calderona, Diderota, Thackeraya, Pascala, Pliniusza...

W tym doborowym towarzystwie mimo usilnych wy-

silków i starań Sidałkowskiego nie można było jeszcze spotkać Juliusza Cezara, Demokryta i Juwenalisa...

Sidałkowski podchodził do nich, jak do ikon, i trudno powiedzieć, co przeważało w jego stosunku do nich: snobizm na pokaz czy prawdziwa miłość. Jakkolwiek było, wiedział na pewno, że dzięki tym cudzoziemcom uchodził w oczach otoczenia za człowieka bardzo wykształconego mimo nie ukończonych studiów wyższych.

Po rozmowie z największymi zakładał zwykle ręce za głowę, kładł się na tapczanie i zaczynał marzyć. I zawsze te marzenia przerywał dzwonek, który był jednak melodyjniejszy od schodów w starym pomieszczeniu „Findipoczu”.

— Kogo tam diabli niosą tak wcześnie? — pytał swego sobowtóra.

Rano dzwoniли do jego mieszkania często. Zwłaszcza w pierwszych dniach po wprowadzeniu się. Pytanie było zawsze to samo.

— Czy pan jest tu dozorcą?

— Jestem adwokatem! — wściekał się Sidałkowski i zatrząskiwał przed natrętem drzwi z taką siłą, że tamten zamykał oczy, jak widz siedzący w pierwszym rzędzie w kinie, kiedy nagle zza zapory wyłania się czołg i jedzie prosto na niego.

Trafiali się też wyjątkowi natręci, którzy nie mieli żadnych wątpliwości, że jeśli nawet Sidałkowski nie jest dozorcą, to na pewno synem dozorczy, mimo iż miał na sobie szlafrok, jaki nosili chyba tylko tureccy sułtani, kiedy szli do haremu albo zasiadali do picia kawy po turecku.

— Dlaczego przed domem nie posprzątane?! — pytało go groźnie.

— Niech sprzątają konsulowie i dozorczy! — odpowiadał spokojnie, po czym szedł do kuchni i przynosił

stamtąd miotłę, trzymając ją tak, jakby to była nie miotła, lecz szabla z dedykacją feldmarszałka.

— Proszę — podawał miotłę. — Warto by zamieść ten korytarz!

— Patrzcie, do czego to już doszło! Co za bezczelność! I za co tym dozorcóm płacą? A jaki to szlafrok na siebie naciągnął! Baron psiakrew!

Po takich dialogach zbiegali się oczywiście sąsiedzi, rzucając różne uwagi pod adresem szlafroka Sidałkowskiego i interesując się przy okazji jego sumieniem.

Sidałkowski zatrząskiwiał im drzwi przed nosem, ale już po chwili znowu rozlegał się dzwonek.

— Dlaczego podwórze nie posprzątane?

— Pani pomyliła numery mieszkań. Dozorca mieszka naprzeciwno. A ja jestem socjologiem — uśmiechał się wielkodusznie i więcej już na dzwonki nie reagował.

Tym razem dzwonek dzwonił jakoś inaczej: spokojnie, a jednocześnie jakby błagalnie. Sidałkowski podniósł się niechętnie z tapczanu, włożył swój wschodni szlafrok, kupiony na bazarze w Odessie, oraz importowane skarpetki, nogi wsunął w indyjskie kapcie rodem z Podola, raz jeszcze zlustrował swoje odbicie w lustrze i dopiero kiedy jego lustrzany sobowtór z aprobatą po kiwał głową, podszedł do drzwi.

Na progu stała Ija. Sidałkowski, jak to określił, pozytywnie się rozczarował i w tym momencie jakby się odmienił, wchodząc w swoją rolę, nad jaką podobno pracował całe życie: rozpostarł ramiona, chwycił Iję ną rękę i zakreślił się z nią po pokoju.

— Tysiąc i jedna noc! Kogo moje oczy widzą!

— Puść, wariacie! — Ija śmiała się uszczęśliwiona, obejmując go mocno za szyję.

Usadowił ją na jedynym fotelu, ale tak, by nie wszystkie jej powaby utonęły w nim.

— Skombinowałam ci niemiecki garnitur — mówiła Ija, zapalając papierosa.

— U człowieka wszystko powinno być ładne: kochanka, maniery, charakter pisma i oczywiście garnitur. Ale za garnitur dziękuję. Lubię oryginalność i przepych, a nie współczesny standard.

Ija w milczeniu zagryzła wargi, zlizując przy okazji pomadkę.

— A ja tak bardzo chciałam sprawić ci przyjemność — westchnęła ciężko, unosząc wysoko biust.

— Dla mnie największa przyjemność to twoja obecność u mnie. Bez ciebie ten pokój jest jak biblioteka bez książek. A jak tam mamuńcia Karapet?

— W porządku. Zapisała się do sekcji spadochronowej i dokonała już trzech pierwszych skoków.

— Pogratuluj jej ode mnie. Czyżby zamierzała wziąć udział w ogólnokrajowych zawodach spadochronowych?

— Nie wiem. Ktoś jej powiedział, że po każdym skoku traci się dwa i pół kilograma.

— Musisz ją rozczarować, bo tylko po pierwszym — powiedział Sidałkowski pewnym tonem, chociaż nie miał o tym pojęcia. — Znam inny sposób. Powiedz jej, że pozbędzie się nadwagi przy pomocy kozucha i skakanki. Kozuchy teraz modne.

— Ale jak?

— Bardzo prosto. Wkłada kozuch, bierze do rąk skakankę i po dwóch godzinach skakania traci dwa kilogramy żywej wagi. I nie trzeba wspinać się do nieba, a potem lecieć jak kamień w dół. Tu nie ma żadnego ryzyka. Może tylko u sąsiadów z niższego piętra polecą trochę tynku z sufitu. Ale pod nią chyba nikt nie mieszka. A u niej?

— Jakiś muzyk z restauracji. Bardzo tęgi i lubi chude...

— Och, kobiety, kobiety! Któż was lepiej rozumie ode mnie — powiedział do swego odbicia w lustrze, jakby w pokoju nikogo nie było.

— Sądzisz, że nas rozumiesz?

— W każdym razie lepiej niż Bacona czy Senekę.

Wiedział, do czego zmierza: żeby go wreszcie rozszyfrować. Był dla niej od samego początku zagadką, co bardzo mu odpowiadało, dlatego od pierwszego spotkania zachowywał się tak, że młoda i ładna kobieta nie mogła go zrozumieć. Rozgrzewał ją ciepłem swoich słów, a potem nagle stawał się oziębły, kładł się na tapczanie i mrużył z zadowolenia oczy.

— Jaki ty właściwie jesteś? — pytała nie wiadomo już po raz który.

— Ciągłe mnie o to pytają, ale jak dotąd nie znalazłem odpowiedzi — szedł do kuchni i wołał stamtąd: — Chcesz gorącej kawy? Po europejsku, bo cukier się skończył.

Przynosił jej kawę, która parowała tak, jak ona sama.

— A jak ty uważasz? Kim ja jestem? — pytał z uśmiechem.

— Jakoś cię jeszcze nie rozgryzłam... Jak twardey owoc...

— Nie owoc, ale produkt... — nie zdążył dokończyć, bo rozległ się dzwonek.

Sidałkowski otworzył drzwi.

— Słuchaj, ty! — bełkotała do niego przepitym głosem jakaś zarośnięta gęba i chuchnęła na niego wódczanym odorem. — Dlaczego nie ma ciepłej wody? Maszynką elektryczną nie lubię się golić.

— Słuchaj no, ojciec! Brodę to najlepiej osmalić. To po pierwsze. A po drugie, zwróć się do dozorca. Prokurator w tej sprawie niestety nie może ci nic pomóc. A dozorca mieszka naprzeciw...

Ija się roześmiała.

— Niech to diabli wezmą! Natychmiast się ubieram i idę zamówić tabliczkę na drzwi. Pójdzie pani ze mną?

— A do czego ja tam będę potrzebna?

— Wie pani doskonale — zatrzymał się pośrodku po-

koju. — Ja bez pani nic nie mogę. Jest pani moim natchnieniem, moją miłością, tylko że nie umiem ładnie o tym mówić, bo nie jestem poetą.

— Niech pan nie kłamie — też przeszła na „pan”. — Pan nigdy nikogo nie kochał i nie kocha, prócz siebie. Nie rozumiem pana. Czego pan właściwie chce od życia?

— A czy życie wie, czego chce ode mnie?

— Dlaczego pan uważa, że pan jest inny od wszystkich?

— A pani sądzi inaczej?

Nie odpowiedziała.

— No więc jak: idzie pani ze mną do grawera czy nie? — zawołał z kuchni, przebierając się.

— Dlaczego pan pyta? Sam pan wie doskonale, że już od dawna jestem pańskim królikiem doświadczalnym. Robi pan ze mną, co chce. Wie pan, że niekiedy strasznie pana nienawidzę! Nienawidzę tą czarną nienawiścią, do jakiej jest zdolna tylko kobieta.

— To wszystko z miłości — Sidałkowski czuł, że wznosi się do siódmego czy ósmego nieba. — Proszę tak nie mówić, bo się rozplączę.

— Pan się nie rozplącze, bo jest pan bezlitosny. Nic przeciw od pana nie wymagam. Ale jestem kobietą i pan nie ma prawa przeprowadzać na mnie jakichś niezrozumiałych eksperymentów psychologicznych. A może pisze pan pracę doktorską o kobietach?

— Nadijko — przemówił ciepłym głosem, od którego stało się nagle dobrze i przytulnie. — Nadijo — objął ją delikatnie. — Pani sama wie dobrze, że to nie tak. Pani też nie jest taka, za jaką chciałaby uchodzić. Tak jak ja. Niech pani weźmie moją instytucję. Nie ma tam nikogo, kto by nie miał swej zapasowej twarzy i swego przezwiska: Masik, Kuchłyk, Kolistrat, Cichołaz, Nietoperz, Anachoreta, królowa Margot...

— A jak pana przezwali?

— Arystokrata. Arystokrata z Wapniarki...

— To nawet do pana pasuje. Jakoś pana dopełnia...

— Wszystkich nas coś dopełnia i charakteryzuje. I ciągle jeszcze udoskonalamy siebie. Tak nam przynajmniej się wydaje. Taka odwieczna tęsknota do udoskonalania formy. Kiedy Baronecki zmienił w nazwisku drugie „a” na „o”, był już kimś znacznie lepszym: nie Baraneckim, lecz Baroneckim. Ile to może zmienić jedna litera; wywodzi się nie od barana (ovis), lecz od barona. Jedni robią to dla lepszego brzmienia, inni sami sobie wydają się przez to lepsi...

— Jest pan filozofem...

— Nie, tylko przyjaźnię się z filozofami — nie bez dumy pokazał na regał. — No, ale dość tych psychoanaliz. Przyroda nie cierpi próżni. Kiedy coś się skraca, jednocześnie coś musi się wydłużać...

„Masz rację — usłyszał głos swego sobowtóra. — Byłeś Jewgraf Sidałko, a teraz jesteś graf Sidałkowski, arystokrata z Wapniarki”.

— A co ma być na tej tabliczce?

— Nie chce mi pan jednak odpowiedzieć na moje pytanie. Kim pan właściwie jest? — wstała, podeszła do lustra i wytarła łzę, która toczyła się po jej policzku.

— Kim jestem? Nikim. Nie żartuję. Mówię prawdę, w jaką pani, jak wszystkie kobiety, nie chce uwierzyć. Wolałaby pani piękne kłamstwa — zdjął z wieszaka krawat i rozpiął kołnierz koszuli. — Proszę mi lepiej podpowiedzieć, jaki dać napis na tej tabliczce.

— A co pan chce napisać?

— „J. M. Sidałkowski.” Ale kto? Dozorca, pianista, łajdak, wyrzutek czy człowiek z ładnym charakterem pisma i takimiż manierami?

— Proszę napisać: „Nikt!” Po prostu nikt. Sidałkowski — całkiem serio zaproponowała Ija.

Był zbyt wysokiego mniemania o sobie, żeby wyczuć w tym ironię, dlatego odpowiedział zupełnie serio.

— Dla ludzi to mało. A może dodać pod nazwiskiem „adwokat”? Ale komu teraz adwokaci są potrzebni?

— Nie, to nie pasuje.

— A stomatolog?

— A jeśli kogoś rozboleją zęby i przyjdzie do pana? Co pan wtedy zrobi? To już lepszy ten adwokat... Ale dlaczego nie chce pan napisać, kim pan jest naprawdę?

— Pani śmieje się ze mnie. Nie mogę przecież napisać „Sekretarz-referent «Findipoczu»”, jak to się często widuje na cmentarzach: „Tu leży kandydat nauk...” Nie, Ijo. Lubię żarty, tylko żeby wyrastały one z czegoś realnego...

— Więc proszę napisać: muzyk.

— W naszym domu wszystkie dzieci uczą się na Beethovenów, Czajkowskich i Łysenków *. Nie chcę ryzykować.

— To niech pan napisze: artysta.

— To już lepiej, ale nie opędzę się wtedy od dziewcząt, które przepadają za autografami.

— A piłkarz? — zgadywała Ija jak uczennica.

— Modna profesja, ale ja daję przewagę nie nogom, lecz intelektowi.

— Więc filozof! Przecież pan jest rzeczywiście filozofem! Dlaczego nie miałby pan dać pod swoim nazwiskiem: „filozof”? To do niczego nie zobowiązuje.

— Kości rzucone! — zawołał i tak pięknie wykaliografował na kartce swoje nazwisko, że Ija pokochała go jeszcze mocniej. — Tylko mam do pani małą prośbę: proszę samej zamówić tę tabliczkę u grawera.

— W porządku — Ija uśmiechnęła się i nagle poca-

Mykoła Łysenko (1842—1912) — kompozytor ukraiński, twórca stylu narodowego oraz autor prac z zakresu etnografii muzyki ukraińskiej.

łowała Sidałkowskiego w policzek. — Z panem i lekko, i jednocześnie tak ciężko...

— Przesadza pani. No a teraz naprzód! — podstawił jej ramię.

Grawer wziął w milczeniu tekst, przeczytał z miną fachowca, który nie takie napisy robi na pomnikach cmentarnych, i z olimpijskim spokojem zaczął ryc takie piękne litery, że Sidałkowski nie wytrzymał i podszedł bliżej, patrząc z zazdrością na złote litery, pojawiające się na srebrnej tabliczce, jak pierwsze ślady na pierwszym śniegu. Na twarzy mistrza nie dostrzegł nawet cienia uśmiechu.

— No i po kłopotcie, towarzyszu filozofie! — zaszczębiotała Ija po zapłaceniu należności.

— I nic nie powiedział? — dziwił się Sidałkowski, kiedy już wyszli.

— A co miał powiedzieć?

Sidałkowski wziął ją czule pod rękę i zaprowadził do „Groty”, gdzie podawano kawę o smaku poziomek z czernihowskiego lasu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

w którym opowiada się o pechowym poniedziałku, nowych Magellanach, podróży dookoła świata, nowoczesnym arcydziele Czyhyrenki-Repnińskiego, teorii impresjonizmu i alimentach

„Poniedziałek to pechowy dzień nawet dla Adama” — myślał Sidałkowski, patrząc na zapuchnięty nos kasjera „Findipoczu” Baroneckiego-Kuchłyka, który nieśmiało przekroczył próg gabinetu.

— Co słyhać, panie Adamie? — spytał Sidałkowski ojcowskim tonem, bo, jak wiemy, miał już do tego prawo.

W odpowiedzi Adam tylko pociągnął spuchniętym nosem.

— Wszystko jasne — ze zrozumieniem rzekł Sidałkowski. — Rozpoczęło się prawdziwe życie rodzinne. Owoc z drzewa złego i dobrego już z Ewą zjedliście i teraz Ewa rwie się do wolności.

— Przyniosłem podanie. Ona bardzo późno wraca do domu, a zdarza się, że w ogóle nie wraca na noc. Mówi, że jej obrzydłem jak gorzka rzodkiewka.

— Przesadza pan — Sidałkowski wskazał Baroneckiemu krzesło. — Myślę, że był pan dla Ewy za słodki.

— Nawet przestała zwracać się do mnie po imieniu — skarżył się Adam, patrząc z nadzieją na Sidałkowskiego.

Sidałkowski przysiadł na skraju biurka i przybrawszy swoją ulubioną pozę, nawet nie spojrzął na podanie.

— Kobieta to pokojowy kwiat, Adamie. Lubi zacisze, słońce i normalną temperaturę. Kiedy jej tego brakuje, zaczyna szukać lepszego ogrodnika.

— Przecież stworzyłem jej takie właśnie warunki — Adam rozłożył bezradnie ręce.

— Widocznie przegrzał pan. Nadmiar ciepła i pożywienia powoduje wypuszczanie nowych pędów. A może posiana na niewłaściwej glebie? Pańska Ewa, Adamie, nadaje się tylko do dekoracji. Nie jest przystosowana do życia w zaciszu. Tym bardziej na szesnastym piętrze. Może ona jak *geratecorpus arenarius*? — Sidałkowski zeskoczył z biurka. Adam spojrzął na niego ze zdziwieniem, nic oczywiście z tego nie zrozumiał. — *Geratecorpus arenarius* to po naszymu wietrznik. Takiej roślinie potrzebny jest wiatr i step, korzeni one głęboko nie zapuszczają... Nawet w Kijowie.

— Więc co mam robić? — spytał cicho i bezradnie Adam.

— W takich wypadkach nie nadające się do pokojo-

wej uprawy kwiaty wyjmuje się z doniczki i sadi się taki, który dobrze się tam czuje.

— Więc co mi pan radzi? — nie zrozumiał Adam.

— Być mężczyzną, Adamie. Natura stworzyła pana mężczyzną, chociaż religia stara się przekonać związku zawodowe, że to Bóg. Niech pan będzie mężczyzną, Adamie — powtórzył Sidałkowski. To jedyne dobro, jakie nam dała natura. Niech pan nie będzie fajtlapą. Kobiety takich nie lubią. Proszę pamiętać — głos Sidałkowskiego brzmiał jak struny gitary elektrycznej — że miłości nie wydaje się na talony jak mleko w „Findipoczu”. Trzeba ją zdobywać. A zdobywszy już, trzeba o nią ciągle walczyć.

Adam patrzył na Sidałkowskiego niemal takim samym spojrzeniem, jak na Ewę. Tylko że Ewę kochał, a Sidałkowskiemu zazdrościł. Zazdrościł i ufał, bo gdzieś w głębi duszy był przekonany, że Sidałkowski jest tak samo nieszczęśliwy, jak i on. Przecież jemu też życie nie układało się: płacił alimenty. I żona również go porzuciła. Innych wariantów Adam w ogóle nie dopuszczał: porzucają kobiety, i to wszystkie kobiety wszystkich mężczyzn. Są największym złem na ziemi, przez nie są wszystkie nieszczęścia.

Ale przewodniczący rady zakładowej „Findipoczu”, jako prawdziwy romantyk, miłośnik morza i przygód, nawet w tej życiowej prozie upatrywał piękno. W związku zawodowym czuł się jeszcze niepewnie, chyba tak jak Adam i Ewa podczas ślubu, dlatego też w rozmowie posługiwał się raczej terminami morskimi niż związkowymi.

— W pańskiej sprawie, Adamie, jest tylko jedno wyjście: być mężczyzną i Ewę zostawić. Wcześniej czy później i tak do tego musi dojść. Takie małżeństwa, jak pańskie, kończą się równie nieoczekiwanie, jak się zaczęły. Zadaniem rady zakładowej jest uratowanie pańskiej w przyszłości zdrowej i trwałej rodziny. Ale wiem

z praktyki — położył Adamowi rękę na ramieniu i zamarł w jednej ze swych ulubionych póz — że kobiety, które wypuszczają się w morskie rejsy, rzadko powracają do macierzystych portów. Chyba tylko wówczas, gdy przydarzy im się jakaś awaria. Ale nawet i potem, przy pierwszej okazji podnoszą żagle i mkną z pomyślnym wiatrem, często nawet bez mapy i kompasu.

Sidałkowski usiadł, wyjął z szuflady paczkę drogich importowanych papierosów. Przypomniał sobie nagle Murczenkę. Adam miał coś z Murczenki. Ale co? Chyba dobroć. On sam też miał coś z Murczenki. Zapewne papierosy, których nie palił, tak jak Sławatij, który nosił je tylko „dla fasonu”. A jeśli kiedyś zapalił, to robił to tak pięknie, że zażdrościli mu nawet starzy palacze.

— Proszę zapalić — podsunął Adamowi papierosy.

— Dziękuję. Jeszcze się nie nauczyłem — powiedział Adam ze skrucą.

— Mężczyźni — filozofował dalej Sidałkowski, chowając do szuflady papierosy — to zupełne przeciwieństwo kobiet. Też często wypuszczają się w podróże, wprawdzie nie dookoła świata, ale z reguły wracają do domu, i to przeważnie rozczarowani: albo do swojej własnej żony, albo do cudzej. Co prawda podczas takich rejsów zarzucają kotwicę w pierwszej z brzegu kuszącej przystani. Czy pan mnie rozumie, Adamie?

Adam skinął niepewnie głową.

— Kobiety nie robią podróży dookoła świata. Zostają zwykle na zawsze w nowo odkrytym porcie. A jeśli i ta przystań im nie odpowiada, kontynuują poszukiwania nie zajętych jeszcze lądów. Tak to jest, mój drogi przyjacielu — zakończył Sidałkowski. — W czym nasz związek może panu pomóc? Obawiam się, że w niczym. Ale Ewą się zajmiemy. To nasz obowiązek... Nasz i dyrekcji.

Na rzęsach Adama zawisły łzy, jak krople wody w

przeciekającym kranie w mieszkaniu mamuńci Karapet.

— Jeśli jest pan pewny, że Ewa jest w niedalekim tylko rejsie, to proszę przynieść jutro jej fotografię — w jego głowie narodziła się nagle jakaś idea. — Z profilu i en face.

Adam, który całe swe świadome życie spędził nie z kobietami, lecz z liczbami, wstał i spytał:

— A wielkość? Jaki rozmiar zdjęć?

— Trzynaście na osiemnaście. I żeby była cała postać. Przecież pańską Ewę nie wszyscy w „Findipoczu” widzieli.

Adam wyszedł. Sidałkowski chciał zostać sam, ale usłyszawszy na korytarzu jakiś gwar, wyszedł również. Okazało się, że z dalekich północnych wędrówek powrócił Czyhyrenko-Repniński. Pod jego pracownią zebrał się tłum. Czyhyrenko stał w pozie Briułowa i coś z ożywieniem opowiadał. Pachniało północnymi wiatrami, słonym taraniem i nocnym ogniskiem nad brzegiem morza. Okazało się, że skończył wreszcie swój obraz i oddał go pod sąd profanów. Wyjaśniał coś z ożywieniem Chowraszkiewiczowi, który mu ciągle przezywał:

— A ty mnie, Daromirze, posłuchaj. Tu trzeba, widzisz, tak...

Daromir potakiwał i domalowywał ostatnie detale. Pędzel w jego ręku zachowywał się tak, jakby ścierał kurz lub pajęczynę.

Findipoczowcy oglądali obraz, ale natychmiast każdy od niego odstępował, chowając się za plecy sąsiada. Nieszczadym nic nie rozumiał, ale kiedy podszedł bliżej, zrobił to samo, co inni: spojrzął na nowe arcydzieło Czyhyrenki-Repnińskiego i wstyd mu się zrobiło za swoje buciki. Teraz rozumiał, dlaczego również inni się chowają. Jeden tylko Sidałkowski stał przed obrazem, oceniając z olimpijskim spokojem i znawstwem

jego artystyczną wartość. No ale tylko on jeden nie musiał się rumienić za swoje obuwie...

Czyhyrenko-Repniński patrzył z pogardą na swych sędziów, którzy na tle obrazu byli jacyś mali i przytłoczeni. Tylko Zosia spoglądała na arcydzieło i jego twórcę z wysoka, bo inaczej nie mogła, ale szybko odeszła, nie rozumiejąc zachwytu findipoczowców.

— Dla takich bucików warto żyć — odezwał się wreszcie Sidałkowski. — Piękne buciki. Jak dzieciństwo we wspomnieniach.

Chowraszkiewicz spojrział na niego niechętnie i zamyslił się, szukając w pamięci czegoś mądrego. Znał się na wszystkim, więc rozumiał nawet obrazy Czyhyrenki-Repnińskiego. Ale zainteresowało go nie piękne obuwie, jak wszystkich, tylko czerwona czereśnia: dlaczego czerwienieje, kiedy dojrzewa? Nie mieściło się to w teorii impresjonizmu, więc szukał z rzetelnością naukowca innych wyjaśnień. Wreszcie chyba znalazł.

— Więc powiem panu...

— Gdzie by tu dla siebie znaleźć taką pracę? — przerwał mu tubalny głos zbliżającego się Kowbyka. — Mmmtaak... Dopiero co przyszli, nie zdążyli nawet jeszcze miejsca zagrzać i już wiecują. Od samego rana! A na wyjazd w teren nie ma nikogo! Kto będzie badał popyt? Buchaltera!

Wszyscy zaczęli się w milczeniu rozchodzić, tylko jeden Chowraszkiewicz ośmielił się pozostać.

— Straton Stratonowicz sam panu wyjaśni — zwrócił się do mistrza — co i jak należy...

— Bohomaz — rzucił zwięźle Kowbyk i ruszył dalej korytarzem jak lodolamacz rozbijający góry lodowe. — Margaryto Izotowno, gdyby kto o mnie pytał, to jestem w Kijowie. Na sympozjum!

Wszyscy odetchnęli z ulgą i pospieszyli do Margaryty dowiedzieć się, czy nie wybiera się przypadkiem na sympozjum również Arij Fedorowicz.

A Daromir, jak zawsze, usiadł w sekretariacie naprzeciwko Zosi i robił szkice do przyszłego obrazu, jednocześnie wyjaśniając, co to takiego impresjonizm, abstrakcjonizm i modernizm.

— A do jakiego kierunku pan należy?

— U mnie modernizm ciasno spleta się z abstrakcjonizmem.

Margaryta nie lubiła tych brzydkich, jak sądziła, wyrazów, ale szczególnie na ostatni zareagowała tak, jak indyczka na czerwona czapkę dyżurnego ruchu na dworcu.

— I nie wstyd panu mówić takie rzeczy młodej dziewczynie? Że też język przy tym panu nie stanie kołkiem!

Ale nawet sam Chowraszkiewicz nie mógł się domyślić, jakie skojarzenia wywołuje w niej słowo „abstrakcjonizm”. Daromir wstał, wzruszył szerokimi jak szafa ramionami i wyszedł.

— Co ta baba rozumie się na sztuce! — mrucał już za drzwiami.

A tymczasem Margaryta dosiadła swego ulubionego konika.

— Zosieńko! Ślicznotko ty moja! Nie wierz żadnemu mężczyźnie! To kłamcy i szarlatani. Wszyscy! Mam doświadczenie, proszę mi wierzyć. A sądzi pani, że ten brodacz lepszy? Wierzy pani jego listom? Włóczył się na północy diabli wiedzą, z kim! Myślisz, że jeździł małować? Do żony jeździł!

— Przecież on nieżonaty.

— Oni wszyscy nieżonaci. A jak się tylko ożeni, to okazuje się, że płaci alimenty aż dwóm. Albo weźmy tego... Tego czarusia Sidałkowskiego...

Zosia nagle zapłonęła i zamknęła oczy.

— Jego oszukano — broniła Sidałkowskiego.

— Kto go oszukał? No kto? Wierzysz mu? Takiego by kto potrafił oszukać! On sam dobry oszust! O, znam

ich wszystkich! Znam dobrze, dlatego ich nienawidzę! I proszę mi wierzyć, Zosieńko, że Margaryta Dulczenko nigdy nie wyjdzie za mąż...

ROZDZIAŁ PIĄTY

w którym opowiada się o ładnych fotografiach z profilu i en face, ogłoszeniach, zebraniu w „Findipoczu”, umocnieniu rodziny i zawodowej chorobie

Następnego dnia Adam przyniósł fotografie Ewy. Było ich tyle, ile przepisów Dulczenko na barszcz. Sidałkowski sięgnął po nie z ciekawością.

— Hm... — ściągnął brwi i zagadkowo pokiwał głową. — Pańska Ewa stworzona jest przez Boga. Ja to panu mówię, ateista z urodzenia i wychowania. Strach, jaka ona piękna!

— A w rzeczywistości!? Żeby pan ją widział, jaka piękna jest naprawdę! — ucieszył się Adam.

— Proszę poprosić do mnie Czyhyrenkę-Repnińskiego.

Adam wybiegł z takim wyrazem twarzy, jakby wszystko z Ewą już się naprawiło.

— Ewa porzuca raj — powiedział Sidałkowski do Daromira, gdy zostali sami. — Rada zakładowa „Findipoczu” zamierza rozpocząć walkę o przywrócenie Adamowi miłości Ewy. Trzeba jak najszybciej ingerować...

— A czego pan oczekuje ode mnie?

Sidałkowski z ręką założoną z tyłu przemierzał swój gabinet.

— Od pana, Daromirze, żąda się niewiele. Proszę tylko napisać ogłoszenie: „Piątek — dniem umocnienia rodziny. Początek o 15-tej”. Tylko bardzo pana proszę, żeby to było ładnie zrobione. I bez moderny. Jestem zwolennikiem klasyki i moderna mi nie imponuje.

Słowa te mocno uraziły malarza.

— To proszę zwrócić się do Margaryty Izotowny. Wypisze to panu na maszynie.

— Drogi Daromirze — Sidałkowski spojrział na niego wzrokiem zwolennika innego kierunku artystycznego. — Pan mnie obraża. Mam przecież prawo do subiektywnych gustów, dlatego proszę mi nie narzucać własnych.

— Ale u nas ogłoszenia zawsze pisze się na maszynie...

— A teraz będziemy żyli i pisali po nowemu.

Daromir poskrobał się za uchem i przeniósł wzrok ze swoich trzewików na błyszczące lakierki Sidałkowskiego.

— Życie składa się z przeciwieństw — zacytował sam siebie Sidałkowski.

— O czym pan mówi?

— O bucikach na pańskich nogach i na pańskich obrazach.

— A bo, wie pan, ciągle brak czasu — Daromir wyraźnie poczerwieniał. — Obrazy absorbują mnie bez reszty. Zwłaszcza szkice czapek do findipoczowskich transparentów. A to przecież nie moja robota.

— Rozumiem pana. No cóż, sztuka wymaga ofiar, ale w zamian daje nieśmiertelność. — Sidałkowski był w dobrym nastroju, jak człowiek, który wyszedł z łaźni i jest przekonany, że tym razem nie zapomniał niczego. Nawet ręcznika.

Czyhyrenko-Repniński odwrócił się i wyszedł.

Zebrania w „Findipoczu” miały zwykle charakter odświętny. Nareszcie zbierali się wszyscy w pełnym składzie. Kowbyk zasiadał w prezydium i wybierał sam siebie na przewodniczącego zebrania. Nieszczadym protokołował. Niekiedy proszono o sekretarzowanie Sidałkowskiego, który przekazywał to z kolei Pancziszce lub Zosi z obawy przed popsuciem charakteru pisma.

Od kiedy jednak zebrania prowadził Sidałkowski, wszyscy walili na nie jak do kasy po premie. Nie lubił ich tylko Chowraszkiewicz. W poszukiwaniu zacisznego kącika potykał się o krzesła i długie nogi Zosi, wreszcie lądował pod wieszakiem, jak padyszach pod palmą, skąd chłodnym spojrzeniem lustrował Sidałkowskiego, którego nie lubił tak jak teorii Darwina. Kowbyk nabierał maksymalnej powagi i siedział jak pomnik wyciosany z jednej bryły, przypominając jednocześnie pękata wieżę Ławry Peczerskiej.

Interesujące nas zebranie było w pełnym toku. Chowraszkiewicz siedział jak adwentysta na wykładzie wojującego ateisty i dusza w nim kipiała jak tulski samowar na wietrze.

Na porządku dziennym stały trzy sprawy.

Pierwsza: „Piątek w «Findipoczu» — dniem umocnienia rodziny”. Drugi punkt zapowiadał się bardzo interesująco, dlatego oczekiwano go ze szczególnym zniecierpliwieniem, nie wiedząc, że najciekawszy będzie dopiero punkt trzeci. Masowe imprezy ograniczały się dotychczas do wyjazdów do Umania i Zofiówki oraz chodzenia do kina. Ale ponieważ nikt nie miał czasu, więc nikt też nie jeździł do Umania i Zofiówki. Do kina czasami uczęszczano, ale indywidualnie. Z przyjściem Sidałkowskiego wszystko zaczęło iść po nowemu.

W swym obecnym wystąpieniu Sidałkowski stwierdził, że czas najwyższy objąć patronat nad leśnictwem, dostarczającym „Findipoczowi” jeży i piżmaków. Czas też najwyższy stworzyć w „Findipoczu” amatorski ruch artystyczny, włączając w to również członków rodzin, i wyjeżdżać z koncertami do lasu. Sama tylko muzyczna rodzina Bubona mogłaby dać kilka koncertów. Karol Iwanowicz bardzo pięknie grał na bębnie. Demian, który w swoim czasie dla zdobycia ogólnego wykształcenia uczęszczał trochę do szkoły muzycznej, mógłby akompaniować matce, Maceście Elizarownie, która z takim

uczuciem wykonywała romans „Powiedz, dlaczego cię pokochała”, że wszyscy sąsiedzi wokół płakali.

Chowraszkiewicz zaproponował stworzenie „Kwartetu Findipoczu”. Zamiast klasycznego (dwoje skrzypiec altówka i wiolonczela) podsunął inny wariant: skrzypce (Masik Pancziszka), gitara (sam Chowraszkiewicz), bęben (Karol Bubon) i wiolonczela (Muza Bubon). Sidałkowski poprosił poza tym Chowraszkiewicza, by jako czołowy naukowiec „Findipoczu” wygłosił leśnikom wykład na temat sztucznego doboru, ze szczególnym uwzględnieniem doświadczeń z krzyżowaniem pizmaków z jeżami w warunkach lasostępu. Mychajło Tana-sowicz nie miał nic przeciw tej propozycji, ale Kowbyk uznał to za kpiny ze swego ulubieńca i kategorycznie się sprzeciwił motywując to tym, że wszelkie skrzyżowania są sprawą wyłącznie naukowych instytutów doświadczalnych i leśnikom nic do tego.

Rozdane zostały również inne role. Adam Kuchłyk miał wykonać pieśń „I po co uciekać?” Nieszczadym obiecał przygotować arię Ostapa „Co uczyniłeś?” z opery „Taras Bulba”. Jej wykonanie proponowano Stratonowi Stratonowiczowi, ale kategorycznie odmówił jakiegokolwiek udziału w koncercie. Dulczenko i Czudłowska miały wykonać w duecie „Dwa kolory”. Na bis nikt nic nie szykował, wszyscy bowiem byli jakoś dziwnie spokojni o to, że po raz drugi słuchacze nie pozwolą im wystąpić, a jeśli nawet zaczną do nich strzelać z dubeltówek, to można to będzie potraktować jako ostatni punkt programu.

Humor i satyrę oraz konferansjerkę wzięł na siebie Pancziszka. Chyhyrence-Repnińskiemu powierzono funkcję scenografa. Starszego scenografa, na wypadek gdyby w leśnictwie znalazł się jakiś inny plastyk. Ogólne kierownictwo spoczywało w rękach Kowbyka.

W trzecim punkcie obrad wystąpił sam Sidałkowski. Na wstępie poinformował wszystkich członków związ-

ku, że od dnia dzisiejszego piątek będzie w „Findipoczku” dniem umacniania rodziny, po czym odczytał pismo Kuchłyka.

— Ewa — mówił wolno — otrzymała po swoich rodzicach spadek w postaci przeżytków przeszłości. Wiemy, że w naszych zdrowych i normalnych rodzinach obowiązuje wierność małżeńska. Ewa, sądząc z pisma Adama, naruszyła to święte prawo i teraz narusza je nadal, z dala od domu i od męża. Naszym obowiązkiem jest sprowadzić Ewę z tej drogi i wykorzenić z niej to, co nazywamy dniem wczorajszym. Z taką właśnie prośbą wzięcia w obronę rodziny i miłości zwrócił się do nas — Sidałkowski podniósł pismo jak sztandar — nasz najaktywniejszy członek związku i jego skarbnik Adam Kuchłyk, przepraszam, Adam Baronecki. Jak wiemy, tylko on jeden płaci regularnie składki związkowe z punktualnością, której może mu pozazdrościć poczta. Dlatego miejscowa rada zakładowa wspólnie z administracją postanowiły — Sidałkowski wymawiał teraz dobitnie każde słowo — sprawdzić postępowanie Ewy, przepraszam, jak nazywa się pańska żona? — zwrócił się do Adama.

— Granat. Ewa Granat — odrzekł słabym głosem Kuchłyk, wzruszony przemówieniem Sidałkowskiego.

— No więc sprawę tę zleca się kierownikowi sekcji interwencji, naszemu najdostojniejszemu, wzorowemu mężowi, wielce szanownemu Karolowi Iwanowiczowi Bubonowi! — zakończył uroczyście.

— Przepraszam, szanowny, ale ja mam zawodową chorobę... A dla przeprowadzenia badań trzeba chodzić, biegać... W moim wieku za młodymi kobietkami...

— W pańskim wieku, Karolu Iwanowiczu, tylko za młodymi — rzucił replikę Kowbyk.

— Przepraszam, szanowny Stratonie Stratonowiczu, ale ja naprawdę jestem chory... Nie wiem, jak ta choroba nazywa się po łacinie...

— Mój znajomy też cierpiał na taką zawodową chorobę — podniósł się nieoczekiwanie spod wieszaka Chowraszkiewicz. — No i powiem wam, że wyleczyli go tylko chodzeniem. Chodzenie to najskuteczniejszy sposób walki z tym chorobami zawodowymi...

— A dlaczego pan, szanowny, nie miałby się tym zająć? Jest pan u nas jedynym starym kawalerem i nic panu nie grozi ze strony życia rodzinnego.

— Czego można się po nim spodziewać? A jeśli nagle ożeni się z tą Ewą? Spójrzcie, co to za kobietka! Taka zbałamuci niejednego Chowraszkiewicza — zdecydował ostatecznie Kowbyk, przekazując Bubonowi, jak pałeczkę sztafetową, fotografie Ewy.

Karol Iwanowicz westchnął głęboko, wytarł pot z łysiny i usiadł z miną człowieka gotowego na wszystko, nawet na jakiś bohaterski wyczyn w imię ochrony cudzej rodziny.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

w którym opowiada się o generalskich szlifach, ładnym charakterze pisma, pomówieniach, powtarzającej się historii, Pani Wileńskiej, śniegach Kilimandżaro, jedenastej pracy Heraklesa oraz mrocznym i zagadkowym Hadesie

Hrak zjawił się dopiero po tygodniu.

— Punktualność jest uprzejmością królów, niepunktualność zaś uprzejmością weterynarzy — przywitał go bezceremonialnie Sidałkowski, — A już myślałem, że pan pojechał na wieś, że zamienił pan generalskie szlify na miłość. I nagle zrobiło mi się pana żal, jak czegoś przedwcześnie utraconego. Czuję, że mi pana w życiu brakuje. Szósty zmysł mi to podpowiada. Proszę usiąść.

Czemu pan stoi jak na egzaminie? Nie jest już pan studentem.

Hrak usiadł. Sidałkowski wyjął pilniczek do paznokci.

— Jak się czuje Sabaniejew?

Hrak podniósł na niego oczy, rozumne, ale zamglone jak matowe szkło.

— Ciężko mi z panem, Hrak. Ciężko, ale przyjemnie. Podtekstów pan zupełnie nie chwyta. Jest pan daleki od skojarzeń, jak ja od kancelarii prawosławnej cerkwi. No więc spytam prościej i bardziej dostępnie: okoniami się pan zainteresował?

— Zainteresowałem się — ożywił się Hrak. — Nawet próbowałem ugotować zupę rybną. Przy pomocy przyjaciółki...

— A co, nie wybiera się za mąż za mechanizatora wszystkich specjalności?

— Nie.

— To się wybierze. A pan jej oczywiście nic nie powiedział. Niedobrze, Hrak. To bardzo nieładnie z pańskiej strony wykorzystywać dziewczynę jako podręcznik do gotowania zupy rybnej. No dobra. Do książki Sabaniejewa pan zaglądał?

— Nawet zrobiłem z niej notatki.

— Anatomii ryby uczył się pan ze schematów czy ze zdjęć?

— Z ilustracji.

— To nieco gorzej, ale ostatecznie może być. Jak pan widzi, Hrak, za mało ukończyć akademię, trzeba jeszcze przejść przez uniwersytety. No, ale do rzeczy. Otóż do Stratona Stratonowicza pójdę sam. Jeśli będzie chciał pana zobaczyć, to zawołam. A teraz proszę siedzieć i czekać w moim gabinecie. Tylko błagam: niech pan nie wierci dziury w parkiecie. Proszę lepiej przejrzeć w tym czasie konspekt z Sabaniejewa.

Sidałkowski wyszedł.

— Straton Stratonowicz jest u siebie? — spytał sekretarkę.

— Nie ma! — odburknęła Margaryta Izotowna. — Wyszedł.

Sidałkowski spojrzał na Zosię, która służyła findipoczowcom za barometr. Z jej zachowania odgadywali, czy można wejść do szefa, czy lepiej nie ryzykować. Przeczący ruch głową oznaczał, że strzałka barometru wskazuje na burzę. Lekkie uniesienie ramion wskazywało na pogodę słoneczną z małym zachmurzeniem. Energiczne opuszczenie głowy w dół z jednoczesnym zamknięciem oczu świadczyło, że nastrój Kowbyka jest pogodny, bez żadnej chmurki na horyzoncie. Jeśli zaś unosiła ramiona i jednocześnie rozkładała ręce, wchodzący ryzykował. Tym razem Zosia uniosła prawę ramię i ledwie dostrzegalnie kiwnęła głową: „Straton Stratonowicz jest, ale królowa Margot nie chce wpuścić do niego”.

— To dziwne — rzekł Sidałkowski. — Przed chwilą telefonował do mnie, żebym przyszedł, a tu...

— Jeśli telefonował, to proszę wejść — powiedziała ze złością sekretarka.

W gabinecie Stratona Stratonowicza był Chowraszkiewicz. Sidałkowski od razu zorientował się, że rozmawiano właśnie o nim. Ostatnio coraz mniej podobał się Kowbykowi; szef patrzył na niego, jak początkujący numizmatyk na błyszczącą monetę, która mogła być cenna i bardzo rzadka, okazała się zaś zwyczajna i kursująca aktualnie w obiegu. Kowbyk sam dobrze nie wiedział, co mu się nie podobało w Sidałkowskim. Może ta jego pretensjonalność, chęć imponowania, elegancja? Ale przecież zewnętrznie nie różnili się od siebie. Obaj nosili modne garnitury i krawaty, obaj abonowali czasopisma, a jednak coś ich różniło i odpychało od siebie. Sidałkowski manifestacyjnie używał języka literackiego zgodnie z ostatnim wydaniem „Słownika poprawnego języka”, przejrzanego i uzupełnionego przez

zespół językoznawców. Nie używał żadnych archaizmów ani dialektyzmów, nawet podolskich. Tak jak on rozmawiają tylko pracownicy wydawnictwa „Nasza szkoła”, ale i to tylko w wydawnictwie. Wszystko to dawało Stratonowi Stratonowiczowi podstawę, by określać Sidałkowskiego jako „sobaczego inteligenta”.

Chowraszkiewicz w całej pełni go w tym podtrzymywał, oblewając Sidałkowskiego przy różnych okazjach kubłami pomyj. Teraz obaj żalowali, że Sidałkowskiego przyjęto do pracy, i byli przekonani, że wkrótce pójdzie w ślady Warfołomija Czadiuka.

— Tacy akuratni zawsze piszą donosy — mówił Kowbyk.

— No więc muszę panu powiedzieć, że sam widziałem, jak on całymi godzinami siedzi nad kaligrafowaniem liter, tak jak Daromir nad malowaniem bućków. Wprawia się tak przecież nie bez powodu...

— A niech pisze! Tylko że te donosy zwrócą się przeciw niemu.

Sidałkowski istotnie ciągle udoskonalał swój charakter pisma, ale nad słowem i stylem nie pracował. Interesował go tylko graficzny kształt liter, ich estetyka i uroda. Stylu nie miał żadnego. Nawet w pisaniu listów. Podejrzenia, zarówno Kowbyka, jak i Chowraszkiewicza były absolutnie bezpodstawne.

— Nie bez powodu spuszcza oczy — mówił Kowbyk.
— Na złodzieju czapka gore.

Mylił się jednak. Nad literackim językiem Sidałkowski zaczął pracować przypadkowo. Przy kijowskim supersamie stoją, jak wiadomo, automaty z wodą sodową. Na każdym z nich widnieje pięknie wykaligrafowany napis: „Towarzysze alkoholicy! Nie zabierajcie, z łaski swojej, szklanek, bo świat pracy nie będzie miał czym pić wody”. Kiedy Sidałkowski studiował fachowym okiem litery tego napisu, ktoś zbliżył się do niego.

— Słuchaj no, daj dwadzieścia sześć kopiejek na

szklanekę wytrawnego wina — powiedział mu ktoś półgłosem do ucha.

— Proszę nieznanym nie tykać. To niekiedy skraca życie, a często powoduje okaleczenie ciała.

Sidałkowski uważał się za człowieka dobrze wychowanego, jednak kiedy go „tykali”, krzywił się jak od zgniętego pomidora.

— Proszę wybaczyć, profesorze. A może jest pan dziennikarzem? — pijaczek zmieszał się. — Ma pan taką wymowę... Czystą jak dziewięćdziesięciosześciprocentowy spirytus. Niech mi pan pożyczy rubla...

Sidałkowski zrozumiał, że uprzejmy sposób wysławiania się podnosi go w ludzkich oczach. Ale wiedział również, że kiedy odmówi, słowo „profesor” zmieni się w coś przeciwnego. Nie mógł do tego dopuścić, mimo iż w pobliżu nie było żadnych znajomych. Wyjął więc ostatniego rubla.

— Bilon, mam nadzieję, też pan bierze?

— Dziękuję, panie profesorze! — słowa dla pijaka nie miały żadnego znaczenia, wpadały jednak w ucho Sidałkowskiego, jak metalowe ruble do portmonetki. Sidałkowski ruszył dalej, nie oglądając się, jak debiutujący aktor filmowy, który otrzymał już rolę, ale jeszcze jej nie zagrał.

— No, co tam nowego? — spytał Kowbyk.

Chowraszkiewicz podniósł się i zdusił w popielniczce papierosa.

— Pójdę już.

— Proszę zostać.

— To może wpadnę później — rzekł Sidałkowski głosem, który nie podobał się nie tylko jemu, ale i jego alter ego.

— Skoro już pan tu jest, to proszę mówić.

„Los Hraka wisi na włosku — pomyślał. — Powiedzieć, że to z polecenia Murczenki czy lepiej z mojego?” Sidałkowski pojął w tym momencie, że Hrak nie jest

mu obojętny, mimo że odnosił się do niego niezbyt przyjaźnie.

— Ktoś prosi o przyjęcie do pracy. Ma skierowanie na wieś. Mówi jednak — dodał od siebie Sidałkowski — że „Findipocz” lepszy od skierowania.

— Kto to jest? — spytał niezbyt przyjaźnie Kowbyk.

— Weterynarz. Dyplom z odznaczeniem.

— Czy to coś przyzwoitego?

— Obłeci...

— Może go wziąć na wydział wykończeniowy? Weterynarz może się przydać — Kowbyk zwrócił swą dużą głowę w stronę Chowraszkiewicza.

— Jeśli nie pisze anonimów, to myślę, że można przyjąć.

— A jak go przejrzeć? Z wyglądu niby człowiek porządny, rozumny... — Kowbyk nie spuszczał oczu z Sidałkowskiego, jak Chowraszkiewicz z doświadczalnego jeża. — A donosy pisze. I to jakim pięknym pismem! Tylko dyplomy wypisywać... Żeby chociaż zmienił charakter pisma...

„Co za swołocz! — wściekł się Sidałkowski. — Czy on rzeczywiście sądzi, że te dwa ostatnie donosy to moja robota?”

— Więc powiada pan, że obłeci? A co ono potrafi? Nie zainteresował się pan? Umie chociaż łowić ryby? Człowiek nie ma nawet z kim pojechać w niedzielę na staw do Barynowa. Z panem przecież nie pojedę. Pan inteligent... Bałby się pan chyba nawet robaka wziąć do rączki, bo paznokietki lakierowane...

Na ustach Chowraszkiewicza pojawił się złośliwy uśmiezek.

— Jeśli pan zaprosi, dyrektorze, to pojedę z wielką chęcią — rzekł Sidałkowski.

— A łowić ryby pan umie?

— Może nie tak jak pan, ale dzieciństwo spędziłem nad rzeką.

— A co pan łowił, jeśli to nie tajemnica?

— Różne: okonie, płotki, ukleje, kiełbie, karasie...

A zdarzało się, że szły na robaka i piskorze, i raki...

— Wyobrażam sobie, jakie tam były wodorosty, skoro i raki szły na robaka — Kowbyk zdjął okulary i spojrzął na Sidałkowskiego rzeczowo.

Chowraszkiewicz poruszył się niespokojnie na krzesło, po czym wstał i wyszedł.

— Więc i raki pan łowił? Wielkie?

— Zdarzały się i duże.

— Zaraz po wojnie pełno ich było — ożywił się Kowbyk. — Bywało; wstaniesz rano, pójdiesz na brzeg, nie ma gdzie nogi postawić. Aż się roi od nich! Nazbierasz pełny koszyk, niesiesz do domu... Wrzucasz do wiadra! Kotłują się w nim, kipią! Ślina cieknie! Para łaskocze nozdrza... Posyłasz starego do sklepu po piwo... O, kiedyś to były raki! Teraz nawet u Barynowa takich nie ma, jakieś malutkie, nędzne, trzeba oglądać pod mikroskopem! — Straton Stratonowicz przypalił nowego papierosa i zaciągnął się tak mocno, że Sidałkowski pomyślał, iż dym zaraz wróci przez usta i uszy. — A gdzież ta mizerota? To, co niedawno zachodziło do pana?

Sidałkowski skinął w milczeniu głową. „O tym też już wie, Chowraszkiewicz doniósł”.

— Skąd pan go zna? — indagował dalej Kowbyk.

— Murczenko przysłał go do pana, ale on przypadkowo trafił do mnie, kiedy pan był na sympozjum.

— No to niech przyjdzie. Tylko przestrzegam pana, Sidałkowski, pan za niego odpowiada. Jeśli i on będzie pisać donosy, to już nie wiem, jak dalej przyjdzie nam żyć. Rozpędzą wszystkich, a „Findipocz” zamkną. Nie doczekamy się jubileuszu.

— Sądzę, że anonimy to była robota Czadiuka.

— Tak pan myśli? A może to Neszczadym? On nie lepszy od Czadiuka.

— Tego bym nie powiedział → odparł Sidałkowski, chociaż nie wykluczał takiej możliwości.

— A może to pan pisze anonimy. Co, Sidałkowski? Pismo bardzo podobne.

— I dał się pan złapać na wędkę Chowraszkiewicza? Jego niechęć do mnie wprost go zaślepia.

— A co ją spowodowało, nie pomyślał pan o tym?

— Obawiam się, że nawet sam Jurij Drohobycz nie odpowiedziałby na to pytanie.

Straton Stratonowicz nie znał osobiście Jurija Drohobycza.

— Co ma z tym wspólnego Jurij Drohobycz? — spytał na wszelki wypadek.

— Chyba nic. Jest bezsilny tak jak ja, mimo że jest autorem „Prognostycznego osądzania”.

— No dobra, niech przyjdzie ten pański wędkarz. A jak jego nazwisko? Bo nawet jak coś tam burknie, to i tak nie zapamiętam. Spodziewam się, że nie jest to zbyt wybitna postać historyczna.

— Napoleonek — ochrzcił go Sidałkowski. — A nazwisko Hrak, Jewmen Mikołajowicz. Zameldowania nie ma, ale będzie miał. Wesele tuż.

— Dobra, niech go pan przyśle.

Sidałkowski wyszedł powoli, jakby zgodnie ze scenariuszem.

Hrak nie zabawił zbyt długo u Kowbyka. Zosi się podobał.

Po wyjściu Hraka Kowbyk wezwał Sidałkowskiego.

— Słucham pana, Stratonie Stratonowiczu — zgłosił się z ledwie dostrzegalnym uśmiechem.

— Ale mi pan kadry znalazł! Taki to zajdzie daleko. Oczywiście, jeśli go muchy nie zjedzą. A podlizuje się! A gada! Pytam, dlaczego postanowił pracować właśnie u nas. I jak pan myśli, co ono odpowiedziało? Ja, powiada, chciałbym popracować pod pańskim kierownictwem chociaż rok, da mi to więcej niż pięć lat w aka-

demii. Widzę więc, że to wielki cwaniak, no ale przyjemnie posłuchać. Zwłaszcza na początku kwartału. Gada, patrzy ci w oczy i nawet nie mrugnie. Chwyta jakimś niewidocznymi szczypcami za serce i nie puszcza. Wstrętne to, ale jednocześnie jakieś przyjemne. Łaskocze tak, że człowiek nie potrafi się gniewać. Przyjmę go z ciekawości. Zobaczmy, co to za gagatek. Tak że niech pan szykuje butelczynę, Sidałkowski. Tylko nie tej extra, bo po niej wątroba puchnie i człowiek wyje jak pies do księżycy...

Po dwóch dniach Hrak zaczął się zalecać do Zosi Czudłowskiej. Kierował tym zdalnie Sidałkowski, który poradził mu, by najpierw zawładnął sercem królowej Margot, która uchodziła w „Findipoczu” za nieoficjalną opiekunkę Zosi. Sidałkowskiego interesowało nie tyle ich małżeństwo, co sama idea. Chciał powtórzyć własną historię, chociaż nie wiedział, po co. Chyba po prostu z ciekawości: wyjdzie czy nie wyjdzie?

— Ładna dziewczyna! Wprawdzie trochę może za wysoka, ale tak już jest, że wysokie wychodzą za mąż za niskich, niscy zaś żenią się z wysokimi, dobrzy z jeźdźcami, łajdacy z porządnymi i tak dalej... Życie, Hrak, składa się z przeciwieństw.

— Owszem, milutka, ale zupełnie pozbawiona kobiecości — oponował Hrak.

— Niech pan będzie samokrytyczny i spojrzysz na siebie. No, idę do sekretariatu. Za chwilę proszę tam przyjść.

— Zosia jest córką generała Czudłowskiego. Powinien pan o tym pamiętać, Sidałkowski — przecięła ostro sprawę Margaryta Izotowna. — Nie wyjdzie przecież za jakiegoś tam Hraka!

— Ale Hrak to przyszły marszałek! Czy pani widziała, jak on stawia nogi?

— Co mi tam jego nogi...

— Proszę jednak zwrócić uwagę na jego chód! To

bardzo ważne. Tak stawiał stopy tylko Napoleon Bonaparte.

— Niech mi pan nie zawraca głowy. Hrak i Napoleon!

— Ale jaki energiczny! Gdyby Napoleon miał chociaż dziesiątą część tej energii, rozmawialibyśmy dziś z panią najczystszą francuszczyzną. A zwrotny, jak ostatni model „Żyguli”.

— Nie pasuje do niej — upierała się Dulczenko. — Niski, niewyrośnięty, gęba wydłużona jak u konia...

Sekretarka nie dokończyła charakterystyki Hraka, gdyż w tym momencie zjawił się on we własnej osobie.

— Jewmenie Mikołajowiczu, proszę powiedzieć paniom — zwrócił się do niego Sidałkowski — jakiego stopnia dosłużył się pan w wojsku?

— Kaprała. A o co chodzi?

— Czy pani słyszała, Margaryto Izotowno? Historia się powtarza. Nie mówiłem, że to przyszedł Napoleon?

W tej chwili pod samym sufitem pojawiła się głowa Zosi, potem jej tułów, a na końcu długie nogi. Hrak rzucił się do niej, a gdy się przed nią zatrzymał, zorientował się, że jest u podnóża Howerli*.

— Zosieńko, może pani będzie łaskawa usiąść — powiedział łagodnym i delikatnym głosem.

Sidałkowski zrozumiał, że Hrak dysponuje czterema różnymi głosami o zróżnicowanej intonacji: jednym rozmawiał z nim, drugim — z Kowbykiem, trzecim — z Margarytą, a czwartym — z Zosią. Piąty rodzaj brzmienia głosu zachował przypuszczalnie dla podwładnych, ale ponieważ jeszcze ich nie miał, dlatego tego głosu nie ujawnił. Zosia posłusznie usiadła. Hrak zbliżył się do niej na palcach.

— Panno Zosieńko, niech mi pani pozwoli powiedzieć sobie coś na uszko...

Najwyższy szczyt w Beskidach Wschodnich (2061 m).

Hrak wspiął się na palce do różowego uszka Zosi. Zapach perfum „Być może” ośmal nie zwałił go z nóg, trzymał się jednak dzielnie. „Perfumy polskie. Wszystko w niej polskie: i perfumy, i oczy, i nosek, i nawet imię”. Coś jej szepnęła. Zosia parsknęła śmiechem. Wówczas Hrak cmoknął ją w koniuszek różowego uszka. Zosia chciała się rozgniewać, ale skończyło się na chceniu.

„Śnieg zaczyna topnieć” — pomyślał Sidałkowski. Jednak w tym samym momencie od Dulczenko powiało mrozem. Sidałkowski cofnął się i skulił, nie chcąc dostać zapalenia płuc. Hrak natomiast zaczął świergotać głosem ptaka, którego nazwy Sidałkowski nie znał nawet po łacinie.

— Ciociu Marusiu, ciociu Marusiu! — ćwierkał, podskakując na miejscu.

— Nie jestem dla pana żadną ciocią Marusią. I w ogóle ani ciocią, ani Marusią, lecz Margarytą Izotowną — głos jej wydobywał się jakby z piwnicy zakładów gastronomicznych.

— Ależ Margaryto Izotowno... — Hrak zbliżył się do niej kurzymi kroczkami.

Dulczenko cofnęła się, podeszła do szafy i wzięła mechanicznie kałamarz z atramentem, który jeszcze niedawno nosił numer dwa.

— Proszę się do mnie nie zbliżać, Hrak! Ja nie Zosia! To się może źle skończyć...

— No co pani, Margaryto Izotowno... — łasił się; Sidałkowskiemu się wydawało, jakby on podpełzał do niej. — Co też pani... Taka miła, taka dobra... — w głosie Hraka znalazł się jeszcze jeden tembr, który Sidałkowski określił jako „kołysankowy”; takim głosem, pomyślał, syreny wabiły Odysa. Nie był jednak tego pewny, bo dotąd nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się słyszeć głosu syreny, nie licząc oczywiście fabrycznych. — Chcę tylko coś pani na uszko... — płaszczył się

przymilnie Hrak. — Tylko na to maleńkie różowe uszko...

— Spływają śniegi z Kilimandżaro — rzucił w przestrzeń Sidałkowski, słysząc nieoczekiwany śmiech Margaryty.

— Co pan mówi! — spytała, patrząc na Hraka oczyma Kolumba, odkrywającego nieznany ląd. — Jeszcze nie takie panu przyniosę...

Margaryta Izotowna niewiarygodnie się przeobraziła: wyglądała teraz na dobrą, wesołą i sympatyczną kobietę. Śmiała się z dowcipów Hraka tak serdecznie, że lzy kapały na podłogę. Ten głośny śmiech zwabił Bubona, który na widok rozbawionej Margaryty zamienił się na chwilę w tak zwany słup soli, po czym coś mrużąc popłynął dalej.

— Alpy zdobyte. Przed panem przyszłość, Hrak — Sidałkowski uściśnął mu dłoń, kiedy wyszli z sekretariatu. — Ale ostatnie słowo należy do generała. Czeka więc pana jedenasta praca Heraklesa.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

w którym opowiada się o intelekcie, nieprzyjemnych asocjacjach, intuicji, Brigitte Bardot, importowanych szelkach, podstarzałych znakomitościach, ich kochankach, o Karapet starszej i jej chodzie

Ranek w rodzinie Karola Iwanowicza Bubona był zawsze pogodny i gładki jak łysina na głowie gospodarza. Karol Iwanowicz jadł kaszę gryczaną ze skwarkami. Demian rozkoszował się nugatem z orzechami i miodem, co miało podwyższać jego intelekt, potem dostawał kaszę manną z kozim mlekiem albo mleko z napoleonką. Muza też lubiła miód, ale tylko ze względu na intelekt. Kaszy nie uznawała, bo to psuje linię,

jadała natomiast kotlety z marchwi lub zrazy z kapusty, a niekiedy jabłczankę ze śmietaną. Macesta Elizarowna natomiast, która pod względem znajomości przepisów kulinarnych ustępowała, być może, tylko Margarycie Izotownie, najbardziej lubiła odeskie obwarzanki i chersońskie zapiekanki.

W domu Bubonów do jedzenia przywiązywało się szczególną wagę, bo Karol Iwanowicz był przekonany, że uzdolnienia umysłowe zależą od racjonalnego odżywiania. Chowraszkiewicz miał w tym względzie własną teorię; Bubon nie zwracał jednak na to uwagi i trzymał się tego, co przeczytał w pewnym naukowym czasopiśmie, nigdy jednak z nikim tym się nie dzielił, bo chciał też mieć jakąś własną tajemnicę. Kaszy, zwłaszcza z młkiem, nigdy nie dojadał do końca; kiedy ukazywało się dno talerza, odstawiał go, bo przypominał mu jego лыsinę.

Dzisiejszy ranek miał szczególny charakter. Otóż Demian skończył wreszcie z filipikami Cycerona i przystąpił do jego nie mniej płomiennych mów przeciw Katylinie. Muza ukończyła drugą klasę szkoły muzycznej, zaś Macesta Elizarowna zdobyła u znajomej fryzjerki kok ze sztucznych włosów, przypominający wiecheć słomy wyrwany przez burzę ze strzechy.

Wszystko to jednak było niczym wobec tajemnicy Karola Iwanowicza, z którą krył się przed domownikami. Patrzył z lękiem na żonę, której bał się nie mniej niż kontrolerów; tylko że tamtych nienawidził, a Macestę kochał, marząc, by na jednej poduszce przespać z nią do późnej starości. Spoglądając na nią chwycił się od czasu do czasu to za pierś, jak człowiek chory na serce, to za kieszonkę marynarki, gdzie miał leki, by upewnić się, że są na swoim miejscu.

Macesta Elizarowna raczej więcej odczuwała, niż rozumiała: intuicja mówiła jej, że z mężem jest coś nie w porządku, nie wiedziała jednak, o co chodzi.

— Masz, Karolu, jakieś kłopoty? — pytała, ale Bubon zaprzeczał odejmując rękę od piersi, w której biło serce większe od pięści.

Na prawo od serca zaszyte były w marynarce dwie fotografie, które otrzymał na pamiętnym zebraniu w „Findipoczu”. I chociaż mu przykazano, by dobrze zapamiętał twarz Ewy, a zdjęcia spalił, Bubon nie mógł się na to zdecydować. Jedno zdjęcie, z profilu, przypominało Brigitte Bardot, zaś na drugim, en face, wyglądała jak Bardotka w okresie, kiedy była żoną niemieckiego przemysłowca Güntera Sachsa. Były to zdjęcia Ewy Granat, bylej aktorki prowincjonalnego teatru amatorskiego w Przemysłowej Bałce, a dziś żony Adama Baroneckiego. Karol Iwanowicz, nosząc na sercu te fotografie, nie żałował, że tę szlachetną misję powierzono właśnie jemu. Co prawda odczuwał z tego powodu nie tylko przyjemne podniecenie, ale i strach. Wystarczy, żeby żona zainteresowała się jego marynarką, tak jak on jej torebką, a fotografie Ewy Granat pójdą w ogień razem z resztkami jego owłosienia. Na szczęście Macesta Elizarowna zaliczała siebie do kobiet kulturalnych i nigdy nawet na myśl by jej nie przyszło kontrolować kieszeni męża.

Tymczasem Bubon przygotowywał się do sensacyjnych wydarzeń. Podciągając welwetowe spodnie i naciągając importowane szelki, krążył podniecony między stołami, fotelami i pufikami swego trzypokojowego mieszkania, które przypominało uniwersalny dom towarowy. Na podstawie różnych przedmiotów, które się tu poniewierały, można było dokładnie, jak na podstawie książeczki pracy, określić dotychczasową działalność Karola Iwanowicza, pochodziły one bowiem z różnych miejsc jego pracy. Były tu zupełnie niepotrzebne mu wycieraczki i świece zapłonowe (z czasów gdy pracował w bazie transportowej), flaszki, kolby i retorty (śląd po jego pracy w hucie szkła), pod łóżkiem biegały

dwa jeże — przyniesione z „Findipoczu” — które nie zdążyły stać się czapopizami...

Po wędrówce po pokojach Bubon usiadł i puścił wodze fantazji. Wyobraźnia podsuwała mu pikantne sceny na stókach Dniepru, w parkach, zacisznych kawiarenkach, w kawalerskich pokojach. Widział siebie w karłowatych skokach przez płoty, w szturmach na przepełnione autobusy i metro — w pogoni za Ewą. Śledzi ją nieustannie, cały spocony z wysiłku, popędzają go jednak słowa Sidałkowskiego: „Proszę pamiętać, Karolu Iwanowiczu, że potrzebny jest panu ruch. Autobusy, taksówki, metro — to pańscy najgorsi wrogowie”.

Od kilku dni jest już w pełni akcji. Wsiadał do tramwaju wodnego, kursującego od Truchanowej Wyspy lub na Natałkę, i spacerował po pokładzie jak prawdziwy rycerz płaszczą i szpadą. Potem siadał w pobliżu Ewy i jej amanta, przebijał dziurkę w „Buchalterskich Wiadomościach” i śledził każdy ich ruch. Ta gra podniecała go coraz bardziej. Szkoda tylko, że Sidałkowski nie kupił dla niego za związkowe pieniądze przyklejanej brody. Wyobraźnia przenosiła Bubona z Truchanowej Wyspy to do „Groty” na Kreszczatyku, to do Hołosijewskiego Lasu, to do kawiarni „Aelita”. A jednocześnie przez dziurkę w gazecie wpatrywał się w Ewę, smoktającą przez plastikową słomkę koktajl.

— Wszyscy zakochani są ślepi — mawiał do niego Sidałkowski — co znakomicie ułatwia pańskie zadanie.

Powierzona misja wpływa na Bubona podniecająco i odmładzająco. „Ech, gdyby tak jeszcze mieć czapkę-niewidkę — marzył jak uczeń. — Mógłbym wówczas podejść do nich całkiem blisko i nagrywać na magnetofon nawet ich szept. Ciekawe, o czym dzisiejsza młodzież sobie szepce?”

Bubon ciężko westchnął. Siedział teraz w mieszkaniu i w napięciu oczekiwał sygnału od Adama. Wreszcie zadzwonił telefon.

— Ewa dopiero co wyszła z domu i idzie w kierunku Ławry Peczerskiej.

Karol włożył szybko na głowę filcowy zdefasonowany kapelusz, schował do kieszeni tabletki od kaszlu i zadyszki o tajemniczej nazwie, jakby czytającej się od tyłu do przodu („Ketibos”), i ruszył do wyjścia.

— A ty dokąd? — spytała go żona tonem nauczyciela, kiedy uczeń próbuje niepostrzeżenie wymknąć się z klasy.

— Wpadnę do Adama, serdeńko — wyrecytował z góry obmyśloną odpowiedź.

— A co z nim?

— Przeciąg go złapał.

— Nie kłam. Nie wychodzi ci to. Widzę cię na wskroś...

— Możesz sprawdzić... — odparł niepewnie.

— To byłoby poniżej mojej godności — odrzekła dumnie Macesta. — Nie sprawdzałam w młodości, to i na starość nie zamierzam tego robić.

Karol Iwanowicz zniknął w drzwiach jak cień na jasnym ekranie.

W bramie ucharakteryzował się, ale chyba niepotrzebnie, bo przecież Ewa go nie знаła. Włożył na głowę берет zamiast kapelusza, a na nos ciemne okulary, jakich nigdy nie nosił nawet na Krymie. Przerzucił przez ramię dwustronny japoński płaszcz, w jednej ręce miał ciężką teczkę, wypchaną „Buchalterskimi Wiadomościami”, w drugiej zaś — parasol przypominający ucięty kij bilardowy.

— Teraz to nawet diabeł mnie nie pozna — uspokoił siebie i włączył się w tłum na Kreszczatyku, gdzie, здавало się, kilka rozproszonych dywizji piechoty bezskutecznie próbuje uformować się w kolumny i maszerować w jednym kierunku.

Ludzie manewrowali niczym parowozy na węzłowej stacji kolejowej. Wytrącało to z równowagi nawet spo-

kojnego Bubona. Przepychał się tak jak wszyscy łokciami, które były tu bardziej przydatne niż słowa. Kropił deszcz, więc szerokie chodniki błyszczały jak korytarz „Findipoczu” z rana. Karol Iwanowicz nie był tym zachwycony, a jeszcze mniej polewaczką, która zjawiała się nagle, jak zmotoryzowana kolumna, dając kilka serii wody na chodnik. Bubon w ostatniej chwili zdążył uratować swoje welwetowe spodnie, chowając się za kiosk z huculskimi pamiątkami.

Obok niego przebiegła z krzykiem i śmiechem gromadka dziewcząt z pantoflami w rękach, brodząc boso i spychając na boki płynące po wodzie papierki od cukierków i lodów.

Karol Iwanowicz wyszedł zza kiosku i ujrzał przed sobą Jewdokię Karapet z dużą gospodarską torbą. „Takie torby noszą tylko pracownicy zbiorowego żywienia i ekspedientki sklepów spożywczych” — pomyślał, I chociaż nie znał wcale mamuńci Karapet, zmierzył ją nieprzyjaznym spojrzeniem, zdawało mu się bowiem, że umyślnie tarasuje drogę, po czym na znak niemego protestu zanurzył się w mrocznym podziemnym przejściu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

w którym opowiada się o frenologii, swatach, generale Czudłowskim, jego psie Cerberze, o raju i piekle, „wilku morskim”, dziwnych portach, „gastronomicznym dniu” i niespodziewanym wybuchu kuchennego noża z nierdzewnej stali

— No i jak, doktorze? — spytał Hrak Sidałkowskiego po wyjściu z kolejki elektrycznej.

— Jeśli wierzyć frenologii, to zgadzam się całkowicie ze Stratonem Stratonowiczem. Daleko pan zajdzie,

Hrak. I skończy pan jak Napoleon, gdzieś na jakiejś Lenie...

— Na Helenie — poprawił go Hrak.

— Na Helenie to skończył wielki Napoleon, a pan nie jest wielki, dlatego skończy pan na Lenie. I proszę mi nie przerywać, z łaski swojej. Jeśli pańską biografie będzie pisał sędzia śledczy, mogę pana pocieszyć, że przyjedzie do pana pani Wileńska...

— Pani Walewska — znów sprostował Hrak.

— I znów mi pan przerywa. Pani Walewska to do Napoleona, a panu musi wystarczyć pani Wileńska. Oczywiście z torbą. I mam nadzieję z sucharami. A propos, Hrak: jakie pan woli suchary, ciemne czy białe? Chciałbym o tym na wszelki wypadek wiedzieć. A sądzę, że i Zosię wnet to zainteresuje.

— Do diabła z panem! Mówca się znalazł! Odnoszę wrażenie, że niekiedy mówi pan tylko tak dla piękności słowa, bez sensu i składu, co tylko ślina przyniesie na język...

— Słuchaj no, Hrak! — podniósł głos Sidałkowski. — Proszę nie zapominać, że nie ma pan jeszcze pisemnego zaangażowania do pracy w kieszeni, ma pan natomiast ciągle jeszcze duże szanse, by na prowincji wiązać byczkom ogony na supelki.

— Myli się pan, doktorze. Margaryta Izotowna napisała już na maszynie umowę, a na najbliższą sobotę umówiliśmy się ze Stratonem Stratonowiczem na ryby. Pojedziemy do Barynowa.

— A kto to taki?

— Dyrektor gospodarstwa rybnego. Znajomy Straton Stratonowicza.

— Więc się nie pomyliłem. Pan daleko zajdzie, Hrak. Takich jak pan zatrzymują na ich drodze tylko organa śledcze.

— Dlaczego robi pan ze mnie przestępcę? Przecież nic złego nie popełniłem.

— Zgadza się. Mam jednak nadzieję, że pan popełni. Już mówiłem, że w panu coś jest takiego... Też wierzę we frenologię. Jak mówi Straton Stratonowicz, z taką facjatą jak pańska nie można być uczciwym.

— I właśnie dlatego ochrzcił mnie pan Napoleonkiem?

— O tym też już pan wie?

— A dlaczego sądzisz, doktorze, że powinienem skończyć na Lenie?

— Podoba mi się pan coraz bardziej. Jestem panem zachwycony. Powiem więcej: lubię pana. Już dawno brakowało mi takiego człowieka jak pan. Powiedzmy, pańskiej bezczelności.

— Zdaje się, doktorze, że chcesz mnie obrazić.

— A panu, Hrak, nie wydaje się, że wszystko to płynie z mojej miłości do pana?

Hrak nie odpowiedział. Szedł nieco przed Sidałkowskim dużymi krokami, stawiając stopy na zewnątrz, jak prawdziwy gospodarz Kobylatyna Turbinnego. Na wąskich ulicach drzewa spletały się koronami, tworząc jakby zielone tunele.

— To najpiękniejsze miejsce w naszym mieście. A kiedy pan się ożeni z panną Wileńską, to proszę o mnie pamiętać, Hrak. Chciałbym chociaż raz w miesiącu was odwiedzać. Będzie pan żył jak w ogrodach Semiramidy. Jestem przekonany, że dla takiego zięcia jak pan generał Czudłowski zbuduje napowietrzny zamek. To prawdziwy rajski zakątek.

— Ty mnie posyłasz do piekła, Sidałkowski!

— Teraz mnie pan już całkiem dobił, Hrak — Sidałkowski zatrzymał się na chwilę, jak w kadrze filmowym. — Nie poznaję pana. A któż to zalecał się do Zosi: ja czy pan? Może się panu Zosia nie podoba? Ta romantyczna postać, tak rzadka teraz jak mamut! Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, co pan mówi? Czy pan wie, co Czyhyrenko-Repniński zrobił z rozpaczy, kiedy

się dowiedział, że pan chce się z Zosią zenić? Zgolił brodę, a poza tym grozi, że rzuci „Findipocz”. Przeszczepił pan sztucznie serce Zosi w swoje piersi, a teraz chce pan się wycofać? Straton Stratonowicz nie przyjmie pana, żeby pan wiedział. Zresztą nie zmuszam pana. Jestem szczerze przekonany, że pomagam panu znaleźć miejsce w życiu. Po prostu podoba mi się pan. Jednak jest w panu coś z Napoleona Bonapartego. Jest pan pierwszą postacią historyczną w moim życiu, którą miałem honor poznać. Po Chowraszkiewicz, oczywiście.

— Idź do diabła! — zaklął Hrak. — Chodźmy.

— Podoba mi się pan jeszcze więcej. Obawiam się, że wnet się w panu ostatecznie zakocham.

Ruszyli dalej. Sidałkowski przeskakiwał przez małe kałuże, by nie zabłocić swoich lakierków. Towarzyszyły im pytające spojrzenia kobyłatyńców oraz ich zagadkowe szepty.

Sidałkowski był u Czudłowskich, kiedy Zosia chorowała, poznał więc już jej ojca. Stary generał był wysoki, chudy, miał rude wąsy i wypukłe oczy, jakby wstawione w pośpiechu. Był człowiekiem milczącym, nieprzystępnym, w rozmowie — jak sędzia śledczy — raczej słuchał, niż mówił sam, zadając krótkie, jak postrzał, pytania. O swej karierze wojskowej mówić nie lubił, a jeśli ktoś nalegał, odsyłał go do „Historii Wielkiej Wojny Ojczyźnianej”.

— A propos — przerwał milczenie Sidałkowski. — Jeśli nie chce pan zrazić sobie generała, to ani słowa o wojnie, bitwach i bataliach. Nie lubi tego. Być może, wiązą się z tym jakieś nieprzyjemne skojarzenia. Zresztą obawiam się, że i tak nie uda się panu pozyskać sympatii generała, to nie Margaryta Izotowna. Jak pan zdobył to żeńskie niegdyś serce?

— Dzięki przepisom kulinarnym. Powiedziałem jej na ucho, że przepisałem potajemnie dwa jej przepisy:

na „śledzia w kozuchu” i na „zupę przed pierwszym”. Dodałem, że zupą tą zainteresowała się akademia, by udostępnić przepis studentom, którzy nie otrzymują stypendium.

— Znakomicie! Tu jednak musi pan uderzyć z innej strony, bo mogłoby się powtórzyć Waterloo. Staruszek był pewnie kontuzjowany, a może go za coś tam zdegradowali. W każdym razie na jego spodniach pozostały ślady odprutych lampasów. Więc lepiej tematów wojskowych nie ruszać. A oto i pańska przyszła rezydencja...

Jednopiętrowy budynek wtulony był w koronę ogromnego orzecha. Wysoki płot i ganek oplatały dzikie wino i bluszcz. Na lewo od bramy stała duża żółtozielona ławka z rzeźbionymi nogami. Obok niej, jak Prometeusz przykuty łańcuchem do skały, stała ciężka, metalowa urna — duma generała — której nie potrafili przewrócić pijani miejscowi chuligani. Od podwórza, wyłożonego kamiennymi płytami, wiało jakoś tajemniczo.

Sidałkowski nacisnął dzwonek. Zaszczekał pies. Na podwórzu zjawił się Filaret Karłowicz Czudłowski, wysoki jak kijowska wieża telewizyjna. Sidałkowski poczuł się jakoś niepewnie. Generał wyciągnął szyję jak gęsior, wychylił się przez płot, spojrzął na przybyłych, cofnął się, przez chwilę oglądał ich jeszcze przez okienko w furtce i dopiero wówczas wpuścił.

— Sułtan! Do budy! — zawołał.

Potężny pies, mieszaniec kundla z bernardynem, pomachał ciężkim ogonem i powłókł się pokornie do wysokiej budy. Wszystko tu było wysokie: buda, płot, dom, furtka, gospodarz, a nawet drzewa. W tym otoczeniu Hrak wydawał się jeszcze mniejszy.

— Pański przyszły przyjaciel — szepnął do Hraka Sidałkowski, wskazując psa. — Nie Sułtan, tylko Cerber z Hadesu. Reaguje jednakowo na oba zawoła-

nia. A tam — skinął głową w drugą stronę, podczas gdy Czudłowski zamykał furtkę — posag Zosi: amfibia.

Czudłowski podszedł i w milczeniu uściśnął im dłonie, jak gdyby wręczał nagrody.

— Dzień dobry! — wyrwało się Hrakowi.

Generał odwrócił się i spojrzał na niego z bardzo wysoka: Hrak nie podobał mu się. „Jakiś nędzny owad” — pomyślał wstępując na cementowe schody, ozdobione po obu bokach dwoma gipsowymi sfinksami.

— Herakles przyszedł wykonać jedenastą pracę — szepnął Sidałkowski.

— Zwiewam. Wyraźnie mu się nie spodobałem.

— A pani Wileńskiej?

— Idź do diabła! Zmywam się.

— Proszę się obejrzyć: Cerber czuwa. Może pan stąd zwiać tylko po jego trupie — rzekł Sidałkowski, siadając na ganku. — Ma pan tylko jedno wyjście: przez serce Czudłowskiego do serca Zosi.

W sieni coś huknęło. Hrak skulił się.

— Ma pan zajęte serce, Hrak. Czego się pan przestraszył? Może pan tu wjeżdżać na koniu Przewalskiego, jak Kaligula do senatu.

W sieni zapaliło się światło. Żarówka upstrzona była przez muchy i zakurzona.

— To iluminacja na pańską cześć, Hrak!

— Jeszcze słowo, a zwieję naprawdę. Żarty się siebie trzymają, zamiast podtrzymać mnie na duchu.

— Niech pan nie będzie dzieckiem, Hrak. Proszę wytrzeć dobrze buty i nie zapomnieć pocałować Zosi w rękę. Generałowi może się to spodobać.

Weszli do pokoju, który przypominał kinowy hol. Z sufitu zwisał olbrzymi żyrandol, w którym zamiast lampek były wąskie i długie świeczki. Na ścianie po prawej stronie wisiały portrety raczej z dynastii Wilhelma czy Bismarcka niż Czudłowskiego. Po lewej wisiał wspaniały kilim oraz rogi jelenia syberyjskiego,

ładownica, strzelba i niemiecki nóż myśliwski. Pod żyrandolem stał bogato zastawiony stół, wokół niego — jak groźni wartownicy — cztery drewniane krzesła z oparciami wysokimi jak oparcia krzesel za stołem sędziowskim. Zosia, wsparłszy się na jednym z nich, stała w pozie wieży z Pizy, w nowej, za krótkiej jak na gust Sidałkowskiego spódniczce. Podszedł do niej i przypadł swymi pulchnymi wargami do jej bladej ręki z niebieskimi żyłkami. Generałowi to się spodobało, oczy jego nabrały ciepła. Hrak poszedł śladem Sidałkowskiego, wyszło to jednak jakoś niezgrabnie i sztucznie. Czudałkowski odwrócił się.

— Proszę do stołu — jego głos wychodził jakby ze strychu przez podwójny komin. — Zosiu, nalej gościom.

— A co z tym zrobić? — spytał Hrak, wskazując na kwiaty, które kupił na placu dworcowym.

— To róże? — zainteresował się Czudłowski.

— Z rodziny róż. Rosa damascena — popisывał się Sidałkowski. — Wykorzystywana w celach dekoracyjnych. „Jesienne róże, róże smutne herbaciane...” — zaśpiewał.

— Pan artysta czy botanik? — Filaret Karłowicz zmierzył Sidałkowskiego neutralnym spojrzeniem.

— Ani jedno, ani drugie. Z zawodu jestem historykiem, a z powołania marynarzem. Cokolwiek robię i gdziekolwiek jestem, zawsze przyzywa mnie do siebie morze. Ale twarda rzeczywistość mocno trzyma. A poza tym napływałem się już sporo. No, za naszą znajomość — Sidałkowski uniósł kielich na wysokiej nóżce.

„Taka mała porcja przez tak długą szyję do żołądka nie dojdzie” — pomyślał Hrak, patrząc na przyszłego teścia, i otworzywszy usta przechylił kielich, wlewając całą zawartość do gardła. Generał pokiwał ze zdziwieniem głową.

— W swoim życiu wiele już widziałem huzarskich

numerów, ale żeby tak pić? — spojrzał nie bez aprobaty na Hraka. — Bywał pan pewnie w dalekich krajach? — zwrócił się do Sidałkowskiego.

— Ho, ho! — wyręczył Sidałkowskiego Hrak, męcząc się nad jakąś nie znaną mu rybą.

— Co „ho, ho”? — Czudłowski spojrzał na niego nieufnie.

— Nie ma na świecie portu, do którego by Sidałkowski nie zawijał — skapitulował Hrak, połykając nie pogryzioną rybę.

Generał spojrzał pytająco na Sidałkowskiego, który z miną doświadczonego wilka morskiego smarował chleb masłem i dobierał się do prasowanego kawioru, który wyglądał na syntetyczny.

— Przepraszam, czy to prawda?

— Prawda — odpowiedział skromnie Sidałkowski.

— Był w Wenecji, w Gwinei... — popisывał się za niego Hrak.

— W Gwinei nie byłem — sprostował Sidałkowski, nalewając sobie wody mineralnej. — Jewmen Mikołajowicz miał pewnie na myśli Genuę albo Nową Gwineę. Tam oczywiście byłem, i to nieraz.

— A w Nowej Zelandii? — zaciekawiał się gospodarz.

— W New Plymouth dwa razy i w Auckland. Cudowne miejsca. Tylko za dużo żab. Zwłaszcza w cieśninie Cooka. Robią taką wrzawę, że można oszaleć. Pewnie też dlatego James Cook zawrócił swój „Endeavour”.

— Przepraszam, ile pan ma lat, panie Sidałkowski?

— Dwadzieścia siedem.

— To piękny wiek...

— Na razie nie narzekam...

— I zdążył już pan zwiedzić taki kawał świata? Proszę mi powiedzieć, z łaski swojej — generał napełnił po raz drugi kieliszki — czy bywał pan w tamtejszych restauracjach? Jak tam gotują? Jak podają? Jakie ceny?

— Drogo. Strasznie drogo! W Santo Domingo, powiedzmy, jest zupełnie inaczej niż w Vancouver lub Valparaiso koło Santiago. W Port Saidzie i Singapurze cudownie. Gorzej w Hongkongu, Honolulu czy Capetown — Sidałkowski dosiadł swego ulubionego konika, chociaż zdawał sobie sprawę, że Czudłowski to przecież nie odeskie dziewczątka i z nim daleko się nie zajędzie. A jeśli generał był w tych miejscach? — Szczególnie pięknie jest w Port of Spain...

— A jak tam, jak? — Czudłowski podniósł kieliszek, mocno zaciekawiony.

— Co prawda nie poszczęściło się nam w tym Port of Spain. Trafiliśmy akurat na „gastronomiczny dzień”, w którym wszystkie restauracje są zamknięte i rozpoczyna się tradycyjna zabawa kelnerów, szwajcarów, barmanów...

— To niezwykle interesujące!

— Nadzwyczajne! — zawołał za generałem Hrak.

Filaret Karłowicz zmierzył go karzącym spojrzeniem.

— Czy pan też tam był?

— Nie, kolega Sidałkowski opowiadał mi o tym — łągał jak z nut.

„Czyżby minęło już piętnaście minut i zaczęła działać wlana wódka?” — Sidałkowski patrzył z niepokojem na Hraka.

— Było się w Perth, i w Melbourne, i w Sydney — kontynuował salwując Hraka. — Ale najciekawiej było w Monaco. Zaszedłem do jednej miejscowej restauracji. Co będę dużo mówił: niebo i ziemia w porównaniu z naszymi. U nas gdybyś tak wszedł i zamówił tylko samą herbatę, co by ci powiedzieli?

— Wyrzuciliby na pysk albo wzięli za głupi żart — wyrwało się Czudłowskiemu.

— No właśnie. A w Monaco? Wchodzimy, nie zdążyliśmy jeszcze usiąść, a już podbiega do nas w ukłonach kelner i najczystszą francuszczyzną mówi: „Bażur,

mesje! Czym możemy służyć?” A ja mu na to: „Herbatą”. „A jaka ma być herbata, pyta, indyjska czy gruzińska?” Zorientował się widocznie, że jestem w towarzystwie mego przyjaciela Gruzina Aszota Pejczenadze. „Prosimy o gruzińską”, odpowiadam. A on: „Z cytryną czy bez?” Odpowiadam, że z cytryną. To on znów pyta, czy z cukrem, czy bez cukru. Bo wtedy w Europie nastąpiła moda picia bez cukru. Jako Podolanin z „cukrowego Donbasu” odpowiadam oczywiście, że z cukrem. Czy był pan może w Monaco, Filarecie Karłowiczu?

— Jakoś nie było okazji. Żeby nam się! — wznosił kielich.

— Chu! — Sidałkowski wypił i chuchnął. — No więc patrzmy, a już po chwili zjawia się kelner. Na tacy w stylu kardynała Richelieu niesie wrzątek w połączonym dzbanuszką z tancerką na wieczku. Za nim kroczy jego pierwszy pomocnik z nieco mniejszą tacką w stylu Ludwika XVI a na tacce mniejszy połączony dzbanuszek z esencją — Sidałkowski spojrzawszy znów z niepokojem na Hraka, który zawierał bliższą znajomość z koniakami ormiańskimi. — Zamykało tę procesję dwóch garsonów w białych odeskich czapeczkach. Pierwszy niósł srebrną cukiernicę z cukrem, a drugi na poduszeczce srebrny nożyk do cytryny. ,

— Przepraszam, a dlaczego w odeskich czapeczkach? — spytał Filaret Karłowicz.

— Bo były bardzo podobne do odeskich, tylko że zamiast na czubku, pompon był z boku. No więc zatrzymuje się ta procesja przy naszym stoliku. Podbiega też kierownik sali. No i zaczyna się ceremonia: jeden wlewa do filiżanki esencję, drugi wrzątek, trzeci wrzuca cukier, czwarty kroi w plasterki cytrynę, a sam kierownik sali miesza cukier w herbacie i kłaniając się prosi, by „mesje” spróbował, czy smakuje. Niech mi pan wierzy, Filarecie Karłowiczu, że pot wystąpił mi na czoło od tych ceremonii, a kiedy spojrzałem na ra-

chunek; czoło pokryło się szronem. Wyglądałem tak, że nawet kierownik sali się przestraszył. I dałem sobie wtedy słowo: nigdy więcej Monaco, potrzebne mi tam jak grypa hongkong; nie jestem milionerem, tylko prostym radzieckim marynarzem floty handlowej.

— Przepraszam, a w Polsce pan był?

— Dlaczego nie, bywało się... Mam tam wielu przyjaciół — przypomniał sobie Osmowskiego, Osowskiego i Brzozowskiego. — Proszę, ich bilety wizytowe. Jeśli byłby pan w Warszawie, Poznaniu czy Krakowie, do pańskiej dyspozycji ich adresy.

Rzucił na stół wizytówki jak trzy karty atutowe i zaczął nakładać sobie na talerzyk francuską sałatkę.

— Byłem też w Szczecinie — ciągnął opowieść morskogo wilka.

— Co pan mówi?! — Czudłowskiemu wypadł z rąk widelec, a z otwartych ust wyjrzał ogon śledzia. — Właśnie stamtąd pochodzi moja żona Maria Halina Cecylia Teresa.

— Z córkami?

— Nie, tam taki zwyczaj, że mają po kilka imion. Przepraszam, a pan chyba też Polak?

— Nie, jestem Ukraińcem — odparł Sidałkowski. — Mamy z Polakami wiele wspólnego: podobny język, podobne nazwiska...

— Przepraszam, pan chyba z inteligencji? Rozumiem, że teraz u nas arystokracji nie ma, ale inteligencja...

— On pochodzi z rodziny znanego profesora Sidałkowskiego, doktora weterynarii — znów się włączył Hrak. — Jego ojciec to uczony światowej sławy. Zajmuje się wydzielaniem soku żołądkowego u pierworodnych i uzyskuje go tylko sobie wiadomą metodą. Jego specjalnością są również przeszczepy. Niedawno jako pierwszy na świecie dokonał przeszczepu końskiego

serca bykowi simentalskiemu. Operacja zakończyła się sukcesem: byk zdechł, a koń żyje.

„Mści się za tego Napoleonka. Za dużo wypił” — Sidałkowski nie spuszczał Hraka z oczu, jakby chciał mu coś przekazać, ale Hrak go ignorował.

— Ojciec Sidałkowskiego, jak przystało wielkim ludziom, jest skromny i naturalny. Syn poszedł w ślady ojca. Pracuje w filii znanego instytutu naukowo-badawczego jako kierownik oddziału farb i materiałów futropodobnych. Pełni poza tym funkcję przewodniczącego rady zakładowej.

Sidałkowski skromnie opuścił głowę tak jak Hrak w dniu ich poznania. „Drogo będą kosztowały generała te swaty — myślał patrząc na stół. — Trzeba jeszcze spróbować tych krewetek, nigdy ich dotąd nie jadłem.” Nałożył na talerzyk kilka krewetek, zaczął jeść. „Do diabła! I co ludzie w nich widzą? Podobno Hemingway jadł tylko same łebki, resztę wyrzucał. Zwariować można...”

— Miło to słyszeć. Szlachetna krew płynie w pańskich żyłach, panie Sidałkowski.

— Prawie błękitna — Hrak nie pozwalał odebrać sobie inicjatywy.

Sidałkowski nie wtrącał się, przyjemnie mu było tego słuchać, a poza tym nie chciał rozczarowywać Czudłowskiego. Wkrótce jednak obrzydło mu to. Zwłaszcza że Hrak lgał jak najęty i fałszował wszystko, tak jak Chowraszkiewicz na gitarze. Czudłowski chyba też to wyczuł.

— Przepraszam bardzo — przeciął wreszcie. — Mówi się tu za dużo o mnie, ale przecież nie o mnie chodzi. Otóż przyszedłszy prosić...

— Wiem — przeciął ostro Czudłowski. — Zosia mi mówiła. Który z panów chce się żenić? -

Czuło się, że doskonale się orientuje. Sidałkowski wskazał na Hraka.

— Ach tak... — nie ukrywał swego rozczarowania generał. — Sądziłem, że chodzi o pana, panie Sidałkowski.

— Ja się nie narzucam — odparował dumnie Hrak.

— Oo, ma charakter!

— Twardy jak sztuczny diament — uzupełnił Sidałkowski.

— Tato, pozwól, że was zostawię — Zosia wzięła na rękę angorskiego kota i wyszła z pokoju.

— Jak się nazywa ten śliczny kotek? — spytał Sidałkowski.

— Dosyfej.

— Myszy łowi? — Hrak chciał podtrzymać rozmowę.

— Przepraszam, pana interesuje kot czy moja córka? — wybuchnął generał.

Widać było, że Hrak go drażni.

— Przepraszam, ale z Zosią znamy się już dawno. Wiem o niej wszystko...

— Wszystko? Nie wszystko. Bo u nas w domu myszy łowi nie angorski kot, lecz Zosia. Nastawia łapki. I tymi myszami karmi Dosyfeja, bo on boi się żywych. Już pan teraz wie?

— Jeszcze raz proszę o wybaczenie, ojczy...

— Słuchaj no pan! Nie jestem jeszcze dla pana żadnym ojcem, tylko Filaretem Karłowiczem. I żądam, żeby w przyszłości też się pan tak do mnie zwracał. Nawet wówczas, jeśli Zosia wyjdzie za pana. Mam jednak nadzieję, że to się nie zdarzy. Powiem szczerze: nie podoba mi się pan. Nie podoba mi się pańska wydłużona twarz. Tak jakby w dzieciństwie jadł pan, z przeproszeniem prosto z koryta. Bez łyżki.

W Hraka jakby piorun strzelił.

— Ale ja żenię się nie z panem, tylko z pańską córką. A poza tym pan wcale nie jest przystojniejszy ode mnie. Oczy jak u raka. I długi pan jak tyka fasolowa, a chudy jak moskiewska kiełbasa.

— Psiakrew! — wybuchnął Czudłowski, czerwony jak rak. — Do jasnej cholery! Zaraz wyrzucę pana przez okno i nie pożałuję szyby. Mam w tym względzie doświadczenie, może mi pan wierzyć.

Czudłowski poderwał się. W jego kościstej ręce błysnęła kuchenny nóż z nierdzewnej stali. Sidałkowski zamarł. Hrak zamknął oczy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

w którym opowiada się o nowym zawodzie Bubona, świętych miejscach, hindi, biblijnej brodzie, o kobietach w ogóle, a dwóch damach w szczególności

Bubon trząsł się na tylnym siedzeniu trolejbusu, jak boja na dniewprowych falach. Jechał w nieznanę, bo za Ewą, która siedziała na przedzie. Sama. Kiedy się oglądała, natychmiast wywracał na drugą stronę swój beret.

— Iluzjonista na emeryturze — śmiali się siedzący obok studenci, prosząc Bubona, by pokazał jakąś sztuczkę.

Bubon parskął jak foka, co ich jeszcze bardziej rozśmieszało. Rola prywatnego detektywa niekiedy bardzo mu się podobała, bywały jednak momenty, że miał jej dość. Kiedy zdarzało się coś interesującego, a jemu, jak zawodowemu detektywowi z kryminalnych powieści, udawało się pochwycić to coś „na gorącym uczynku”, rozkwitał jak piwonia, wyhodowana troskliwymi rękami Macesty Elizarowny; gdy jednak trafiał w taką sytuację jak obecna, miało się ochotę cisnąć beretem o chodnik.

Oto już czwarty dzień z rzędu wymyka się wcześniej z „Findipoczu”, wsiada do pociągu podmiejskiego

i mknie do stolicy, by trafić na ślad Ewy, którą nieczysta siła ciągnie w same święte miejsca: a to sobór Wołodomyrski, a to Sofijski, a to znów klasztor Wydubiecki. A teraz, sądząc z trasy trolejbusu, jechała do Ławry Peczerskiej.

Bubon wpadł na jej ślad i teraz deptał Ewie po piętach. Kiedy się oglądała, patrzył tylko na jej ponętne wargi. Nie pomylił się tym razem: wysiadła na ostatnim przystanku i przestąpiwszy bramę cerkwi Troickiej, zastukała obcasami po nie ogrodzonych, nagrobnych metalowych płytach. Bubon przyłączył się do jednej ze zwiedzających grup, w której rozmawiano chyba językiem hindi, i poszedł razem z nią do dzwonnicy.

— Proszę nie spuszczać jej z oczu — brzmiał mu w uszach głos Sidałkowskiego. — Dla przyszłych rozmów z nią potrzebna jest znajomość jej każdego ruchu.

Ale Ewa nie robiła żadnych ruchów. Usiadła na ławce i otworzywszy przewodnik udawała, że studiuje freski nadbramnej cerkwi Troickiej. Potem przerzuciła wzrok na starych mędrców, kijowsko-peczerskich archimandrytów: Josypa Krakiwskiego, Warłaama Jasińskiego, Inokentija Gizela, Josypa Tryznę, Petra Mohyłę i Zacharija Kopystyńskiego. Żaden z nich jej się nie podobał. Z nudów zaczęła się rozglądać i spostrzegła Bubona. Patrzyła na niego jak na antyczną rzeźbę. Karol Iwanowicz był bardzo zmieszany, bo grupa hindi poszła dalej, a on został sam na sam z Ewą.

Słońce, załamawszy swe złociste promienie na złotych wieżach, uderzyło nagle prosto w jego oczy. Karol Iwanowicz zmrużył je, a potem odszedł na bok, zakrywając się gazetą przed słońcem i Ewą. Ale zarówno promienie słoneczne, jak i spojrzenia Ewy nie zostawiły go w spokoju, skrył się więc w cieniu dzwonnicy.

Ewa wykonała obrót o sto osiemdziesiąt stopni i stanęła twarzą do Bubona; ponieważ słońce nie mogło zrobić tego samego, musiało pozostawić go w spokoju.

Bubon przedziurawił artykuł „Na pomyłkach sprzedawców uczą się kupujący”, by spojrzeć na Ewę, zobaczył jednak tylko jakiś duży nos upstrzony wiosennymi piegami. Kiedy wyjrzał spod gazety, okazało się, że to nowa grupa turystów.

— Towarzysze! Trochę ciszej, z łaski swojej. Nie mogę przecież wszystkich przekrzyczeć — powtarzała bez żadnego skutku przewodniczka.

Na dzwonnicy zegar uderzył trzy razy. Do nóg Bubona spadły trzy kasztanowe liście, które wzięły kształt od herbu Kijowa. Od strony Cytadelnej, pod rytmiczne uderzenia zegara, zbliżał się On. Bubon poznał go od razu. Był w kraciastej cyklistówce, kraciastym garniturze i w kraciastej koszuli. Wysoki, z biblijną czarną brodą, przetykaną siwizną. Trudno było określić jego wiek. Ewa na jego widok wspięła się na palcach i zaczęła iść w kierunku biblijnej brody, przypominając tresowaną łąnię, której codziennie rano dają kostkę cukru. Człowiek w kracie z taką elegancją nachylił się do ręki Ewy, że nawet Panczyszka i Sidałkowski mogliby mu pozazdrościć, gdyby mieli szczęście ujrzeć to powitanie.

„Biblijna broda” — mruknął Bubon i pod taką właśnie nazwą zakodował nieznanego w pamięci. Ewa objęła Brodę za szyję. Bubon skromnie spuścił oczy. Ale Ewa nie pocałowała Brody, tylko coś mu szeptała do ucha. Broda łypnął wzrokiem na Bubona, chwycił Ewę za rękę i jak młode żrebaki pobiegli z rozwianymi włosami na ulicę.

Bubon ledwie zdążył wskoczyć na tylny pomost trolejbusu. Ulokował się za nimi i szybko wywrócił na drugą stronę swój japoński dwustronny płaszcz. Był taki tłok, że na następnym przystanku fala wysiadających pasażerów popchnęła go i ani się obejrzał, kiedy jak korek z butelki wyskoczył z trolejbusu i znalazł się na chodniku, nie zdążywszy nawet zapłacić za bilet.

Stał na chodniku bezradny. Za trolejbusem przecież nie pobiegnie. Czekać na następny? I tak już ich nie dogoni. „Teraz wszystko zależy od pana — przypominał sobie słowa Sidałkowskiego. — Nie wolno tracić ani chwili. Proszę pamiętać, że jest pan od dziś naszym findipoczowskim komisarzem Maigret.”

Nagle zapiszczały hamulce, Bubon poczuł swąd.

— Dokąd? — spytał kierowca.

— Przed siebie! — wydał komendę Bubon, nie wierząc własnym oczom: oto taksówkarz z własnej inicjatywy zatrzymał przed nim samochód. — Przed siebie. Za dwudziestką!

Taksówkarz spojrział na niego lekceważąco, ale Karol Iwanowicz przewrócił na drugą stronę beret i z intrygującą miną sięgnął do wewnętrznej kieszeni, niby to po ważną legitymację.

— Nie trzeba — taksówkarz od razu skapitulował. — Wszystko jasne. Już nieraz brałem udział w takich operacjach. Recydywista?

— Kobieta — odparł Bubon.

— Kobieta recydywistka?

— Kobieta w znaczeniu żony.

Taksówkarz był wyraźnie rozczarowany.

— A więc bez strzelaniny?

— Ale parę klapsów dostanie.

— Po gębie?

Nagle Bubon zauważył kraciasty garnitur, który wyleciał z trolejbusu na chodnik tak jak on przed pięciu minutami.

— Są! — zawołał Bubon uradowany.

Taksówkarz gwałtownie zahamował.

— Proszę oszczędzać opony — zalecił Bubon głosem Sidałkowskiego, dając kierowcy starego rubla z funduszu rady zakładowej.

Kiedy ujrzał znów Ewę i Brodę, był szczęśliwy jak młody sędzia śledczy, który nareszcie znalazł długo po-

szukiwany niedopałek papierosa z odciskami palców i resztkami kredki do ust. Odnosiło się teraz wrażenie, że to nie Bubon idzie za nimi, lecz oni go prowadzą, zacierając ślady. Przeszli przez skwer uniwersytecki, wyszli na bulwar Szewczenki i niespodziewanie zawrócili. Bubon uczynił to samō, ryzykując, że mogą zniknąć za jego plecami. Broda raz jeszcze zawrócił idąc prosto na Bubona, który stracił przez ten manewr głowę i zboczył na jezdnię wprost na czerwone światła. Posłyszał obok siebie zgrzyt i pisk hamulców oraz odpowiednią wiązanke. Szedł jednak dalej ciężkim krokiem jak zagnany w pułapkę słoń. Po chwili obejrzał się i omal nie wrósł w jezdnię: za nim szły same brody, jakby spieszyły na konkurs brodaczy. Poczul się tak, jak nagi wśród normalnie ubranych.

Ewę i jej kraciastego amanta ujrzał przy fontannie „Naga Masza”. Zrobił koło i usiadł naprzeciw nich. Zaczął kropić deszcz. Biblijna Broda przykryła płaszczem ładne kolana Ewy, jak to robią zwykle kibice na stadionie, kiedy z górnej trybuny zaczyna ściekać deszczówka.

Bubon wyjął „Buchalterskie Wiadomości”, przebił palcem dziurę i zaczął ich śledzić. Silny podmuch wiatru chlusnął mu w twarz wodą z fontanny, gazeta wypadła z rąk.

— Ojczulku! — usłyszał jakiś głos. — Kto pod fontanną czyta gazetę?!

Podniósł wzrok. Obok niego przechodzili studenci ze skryptami pod pachą i zyczliwie się uśmiechali.

— Dzień dobry! — pozdrowił go jeden z nich.

— Dzień dobry! — odpowiedział machinalnie Bubon i zasłonił się gazetą, odsuwając się od bryzgów fontanny.

Karol Iwanowicz wsłuchał się w jej muzykę, wygrywaną przez słońce i wiatr. Powieki nalewały się ołowiem. Zapadł w drzemkę, kołysany rytmicznym

pluskiem fontanny, szeptem gałązek i liści w konarach drzew i hasaniem łagodnego wiatru, który dopiero co narodził się gdzieś w krzakach i ujrawszy po raz pierwszy takie cudo jak fontanna, rzucił się na nią jak psotny chłopczyk, bryzgając wodą i polewając w różnych miejscach suchy asfalt.

Bubon usnął. Śniło mu się zebranie rady zakładowej „Findipoczu”.

— Ale ja nie mogę — bronił się. — Do czego to podobne, żeby członkowie rady zakładowej śledzili kobiety. Niech młodszy za nimi się uganiają.

— To mogłoby być wtedy źle zrozumiane — wyjaśnił Neszczadym. — A pana, mój drogi, nikt przecież nie będzie podejrzewał o jakieś nieczne zamiary. Jest pan człowiekiem starszym, solidnym...

Nagle zjawił się Adam.

— Czy oni się całują? — spytał z męką w oczach.

— On ją całuje w rękę.

— Proszę pana, beret spadł panu z głowy — jakiś chłopak targał Bubona za ramię, zamiast podnieść beret.

— Dziękuję — Bubon otworzył ciężkie powieki, jak niedźwiedź po śnie zimowym, i spojrzał z niepokojem na ławkę.

Naprzeciw niego siedziały dwie brody. „Czyżby i Ewie wyrosła? Widocznie długo spałem. Ale skąd on wziął teksasy?”

Bubon wstał i poczłapał do przystanku dwudziestki.

— Halo — krzyknął ktoś za nim. — Zostawił pan na ławce gazety!

Karol Iwanowicz wziął w milczeniu gazety, nawet nie dziękując i znów ruszył do przystanku.

Miał szczęście: dojrzał Brodę i Ewę, idących spokojnie w kierunku wieżowca „Faktus”. Byli zapewne przekonani, że „komisarz Maigret” śpi na ławce. Ewa jednak obejrzała się instynktownie i chyba go spos-

trzęgła, bo wspięła się na palce i coś powiedziała Brodzie. Człowiek w kracie odwrócił się i spojrzał na Bubona wzrokiem, w którym można było wyczytać zamiar natychmiastowego położenia kresu tej komedii. Pamiętając o pouczeniach Chowraszkiewicza Bubon zatrzymał się przed jakąś witryną. Po drugiej stronie jak kosmonauci przed startem, siedziały jego rówieśnice i suszyły włosy, robiąc raz na sześć miesięcy nową „trwałą ondulację”. „Damski salon fryzjerski — zorientował się bystry detektyw. — Wystawa kolan i fryzur”.

Fryzjer podszedł do okna i z dość wymownym spojrzeniem — czego się gapisz? nie widziałeś bojowniczek o młodość i urodę? — zasunął Bubonowi przed samym nosem firankę.

Bubon odwrócił się. Zobaczył przed sobą Ewę i Brodę. W pobliżu stała jeszcze jedna postać, bacznie przypatrując się tej scenie, ale Bubon jej nie widział. Była to Macesta Elizarowna, która też włączyła się do tej gry. Przypominało to klasyczną scenę polowania, w której lis goni zająca, a lisa — myśliwy.

— O co chodzi? — spytała Biblijna Broda. — Czego chcą od nas welwetowe spodnie buchaltera Bubona?

Policzki Karola Iwanowicza pokryły się rozwodnionym sosem pomidorowym.

— Płaszcz wywraca pan na drugą stronę, ale zapomina pan zmienić spodnie.

— Już ja mu zmienię spodnie! — chodnik zaczął zapadać się pod stopami Bubona. — Razem z pani fotografiami, madam.

Karol Iwanowicz chwycił się za pierś: fotografii nie było, podobnie jak serca, które stanęło i opuściło się, jak ciężarek na łańcuszku, aż do pięt. Spojrzał w szybę na siebie: stał przed nim jakiś nieznamy mężczyzna ze skrzywioną twarzą jak po drugiej trepanacji czaszki.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

w którym opowiada się o siedemdziesięciu procentach wody, zamachu na Cerbera, Zatoce Matwijewskiej, Zofiach Loren, przyzwyczajeniach Hraka, burzy protestów i strasliwym rozczarowaniu

Tego dnia był taki upał, że psy biegały z wywieszonymi jęczorami, które pod wpływem ciepła tak się rozszerzały, że nie mieściły się w pysku. Ptaki nie siadały na blaszanych dachach domów Kobylatyna Turbinnego, bojąc się popiec złote nóżki, zaś Jewmen Mikołajowicz Hrak przypominał dobrze upieczony udziec. Mimo kuchennego noża generała Czudłowskiego wyszedł jakoś z tej przygody zdrów i cały.

— Aleś mnie wrobił, doktorze! — złościł się na Sidałkowskiego.

— Prawdziwa miłość przychodzi z opóźnieniem, jak gazety.

— Jak ty lekko idziesz przez życie, Sidałkowski...

— Idę po chodniku, Hrak, i radzę panu robić to samo. Ludzki organizm składa się w siedemdziesięciu procentach z wody. Biorąc pod uwagę ilość, jaką pan już dziś wydzielił, pozostało panu nie więcej niż trzydzieści procent. Więc proszę nasunąć na oczy swoją gruzińską czapkę i iść w cieniu, bo wnet pan zupełnie wyparuje.

Hrak szedł wściekły, jak Cerber generała, który chyba ciągle jeszcze kąsał sobie ogon ze złości, że nie dobrał się do Hraka.

— Proponuję, żebyśmy pojechali na plażę. Na Dowbyczkę albo nad Zatokę Matwijewską. Ale bez dziewcząt. I bez kanapek. I jednego, i drugiego jest na miejscu pod dostatkiem. Kijowskie dziewczyny są szczodre. Niech mi pan wierzy, Hrak. Mam doświadczenie... Więc na którą plażę jedziemy?

— Wszystko mi jedno.

Sidałkowski uważał, że lepiej jechać na Dowbyczkę, bo nie jest zbyt tłoczno i przychodzą tam ładne dziewczyny; a w Zatoce Matwijewskiej zbierają się całe rodziny oraz pary z namiotami.

— A panu chyba ani jedno, ani drugie nie odpowiada, prawda, Hrak?

Gdy zbliżali się do molo, zawijał właśnie statek spacerowy, Sidałkowski przyspieszył, podnosząc wysoko nogi i wzbijając fontanny piasku, po czym jednym susem wskoczył na pomost. Hrak dreptał za nim, a gdy chciał popisać się takim samym skokiem, zawisł na poręczy. Sidałkowski szybko zdjął go i podał bileterce piętnaście kopiejek.

— Biletów ani reszty nie przyjmujemy. Biletami zaśmieca się plażę, a drobne gubią się w piasku dla przyszlých numizmatyków.

— Za dużo pan mówi — kontrolerka wetknęła Sidałkowskiemu resztę i dwa bilety.

Wsparci o poręcz patrzyli w milczeniu, jak statek wolno wrzyna się w fale, rozcinając je na pół, dziób zaś rozpryskuje wodę na zielonobłękitną mgielkę. Upał był niemiłosierny. Hrak usunął się w cień. A Sidałkowski zaczął marzyć. Zdawało mu się, że znów pływa gdzieś na równiku.

— Zasiądziemy jeszcze na mostku kapitańskim.

Hrak nie zareagował. Stał w pozie napoleońskiej z podniesionym kołnierzem nakrapianej marynarki i patrzył w kierunku Francji. Olbrzymia czapa, która opierała się na jego gladiolusowych uszach, nadawała mu wygląd cyrkowca, który dopiero co skończył występ i, zapomniawszy się przebrać, wskoczył w ostatniej chwili na statek. Tak ubrany był tylko on jeden. Pasażerowie byli przeważnie w szortach i tenisówkach. Niektórzy paradowali w niewiarygodnie jaskrawych kąpielówkach. Jakiś fircyk w ciemnych okularach space-

rował w koszuli, pływkach i słomianym sombrero miejscowego wyrobu, obejmując gospodarskim spojrzeniem leżących ciasno na piasku plażowiczów, którzy demonstrowali swe wdzięki słońcu i ludziom.

Nagle statek zakaszłał i ucichł. Znikły białe bryzgi, statek płynnie zaczął się zbliżać do przystani, obwieszonej starymi oponami. Dziewczyna w marynarskiej koszulce, ze spieczonymi ramionami i łuszczącym się nosem, chwyciła linę i zarzuciła jej pętlę jak lasso na metalowego knechta.

— Zluzować cumę! — zawołał jakiś chłopak i roześmiał się.

Sidałkowskiemu wszystko to przypominało dziecięcą zabawę w kapitanów.

— Wstępuje pan na ognistą ziemię — powiedział do Hraka, zdejmując obuwie i skarpetki.

Piasek był taki, jakby go ktoś podgrzewał na patelni, a potem rozsypał na plaży. Boso nie można było iść, więc Sidałkowski wzię z powrotem buciki i poradził zrobić to samo Hrakowi który zroszony był potem. Pobrnęli do cienia.

— Hrak, niech pan zakręci kran, bo wkrótce wyschnie pan zupełnie i wzniesie się do nieba — poradził Sidałkowski, zdejmując spodnie. — Co Czudłowski by na to powiedział? Zawrócił córce głowę, a teraz zwiął...

Sidałkowski pysznił się swymi pływkami. Były tak oryginalne jak dwurzędowa kamizelka Hraka, który wreszcie się rozebrał, usiadł i zanurzył stopy w piasku. Sidałkowski położył się na brzuchu i podpierając rękami podbródek zaczął obserwować plażę.

— Czy nie zauważył pan pewnej prawidłowości: na plaży kobiety zawsze leżą na plecach, a mężczyźni na brzuchu. Czy nie wywołuje to w panu jakichś atawistycznych skojarzeń?

Hrak uniósł głowę i wytarł ręką pot, który zalewał mu oczy. Przypomniały mu się ostatnie minuty pobytu

w domu Czudłowskich. Wstał od stołu, nałożył gruzińską czapkę i ruszył do drzwi. Na progu rozwalił się w pozie sfinksa ten przekłety Sułtan. Z tyłu, po drugiej stronie stołu, czał się Czudłowski z nożem w rękę. Na schodach pojawiła się Zosia w spódniczce mini. Kot Dosyfej miękko zeskoczył na podłogę i zaczął ocierać się o nogi Hraka.

— Tatku tatuśku, tylko proszę bez skandalu.

— On — Czudłowski wyciągnął rękę z nożem w kierunku Hraka — on mi się zupełnie nie podoba. I jego czapka też. Takie czapki noszą nie weterynarze, ale koniki na besarabskim bazarze w Kijowie.

— Przecież czapkę można zamienić, tatusiu.

— Powiedzmy, na kapelusz — uzupełnił Sidałkowski. — Nie w czapce szczęście.

Zaczęła się ostra wymiana zdań. Trzeba było jakoś rozładować tę napiętą atmosferę. Sidałkowski podszedł do stołu i nalał do szklanki wody. Filaret Karłowicz zakipiał, jak turecki czajnik z gwizdkiem.

— Proszę wypić, Filarecie Karłowiczu — powiedział łagodnie.

Cerber otworzył jedno oko. Hrak zwiększył czujność.

— Chodzi przecież nie o pańską osobistą sympatię czy antypatię. Dla dzieci, podobnie jak i dla sztuki, wielcy ludzie ponoszą ofiary. Proszę też wziąć pod uwagę, Filarecie Karłowiczu, że dziewczyna podobna jest do kwiatu: jeśli w odpowiednim czasie go się nie zerwie, może szybko przekwitnąć i zwiędnąć...

Czudłowski nieoczekiwanie usiadł i zapłakał. Z jego wypukłych jak soczewki oczu spadały do szklanki lzy wielkości grochu.

— Niech mi pan wierzy, Sidałkowski — pochlipywał — że przez całe życie marzyłem o takim zięciu jak pan...

— Przepraszam, tato — Zosia podeszła do ojca.

— A pan kogo mi przyprowadził? — zawołał z wy-

rzutem Czudłowski. — Przecież to wariat! Zamorduje go... do cholery!

Hrak skulił się i dał nura do sieni, ciemnej jak noc na Oceanie Lodowatym. Zanim Cerber się zorientował, było już za późno, więc kłapnął tylko zębami i by wyładować swą złość, rzucił się na Dosyfeja. Czudłowski zamrugał ze zdziwienia oczami i jakby się opamiętał.

— I w dodatku jeszcze tchórz!

— Cóż pan chce, pan do niego z nożem... Nie tylko Hrak, ale nawet Cerber się przestraszył.

— Nie Cerber, tylko Sułtan — zaprotestował gospodarz.

Furtkę za Hrakiem zamknęła Zosia. Żal jej go było, proponowała, by wrócił, ale odmówił. Sidałkowski dogonił go dopiero na peronie.

— Więcej moja noga tam nie postanie! — zawołał Hrak na jego widok.

— Nie bądźcie dzieckiem, Hrak. Zaprezentował się pan z nie najlepszej strony. Trzeba złożyć Czudłowskiemu jeszcze jedną wizytę, w charakterze uosobienia uprzejmości, i pani Wileńska należy do pana.

...Hrak otworzył oczy.

— Dlaczego on przyjął mnie tak chłodno?

— O kim pan mówi? A, o swoim przyszłym teściu. Czy mam być szczery, Jewmenie Mikołajowiczu?

— Oczywiście.

— No więc tak: generał ma willę, sad, łódź-amfibię, jedną jedyną córkę, i wszystko to, niech pan postawi się na jego miejscu, dostaje się jakiemuś zupełnie nieznanemu Hrakowi. Wyobraża pan sobie? Niech pan będzie trochę psychologiem. A teraz proszę spojrzeć na siebie. Co im pan daje w zamian? Nic, prócz nazwiska z czterech liter, które też chyba nie zachwyca generała.

— A dyplom? Przecież ukończyłem akademię.

— Od braku skromności pan nie umrze, Hrak. To

panu nie grozi. Pański dyplom potrzebny Czudłowskiemu będzie tylko po to, żeby położyć go na etażerce, a Zosi po to, żeby ścierała z niego kurz.

— Dlaczego kpisz ze mnie, Sidałkowski?

— Mój drogi, nie kpię z pańskiego zawodu, bo wszystkie zawody są pożyteczne, ale... — Sidałkowski urwał, bo obok nich przeszły dwie Zofie Loren w jaskrawoczerwonych kostiumach kąpielowych. — Niech pan tylko spojrzy, jakie przyroda cuda dla nas stworzyła. To przecież boskie istoty, a ktoś, być może, nie chce ich, tak jak nie chcą pana. A pan się obraża na Czudłowskiego. Selawi, Hrak. Życie utkane jest z przeciwności. Wszystko ma dwa końce, nawet kiszka paszтетowa. Życie to gra w totolotka. Jedni wygrywają ciągle, a inni...

Dziewczęta zrobiły jeszcze jedno okrążenie.

— Nie mają się czego wstydzić. Gdyby pan miał taką figurę, Hrak, opalałby się pan bez kostiumu...

— Jesteś trywialny i cyniczny, Sidałkowski.

Hrak dużym palcem prawej nogi wiercił w piasku dziurę i wykopał korzeń łoży.

— Pan ma dziwne hobby, wszędzie pan wierci nogą, a to w parkiecie, a to w piasku... Czy w dzieciństwie nie wykopywał pan marchewki w ogrodzie sąsiadów?

— A skąd ty jesteś, doktorze, co? Z jakiej rodziny?

— A co, potrzebne panu moje dane personalne? Kto kogo przyjmował do pracy? — Sidałkowski roześmiał się, ale bardzo ostrożnie, bojąc się o zmarszczki. — Generała można zrozumieć — wrócił do poprzedniego tematu. — Nie jest głupi i rozumie chyba, dlaczego pan zaleca się do jego córki. Przez całe życie, chyba tak jak i Zosia, marzył... nie o takim mężu dla Zosi... No bo, niech pan pomyśli, który ojciec chce źle dla swego dziecka? I nagle taki cios: jakiś Hrak przychodzi prosić go o rękę córki.

Hrak słuchał spokojnie, wierząc dziurę w piasku du-

żym palcem na odmianę lewej nogi, jakby był pewny, że jednak coś wykopie.

— No i co dalej, doktorze? — spytał po chwili.

— Straszliwe rozczarowanie. W starym rozszalała się burza protestu. On chorobliwie reaguje na każde pańskie słowo. Jest bliski obłądu, więc nie panuje nad słowami. Czy pan widział, jak on płakał? Kiedy mężczyzna płacze, znaczy to, że przegrał, że się poddaje, a pan w tym właśnie czasie ucieka. Mimo że bitwę wygrał pan, marszałek Eugène de Hrakes. Nieźle brzmi, co? Uśmiecha się pan... Wszystkim nam przyjemnie, kiedy biorą nas za kogoś innego, niż jesteśmy naprawdę.

Słońce zaczęło zaglądać pod ich wierzbowy parasol.

— To bezczelność z jego strony, nie uważa pan? Do nas się też dobiera. Co za rozrzutność! Czy tam w niebie nie walczą z marnotrawstwem energii cieplnej? Proponuję przenieść się do cienia.

Dwie Zofie Loren zrobiły jeszcze jedno okrążenie.

— Znów one! Nie mogę się przez nie skoncentrować. Obawiam się, że nie skończymy dziś ze sprawą generała. Ciekaw jestem, dlaczego on nie lubi mówić o sobie. Jak pan myśli, Hrak?

— Tak jak i pan.

— Pan rzeczywiście myśli? O, to interesujące. No, ale czort z generałem, Zosia ważniejsza. Czy pan zwrócił uwagę, w jakiej spódniczce pana dziś powitała? Chciała się panu podobać. Co za nogi! A jak je odsłoniła! Wszystko dla pana. A pan nawet jeść porządnie nie umie. Widelec trzyma pan w ręku jak ogon kota Dosyfeja. A jak je generał! Zwrócił pan uwagę? Jakby żonglował. Odnosi się wrażenie, jakby całe życie spędził w restauracji...

Zbliżyły się do nich dwie inne dziewczyny. Sidałkowski poderwał się na nogi.

— Jak na zamówienie... Dziewczęta, dlaczego tak spacerujecie? Podzielcie się z nami doświadczeniem.

— Bo całe ciało opala się równomiernie i słońce nie tak piecze.

— Kiedy zrobicie szóste okrążenie, weźcie koc, talie kart i przyjdźcie do nas.

— A umiecie grać? — zainteresowały się i zatrzymały w wystudiowanej pozie. Sidałkowski podobał się im.

— Nie zapomnijcie zabrać kart.

— A co zrobić z chłopcami?

— Niech pilnują waszych sukienek. Są chyba tak samo z importu, jak wasze kostiumy kąpielowe.

— A skąd pan wie?

— Powiem, jak przyjdziecie. Czekamy — zawołał Sidałkowski za odchodzącymi dziewczynami.

— Myślisz, że przyjdą? — spytał Hrak z niedowierzaniem.

— Zakładałam się o pańską pierwszą pensję w „Findipoczu”.

Hrak przegrał. Dziewczyny podeszły do nich. Jedna przyniosła koc i powieść, którą zamierzała w przyszłości zacząć czytać, druga zaś torbę z zimnymi napojami.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

w którym opowiada się o marsjańskich kanałach, morskiej bitwie, śmierci Bubona, dzwonku Macesty Elizarowny i pewnych smakach

— Dzień umocnienia rodziny trwa — powiedział Sidałkowski. — Śledzenie jest kontynuowane. Na operatywne zadanie wybieram się teraz ja.

Bubon już tego nie słyszał. Zostawiwszy w gabinecie Sidałkowskiego teczkę, tak jak zostawia się minę z opóźnionym działaniem, Karol Iwanowicz z rozdartym

sercem powlókł się do buchalterii. Stała tu kanapa, różnieśnica welwetowych spodni Bubona, równie jak one wyświecona. Zamiast poduszki podłożył sobie pod głowę „Finansowo-ekonomiczne Problemy” i w milczeniu opuścił się na skrzypiące sprężyny. Skulił się, naciągając na głowę swój dwustronny japoński płaszcz.

Nie mógł jednak zasnąć. Patrzył w sufit, na którym pęknięcia przypominały marsjańskie kanały, wsłuchując się w brzęk karafki z wodą, która drżała, kiedy pod oknami przejeżdżał pociąg elektryczny, a w uszach brzmiał mu głos Macesty Elizarowny.

— Najpierw ciebie zdradzę, a dopiero potem ci przebaczę — mówiła z afektacją. — Wówczas się skwitujemy i rozpoczniemy życie rodzinne na nowych zasadach.

— Ależ ja cię nie zdradziłem — bronił się rozpaczliwie Bubon. — Ja ją tylko śledziłem...

— ...z kim chodzi twoja kochanka, tak? — dokończyła za niego.

— Ale Ewa nie jest moją kochanką. To żona Adama — Karol usiadł i schwycił się za to miejsce, gdzie powinno bić serce, ale serca nie było. Przestraszył się i sięgnął ręką do kieszeni.

— A co? — znęcała się nad nim. — Strach cię obleciał od własnego kłamstwa? Mnie nie oszukasz, nie jestem sędzią śledczym... Znaleźli sobie kozła ofiarnego. Teraz wszystkie własne grzechy można zrzucić na Adama.

— Dlaczego teraz? Przecież Adam dopiero niedawno się ożenił.

Karol Iwanowicz chwycił się za puls: uderzenia były bardzo słabe.

— Nie kłam! Adam nigdy nie był ożeniony z tą prostytutką!

— Ewa nie jest prostytutką.

— A kim? Kto wręcza swoje fotografie mężczyźnie, który nawet na jej ojca jest za stary? — Macesta Eli-

zarowna wymachiwała mu przed nosem fotografiami Ewy. — Co to jest?

— Zdjęcia Ewy.

— To i bez ciebie widzę. Ale skąd one wzięły się u ciebie?

— Sidałkowski mi dał.

— A ty, buchalterze — słowo to zabrzmiało w jej ustach jak obelga — zostaw Sidałkowskiego w spokoju. Nie zwalaj własnych łajdactw na kawalerów.

— Adam i Sidałkowski nie są kawalerami, już ci to raz powiedziałem — bronił się uparcie Bubon. — Adam niedawno się ożenił, a Sidałkowski się rozwiódł. Płaci teraz alimenty. Mogę ci przyprowadzić jednego i drugiego, niech sami powiedzą...

— A to? — Macesta Elizarowna odwróciła fotografie. — No, co tu napisane?

Na odwrocie widniały dedykacje Ewy, na które Bubon nie zwrócił przedtem uwagi: „Mojemu miłemu buchalterzatkowi na pamiątkę. Twoja Ewa”.

— No i co, moje miłe buchalterzátko? Jakie kłamstwo teraz wymyślisz? — wymachiwała mu przed nosem fotografiami tak, jak kibice wymachują narodowymi flagami podczas międzypaństwowych meczów piłki nożnej. — Wstyd! Ojciec dwojga dzieci. Wzorowa głowa rodziny! — wołała sarkastycznie, używając określeń z opinii, wydanej przez radę zakładową i dział kadr „Findipoczu”. — W kieszeni pełno biletów, rozbija się taksówkami, ukrywa przede mną pieniądze. I dla kogo tak się szasta? Dla kogo? Dla tej puszczańskiej, która jest niemal rówieśnicą jego córki! Ale ze mną to jeździ w przepelnionych tramwajach i karmi cienkimi zupkami. Już ja ci pokażę zupki! Na dom to oszczędza, ale z nią zajada pewnie w drogich restauracjach dania à la carte. Kotleciki „Sputnik” albo „Rakieta” zapija koktajlami „Różowa fantazja”...

— To fotografie Adama — wygłosił Karol Iwano-

wicz tonem sprzedawcy kuponów totalizatora sporto-
— Znów kłamiesz: to fotografie Ewy, nie Adama. Adama zostaw wreszcie w spokoju. On jest tylko kasjerem, a na zdjęciu wyraźnie napisane: „buchalterzątku”. Bu-chal-te-rząt-ku...

— Może się przed nią pochwalił, że jest buchalterem, żeby zdobyć jej serce. Wiesz, jaka jest współczesna młodzież...

— Przestań zwać wszystko na współczesną młodzież!

— Przyprawdzą ci Adama i sama go o wszystko spytasz — błagał Bubon tonem oskarżonego, który po raz pierwszy znalazł się na ławie oskarżonych i ma wygłosić ostatnie słowo.

Temperatura rozmowy znowu podskoczyła. Przed oczami Bubona latały lśniące skrawki fotografii.

— A masz, a masz tę twoją Ewę! I wynoś mi się zaraz z domu! Damy sobie jakoś radę bez ciebie! I to natychmiast!

Bubon wstał, serce waliło jak szalone. W głowie czuł zamęt. Zaczął zbierać z podłogi skrawki fotografii, powiedział coś tam o swojej dobroci i wielkoduszności i ze zdesperowaną miną Anny Kareniny poczępał do drzwi wyjściowych.

— A ty dokąd? — spytała żona z niepokojem w oczach.

— Przyprawdzą ci Adama...

— Mnie wystarczy już Ewa! — zaczęła krążyć po pokoju jak tygrysyca, która dopiero co trafiła do klatki.

— Wracaj, słyszysz?!

— Jestem wobec ciebie zupełnie w porządku — powiedział chwytając za zimną klamkę.

— Wracaj! — drzwi otworzyły się z hukiem petardy.

— Dokąd idziesz?

— Do „Findipoczu”. Do Sidałkowskiego.

— Udław się tym swoim Sidałkowskim! — petarda

wybuchła znowu. — Rozwodzę się, słyszysz!? Podanie poślę bezpośrednio do sądu! — huknęła. Bubon nawet się nie obejrzał. — Żebyś wiedział, że się rozwodzę!

— Jak uważasz — odparł spokojnie i jak gladiator przez trupa swego towarzysza przestąpił przez dowód osobisty.

Ruszył do „Findipoczu” z nadzieją, że w pokoju Pancziszki zastanie Sidałkowskiego, który wieczorami rozgrywał z Pancziszką „bitwy morskie”. Nie było jednak nikogo; Pancziszka wraz z Kowbykiem i Chowraszkiewiczem studiowali teraz zapewne architekturę wnętrza jakiejś restauracji. Gdy wyszedł z pokoju, na korytarzu natknął się nieoczekiwanie na Sidałkowskiego.

— Kogo ja widzę? — Jewgraf rozpostarł ramiona. — Nasz rodzimy Sherlock Holmes. Co słyhać na rodzinnym froncie?

Bubon zamachnął się i z całej siły rzucił w twarz Sidałkowskiego czarno-białe papierowe szczątki Ewy.

— Przepraszam pana, Karolu Iwanowiczu, ale nic nie rozumiem z tych aktorskich gestów. Co pan chce przez to powiedzieć? Na rodzinnym froncie bez zmian?

— Idź pan do diabła ze swoim frontem! Skąd się pan tu wziął na nasze nieszczęście? Od tych pańskich pomysłów żyć się nie chce!

— A przede mną chciało się?

— Przynajmniej żyliśmy spokojnie.

— Żyć spokojnie w naszej burzliwej dobie?

— Wystarczał jeden Chowraszkiewicz. I on jeśli już eksperymentuje to na piźmakach i jeżach, nie na ludziach. A pan?

— Nie poznaję pana, Karolu Iwanowiczu. Pan i krzyk? To tak jak północ i południe, miłość i nienawiść, życie i śmierć.

— Tym swoim umacnianiem rozbił pan moją rodzinę! Tymi oto fotografiami. Dlaczego ja mam męczyć się za Adama i Ewę? Niech oni sami się męczą — Bubon

chrypiał już jak starszy družba na drugi dzień po weselu.

— Jest pan egoistą, Karolu Iwanowiczu. Obce jest panu poczucie kolektywizmu — Sidałkowski nalał wody i podał Bubonowi. — Sam pan sobie winien. Powiedziano panu przecież wyraźnie: nie przechowywać fotografii u siebie, lecz w findipoczowskim sejfie albo dobrze im się przyjrzeć i zniszczyć jak kod, jak szyfr, jak klucz od szyfru. A pan postąpił jak smarkacz z szóstej klasy zakochany w aktorce filmowej. Z pańskimi nerwami i pomyłkami komisarzem Maigret pan nie zostanie...

— A idź pan do diabła! — Bubon połknął łyk wody.

— Proszę uważać, bo się pan zakrztusi. Niech pan wypije i opowie wszystko spokojnie. Ale całą prawdę.

...Bubon leżał skulony na kanapie i rozmyślał. „Jeśli się rozwiedziemy, to z kim mam się ożenić?” Myśl ta uwierała go jak sprężyna w kanapie. Nie znał żadnych kobiet. W ciągu dwudziestu lat wspólnego pożycia z Macestą Elizarowną był wierny żonie jak Penelopa Odyseuszowi. Miał ochotę płakać. Leżał i uzalał się nad sobą. Było mu bardzo ciężko. Nie tylko dlatego, że ścierpła mu noga, a przeklęta sprężyna wpijała się w bok jak szczypawka. Było mu ciężko, bo Macesta Elizarowna pomówiła go niesprawiedliwie o zdradę.

Zaprzagnął nagle umrzeć. Tylko możliwie łagodną śmiercią. Nie miał właściwie ochoty rozstawać się z życiem, tak jak ze swoimi welwetowymi spodniami, no ale cóż robić: innego wyjścia nie widział.

...Chciał włożyć do trumny koszulę bez krawata.

— Kup mi taką ludową, wyszywaną — prosił w myśli żonę. — Do wiązania pod szyję. Tylko nie ściągaj zbyt ciasno tasiemek... A moje oszczędności przepiszę na dzieci. Nie dostaną się w ręce kochanek.

— Nie wyjdę za mąż — przerwała mu. — Resztę mego życia poświęcę dzieciom. Nie jestem Ewą. Ja ko-

bieta uczciwa, a kobieta uczciwa może kochać tylko jeden raz...

„Tak jak ja — pomyślał — Jest taka sama jak ja. I dlatego z nią się ożeniłem”.

— A gazety preadresuj na Adama. Ty ich i tak nie czytasz. Kiedy zostanie głównym buchalterem „Findipoczu”, podaruj mu moje zarękawki i „Feniksa”, wybija wszystkie cyfry.

Bubona włożyli do trumny i powoli powieźli obok cmentarza Bajkowe aż na Szulawkę. Bubon miał ochotę wstać i krzyknąć: „Szanowni, dokąd mnie wieziecie?! Pochowajcie mnie zgodnie z miejscem zamieszkania i zameldowania”. Tak się zirytował, że aż uniósł się na łokciu.

— Leż! — nakazała mu żona. — Leż i nie rozśmieszaj ludzi. Przecież umarłeś.

Bubon pokornie położył się, ale kiedy skręcili za róg cmentarza Bajkowe, znów zerwał się i usiadł w trumnie pośród kwiatów i wieńców ze srebrnymi i złotymi szarfami. Zaczął czytać napisy: „Drogiemu... Niezapomnianemu... Ukochanemu...” Ciekawe, kto zbierał pieniądze na te wieńce. Przewodniczący komisji socjalnej leży przecież w trumnie. I warto by wiedzieć, czy wszyscy dali pieniądze. Być może niektórzy mówili: „Ludzie rodzą się i umierają zawsze w nieodpowiedniej chwili. Właśnie wtedy, kiedy nie ma forsy. Umieraliby zaraz po wypłacie...”

Tymczasem kondukt pogrzebowy kroczył dalej.

— Leży jak trup — kiwały głowami staruszki.

— Ciekawe, ile miał lat?

— Jeszcze zupełnie młody — odpowiedziała jakaś młoda kobieta z obfitym biustem. — Jutro skończyłby pięćdziesiąt. Zabrakło mu jednego dnia do jubileuszu.

— Aj-jaj — kiwały staruszki głowami. — To nie mógł zaczekać jeden dzień? Po dobrym kielichu nie byłoby żał umierać.

— Kiedy on nie pił.

— A pani go znała?

— Oczywiście — odpowiedziała ta z obfitym biustem. — To przecież Karol Iwanowicz Bubon, główny buchalter „Findipoczu”. Dobry z niego człowiek. Nawet kota nie skrzywdził.

Bubon tak się rozczulił nad sobą, że zapłakał.

— Przestań! — przywołała go do porządku Macesta Elizarowna. — Ludzie się śmieją... Rozkleił się jak baba. Nic się takiego nie stało. Nie ty pierwszy. Wszyscy musimy umrzeć. Wytrzymaj oczy — wyjęła chusteczkę. — Tylko nie rękawem. Masz tu moją chusteczkę...

— Przecież ona jest zupełnie sucha — oburzył się Bubon. — Ty nie płaczesz za mną?

— Teraz to i tak już niczego nie zmieni...

— Ale ludzie patrzą... Jeszcze pomyślą, że cieszysz się z mojej śmierci. To niesprawiedliwe! To okrutne! Harowałem przez całe życie jak wół... A wy... Dokąd mnie wieziecie? Chcę w pobliżu domu, zgodnie z miejscem zameldowania. Żebyście mi przynosili świeże kwiaty. Nie chcę wieńca z metalowych liści z obłazłą farbą... A kwiaty niech podlewa Muza, Demian niech przynosi wodę. Zaś ty, Macesto... — po raz pierwszy w życiu tak ją nazwał. Procesja na chwilę zatrzymała się. — A ty, Macesto — powtórzył — mogłabyś chociaż nałożyć ciemną chustkę... Zapal świeczkę na moim grobie i postój chwilę. I zrób taką minę, jakbyś mnie żałowała...

Do trumny podszedł Sidalkowski.

— Idź pan do diabła! — krzyknął Bubon. — Już za życia mi pan obrzydł, więc chociaż po śmierci niech mi pan da spokój.

— Nie dam, Karolu Iwanowiczu. Nie dam. Proszę się przykryć moim płaszczem, bo zmarznie pan na kość.

Sidalkowski nakrył go dwustronnym japońskim płaszczem.

— Przecież to mój płaszcz, a nie pański. Ale może go pan sobie zabrać — Bubon podrzucił płaszcz gestem toreadora. — Daruję go panu. Niech panu też tak skróci życie jak mnie...

— Szczyt życzliwości — Sidałkowski spojrział na Bubona z wyrzutem.

— Mnie bez pańskiego płaszcza będzie tam ciepło!

— Karolu Iwanowiczu! Co z panem? Pan cały drży. Proszę wstać...

— Stąd już nie ma powrotu — odpowiedział Bubon.

— Śmierć nie kobieta, grzechów nie przebacza...

Sidałkowski wziął go za ramiona i potrząsnął nim.

— Karolu Iwanowiczu! Karolu Iwanowiczu...

Bubon otworzył powoli oczy i spojrział ze zdziwieniem na Sidałkowskiego.

— Może pan głodny? — spytał cicho Sidałkowski.

— A, to pan... Wie pan, że byłem już umarły? — Bubon rozprostował nogi i opuścił je na posadzkę. — Oglądałem własną śmierć zupełnie z bliska, tak jak oglądam teraz pana. Czy stał pan kiedy na granicy życia i śmierci? Zaglądał pan kostusi w oczy?

— Na granicy nie stałem i w oczy nie patrzyłem.

— A mnie się to zdarzyło. Dwa razy. Raz na froncie, a drugi raz tu, na kanapie.

— Według ostatnich danych statystycznych ludzie umierają przeważnie na kanapach i tapczanach — powiedział Sidałkowski. — Ale panu, Karolu Iwanowiczu, już to nie grozi. Dwa razy na kanapie się nie umiera.

— To dobry znak. Kto już dwa razy umierał, ten...

— Do trzech razy sztuka...

— Kiedy ja sam chciałem umrzeć. Wierzy mi pan? Zamówiłem sobie śmierć.

— Ale przecież to się tylko panu śniło.

Bubon zaczął rozcierać lewą nogę.

— Cały lewy bok mi zdrętwiał. A pan mówi, że to był sen. Jakby całe ciało zamierało. To nie sen. To by-

ła już blisko śmierć... A jak pan wyobraża sobie własną śmierć?

— Nigdy nie myślę o śmierci. Ale kiedy już umrę, to chciałbym, żeby na moim pogrzebie były najładniejsze dziewczęta i najbardziej ponętne wdowy Kobylatyna Turbinnego. Żeby niosły wieńce i kwiaty i żeby wszystkie płakały. I aby to był taki pogrzeb, na którym nawet uszczęśliwieni moją śmiercią mężowie zazdrościliby mi i z zazdrości płakali razem ze swoimi żonami.

— Sam chciałbym być na takim pogrzebie — mówił z rozmarzeniem Bubon. — Ale teraz nie ma już takich pięknych pogrzebów. Kiedyś to każdy pogrzeb był prawdziwym świętem — Karol Iwanowicz wstał, ujął dłońmi nogę i zaczął ją przestawiać jak kłodę. — Zupełnie mi zdrętwiała. — Bubon się skrzywił. — Za mało tlenu. Trzeba zażywać więcej ruchu.

— Pół godziny temu telefonowała Macesta Elizarowna — Sidałkowski przysiadł na kanapie i obserwował Bubona. — Pytała, czy jest pan tutaj. No i chciała wiedzieć, czy to prawda, że śledził pan Ewę na nasze polecenie. Wszystko jej wyjaśniłem i zapewniłem, że od jutra ja sam przejmuję śledzenie Ewy.

— Niech pan za nią nie chodzi!

— Dlaczego?

— Bo ona jest strasznie ładna — westchnął Karol Iwanowicz. — Pan się w niej zakocha.

— Zaintrygował mnie pan, Karolu Iwanowiczu. A czy wie pan, że jeszcze nigdy w życiu nie byłem zakochany?

— Pan się w niej tak zakocha, że nie będzie pan mógł bez niej żyć.

— Jest pan tego pewien?

— Proszę mi wierzyć. Ja też znam się na kobietach. Takie jak ona nie są stworzone do życia rodzinnego.

Biedny Adam — Bubon znowu westchnął, tym razem jeszcze głębiej.

— A ja sądziłem, że pan się nie zna na kobietach. I że prócz Macesty Elizarowny nie kochał pan nikogo.

— Lubię kobiety — przyznał się Karol Iwanowicz. — Ale nie takie, jak Ewa. To pusta trzpiotka. I ma za małe piersi. A ja lubię kobiety z obfitym i jędrnym biustem — mówił z rozmarzeniem Bubon. — Tylko, że może pan się będzie śmiać, kochałem je przez całe życie platonicznie...

— Platoniczna miłość to korespondencyjna gra w bilard.

— Być może — Bubon przestał wreszcie masować nogę bo zdrętwienie minęło. — A jakie pan lubi kobiety? Takie jak mnie pewnie się panu nie podobają. Pan przecież arystokrata, a arystokraci lubią chude jak...

— Kobiety to nie dania restauracyjne. Nie jestem aż tak wybredny — odpowiedział Sidałkowski.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

w którym opowiada się o wewnętrznej walce dwóch światów, tajemniczości siedziby generała Czudłowskiego, niewoli Hraka, kapitulacji, białej fladze, zagadkowym odkryciu i nie wyjaśnionej tajemnicy

Hrak już trzy dni nie przychodził do pracy.

— Oszaleć można! — gderał Kowbyk, przemierzając swój gabinet z założonymi w tył rękami. — Żeby nawet nie zatelefonować! Co się z nim dzieje, Sidałkowski? To przecież pan go skądś wykopał! Przychodzi do mnie, zapewnia, że jego protegowany umie łowić ryby, umie gotować zupę rybną... A ono, okazuje się, nigdy

w życiu wędkę w rękach nie miało! Zabrałem go w ostatnią niedzielę nad staw. Karp pociągnął wędkę. „No i czemu pan stoi? — pytam. — Pławik już na środku stawu”. A on do mnie: „Stratonie Stratonowiczu! Nie umiem pływać”. Musiałem sam tym się zająć. Barynow aż się za brzuch łapie ze śmiechu. A toto skarpetki moje pierze. Powiada, że syntetyczne, i trzeba codziennie przepłukać. I rozwiesza na krzaku. Potem znowu bierze się za wędkę. Ale nie umie zarzucać. Zaczepił haczykiem o gałąź dębu. A dałem mu złoty, arsenalski haczyk. Niech pan nie ciągnie — wołam. — Sam oberwę. Nie będzie tak bolało”. A on do mnie: „Pobiegnę zaraz do wsi. Pożyczę piłę i zetniemy dąb”. Słyszał pan coś takiego?!

Sidałkowski z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

— No a potem przepadł. Już tydzień nie zjawia się w pracy.

— Trzy dni — sprostował uprzejmie Sidałkowski.

— Trzy dni to według pana mało? Co? A pan nawet nie wie, co się z nim dzieje. Przecież to pański przyjaciel, pański adiutant! Pan go podobno swata! Więc gdzie ono jest? Czemu pan milczy? I to się nazywa rada zakładowa! Buchaltera!

Sidałkowski milczał. Kowbyka lepiej w takich momentach nie drażnić, niech się wygada. Te jego monologi przypominały mu babskie ły: wypłacze się, i od razu lżej na sercu. Wszyscy milczeli. Nawet Chowraszkiewicz. A Panczyszka wodził oczami za chodzącym w podnieceniu Kowbykiem jak koń za gospodarzem.

— Ono od razu mi się nie spodobało. Jakieś takie śliskie. Wchodzi do gabinetu, tak jakoś dziwnie rozstawia stopy, uszy jak gladiolusy... „Chciałbym popracować pod pańskim kierownictwem, Stratonie Stratonowiczu”... To pan go tak wymusztrował, Sidałkowski?

Sidałkowski nie odpowiadał. Sam był zaintrygowany

tym, co się dzieje z Hrakiem. Oto już pół miesiąca, jak trwają pokojowe pertraktacje między generałem Czudłowskim a Hrakiem i Sidałkowskim. Obie strony długo nie mogły osiągnąć porozumienia, aż wreszcie wtrąciła się w to kobieta, która znalazła wyjście z sytuacji.

— Generałowi trzeba zadać cios w plecy — poradziła Margaryta Izotowna, którą Hrak zdążył zawojować. — Powinna pani, Zosieńko, złożyć papiery w urzędzie stanu cywilnego i postawić ojca przed faktem dokonanym.

Młodzi usłuchali tej rady. Ale Hrak nie dotrzymał tajemnicy.

— Tato — powiedział po powrocie. — Złożyliśmy papiery w urzędzie stanu cywilnego.

Generał padł, jak ugodzony kulą, ale — jak przystało na żołnierza — bez łez i zawodzenia. Doszedł do siebie dopiero następnego dnia po szklance herbaty z walerianą, którą zakąsił validolem.

— Tato, tato długo tak nie pociągnie — Hrak poprawiał poduszkę i kładł ręcznik z lodem na wysokie generalskie czoło.

— Idź do cholery! — kłął głośno generał, jego serce jednak tajało jak śnieg na przedwiośniu. — A jak będzie z nazwiskiem? Przepraszam, ale jak od dziś będzie się nazywać Tezia Czudłowska?

— Tezia Hrak z domu Czudłowska...

— To się nigdy nie stanie, albo ja nie jestem Czudłowskim!

Generał nie mógł dopuścić, by znakomity ród Czudłowskich nagle się tak tragicznie skończył.

— Ja też przyzwyczałem się do swego nazwiska — odparł Hrak, siadając przy generale, ale w takiej odległości, żeby Czudłowski nie mógł nogą strącić go z krzesła. — Ono mi odpowiada. Natomiast Czudłowski do mego wzrostu nie pasuje. Jest za długie.

— Moje nazwisko jest godne szacunku — upierał się

przy swoim Czudłowski. — Hrak to nie jest nazwisko dla Tezi.

— Proszę wybaczyć, tato, ale moje nazwisko też jest godne szacunku. Kozackie. Jesteśmy z kozackiego rodu. Mój dziad, gdy umierał, przykazał mi: „Jewmenie, wszystko możesz zmienić z wyjątkiem nazwiska, bo to nazwisko rodowe, kozackie”. Rozumie pan?

Czudłowski łyknął zimnej herbaty. No cóż, Hrak walczy o to samo, o co on. Nawet mu się to spodobało. „Może jeszcze z tego Hraka będą ludzie” — pocieszał się w myśli.

— Proponuję rozwiązanie kompromisowe — poradził Sidałkowski, kiedy się dowiedział, na czym utknęły pertraktacje.

— Jakie? — zainteresował się Filaret Karłowicz.

— Od dziś pan, Jewmenie Mikołajowiczu, będzie się nazywał Hrak-Czudłowski, a pańska żona przyjmie nazwisko Czudłowska-Hrak.

Obie strony przyjęły z aprobatą kompromisowe wyjście. I nagle mały Korsykanin nie zjawił się w pracy. Nie przysła też Zosia. Kowbyk wyczuł intuicyjnie, że rozpoczyna się nowy kryminał Georgesa Simenona. Drugi po kryminale z Adamem i Ewą.

— Te detektywistyczne historie w „Findipoczu” zaczynają mi się przejadać, Sidałkowski — powiedział Kowbyk tonem półoficjalnym. — Wyjeżdżam na tydzień na urlop. Będzie mnie zastępował Arij Fedorowicz Neszczadym.

Przy wzmiance o Neszczadymie Sidałkowski poczuł, że krzesło pod nim zaczyna się chwiać, jakby jedna noga stała się krótsza.

— Nie mam byczego serca. Chcę spokojnie dożyć do emerytury. No a potem... Potem może być choćby pop-top — Straton Stratonowicz dał do zrozumienia, że wszyscy mogą już odejść, z wyjątkiem Chowraszkiwicza.

„Co z tym Hrakiem? — niepokoił się Sidałkowski. — Na podróż poślubną za wcześnie. Małżeństwa przecież jeszcze nie zawarli. Prosił mnie i Margarytę na świadków”.

Jewgraf pedantycznie powkładał do szuflady papiery rady zakładowej, zamknął na klucz i wyszedł na ulicę. Akurat nadjeżdżała jedyna kursująca w Kobylatynie Turbinnym taksówka.

— Który numer? — spytał kierowca, gdy Sidałkowski wszedł.

— Szesnasty.

— Do generała?

— Tak. A pan go zna?

— Kto go nie zna w naszym mieście? Nieraz bywa-
liśmy razem w restauracji.

— To już tu — Sidałkowski wyjął rubla.

„W kieszeni masz drobne. Spójrz na licznik. Po co mu wtykasz rubla?”

— Reszty nie trzeba — powstrzymał taksówkarza gestem. „A na obiad będziesz musiał pożyczyć od Margaryty Izotowny. Nie wstyd ci?”

Furtkę otworzyła Zosia.

— Psss... — wyszeptwała, przykładając długie palce do bezkrwistych warg.

Sidałkowski zrobił na palcach kilka kroków. Cerber leżał pod gruszą i wywaliwszy język dyszał tak ciężko, jakby dopiero co ukończył bieg na długi dystans. Filaret Karłowicz siedział pod jabłonią ze strzelbą na kolanach, na trawie leżała jakaś duża księga, przypuszczalnie wojskowa, bo generał innych nie uznawał.

Hraka nigdzie nie było widać. Zosia stała przed Sidałkowskim z błaganiem i nadzieją w oczach.

— Co się stało?

— Jewmen zupełnie zwariował. Zabrał z urzędu stanu cywilnego papiery. Ojciec mówi, że jemu było po-

trzebne tylko zameldowanie, a nie ja... A teraz wycofał się. Okłamał mnie...

— Gdzie on jest? — Sidałkowski czuł, jak pod rękawami śnieżnobiałej nylonowej koszuli tężeją mu mięśnie.

— Tam — pokazała ręką Zosia. — Ojciec zapędził go do lochu. I teraz go pilnuje ze strzelbą, odgrażając się, że Hrak żywy stamtąd nie wyjdzie. Zmienił zamek w drzwiach do lochu i zabarykadował wyjście kłoda. Chleb i wodę spuszcza mu na sznurku przez wywietrznik. Ale od dziś ojciec nawet tego zabronił. Niech pije sok z beczki z ogórkami, powiada. A Jewmen ma kiepski żołądek...

— Przestrzegałem go, że kiedyś skończy jeśli nie na Helenie, to w pojedynczej celi.

— Ojciec uwiązał Sułtana na łańcuchu i przeciągnął drut między gruszą a piwnicą.

Filaret Karłowicz ocknął się nagle z drzemki. Chwytał za strzelbę, ale na widok Sidałkowskiego opuścił ją.

— A, to pan — powiedział łagodnym tonem.

— Dzień dobry — powitał go po polsku Sidałkowski.

— Idź pan do cholery. Umiem po polsku tak jak... — chciał powiedzieć „tak jak pan”, umilkł jednak.

— To nieładnie, Filarecie Karłowiczu.

— A co mam robić? Urodziłem się i wychowałem na Ukrainie.

— Trzeba kupić samouczek, uruchomić magnetofon i uczyć się rodzinnej mowy we śnie. Teraz to w moście...

— Dla mnie już za późno na naukę. Chociaż przez całe życie marzyłem, by nauczyć się po polsku.

— Na naukę i miłość nigdy nie jest za późno. A tym bardziej jeśli chodzi o ojczysty język. Człowiek bez znajomości tego języka jest jak telewizor bez dźwięku.

Czudłowski spuścił oczy, ale nie przykrył ich powie-

kami do końca. „Nie wystarcza powiek, które są mniejsze od oczu”.

— No dobra. Ale co tu się właściwie wydarzyło? Gdzie członek mojego związku zawodowego?

— Posadziłem go w piwnicy.

— Posadziłem... Elegancko powiedziane. Zapędził go pan i wsadził do lochu. Czyż nie tak, Filarecie Karłowiczu? Czy mogę z nim porozmawiać?

— Może pan. Bardzo pana szanuję, ale żeby panu nie przyszło do głowy pomóc mu w ucieczce. Będę strzelać do obu. Do pana też. Ten parszywy pies przed dwoma tygodniami...

— Wiem — przerwał mu Sidałkowski. — Proszę otworzyć z łaski swojej piwnicę i przywiązać Cerbera do jakiejś innej gruszy. Mam na sobie odświętny garnitur.

W piwnicy było ciemno jak w beczce przykrytej czarną płachtą. Sidałkowski schodził powoli, macając ostrożnie nogą każdy schodek. W jego delikatne nozdrza uderzał zapach wilgoci i zeszłorocznych kiszonych ogórków. Oczy zaczynały stopniowo przywykać do ciemności.

— Hrak, żyje pan?

— Idź prosto, kozacze. Możesz iść z dumnie podniesioną głową. Tobie nie przystoi tak nisko jej opuszczać. Tu wszystko wysokie.

— Pan zdolny jest jeszcze cytować Sidałkowskiego? Cieszyłbym się, gdybym mógł pana zobaczyć, ale na razie to niemożliwe. Więc witam pana w ciemności, mój niesforny przyjacielu.

— Ja ciebie też. Wybacz, ale nie mam gdzie ciębie posadzić. Mogę ci odstąpić swój tron zrobiony z krążków dzieży. Możesz śmiało usiąść, wytarłem je i wysuszyłem. Twoim spodniom nic nie grozi.

— Jak się tu panu żyje?

— A jak się może żyć zięciowi, który ożenił się tylko dla zameldowania.

— Ale, zdaje się, że pan odmówił ożenku.

— Kiedy ja naprawdę nie mogę. Dostaję nosem za ledwie do jej piersi.

— Panu potrzebne są piersi czy praca w „Findipoczcu”?

Hrak przetrwał myśli, przykucnąwszy na kupce słomy, na którą padały przez wywietrznik słoneczne promienie.

— Kowbyk pytał o pana. Mówił, że wyjeżdża na urlop. I myślę, że nie muszę panu tego rozszyfrowywać. Będzie go zastępował Neszczadym. Rada zakładowa mimo swej przyjaźni dla pana będzie niestety bezsilna.

Zaległa cisza, maćona tylko sapaniem Hraka.

— Widzę, że teść zaczął odnosić się do pana pozytywnie: strzeże pana ze strzelbą i psem. Z takimi honorami nie odnoszono się nawet do Al Capona.

— Panu dobrze się śmiać, ale jak ja mam z nią żyć?

— Zaczyna mi się pan nie podobać, Hrak. Chce pan, żebym pana przestał kochać. Wielcy ludzie nie do takich ofiar byli zdolni...

— Ja nie jestem wielki.

— Pan jest niewysoki, ale wielkim może pan zostać. Ma pan do tego wszelkie dane. Powiedziałem już wszystko, Sidałkowski wstał z „tronu” i wyprostował się. — Ma pan do wyboru: ślicznotkę Circe albo burzliwe przygody Odysa. A gdzie ma pan skierowanie do pracy? Do Kazachstanu czy w Stepy Tauryjskie? I tam, i tam hoduje się owce.

— Jesteś błaznem, Sidałkowski. Zamiast mi coś poradzić, chcesz na siłę mnie ożenić. — Hrak zerwał się ze słomy i szeroko rozstawił nogi w wielkich buciorach.

— Tylko bez gestów, Hrak. Histeryków nie lubię. Czego pan oczekuje ode mnie?

— Chciałbym wiedzieć, co ty uczyniłbyś na moim miejscu, a ty...

— Wybrałbym Zosię. To bardzo miłe i łagodne stworzenie. Będzie panu wierną żoną. Takie do zdrady nie są zdolne. Co prawda, jest trochę za długa. Ale nasz modernista świata poza nią nie widzi...

— Artyści mają oryginalne gusta... Ja nie artysta.

— Wiem. Weterynarz. Na skromności panu nie zbywa. Tak jak i na wyobraźni. Kobiety trzeba trochę idealizować i cd razu stają się ładniejsze, niż są. Ma pan wyobraźnię, że tak powiem, weterynaryjną...

— Idź do diabła!

— A pan ciągle tylko klnie. A przeklinanie to brak elementarnego wychowania. A poza tym to argument pokonanych. Muszę pana przestrzec, że jeśli nie wywiesi pan białej flagi w postaci podania do urzędu stanu cywilnego, to nie wyjdzie pan cały z tego kotła. Siły są bardzo nierówne, a generał jest w agresywnym nastroju. Dziś rano otrzymał pan ostatnią kroplę wody. Na soku z ogórków długo pan nie pociągnie. Przerwać oblężenia nie uda się panu. Cerber nie da się po raz drugi wyprowadzić w pole. Psy to nie ludzie, one takich sztuczek nie przebaczą — Sidałkowski spojrzął na sufit i zmarszczył czoło. — Proszę się nie gniewać, Hrak, ale ja tu nie mogę już dłużej zostać. Heksenszus łamie nawet takie okazy, jak ja. A poza tym nie mogę znieść takiego sąsiedztwa — wskazał na sufit, po którym pełzały ślimaki. — Jak pan z nimi współżyje?

Hrak spojrzął w milczeniu na sufit, jakby dopiero teraz zauważył, że nie jest on wyłożony malachitowymi płytkami.

— Morituri te salutant, Hrak! Do jutra — Sidałkowski podał mu rękę. — Chciałbym jutro ujrzeć pana w pracy, ogolonego i umytego. Nie radzę robić więcej głupstw. Jako przyjaciel uprzedzam pana: generał zrobi z pana przetak...

W dwie godziny po wizycie Sidałkowskiego Hrak skapitulował: zdał się na łaskę i niełaskę generała i poprosił o wielkoduszność, jako człowiek, który dobrowolnie złożył broń. Dowiedziawszy się o tej kapitulacji, Jewgraf był głęboko przekonany, że stało się to dzięki niemu, ale się mylił..

Otóż Hrak zaczął robić podkop i natknął się nieoczekiwanie na tajemniczą skrzynkę, wmurowaną w ścianę piwnicy. Kiedy ją otworzył, omal nie stracił przytomności. Wyjął ze skrzynki tylko jeden przedmiot i zamurował ją z powrotem, po czym rzucił się po schodach do drzwi.

— Zgadzam się na wszystko! Wypuście! — Hrak walił pięściami w drzwi, budząc z drzemki generała.

Na drugi dzień dokument znalazł się z powrotem w urzędzie stanu cywilnego. Akt ślubu został sporządzony jeszcze w tym samym dniu. Uszczęśliwiony Hrak szczebiotał i nadskakiwał Filaretowi Czudłowskiemu, z uporem częstując go „tata”, czym Czudłowski nie był bynajmniej zachwycony.

Wraz z zawarciem małżeństwa Zosia utraciła różowe marzenia o średniowiecznych rycerzach i chyba pogodziła się z twardą rzeczywistością dwudziestego wieku. Hrak uzyskał upragnione zameldowanie w Kobylatynie Turbinnym, a ponadto znalazł w piwnicy generała tajemniczy przedmiot.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

w którym opowiada się o rycerzu XX wieku, pracy naukowej, muszkietierach, fotografiach, krzyżkach, kramarzach i o włoskiej mafii

Słońce wesoło i lekko unosiło się nad fasadą „Findipoczu”, przeskakując swymi promieniami z jednej lite-

ry na drugą, jakby grało na cymbałach. Sidałkowski uściskał Hrakowi dłoń, przerzucił przez ramię dwustronny japoński płaszcz i opuścił „Findipocz”. W ciągu pół godziny był w Kijowie.

Miasto, napojone przez noc kasztanowym kwieciem i lipami, było świeże jak dziecko po kąpieli. Gdzieś błyskały świeże kałuże jak strzępy fotografii Ewy. Świadom swego służbowego obowiązku Sidałkowski szedł zamaszycie i szybko jak geometra, który zapomniawszy metra odmierzał ziemię krokami.

Adam, przyklejony do okiennej szyby, śledził Ewę i powtarzał tylko dwa słowa: „Sidałkowski załatwi”.

Ewa wyskoczyła spod portalu „Faktusa” i nagle zatrzymała się na chodniku. Ktoś wieczorem z części jezdni zdjął asfalt i glina przyklepiała się do bruku, do ścian, do obuwia.

— Tam, gdzie kończy się asfalt, zaczyna się miłość — przemówił Sidałkowski. — Dzień dobry!

— Dzień dobry — odpowiedziała machinalnie Ewa, nawet nie spojrzawszy na niego.

Patrzyła to na swoje lakierowane pantofelki, to na kałużę. Sidałkowski zatrzymał na niej spojrzenie. „Z taką powierzchownością można obronić każdą pracę naukową” — pomyślał przeskakując przez kałużę.

— Patrzcie go! — zawołała jakaś kobieta z pełnymi siatkami w rękach. — Prawdziwy rycerz... Sam przeskoczył, a dziewczynę zostawił. Taka to teraz młodzież! Kiedyś to nas chłopcy na rękach nosili...

Sidałkowskiemu zrobiło się głupio: nie lubił bezpłatnych gapiów. Ludzie idący z zakupami z bazaru otoczyli go w oczekiwaniu małej sensacji.

— Proszę podać rękę — zaproponował Sidałkowski.

— Nie przejdę tędy. Zabłocę pantofle.

Sidałkowski zerwał z ramienia płaszcz i rzucił Ewie pod nogi takim gestem, jakiego pozazdrościliby mu muszkieterowie Ludwika XIV. Tłum westchnął, jak na

stadionie, kiedy piłka zamiast wpaść do bramki, przelatuje dwa metry nad poprzeczką. Ewa nie odważyła się wstąpić na płaszc, spojrzała tylko z wdzięcznością na Sidałkowskiego i wyciągnęła do niego rękę.

— Śmiało! — zachęcał ją.

Ewa była jak zaczarowana. Jej rycerz postąpił do niej dwa kroki i chwycił ją na rękę. Ewa mdlała z wrażenia, podobnie jak cały bazar, który zbiegł się na to niecodzienne widowisko.

— Boże, jaki pan jest... — wyszeptała w cichej adoracji, wznosząc oczy do nieba. — Proszę spojrzeć, ile ludzi się zebrało. Taka jestem szczęśliwa! Jeszcze nigdy w życiu nie było mi tak cudownie! Pan to prawdziwy rycerz! Chce mi się płakać ze szczęścia. Boże!

— Czy pani do mnie tak się zwraca? Trochę pani przesadziła — Sidałkowski postawił Ewę na chodniku, czym nie była zachwycona.

— Chciałbym, żeby mnie pan tak niósł przez całe miasto... Jeśliby to było konieczne, to mogłabym nawet nogę złamać...

— Czy warto? Szkoda byłoby tak pięknych nóg.

— Panie, a płaszc? — jakiś pulchny staruszek, sądząc z wyglądu amator piwa, dotknął ramienia Sidałkowskiego.

— Daruję go panu — rzucił przez ramię, nie oglądając się.

Przechodził przez tłum jak przed kompanią honorową. Twarz jego płonęła jak szkarłatny pomidor. Ewa przypominała kwiat na drzewie morelowym.

— Jest okazja, żebyśmy się poznali — powiedziała Ewa, nie wypuszczając z rąk dłoni Sidałkowskiego.

— Sidałko.

— Ewa, Ewa Granat. Jak pan powiedział? Sidałko? Coś mi to nazwisko przypomina. Ach tak: Sidałkowski. Mam w „Findipoczu” znajomego o tym nazwisku.

— Pani tam pracuje?

— Ja nie, mój mąż.

— Więc jest pani zamężna?

— Rozczarowałam pana?

— Wprost przeciwnie! Niczego tak nie lubię jak rozwiedzionych mamus i...

— Nie jestem jeszcze rozwiedziona i nie mama.

— Cudownie!

— Proszę mi nie przerywać, nie lubię tego. No więc, jak mówiłam, mam znajomego Sidałkowskiego. Do pana to nazwisko bardziej by pasowało. Będę pana tak właśnie nazywać.

Sidałkowski nie zaprzeczył.

— No więc tamten mój znajomy będzie Sidałkowski-pierwszy, a pan Sidałkowski-drugi. Zgoda? Chyba się pan nie obrazi? Albo nie: pan będzie pierwszy, a tamten — drugi. No więc ten Sidałkowski... nie pan, tylko tamten, wie pan, co wymyślił?

— No co?...

— Aby mnie śledzić!

— Coś takiego! — brwi Sidałkowskiego załamały się w artystycznym zdziwieniu. — A kim pani jest, że trzeba panią śledzić?

— Nikim. W tym właśnie rzecz, że nikim. A ten Sidałkowski, to znaczy tamten Sidałkowski, zlecił to szefowi mego męża, głównemu księgowemu Bubonowi. Słyszał pan kiedyś coś takiego? Nawet dał mu dwie moje fotografie. A jego żona znalazła je i podarła... Był okropny skandal!

— A skąd pani o tym wszystkim wie?

— Mąż sam mi o tym opowiadał. Wiedziałam nawet, że ten, co mnie śledził, chodził w welwetowych spodniach. Właśnie po tych spodniach go poznałam. Po spodniach i po łysinie — Ewa podskoczyła i zerwała niedojrzałe jabłko. — Chce pan pół? — spytała i ugryzła pierwsza. — Kwaśne i cierpkie.

— Owoc z drzewa poznania.

— Co pan powiedział?

— To z Biblii.

— A pan co, sekciarz czy ateista?

— A co pani bardziej odpowiada?

— Mnie? Pan. Reszta mnie nie interesuje.

— Co pani jeszcze mąż opowiedział?

— Adam? On mi wszystko mówi. Moje miłe i pokorne stworzonko. Kiedyś przychodzi do domu i mówi: „Teraz to ci się już nic nie uda. Jesteś śledzona”. Rozesmiałam się tylko. Wie pan? Poznałam niedawno jednego faceta. Mówił, że z wytwórni filmowej imienia Dowżenki. Jakiś kaskader. Chciał ze mnie zrobić dublerkę Brigitte Bardot. A ja mu na to: „Spływaj, kaskader, bo jak ja ci dam dublerkę!... „Gdzie jej do mnie. Ona już przecież stara! Chciał jeszcze wybrać się ze mną nad morze, ale się nie zgodziłam. Mam tu własne morze i Dniepr na dodatek. Umie pan pływać? — Ewa zawróciła nagle w boczną uliczkę, wąską i pełną zieleni. — Jeśli pan umie, to proszę i mnie nauczyć. A ten kaskader to odstąpił mnie swemu koledze z teatru, który znalazł już dla mnie pracę. Pracuję teraz w teatrze.

— W jakim charakterze?

— Nie domyśla się pan?

— Chyba tak.

— Więc po co pan pyta?

— Z ciekawości.

— Byliśmy wczoraj z tym kolegą z teatru na Dnieprze. Powiada: pójdziemy i popływamy. Sam pływa tylko na łodziach, i to wyłącznie sześciuosobowych. Widać było, że w dwuosobowej boi się. Kiedy odbiliśmy od brzegu, miałam ochotę zepchnąć go do wody. Ale schował się pod ławkę. „Ewa, nie wygłupiaj się, mogę się utopić!” A top się na zdrowie, powiadam, ludzie pomyślały, że utopiłeś się przeze mnie. A on mi na to: „Jeśli mnie zostawisz, to słowo honoru, że się utopię”. Ale od

jutra puszczam go kantem. Powiem mu, że mam teraz pana. Dobrze mówię?

— Z panią to wesoło.

— O, ze mną pan nie zginie. Wie pan, wszyscy to przeze mnie schną z miłości, wieszają się i topią.

— Wyobrażam sobie, ile ma pani na sumieniu martwych dusz.

— Żadnej. Ani jeden jeszcze się nie utopił. Tylko obiecują. Wszyscy jednacy. Takie to już życie... Umrzeć można z nudów. Wszyscy tylko straszą, ale ja nie z bojaźliwych. Mnie na to się nie weźmie. Taki Adam, na przykład, mój mąż, to codziennie chce się wieszać. Nawet przyniosłam mu sznurek. Masz, powiadam, zobaczę, jak ty to robisz. Tylko nie zapomnij zostawić polisy PZU. Myśli pan, że się powiesił? Guzik. Powiesił się, ale mnie na szyi. Rozpłakał się, zniszczył mi nową nylonową bluzkę. Żadne czyszczenie chemiczne nie pomaga. — Ewa zrobiła piruet. — No więc jak, Sidałkowski, zostaniemy przyjaciółmi? Podoba mi się pan. Jest pan artystą? Bo ostatnio podobają mi się sami artyści. Wie pan, ten, co się podawał za filmowca, handlował łańcuszkami z miedzi i sprzedawał je jako złote. Teraz rozumiem, dlaczego tak się przestraszył, kiedy mu powiedziałam, „Bobik, śledzą nas”. Miał na imię Bob, a ja nazywałam go Bobik. Jak mu to powiedziałam, to twarz zrobiła mu się jakaś taka w kratkę. Zresztą wszystko miał w kratkę. Przyznał mi się wtedy, że nawet jak patrzy w niebo, to też widzi kraty.

— Co pani mówi?

— Słowo honoru. Sam mi to powiedział. Okazuje się, że handlował jeszcze krzyżykami pod soborem Wołodymirskim. A pan nie handluje przypadkiem? Bo teraz wielu ludzi handluje. Z wyglądu ludzie jak ludzie, a w duszy handlarze.

— Ja, Ewo, gryzłem granit nauki i wdrapywałem się po skałach na szczyty.

— Naukowiec?

— Zgadła pani.

— To interesujące — Ewa zrobiła jeszcze jeden pi-ruet. — Pewnie pisze pan prace naukowe? A może krzyżuje pan jeże?

— Więc pani wie, gdzie pracuję? — wyrwało się Si-dałkowskiemu.

— Nie, tak mi się przypomniało, bo u mego męża w pracy krzyżują jeże z tymi... no co z nich są modne czapki.

— Z piżmakami.

— Właśnie, z piżmakami. Ale czy to możliwe? Prze-cież jeże kłują. Prawda?

„O, święta naiwności! — pomyślał rozczarowany Si-dałkowski. — Tak to już bywa, że treść nie odpowiada formie.”

— Pani nie Ewa, lecz róża wiatrów — powiedział głośno.

— Czy to komplement?

— Komplement.

— Chyba oryginalny, bo takiego jeszcze mi nikt nie powiedział.

Zjeżdżali w dół ruchomymi schodami. Sidałkowskie-go zaczęło to coraz bardziej nużyć. Byłoby znacznie le-piej, gdyby nie otwierała swoich wiśniowych usteczek.

W metrze Ewa usiadła.

— Dlaczego pan nie siada?

— Kiedy w wagonie stoi chociażby jedna kobieta, Sidałkowski nie może usiąść.

— Pan jest nadzwyczajny!

Wysiedli na przystanku „Hydropark” i ruszyli w kie-runku przystani. Sidałkowski wynajął dwuosobową łódkę.

— Nie boi się pan?

— Jestem byłym marynarzem.

— Proszę podwinąć rękawy.

— Po co?

— Chcę zobaczyć pański tatuaż.

— Nie mam tatuażu.

— Pierwszy raz widzę takiego marynarza. Pan pewnie był oficerem.

— Zgadła pani. Byłem pierwszym zastępcą miczmana — zełgał bez zająknięcia.

Oczy Ewy pogłębiły się i zbłękitniały. Sidałkowski spojrzał w nie — mógł w nich utonąć cały legion jej adoratorów.

Ewa rozebrała się i poddała swoje opalone już ciało pieczętom słońca i wiatru. Jej kostium kąpielowy przypominał trzy listki figowe.

— Jaka pani piękna, Ewo! — zawołał. „Zwłaszcza kiedy pani nic nie mówi” — uzupełnił w myśli. — Jest pani piękna jak...

— Jak kto? — Ewa uniosła się na łokciach.

— Jak maszyna do szycia „Singera” u mojej matki.

Ewa się roześmiała.

— A pani oczy są jak dwie oazy...

— Jak co?

— Jak oazy.

— Rozumiem, uczyłam się o tym w szkole. Chyba na geografii. Zgadza się?

— Zgadza się — uczynił kilka rytmicznych ruchów wiosłami. — A wie pani, kim jestem?

— Wiem. Sidałkowski.

— A skąd pani wie?

— Przecież sama pana tak nazwałam.

— Kiedy ja naprawdę jestem Sidałkowski. Z „Findipoczu”.

Ewa otworzyła jednocześnie pulchne wargi i oczy błękitne jak sierpniowe niebo.

— Pracuję razem z pani Adamem.

Ewa milczała jak ryba wyrzucona na brzeg. Wiśniowe wargi zmarszczyły się.

— Nigdy bym nie pomyślała — wiśnie się roztuliły, ukazując dwa rzędy pięknych zębów.

„Ma zęby jak klawiatura pianina czernihowskiej produkcji” — pomyślał.

— Wyobrażałam sobie Sidałkowskiego jako wstrętnego dziadygę. Jak pan mógł wymyślić coś takiego, żeby posyłać za mną tego dziada Bubona!

— A pani chciałaby, żebym sam panią śledził?

— Ba!

— Właśnie to robię.

— Zadał mi pan cios w serce. Więc pan mnie tylko śledzi? I wszystko to było udane: i płaszcz, i komplementy, i uczucia?

— Płaszcz był prawdziwy, Ewo. Z prawdziwego japońskiego włókna syntetycznego.

— A uczucia?

Sidałkowski zawrócił nagle łódkę i dobił szybko do przystani. Kiedy żegnał Ewę pod „Faktusem”, powiedział:

— Werżnęła się pani w moje życie jak samolot odrzutowy, pozostawiając za sobą biały zygzakowaty ślad.

— To komplement?

— Komplement.

— Takiego też mi nikt jeszcze nie powiedział. Kiedy się spotkamy? — spytała podając mu rękę.

— Jeszcze pani nie zbrzydłem? Takie kobiety jak pani dziś oddają klucz do swego serca, a następnego dnia zmieniają zamek.

— Pan będzie miał klucz do wszystkich moich zamków — Ewa uśmiechnęła się i znikła w cieniu masywnego „Faktusa”.

Kiedy wrócił do „Findipoczu”, czekał już na niego Adam. Patrzył na Sidałkowskiego oczyma abiturienta, którego może uratować tylko ta jedna piątka. Jewgraf spojrział na niego tak, jak można patrzeć, kiedy sumie-

nie ma się jeszcze czyste, ale uczciwość zaczyna już odchodzić w przeszłość.

— Najwięksi mistrzowie od przeszczepiania serc to kobiety — powiedział, kładąc dłonie na ramionach Adama. — Robią to po mistrzowsku, chociaż niebezboleśnie, lokując swoje serce to w jednej, to w drugiej klatce piersiowej. Oczywiście męskiej. Pan mnie rozumie?

Adam zaprzeczył ruchem głowy.

— Powiedzmy prościej: nie zdał pan, Adamie, konkursowego egzaminu. Trzeba się przygotować do następnej sesji. Niech się pan trzyma. Tylko bez łez i szlochów.

Weszli razem do gabinetu Sidałkowskiego. Adam usiadł w milczeniu, po chwili zaczął łkać, zakrywając twarz dłońmi.

— Niechże pan nie płacze — Sidałkowski gestem sędziego piłkarskiego położył mu rękę na ramieniu. — Proszę wytrzeć oczy i zachować łyzy na lepsze czasy. Ewa nie jest członkiem naszej załogi, więc nie można jej wziąć pod kuratelę. Przyjrzałem się Ewie z bliska. To rzeczywiście boskie stworzenie. Ona nie dla pana.

— A dla kogo?

— Dla ludzkości, Adamie. Dla ludzkości.

— Dlaczego pan ze mnie kpi? Niech pan poradzi, co mam robić?

— Proszę wypić dla kurażu te swoje sto gramów i rzucić Ewę, zanim ona to zrobi pierwsza.

— Myśli pan, że Ewa mnie porzuci?

— Tak — Sidałkowski wyjął z biurka drogie papierosy. — Miłość, tak jak telegram, nie zawsze trafia do właściwych adresatów.

— Ale przecież zdarzają się przypadki...

— Oczywiście. Pański telegram, Adamie, jeszcze nie nadszedł. Możliwe, że jest w drodze.

— Czy ona spotyka się jeszcze z tym w kratkę?

— Arka Noego, Adamie, już dawno dobiła do góry Ararat, a pan jest ciągle jeszcze po drugiej stronie potopu... Ewa się spieszy, a pan się opóźnia, jak czasopisma z abonamentu. Wydarzenia rozwijają się znacznie szybciej, niż pan sobie wyobraża. Po tej Kracie jest już trzeci. Ten trzeci to... Niech się pan weźmie mocno w garść. Ten trzeci... To nie ma zresztą dla pana większego znaczenia, bo to i tak niczego nie zmieni.

Sidałkowski podszedł do okna i zapalił, uważając, że wymaga tego melodramatyczny klimat sytuacji. Nad „Findipoczem” przepływała nabrzmiała deszczem chmura.

— Czy pan go widział?

— Widziałem tak jak samego siebie — Sidałkowski przysiadł na skraju biurka i wyjął pilniczek do paznokci.

— Czy on jest przystojny?

— Jak młody bóg.

— Czy oni już się całowali?

— Co to znaczy już? — Sidałkowski zeskoczył z biurka, bo postyszał ciężkie kroki, pokastywania i gderanie Stratona Stratonowicza.

— Przepracowali się! Żeby chociaż jedno siedziało w swoim pokoju. Przyjdą, pogadają, poziewają, a nauka idzie w las! Buchaltera! — Kowbyk minął drzwi gabinetu Sidałkowskiego i po chwili jego bas dudnił już w końcu korytarza.

— Pyta mnie pan, czy Ewa już się z nim całowała... — kontynuował Sidałkowski przerwany wątek. — Mój drogi, pańska Ewa ciągle się całuje! Ona bez tego nie może żyć, jak młody żreback bez owsa. Przepraszam za to porównanie, powiem delikatniej: pocałunki są dla niej tak samo niezbędne, jak celofan dla parówek.

— Więc co mam robić? — Oczy Adama pałały.

— Już panu radziłem wiele razy: trzeba być mężczyzną.

— Więc co, mam ją bić?

— A da pan radę?

— Spróbuję...

— No cóż, niech pan spróbuje. Ale ja osobiście takiej metody nie zalecam i nie pochwalam. A zresztą... — Sidałkowski urwał i zamyślił się na chwilę. — Być może ten stary jak świat sposób na jakiś czas poskutkuje.

— Spróbuję — powtórzył Adam twardniejącym głosem. — Wypiję setkę i spróbuję.

Sidałkowski usiadł przy biurku, dając tym do zrozumienia, że audiencja skończona. Adam nie zareagował jednak na to.

— Dlaczego to tak jest na świecie? Jeśli mąż porządny, to żona latawica, a jak żona uczciwa, to znowu mąż łajdak.

— Życie utkane jest z przeciwieństw — Sidałkowski zacytował swój ulubiony aforyzm.

— A mnie się zdaje, że zdradzają przede wszystkim kobiety — filozofował Adam. — Zwłaszcza ładne. Dobrze mówię?

— Nigdy kobiet nie obrażam i nie ponizam ich — odparł Sidałkowski. — I panu też nie radzę tego robić. Kobiety tego nie przebaczą, jak sycylijska mafia.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

w którym opowiada się o starych tradycjach, złotej monecie, skarbach, przygodach, tchórzach i jeźcach oraz o ogrodach Semiramidy

Kiedy w „Findipoczu” ucichły burze i wszystko zdało się wracać na swoje miejsce, w tajemniczym i niedostępnym domu Czudłowskich, na przedmieściu Kobylatyna Turbinnego, wydarzenia dopiero się rozpoczęły. Generał całym swoim jestestwem wyczuwał, że od czasu kiedy do jego domu zawitał ten „mikromar-

szalek”, on utracił spokój i zastąpił go węgierskim trun-kiem o tajemniczej nazwie „Noksyron”. Noksyron uspokajał go na jakiś czas. Zięć natomiast okazał się niezmordowany: hasał od rana do wieczora ze szpadlem w rękę i kopał w różnych miejscach pod wysokim par-kanem. Nawet spokojny i zrównoważony Cerber spo-glądał na swego nowo upieczonogo krewniaka z wy-rażną chęcią złapania go zębami za łydkę. I byłby to niewątpliwie zrobił, nie pozwalala mu jednak stara tra-dycja domu Czudłowskich: swoich kąsać nie wolno.

Filaret Karłowicz chodził po podwórzu jak ruchoma wieża telewizyjna, nie spuszcżając zięcia z oczu.

— Co pan tam kopie, do cholery?! — wołał, nie wyj-mując z ust fajki.

— Spulchniam ziemię.

— Jeszcze za wcześnie. To przecież dopiero lipiec, a ziemię spulchnia się w jesieni.

— To nic, można i teraz — Hrak zachowywał się tak, jakby gospodarzem był tutaj nie Czudłowski, lecz on.

Naiwna Zosia też nie spuszcżala męża z oczu, nie ro-biła jednak żadnych uwag i tylko po kątach cicho po-plakiwała, zjawiając się w pracy z podpuchniętymi oczami. Margaryta Izotowna znajdowała w tym po-twierdzenie często wypowiedanej opinii, że zameście to dla kobiety prawdziwe piekło.

— Wszyscy mężczyźni są bezdusznymi despotami i egoistami. Jeszcze nie urodził się taki mężczyzna, któ-ry byłby godny nas, kobiet. Ja ich wszystkich niena-widzę!

Zosia w odpowiedzi pociągala tylko nosem, a sen zwalał ją z nóg.

— Co on z panią robi? Opowiem o wszystkim Stra-tonowi Stratonowiczowi.

— Co pani może mu opowiedzieć?

— Już ja tam coś znajdě.

Zosia nie miała w tym względzie żadnych wątpliwoś-

ci: Margaryta Izotowna mogła na poczekaniu wymyślać różne historie, podobnie jak przepisy kulinarne, jeśli nie miała ich pod ręką. Dlatego też Zosia postanowiła ponownie zwrócić się do Sidałkowskiego, do którego odnosiła się tak samo nabożnie, jak do powieści rycerskich.

— Jewmen ciągle tylko kopie i kopie. Niekiedy zakopuje się z głową. Najpierw mówił o spulchnianiu, a teraz wyjaśnia ojcu, że chce wykopać na podwórzu artezyjską studnię. Może pan jeszcze raz z nim porozmawia? Ojciec okropnie się wścieka. Mówi, że Jewmen jest nienormalny.

— Pani mąż jest całkiem normalny. Lubi jednak przygody. Podobnie zresztą jak i ja. Poszukuje złota...

— Gdzie? W naszym sadzie? Pod drzewami owocowymi?

— Proszę sobie wyobrazić, że tak. Jest naiwny i dlatego wydaje mu się, że kobyłatyński Klondike jest właśnie w waszym sadzie. Opanowała go gorączka złota.

— Ale skąd on ma takie wiadomości? O ojcu krążą wprawdzie legendy, że jest bardzo bogaty i ma złoto, ale to nieprawda. Mamy tylko tyle złota, co na palcach.

— Wierzę pani. Ale fizyczna praca jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Niech Jewmen popracuje. Pani mąż żyje teraz marzeniami, proszę ich nie rozbijać, bo skutki rozczarowania mogą być przykre. Proszę mi wierzyć. Wkrótce mu to przejdzie i uspokoi się. Niech pani zda się na mnie.

Kiedy zamknęły się za Zosią drzwi, Sidałkowski stanął w pozycji admirała Nelsona przed bitwą i zamyślił się. Nad kilku sprawami jednocześnie. Co to za moneta, którą generał zaszył w marynarce? Co to za mapa znaleziona w generalskiej piwnicy? Dokąd powinien iść: czy do Czudłowskich, czy też do Bubona na przyjęcie z okazji pogodzenia się małżeństwa i urodzin Macesty Elizarowny?

Niepokoilo go zagadkowe zachowanie się zarówno Hraka, jak i Ewy Granat. Pierwszy szukał skarbów, które gdzieś zwęszył, druga zaś — przygód, bez których nie mogła żyć. Miał się dziś spotkać z Iją i wysłać list i lekarstwa do matki w Wapniarce. Musi też wypisać delegacje służbowe. A tu jeszcze miałyby się ochotę pójść na mecz kijowskiego „Dynamo” z monachijską „Bawarią”.

Przypomniał mu się wieczór, kiedy Hrak po raz drugi zaniósł papiery do urzędu stanu cywilnego. Wszyscy w domu Czudłowskich byli radośnie podnieceni. Nawet zawsze ponury i zagadkowy Filaret Karłowicz robił wrażenie człowieka, który wreszcie osiągnął wytyczony cel. Hrak zaś przypominał australijskiego kanarka, który zaaklimatyzował się w klatce i zaczyna wywodzić słowicze trele.

Filaret Karłowicz, pijany czy to ze szczęścia, czy też od nadmiaru koniaku, nachylał się ciągle do ucha Sidałkowskiego, dając do zrozumienia, iż domyśla się, że Jewgraf nie jest tym, za kogo się podaje. Lubi go jednak jak rodzzonego syna i dlatego chce mu dać mały prezent.

— Proszę mi zostawić na noc swoją marynarkę, trzeba by ją odświeżyć. Tezia to robi.

Sidałkowski nie widział takiej potrzeby, zgodził się jednak, bo generał zatrzymał go na noc.

Rano zbudziło go skrzypienie dzwi. Na progu, w rannych pantoflach, z jego marynarką w rękę, stał Czudłowski. Zbliżył się na palcach do krzesła, powiesił na nim marynarkę, a widząc, że Sidałkowski otworzył oczy, wyszeptał:

— Jak pan wróci do domu, to proszę rozpruć podszewkę na prawym ramieniu. Jest tam prezent ode mnie.

Pociąg do Kijowa włókł się nieznośnie, a tajemniczy prezent bez przerwy intrygował. Na dworcu Sidałkow-

ski wziął taksówkę i pomknął do domu. Tam zdjął marynarkę i namacał coś okrągłego jak guzik. Rozpruł niecierpliwie podszewkę i wówczas z wywatowanego ramienia wypadła na podłogę złota carska moneta. Sidałkowski podniósł ją i nie wiedząc, co z nią zrobić, podrzucił dwukrotnie na dłoni.

Ktoś zapukał do drzwi. Na progu stała Ija. Przyszła prosto od fryzjera, pachniała perfumami, wiosną i odległym wspomnieniem o prawdziwej miłości. Dziś jednak Ija była mu obojętna, miał ważniejsze sprawy na głowie. Obojętnie patrzył na jej upudrowaną twarz oraz na kopiastrą fryzurę, z której można by zrobić dwie peruki dla Bubona i jedną dla jego żony.

— Co, popsuł się dzwonek? — spytała, by jakoś przełamać kłopotliwą ciszę.

Sidałkowski podszedł do kontaktu i przekręcił go; nie było prądu.

— Jak ci się podoba moja suknia? — Ija zakręciła się przed nim, demonstrując swe kobiece powaby.

— Suknia jak marzenie — odparł, obejmując ją obojętnie.

Ija uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

— A co szanowna pani powie na to? — Sidałkowski podrzucił na dłoni złotą monetę.

— To na zęby? — spytała prozaicznie.

Spojrzał jej w oczy, jak w sklepową witrynę: „Na wystawie co innego, a co innego w sklepie”.

— Sidałkowski, musimy porozmawiać — zabrzmiało to chłodno i twardo.

Sidałkowski nie znosił takiego tonu.

— Tylko nie teraz. „Findipocz” na mnie czeka.

Pożegnali się chłodno. Sidałkowski przyłapał się na tym, że patrzy na Iję jak na stary dobrze znany film, w którym zamiast oczekiwanej i ulubionej bohaterki zjawiała się jakaś inna kobieta. „To Ewa” — domyślił się od razu. Objął jednak z przyzwyczajenia Iję.

— Nie złość się. Do wieczora...

A teraz oto stoi w swoim gabinecie ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i patrzy przez okno. Potem podchodzi do telefonu, nakręca numer Hraka.

— Czy to pan, supergeniuszu? Czy nie zechciałby pan swą obecnością upiększyć mego gabinetu?

— Czy to coś ważnego?

— Tak, zwłaszcza dla pana. Aby skrócić pańskie męki, zaspokoję częściowo pana ciekawość: jestem na drodze do pańskiego Klondike. Pierwsza jaskółka... Niech pan się mocno trzyma krzesła. No więc powtarzam: trzymam już za ogon pierwszą jaskółkę.

Hrak rzucił słuchawkę i po paru sekundach z pewną siebie miną wszedł do gabinetu Sidałkowskiego.

— Patrzę na pana, Hrak, i odnoszę wrażenie, jakby to złoto, którego pan szuka u Czudłowskiego, było już w pańskiej kieszeni.

Nie znosił ludzi, którzy jeszcze wczoraj piaszczyli się przed tobą, dziś zaś patrzą na ciebie z góry, jakbyś nie oddał im w terminie długu. Wzwianka o złocie była dla Hraka kubłem zimnej wody.

— Niech pan siada. I proszę przysunąć się bliżej, bo to będzie rozmowa poufna.

Midasowe uszy Hraka wydłużyły się, przypominał teraz nietoperza podczas lotu. Sidałkowski wsunął do kieszeni kamizelki dwa palce, pod którymi poczuł monetę, i spojrział na Hraka, który siedział w napięciu, jak przed skokiem przez Cerbera podczas pierwszej wizyty w domu Czudłowskiego.

— Pan jednak skończy na Lenie, tak jak pański poprzednik.

— Już ci mówiłem, doktorze, że na Helenie.

— Proszę mi nie przerywać. Nadejdzie ten dzień, kiedy historię pańskiego życia będzie spisywał sędzia śledczy, a ja wystawię panu opinię.

— O co chodzi?

— Chodzi o złoto, którego pan szuka. Prymityw z pana, Hrak. Nie orientuje się pan ani w czasie, ani w przestrzeni.

— Ale o co chodzi!

— O to — Sidałkowski położył przed nim złotą monetę.

Hrak zamrugał oczami i zaczął chwytać powietrze jak ryba na piasku.

— Czego pan szuka w ogrodach Semiramidy?

— Nie wiem...

— Jak panu nie wstyd... Okazuje się, że jest pan gorszy, niż sobie wyobrażałem.

— Kiedy mówię uczciwie: nie wiem. Może złota, a może diamentów...

— W porządku. A po co to panu potrzebne, jeśli nie jest to oczywiście, rodzinną tajemnicą? Znając pana jestem spokojny o to, że nie odda pan do skarbu państwa. Dzielić się z bliźnimi też pan chyba nie zamierza. Mnie zresztą złoto nie interesuje. Nawet na zęby. Po pierwsze dlatego, że na zęby już mam, a po drugie, zęby mam zdrowe, bo starannie je czyszczę. Będę jednak z panem szczery: lubię przygody. Bez przygód nie mogę żyć, tak jak bez ładnych kobiet.

Hrak milczał.

— Czy pan mnie słucha, Hrak? Jestem romantykiem, a romantyk niewiele wymaga od życia. Oczekuje natomiast wiele od świata, zrodzonego w jego wyobraźni. Czy pan mnie rozumie?

— Zawsze ciebie rozumiałem. Więc czego chcesz ode mnie? Żebym podzielił się z tobą złotem, które znajdę?

— O Boże! — Sidałkowski spojrział w górę, teatralnym gestem załamując ręce. — Ależ z pana prymityw! Byłem o panu lepszego mniemania. Nie interesuje mnie ani złoto, ani nawet diamenty. Ciekawi mnie samo poszukiwanie. Gdzie go pan szuka?

— Wszędzie: w sadzie, w ogrodzie...
— A czym się pan kieruje?
— Na razie intuicją.
— I gdzie trzeba kopać?
— Gdybym wiedział, gdzie, tobym nie kopał wszędzie, tylko tam — odparł Hrak ze złością.
— Trzeba kopać pod budą Cerbera.
— Ale przecież na planie...
— Co jest na planie?
— Jakieś niezrozumiałe oznakowania. Trzeba je rozszyfrować.

— A gdzie jest ten plan?
— Po co ci wiedzieć? To ja go znalazłem.
— Wiem — odparł Sidałkowski, chociaż nic dotąd o żadnym planie nie wiedział i prowadził rozmowę po omacku. — Studia weterynaryjne nie wystarczą jednak do rozszyfrowania. Nawet ukończone z odznaczeniem.

Hrak grzebał przez chwilę w teczce, po czym wyciągnął jakąś poźółkłą kartkę.

— Proszę pokazać. Znajdę to złoto. A Zosia uszyje torbę i zacznie suszyć dla pana suchary. Czy generał wie o tym? — spytał Sidałkowski, uważnie studiując plan.

— Nie. Nie sędzę, żeby ten plan należał do niego.

— A czym kieruje się nasz rodzimy Sherlock Holmes?

— Widzisz, doktorze — Hrak pochylił się nad planem. — Generał, jak sędzę, obsolutnie nic się nie domyśla. Tam gdzie początkowo robiłem podkop, wszystko pozostało bez zmian. Generał do schowka nie zaglądał, więc nie wie o istnieniu planu.

— Też tak uważam. A wie pan, dlaczego?

— Nie.

— Gdyby plan był jego, od razu domyśliłby się wszystkiego. I zabroniłby panu kopać — Sidałkowski podszedł do drzwi i przekręcił klucz w zamku, po czym

wrócił do biurka, na którym rozłożony był stary pergamin.

— To skóra ze starego barana albo capa — ocenił fachowo Hrak.

— Pan jako weterynarz wie to lepiej ode mnie. Ale mnie interesuje teraz nie pergamin, lecz jego treść.

Przez pewien czas Sidałkowski studiował plan z miną kapitana, dla którego żadne rafy nie są straszne.

— Taak... Tu bez ekspertów nie da rady — Sidałkowski wpatrywał się w duże, pięknie wykaligrafowane czarne litery i na dwa jaskrawoczerwone krzyżyki.

— Czy pan widział kiedy taką piracką mapę?

— Nigdy.

— Ja też nie widziałem. Co tu robi ta „róża wiatrów”?

— Jaka róża?

— Proszę tu spojrzeć — Sidałkowski wskazał ołówkiem. — To jest ta „róża wiatrów”, która wyznacza kierunki oraz szybkość wiatru w rumbach. Poszczyściło się panu, Hrak. Po pierwsze dlatego, że spotkał pan mnie, a po drugie, że trafił pan do takiej rodziny jak Czudłowscy. A jak mi się pan odpląca? Nieprzyjaźnią i lekceważeniem. Generał jest bardziej od pana szczodry. Odwdzieczył mi się, a jednocześnie ocenił pana. Na dziesięć kopiejek. No, niech pan nie robi takiego idiotycznego wyrazu twarzy. Nie wysłuchał pan do końca. Na dziesięć kopiejek, ale jakich? Złoty, Hrak. Tę złotą monetę podarował mi właśnie generał.

— Słowo honoru?

— Słowo honoru. Powiedział: to prezent ode mnie dla pana. Co prawda, nie określił dokładnie, za co, ale to samo przez się zrozumiałe: jest szczęśliwy, że przyprowadziłem mu takiego zięcia.

Uszy Hraka to wydłużały się, to kurczyły.

— A więc generał ma złoto — rozmyślał na głos.

— Gdzie pan kopał?

— Wszędzie: pod jabłoniami, pod gruszami, podkopałem się nawet pod chodnik i pod piwnicę. Ten dziadyga strasznie się wścieka i wypytuje, po co kopię. Więc ten plan nie należy do niego, bo domyśliłby się, po co.

— A może lepiej, żeby pański teść też wiedział? Nie będzie panu przeszkadzać, a poza tym pomoże panu kopać. Można włączyć do tego państwową komisję, ekspertów, wykorzystać technikę, użyć koparek, dynamitu...

Hrak wpatrywał się w Sidałkowskiego, chcąc się zorientować, czy ten kpi, czy mówi serio.

— Widzę, Hrak, że jest pan przeciw teściowi. Trzeci zbyteczny, będziemy kopać we dwóch. Tylko czy generał pozwoli nam na to? Zresztą niech pan kopie sam, a ja zajmę się rozszyfrowaniem tego planu. Więc do jutra, Hrak. Tej nocy może pan jeszcze spać spokojnie — Sidałkowski zawinął pergamin w celofan i włożył do sejfu. — Tu będzie bezpieczny. Ukłony dla Filareta Karłowicza. Spotykamy się w sobotę rano. Dziś idę na operatywne zadanie z Ewą, jutro do Bubona na przyjęcie z okazji małżeńskiego pojednania, a pojutrze przyjdę do pana. Powodzenia.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

w którym opowiada się o powrocie syna marnotrawnego w przeddzień dwóch wielkich wydarzeń, o zdradzie Macesty Elizarowny, spotkaniu z ministrem, nieziszczonym marzeniu Karola Iwanowicza, wzorowej rodzinie, letniej czapce Chowraszkiewicza, efektach świetlnych, toaściach i o najnowszej teorii`

Zaabsorbowani Czudłowskimi, Ewą Granat, Adamem i Sidałkowskim zapomnieliśmy zupełnie o Karolu Iwa-

nowiczu i Maceście Elizarownie. A ściślej, o Maceście Elizarownie i Karolu Iwanowiczu, bo w rodzinie Bubonów Karol Iwanowicz był starszy tylko wiekiem.

Karol Iwanowicz powrócił w rodzinne pielesze właśnie tego dnia, kiedy w jego ogrodzie zakwitły piwonie i astry, a na dachu znów zafurczała chorągiewka, odwracając się posłusznie w tę stronę, skąd powiał wiatr.

— W przyrodzie nic nie dzieje się bez sprzężenia zwrotnego — mawiał zazwyczaj wybitny teoretyk rodzinoznawstwa, Mychajło Chowraszkiewicz.

I miał rację, którą potwierdziły wydarzenia tego dnia w rodzinie Bubonów. W dniu tym przypadała któraś tam historyczna rocznica powstania „Findipoczu” i któraś tam nie mniej historyczna rocznica urodzin Macesty Elizarowny. Kiedy jednak dzień pojawienia się na świecie Macesty Elizarowny nie budził żadnych wątpliwości, a ona sama знаła nie tylko miesiąc i dzień, ale nawet godzinę swego narodzenia (tylko rok trudno było ustalić), „Findipocz” stał przed bardziej złożonym, jak to określił Chowraszkiewicz, dylematem: od którego roku wywodzi się rodowód „Findipoczu?” Jeśli od dnia powstania spółdzielni, która szyla czapki, to wychodziło czterdzieści lat, a jeśli od przekształcenia jej w „Szkolkomszczap” — to dwadzieścia pięć.

Urzędy i instytucje, przeciwnie niż kobiety, lubią sobie dodawać lat, co rzekomo podnosi ich rangę. I jeśli solidna kobieta chętnie zamieniłaby swoją solidność na młodość, to instytucja równie chętnie oddałaby swoją młodość za solidność. Więc i „Findipocz” skłonny był obchodzić raczej swoje czterdziestolecie niż srebrne go-dy.

No ale znowu straciliśmy z pola widzenia przesławne małżeństwo Bubonów i ich dom, w którym — jak dawniej — panował spokój i harmonia.

Karol Iwanowicz krążył po ogrodzie jak ogrodnik, który po długich wędrówkach powrócił do swego raj-

skiego zakątka. Słońce przypiekało, trzeba więc było szukać schronienia w dwuosobowym hamaku, rozpiętym między jedyną tu sosną a piętnastoletnim kasztanem, posadzonym w dniu urodzenia Muzy.

— Karolku — Macesta Elizarowna zwracała się tak do męża w dniach wypłaty nagród i premii lub kiedy zamierzała mówić z nim o sprawach bardzo intymnych. — Karolku, weź krzesło i włącz tu do mnie na hamak. Trochę odpoczniemy, zanim goście zaczną się schodzić. Tyle się nadreptałam od samego rana.

Karol Iwanowicz wziął taboret pokryty opadłymi liśćmi i gąsienicami, postawił go pod hamakiem i balansując stanął na nim ostrożnie. Taboret zachwiał się, Karol Iwanowicz zdążył jednak zwalić się na hamak.

— Karolku, bo mnie rozgnieciesz — gderała dobrotliwie żona.

Bubon uśmiechnął się z zadowoleniem. Leżeli na olbrzymiej poduszce, wpatrując się w wysokie, błękitne niebo z białymi, jakby z waty obłokami, wsłuchując się w szept liści.

— Karolku — zakłóciła ogrodową idyllę Macesta, która już od dłuższego czasu zamierzała coś mężowi powiedzieć i jakby nie mogła się odważyć. — Powiedz mi, mój kochany, co byś zrobił, gdybym cię nagle zdradziła? — odwróciła się i spojrzała pytająco na męża.

— Nie przeżyłbym tego — odpowiedział szczerze Karol Iwanowicz.

— A co byś zrobił?

Bubon zamyślił się. Chciał najpierw powiedzieć, że się utopi, pomyślał jednak, że bardziej boi się zimnej wody i kąpieli w rzece.

— Chybabym się powiesił. To podobno bardzo przyjemna śmierć.

— Więc nie jesteś jeszcze zdecydowany?

— Dlaczego?

— No bo powiedziałaś „chyba”. Powiedz po prostu: „Powiesiłbym się”.

— Powiesiłbym się — powtórzył posłusznie.

— A gdybym tak uwiodła ministra? — Macesta zmrużyła oczy i jeszcze bardziej przyglądała się mężowi.

— Ministra? Co ci też przyszło do głowy?

— Nie uwierzysz, ale dziś, kiedy szłam odebrać suknię od krawcowej, zdawało mi się, że przeszedł obok mnie... No? Kto by pomyślał?

— Minister finansów! — wypalił Bubon i uniósł się na łokciu.

— Wyobraź sobie! Był bez samochodu. Szedł piechotą. Niemal w takim samym garniturze, jak ten twój, co wisi w szafie. Spojrzałam na niego, a on na mnie. Całkiem zwyczajnie. Tak jakby nie był ministrem finansów, lecz zwyczajnym buchalterem „Findipoczu”. Uśmiechnęłam się do niego wdzięcznie, a on do mnie. A wtedy nie wytrzymałam i powiedziałam: „Dzień dobry!”

— A on co na to?

— A on... Nie uwierzysz, Karolku! On zupełnie zwyczajnie, jak zwykły człowiek, odpowiada: „Dzień dobry”. Jeszcze raz się uśmiechnął i wszedł do apteki.

— Mówisz, że bez samochodu?

— Bez samochodu.

— I bez obstawy?

— Bez obstawy.

— A co ty na to?

— Ja? Myślę sobie, postoję. A może to nie minister, zaczekam, aż wyjdzie z apteki. Stoję, stoję, aż nagle podchodzi do mnie...

— Minister?

— Nie, milicjant.

— I co?

— Zasalutował i pyta: „Pani na kogoś czeka?”

— A co ty na to?

— Ja? „Czekam.” A potem dodałam: „Czekam na ministra”.

— A on co na to?

— Zasalutował i powiedział grzecznie: „Przepraszam”. W tej właśnie chwili wyszedł minister. Znow uśmiechnął się, postąpił przez chwilę i poszedł dalej piechotą.

— I nie wsiadł do czarnej limuzyny?

— Nie wsiadł.

— To nie był minister — powiedział kategorycznie Bubon. — Jeszcze nigdy nie widziałem ministra bez samochodu.

— Karolku! — Macesta Elizarowna spojrzała groźnie na męża.

— Ja przecież nic... — Bubon poskrobał się w łysinę. — Nie mam nic przeciw ministrowi — dodał po chwili z zakłopotaniem. — Jeśli to był on, to... Ale wiesz co, Maciu...

— Co, Karolku?

— Pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Że mianuje mnie swoim zastępcą.

— Dobrze, pomyślę o tym.

Rozległy się melodyjne uderzenia ściennego zegara.

— Boże, już czwarta! — zerwała się Macesta. — A gości zaprosiliśmy na piątą...

— Nie przejmuj się. Zaprosiliśmy na piątą, więc przyjdą o siódmej. A o ósmej piętnaście... — Bubon spojrzał czule na żonę (o tej godzinie przyszła na świat, nie wiadomo jednak, przed ilu laty).

Nachyliła się do niego i po macierzyńsku dotknęła wargami jego czoła.

— Dziękuję ci, Karolku, że pamiętasz!

Właśnie o dwudziestej piętnaście Bubon zamierzał wygłosić pierwszy toast i wypić do dna pierwszy kieliszek.

szek. A później to już jak kto chce. U Bubonów nikt nikogo do niczego nie zmuszał.

— U nas demokracja — mawiał Bubon, przemilczając skromnie, że władzą domową jest żona. — Ale pierwszy kielich za solenizantkę trzeba wypić do dna. Zgodnie z tradycją.

Goście jak zwykle schodzili się stopniowo i z opóźnieniem. Jako pierwszy przyszedł oczywiście Sidałkowski. Przyjechał „na łebka” za ostatniego rubla czarną „Wołgą”, która zatrzymała się na wprost metalowej furtki Bubonów. Macesta Elizarowna wyjrzała zza napiętej jak żagiel firanki przez okno i pobiegła, na ile pozwalała jej wiek i tusza, powitać pierwszego gościa. Była w czarnej pluszowej sukni. Jej usta kwitły porcelanowym uśmiechem i odległym wspomnieniem młodości. Sidałkowski przypadł ustami do pulchnych rączek solenizantki, wręczając jej bukiet czerwonych róż. W odpowiedzi podarowała mu jeden z najbardziej czarownych uśmiechów.

Jako drugi przybył Straton Stratonowicz w towarzystwie Chowraszkiewicza z gitarą. Nie lubił chodzić w gości, dziś jednak chciał swoją obecnością zamanifestować, że wszystkie te przygody Karola Iwanowicza i Ewy to tylko niemądre koncepty Sidałkowskiego. Chciał, by w tej wzorcowej rodzinie znowu zapanowały spokój i zgoda. Jak przystało naczalstwu, powściągliwie przywitał się z solenizantką, wręczył jej skromny prezent i z miną gospodarza domu skierował się po wykładanej płytami ścieżce do ganku. Głowę niósł dumnie i wysoko, tak że nawet ci, którzy widzieli go po raz pierwszy, jakby się kurczyli. Z założonymi do tyłu rękami kroczył powoli i z godnością. Tak właśnie kierownik delegacji zwykł oglądać wystawę, podczas gdy przewodnik-tłumacz, drepcąc przed gościem, udziela mu szczegółowych wyjaśnień. Funkcję przewodnika pełnił tu Karol Iwanowicz Bubon. Weszli w gęsty cie-

nisty sad, gdzie pająki porozwieszały między drzewami srebrne sieci, a muchy odprawiały swoje ostatnie requiem.

— Od razu poznać kułaka — rzucił swój pierwszy dówcip Straton Stratonowicz. — A skarży się, że marnie żyje... Żeby to ja mógł dla siebie skombinować taką willę...

Bubon zaczął się tłumaczyć, ale Kowbyk puszczał to mimo uszu.

— A dlaczego by nie wynieść stołu do sadu i nie posadzić gości na łonie przyrody? Taki piękny dzień!

— Zaraz to zrobimy — zaraportował posłusznie Bubon, który w obecności Kowbyka nawet we własnym domu czuł się jego podwładnym.

Rozległ się dzwonek.

— Kogo tam jeszcze niesie? — Kowbyk zwrócił się do Chowraszkiewicza.

— To Masik z Majoliką. No więc powiadam panu, że kiedy Masik...

— A pan już chyba sobie golnął? — przerwał mu Kowbyk.

Zanim oni uzgodnią tę sprawę, powrócimy do zarosniętej bluszczem furtki i powitamy sympatyczną parę, która obdarowała Macestę Elizarownę takimi różowymi uśmiechami, że nawet wspaniałe róże Sidałkowskiego w indyjskim inkrustowanym wazonie nagle przywiedły i stały się jasnoróżowe, zaś na tle różowej, przypominającej abażur, sukni Majoliki zbladły zupełnie.

Arij Fedorowicz Nieszczadym spotkał po drodze idącego również do Bubonów Czyhyrenkę-Repnińskiego, którego nie znosił za jego demokratyczne przekonania i za brodę. Uznał wprawdzie, że iść razem z nim to zbyt daleko idący kompromis, ale dziś wszystkie drogi findipoczowców prowadziły do domu Bubonów.

— Życie utkane jest z przeciwieństw — zacytował siebie Sidałkowski.

— Pan o czym? — Straton Stratonowicz zerknął na niego podejrzliwie.

— O Ariju Fedorowiczu i Daromirze.

— Ach tak — zgodził się Kowbyk, bo Neszczadyma nie lubił tak samo jak Sidałkowskiego, wierzył jednak święcie we frenologię. — Trudno być porządnym człowiekiem z taką mordą — skinął głową w stronę Neszczadyma, który przecierał chusteczką okulary. — Mam rację?

— Jaki sklep, taka i witryna — odparł wymijająco Sidałkowski.

— Przepraszam, Stratonie Stratonowiczu — włączył się Chowraszkiewicz, strojąc gitarę — ale pozwolę sobie nie zgodzić się z panem. Brzydka twarz jeszcze o niczym nie świadczy. Człowiek o brzydkiej twarzy może być lepszy od takiego, co... — spojrzał znacząco na Sidałkowskiego.

— A czy ja co mówię o twarzy? — rozżłościł się Kowbyk. — Mówię o jej wyrazie, o takich detalach, jak cienkie wargi, dzikie spojrzenie czy obwisła szczęka. O tym mówię! O świńskich oczkach wyzierających jak spod strzechy — ukłął Chowraszkiewicza, bo nie mógł ścierpieć, kiedy mu ktoś zaprzeczał, nie wyłączając jego ulubieńca. Chowraszkiewicz poczerwieniał, ale Kowbyk nie dopuścił do wybuchu, skierowując rozmowę na Sidałkowskiego. — A dlaczego pan nigdy nie jeździ do matki? Arij Fedorowicz mówił mi — wskazał na zbliżającego się właśnie Neszczadyma — że mama na wsi bardzo tęskni za panem. Powinien ją pan odwiedzić.

— W naszej wsi, Stratonie Stratonowiczu, nie położyli jeszcze asfaltu dla moich lakierków — próbował obrócić sprawę w żart.

— Kogo pan z siebie struga? Inteligenta? A czy pan wie, że prawdziwi inteligenci rodzą się dopiero w trzecim pokoleniu?

— W pierwszym, prawda, Masik? — Sidałkowski zwrócił się do Pancziszki.

Masik nie chciał jednak narażać się ani szefowi, ani Jewgrafowi, więc tylko w milczeniu wzruszył ramionami.

— Masik uczył się w szkole dla wybitnie uzdolnionych — rzucił Kowbyk. — I pan nie może się z nim równać. A co pan o tym sądzi, Karolu Iwanowiczu?

Bubon, który właśnie prznosił z Chowraszkiewiczem stół, tylko łagodnie się uśmiechnął.

— A co, może nie mam racji?

— Pan zawsze ma rację, Stratonie Stratonowiczu — Bubon uśmiechnął się tak zniewalająco, że od tego uśmiechu furtka sama się otworzyła i na ścieżce pojawiła się Margaryta Izotowna.

— Chyba już zaczniemy — Macesta Elizarowna podeszła do rozmawiających.

— Dlaczego nie? — odparł z aprobatą Kowbyk. — Czy czeka pani jeszcze na kogoś?

— Nie ma tylko Baroneckiego i Hraka.

— Siedem osób nie będzie czekało na dwie — Kowbyk podciągnął spodnie i wyjął z ust cygarniczkę, co było sygnałem do rozpoczęcia pracy.

— No więc proszę do stołu — wydała komendę gospodyni.

Po pierwszym kieliszku nastąpiła cisza kłopotliwego zażenowania, przzerwana z urzędu przez Kowbyka.

— A wy co, przyszlście tu się najeść czy pić? — zażartował.

— Straton Stratonowicz dobrze mówi — poparł szefa Chowraszkiewicz, mimo iż był jakiś roztargniony.

Wszyscy zrozumieli: w głowie Chowraszkiewicza rodzi się jakaś teoria, nie wiedzieli tylko, jaka. A on właśnie w tej chwili patrząc na czapeczkę Margaryty Izotowny obmyślał letnie wieczorowe nakrycie głowy dla kobiet, które rysowało mu się w postaci rowerowego

siodełka z dziurkami, umożliwiającymi oddychanie skóry. Pomyślał też o tym, by wyposażyć je w mikroprojektor, pracujące na półprzewodnikach wmontowanych w kołnierz, co miałyby duże znaczenie w nocy na ciemnych ulicach. Mikroprojektory byłyby zasilane mikro-baterijkami typu „Saturn” lub „Mars”.

Chowraszkiewicz siedział błądliwy jak mistyk w momencie natchnienia.

— Czy pan się źle czuje? — spytała zaniepokojona Macesta Elizarowna.

— Nie, nie, proszę nie zwracać na mnie uwagi — Chowraszkiewicz uniósł w górę dwa palce.

— Archimedes rozmyśla, nie przeszkadzajmy mu — rzekł Straton Stratonowicz. — To zawsze lepsze niż Cycero.

Sidałkowski wstał.

— A pan dokąd? — spytał Kowbyk

— Na mnie już czas. Za pięć minut przyjedzie po mnie samochód. Mam ważne spotkanie.

— No jeśli samochód przyjedzie...

Sidałkowski porozdzielał eleganckie ukłony, podziękował serdecznie gospodarzom i wyszedł.

— No więc niech wyzdychają, jak mówi prosty lud — Kowbyk podniósł nowy kieliszek.

— Kto? — spytała ostrożnie Macesta Elizarowna.

— Nasi wrogowie — wyjaśnił Kowbyk. — Niech każdy pije do dna i myśli o swoim wrogu.

— Ciekawy toast — zauważyła Margaryta Izotowna, lekko podekscytowana.

— Więc ja wam powiem, że bardzo ciekawe toasty wznoszą Gruzini — wtrącił się Chowraszkiewicz, zapominając o efektach świetlnych na kołnierzach kobiet. — U nas to albo „żeby ci krowa zdechła”, albo „żeby ci furunkuł wyskoczył” — na twarzy Chowraszkiewicza pojawiły się czerwone plamy. — A propos, prosty lud nie mówi furunkuł. To tylko my, naukowcy, tak to na-

zywamy, albo po facinie furiatus. A to po prostu zwyczajny czyrak.

— Wypijmy, bo to będzie do rana paplało — przerwał niecierpliwie Kowbyk.

— Kiedy to naprawdę interesujące — Macesta Elizawrowna wzięła Chowraszkiewicza w obronę.

Mało go jeszcze znała. Wystarczyło jednak być w jego towarzystwie dwa lub trzy razy, żeby mieć dość jego gadulstwa. Przypominał starą płytę gramofonową, którą nastawia się codziennie, bo innej w domu nie ma.

— No więc u nas to albo krowa, albo furunkuł — ciągnął Chowraszkiewicz. — A u Gruzinów albo Japończyków zupełnie inaczej. Kulturalnie. Przychodzą na przykład do Gogi czy Kachi goście. Tak jak my dzisiaj. Kachi, powiedzmy, nie cierpi Gogi. A trzeba państwu wiedzieć, że Kachi, Gocza, Goga to w Gruzji męskie imiona. No więc Kachi mówi do Gogi: „Życzę ci, kaco, żebyś miał nie dom, lecz pałac. I żeby w tym pałacu były nie trzy pokoje, ale osiem. I żeby w każdym pokoju był telefon. I żebyś z każdego telefonu dzwonił kolejno a to na pogotowie gazowe, a to na pogotowie wodociągowe, a to na pogotowie elektrowni, a to na pogotowie ciepłowni, a to do straży pożarnej, a to na pogotowie ratunkowe, a to na milicję, a to do przedsiębiorstwa pogrzebowego... No więc wypijmy, drogi Karolu Iwanowiczu, żeby pan miał nareszcie telefon i żeby pan nie musiał dzwonić jak ten Gruzin.

Toast ten przyjęto z burzliwym aplauzem. Nawet Muza i Demian, którym zabroniono przebywać w towarzystwie starszych, wyskoczyli z mieszkania na ganek.

Mychajło Tanasowicz w miarę wypijanych kieliszków ożywiał się coraz bardziej, stając się tak zwaną duszą towarzystwa, tak jak po trzeźwemu bywał jego utrapieniem. W obcym towarzystwie milczący i skromny po paru kieliszkach nagle się przeobrażał, i już do końca wieczora wszyscy byli skazani na milczenie, bo mówił

bez przerwy tylko on. Mówił, tańczył, no i oczywiście grał na gitarze.

Znał wszystkie pieśni. A dokładniej: ich początek. Bo nigdy ich nie kończył, podobnie jak nigdy nie kończył zaczętego tematu, gubiąc się w dygresjach.

— No więc powiadam, że tę pieśń powinno śpiewać się tak... (tu początek pieśni). A śpiewają ją tak... (znów tylko początek).

— Niechże pan już śpiewa tak albo tak! — złościł się Kowbyk.

— A pan niech mnie nie popędza. Nie mamy dokąd się spieszyć. Dopiero co przyszliśmy i w ogóle. A oto pieśń Gołochwostego ze sztuki Staryckiego „Za dwoma zajęciami”. Historia narodzin tej pieśni sięga...

Tu już Kowbyk nie wytrzymał. Wstawał od stołu i podchodził do Chowraszkiewicza.

— Bądź pan człowiekiem! — błagał ze łzami. — Zaśpiewaj pan nareszcie! Wszyscy pana proszą.

— A co ja robię?

— Pan komentuje zamiast śpiewać.

Interwencja Kowbyka zwykle pomagała. Chowraszkiewicz nie tylko zaczynał, ale i odśpiewał aż dwie zwrotki swojej ulubionej pieśni:

Na niebie skowronek śpiewa,
listki śpiewają na drzewach.
Wypijemy, pogadamy,
razem z nimi zaśpiewamy...

Tak było i tego wieczoru. Chowraszkiewicz i teraz nie darował, i zaczął rozwlekłe objaśniać i komentować zaśpiewaną pieśń, czym wypłoszył od stołu prawie wszystkich gości, którzy w małych grupkach rozeszli się po sadzie. Mężczyźni jak zwykle mówili o polityce, a kobiety o mężczyznach.

Kiedy na sad Bubona opadły pierwsze cienie wieczoru, a w domu i na ganku zapaliły się żarówki, goście

zaczęli się rozchodzić. Pierwszy ulotnił się niepostrzeżenie Neszczadym, który, jak mówiono, nie bał się nikogo prócz własnego cienia i żony. Po nim wyszły Margaryta Izotowna i Zosia, by zdążyć na ostatni pociąg elektryczny do Kobylatyna Turbinnego. Żegnając się z gospodynią, Margaryta nie zapomniała oczywiście poddyktować jej dwóch najnowszych przepisów kulinarnych: na tort „iwmontan” (nazwa pisała się razem i fonetycznie), jak gotować śledzie na poduszczyce pod przykryciem...

Wkrótce po wyjściu Chowraszkiewicza zjawiała się milicja: był anonimowy telefon, że w domu Bubonów odbywają się pijackie orgie i chuligańskie awantury.

Czyżby Neszczadym?...

Ostatni opuścił dom Bubonów, jak zwykle, Chowraszkiewicz, długo jeszcze zanudzając cierpliwego gospodarza.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

w którym opowiada się o czarnej nocy, dniep-rzańskich bojach, starej lipie i jej szepcie, pocałunkach i innych atrybutach codzienności

Noc jak czarny kudłaty pies łąsiła się do podnóża Wołodymyrskiej Górki, kryła się w gąszczach, przesiadywała do rana pod drzewami i dużymi szarymi budynkami; lizała swym wilgotnym, chłodnym językiem brzeg Dniepru i nogi Ewy, zanurzone w wodzie starego Sławutycza; unosiła na drżących liściach drzew, jak na dłoniach, gęsty ziąb, napęlniając nim piersi Sidałkowskiego, który siedział obok Ewy oddychał metodą jogów. Noc odurzała ozonową świeżością, mrugała do nich niebiesko-pomarańczowymi ognikami starych boi, krzyczała w ciemność trwożnymi syrenami statków.

Ewa usiadła na ławce obok Sidałkowskiego i zamilkła. Jak w hawajskiej gitarze zerwała się w niej najdźwięczniejsza struna. Za to Sidałkowski rozkwitał jak aksamitka. Milczenie dziewczyny uznał za swój sukces.

— Zmarzłam — westchnęła granatowa kijowska noc ustami Ewy.

— Pod moim spojrzeniem? — spytała dnieprzańska boja głosem Sidałkowskiego.

— Nie jestem nietoperzem ani sową i w nocy nie widzę. Tylko czuję.

— Ja też, Ewo — Sidałkowski zdjął marynarkę, kupioną swego czasu przez mamunię Karapet, i włożył ją na ramiona Ewy, pochyłe jak skocznia narciarska. — To najszcześniejsze chwile w moim życiu.

— Proszę nie kłamać. Pan umie tylko pięknie mówić.

— U człowieka wszystko powinno być ładne: i myśli, i słowa, i pismo...

Ewa milczała, przytulając się od czasu do czasu do niego, jak dnieprzańska fala do nagrzanego w ciągu dnia brzegu. Sidałkowski również milczał, wsłuchując się w rytmiczne, ale przyspieszone bicie własnego serca oraz w plusk fal. Ewa ciężko westchnęła.

— Proszę tak nie wzdychać, bo na płacz mi się zbiera.

— Pan jest niedobry — westchnęła ponownie.

— Jogowie zalecają wzdychać, tak jak i oddychać, przez nos.

— Proszę mnie objąć — poprosiła nagle.

— Ciekawe, co dotąd przez cały czas robiłem?

— Nie tak chłodno. Mocniej! Jak pan się właściwie nazywa?

Sidałkowski wstydził się zarówno swego imienia, jak i prawdziwego nazwiska. Uważał je za beznadziejne archaizmy, dlatego przedstawiał się zawsze tak: Sidałkowski. Niekiedy dodawał wymyślony przez Kowbyka tytuł: hrabia Sidałkowski, arystokrata z Wapniarki.

Miało to przyjemne dla ucha brzmienie. Imienia nie wymieniał, wystarczało nowe nazwisko z tytułem.

— A jak pani panieńskie nazwisko? — Sidałkowski wreszcie objął Ewę i przytulił.

— Czupryna. A teraz nazywam się Granat. To mój pseudonim artystyczny.

— Jaki, jaki?

— Artystyczny. Ewa Granat, to dla artystki lepiej brzmi.

— A co pani robi?

— Gram.

— Na czym?

— Nie na czym, tylko w teatrze. Gram różne role.

— Tak szybko?

— Co „tak szybko”?

— Przecież mówiła pani, że dopiero kilka dni...

— Na razie próbuję różne role.

— Jakie?

— Różne, Julii, Anny Kareniny...

— A ja słyszałem, że pani gra kroki za sceną. Albo stukta obcasami imitując strzały...

— To nieprawda. Do odgłosu strzałów są pistolety. A ja biorę udział w scenach zbiorowych i jednocześnie przygotowuję się do poważnej roli.

— W porządku — Sidałkowski przeszedł na ton przewodniczącego rady zakładowej „Findipoczu”. — Dlaczego pani tak poniża Adama?

— Słuchaj pan, Sidałkowski... — Ewa odsunęła się od niego, patrząc mu prosto w oczy. — Nie znoszę morałów. Nie jesteśmy na zebraniu związkowym. Proszę zabrać swoją marynarkę. Nie jest mi potrzebna.

— Jak Adam?

— Nie, jak pan. A Adam to złoty człowiek. Jest mi wierny jak... — Ewa bezskutecznie szukała porównania. — Nie to co pan. On kocha mnie do szaleństwa.

— Więc dlaczego nie przytula się pani do niego?

— Nie wiem. Kobiety już takie są, że nie lubią tych, którzy je kochają prawdziwie, a przepadają za tymi, którzy nimi tylko się bawią.

— Więc dlaczego pani wyszła za mąż? I to jeszcze w taki sposób.

— To pan też wie?

— Adam jest jak niewspółczesny sklep: to co w sklepie, to i na wystawie. Opowiadał mi, jak po raz pierwszy odważył się ożenić.

— Dlaczego po raz pierwszy?

— Bo jestem pewny, że odważy się jeszcze po raz drugi.

— Tak pan sądzi?

— Oczywiście. Tylko chyba nie w taki sposób. Czy to prawda?

— A cóż w tym dziwnego? On zaproponował, a ja postanowiłam to sprawdzić. Okazał się człowiekiem. Pierwszym, który mnie nie okłamał. A wyszłam za niego także i dlatego, że oszukał mnie jeden taki przystojniak jak pan. Obiecał się ożenić i wziął inną. Więc skorzystałam z pierwszej okazji i wyszłam za Adama. Tamtemu na złość. No i poza tym dlatego, żeby wyjechać do Kijowa. A teraz to mi u nas wszyscy zazdroszczą. Tamten też — Ewa wyjęła papierosa i zapaliła.

— Pani pali?

— Dlaczego pan się tak dziwi? Nie widział pan jeszcze palących dziewcząt?

— Wprost przeciwnie: już dawno nie widziałem dziewczyny niepalącej.

— A pan jest temu przeciwny?

— Dlaczego mam być przeciwny, kiedy cała Europa jest „za”.

— A co pan powie Adamowi, kiedy spyta, z kim ja teraz chodzę?

— Powiem mu to, co wczoraj. Niech pan będzie

dzielny i wysłucha mnie do końca: Ewa zakochała się we mnie.

— Ale pan zarozumiała!

— I powiem mu jeszcze, że Ewa przez samego Boga stworzona jest dla mnie. Jest taka sama jak ja. Oczy Adama będą krzyczeć jak skrzydła postrzelonego ptaka, spadającego na ziemię. I powiem mu jeszcze: „Proszę nie płakać, Adamie. I wierzyć mnie, a nie Ewie. Pan był dla niej tylko polem startowym do wylądowania w Kijowie”.

— Pan jest wredny! — Ewa nagle zerwała się z miejsca. — Pan nie może mu tego powiedzieć!

— To przecież prawda — Sidałkowski siedział zadowolony, nawet szczęśliwy. — A potem powiem mu prawdę: Adamie, Ewa kocha mnie...

— To nieprawda — krzyknęła Ewa zduszonym głosem.

— Proszę nie podskakiwać tak wysoko. To po pierwsze. A po drugie, proszę uzbroić się w cierpliwość i wysłuchać rozmówcy, którego towarzystwo jest dla pani równie interesujące, jak teatr.

— W porządku — Ewa usiadła. — A co będzie dalej?

— Adam chwyci się za głowę i ze słowami: „Moja Ewa kocha nie mnie, lecz pana!” — wybiegnie z „Findikoczu” i będzie chodzić po mieście z miną człowieka, który zgubił kupon „toto-lotka”, na jaki padł milion.

— Jest pan fantastyczny! Jestem rzeczywiście w panu zakochana! Proszę mnie pocałować...

— Nie, Ewo. Jestem kolegą Adama. I moje koleżeńskie sumienie — przypomniał sobie frazes Bubona — na to nie pozwala.

— Pan to był chyba w szkole prymusem. I mamin-synkiem.

— Ani pierwsze, ani drugie.

— No to wkuwał pan przez całe życie chemiczne wzory. A ja chemii nienawidzę. Tak jak i pana! —

Ewa znowu wstała, usiłując zrzucić marynarkę. — Właściwie to z pana porządny facet. Za porządny... Jeszcze mi się nie zdarzyło, żeby mi ktoś nie uległ. Pan pierwszy... Ale dlaczego pan... kpi ze mnie? — głos Ewy nabrał nieprzyjemnego odcienia, chociaż jej słowa przyjemnie głaskały jego próżność. — Zaraz się utopię. Tak, chyba się utopię. I nie zostawię żadnego listu. Będzie pan miał mnie na sumieniu — Ewa zdjęła pantofelki i stanęła boso na betonie.

— Po co pani zdjęła pantofle? Można się przeziębic. To raz. A poza tym pantofle to dodatkowy ciężar, lepiej się idzie na dno — objął ją łagodnie.

Ewa teatralnym ruchem odrzuciła głowę. „Takich gestów w scenach zbiorowych chyba nie uczą”, pomyślał. Ale jednocześnie zastanawiał się, czy ma jednak Ewę pocałować i czy zatwierdzą plan związkowy na trzeci kwartał.

— Kocham pana — wyszeptała. — Jaki pan właściwie jest? Piękny i uczciwy, czy... A Adamowi sama wszystko powiem. On mi przebaczy. Ja go znam... — Ewa odwróciła się do Sidałkowskiego i spojrzała mu w oczy. — Chce pan jabłko? — wyjęła z torebki jabłko, nadgryzła je, on zrobił to samo.

— Gotów jestem umrzeć w pani objęciach i na zawsze zadomowić się w pani pamięci.

— Jakiś ty! — szepnęła Ewa.

Sidałkowski nachylił się, by dowiedzieć się, o czym ona szepce, ale usłyszał nad sobą tylko szept lipy.

— Pocałuj mnie — wszeptała mu w same ucho. — I nie mów tyle.

— Nie spotkałem jeszcze w swoim życiu kobiety wspanialszej od pani. Proszę mi wierzyć...

— Nie wierzę panu. Mówi pan znowu tak jak wszyscy. Słyszałam to już wiele razy. Ewie zimno... Twoja Ewa zmarzła...

— Od mojego spojrzenia?

— Od twoich słów.

Sidałkowski przycisnął Ewę do swoich rozgrzanych i dyszących piersi...

Wracił do domu bardzo późno. Noc szła za nim w narzuconym na ramiona ciemnogramatowym szalu, obsypanym cętkami gwiazd, muskając nim zobojętniałego na otoczenie Sidałkowskiego. Opędzał się przed nią rozdrażniony, przyspieszając kroku i staczając walki ze swoim sumieniem. Ale noc go doganiała, sprowadzała na manowce ciemnych zaułków, rechotała pobrzękiwaniem drutów tramwajowych. Sidałkowski kroczył jednak uparcie ku odległym neonowym światłom, których noc bała się jak błona fotograficzna — światła.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

w którym opowiada się o czarnej „Woldze”, Europie i europejczykach, nieoczekiwanym odkryciu, raz jeszcze o kobietach, miłości i winie oraz o operacji kodowej „Dwa S”

W sobotę o ósmej przed domem Czudłowskiego zatrzymała się ta sama czarna „Wołga”, która poprzedniego dnia podjechała pod dom Bubona. Wysiadł z niej Sidałkowski w szarozielonej kurtce. Hrak podszedł do furtki.

— Nie poznałem ciebie. Myślałem, że to milicja. Uczuliłeś mnie na nią.

— Przez te dwa dni chyba dobrze pan wypchał sobie kieszenie złotem. Doskonale. Nam właśnie brakuje takich złotych rączek.

Hrak zmierzył go od stóp do głów. W górnej kieszeni sterczały dwa ostro zatemperowane ołówki, długopis i notes zapisany gęsto jakimiś cyframi.

— Jeśli moja pierwsza hipoteza nie potwierdzi się —

rzekł Sidałkowski jakby w odpowiedzi na nieme pytanie Hraka — to trzeba będzie dobrać się do autostrady. Będziemy pracować z przerwami: papieros, ćwiartka, zakąska. Tak jak wszędzie.

— Pan przecież wie, że nie piję.

— Wiem. Nie ma się pan czym chwalić. Będzie podział pracy: ja będę pić, a pan kopać. Zdobył pan młot mechaniczny?

— Nie, nikt nie ma.

— Nie szkodzi. Na razie nam niepotrzebny. Teraz będziemy kopać tu. Rozszyfrowałem ten plan. Otóż KG2S znaczy „koło gruszy dwie śliwy”. A PKSZS, to „pod krzakiem smorodiny * zakopano skarb”.

— Ale pod którym? Tu pełno takich krzaków.

— Będziemy kopać pod każdym. Mam nadzieję, że starczy panu sił. Musimy jednak uzgodnić jedną rzecz: żeby pan nie dokopał się do równika, bo nie mamy wizy. A poza tym mogłoby to wywołać międzynarodowe komplikacje.

Hrak nie był zachwycony tyradą Sidałkowskiego, zwłaszcza stwierdzeniem „starczy panu sił”. A on, Sidałkowski? Nie będzie kopał?

Sidałkowski jakby odgadł jego myśli — jeszcze jeden dowód na istnienie telepatii.

— Jak już panu mówiłem, ani złoto, ani diamenty mnie nie interesują. Jestem romantykiem, a romantycy oczekują od życia tylko przygód. A gdzie pański teść?

— Pojechał z Zosią na targ.

— Bardzo słusznie. Namówił ich pan na to czy zmusił, Hrak? Parda, od dziś Hrak-Czudłowski. Tak się panu chyba lepiej podoba?

— Nic podobnego.

— Niech pan nie udaje. Małym ludziom zawsze się podoba, kiedy ma się ich za większych, niż są w rzeczy-

Porzeczka (ukr. i ros.).

wistości. No, dość gadania, proszę brać narzędzia i do roboty!

Jewmen posłusznie zarzucił na ramię oskard, łopate i łom i powlókł się za Sidałkowskim do sadu.

— Niech pan zaczyna kopać od tego pierwszego krzaka. I niech panu Pan Bóg dopomoże, na mnie proszę nie liczyć.

Hrak splunął fachowo w dłonie i chwycił łopate.

— Proszę wbijać łopate głębiej — poradził Sidałkowski. — Metodą kreta.

Słońce wznosiło się nad Kobylatynem Turbinnym coraz wyżej, złocąc uszy Hraka z niebieskimi żyłkami. „Chyba po raz pierwszy w życiu Hrak ucziwie pracuje” — pomyślał Sidałkowski.

Wkrótce rów, wykopany między krzakami porzeczek, wydał się Sidałkowskiemu bezpiecznym okopem polowym. Mógłby się w nim pomieścić batalion piechoty z całym wyposażeniem technicznym.

— Ma pan talent, Hrak! — kpił Sidałkowski. — Teraz powinien pan umocnić się na zajętych pozycjach, odpocząć, a potem kopać dalej.

— Jesteś śmierzący leń, Sidałkowski. A czy wiesz, że lenie żyją krócej? To dowiedzione przez naukowców.

— Takich jak pan?

— Nie, solidniejszych.

— Co pan rozumie przez solidność? Powierzchność, staż, wiek?

— Ech, Sidałkowski!...

— Zapomina pan, że lepiej przeżyć trzydzieści lat zajadając kawior niż siedemdziesiąt siedem na dorszu.

Na niebie zawisnął skowronek, zatrzepotał skrzydłami i zachłysnął się trelami.

— Co pan sądzi o tym niebiańskim słowiku? Solidnie pracuje i, proszę sobie wyobrazić, nie za pieniądze. Bezinteresownie zawsze lepiej wychodzi. A jak pan sądzi? Milczy pan? Nie ma pan po prostu nic do powie-

dzenia. A ja jestem jak ten niebiański słowik; niewiele mi trzeba do szczęścia: błękitne niebo, jasne słońce, pszczoły dzwoniące na malwach i śpiew zawieszonoego w błękitcie skowronka. Kiedy słyszę tego ptaka, momentalnie staję się Sidałkowskim numer jeden. Czy pan u siebie tego nie zauważył? Czy w panu jest tylko jeden osobnik? Bo we mnie żyje kilku, jeden lepszy od drugiego. O panu nie da się tego powiedzieć. Wszystko zresztą powiedział o panu Straton Stratonowicz.

— A co on takiego o mnie powiedział? — Hrak wysunął się z rowu.

— Co takiego? Więc ciągle pozostaje pan w błogiej nieświadomości? Powiedział, że jest pan supergeniuszem. Reszty proszę spróbować dowiedzieć się od kogo innego. Nie zamierzam pana intrygować, ale też nie lubię powtarzać cudzych cytatów. Ja je adaptuję na własny użytek. A Stratona Stratonowicza nie uda się panu przekabacić. On jest niepodatny na transformacje. To oryginał.

Hrak go nie słuchał. Z czarnego otworu na ścieżkę wylatywała ziemia, zmieszana z wapieniem muszlowym. Gdyby Chowraszkiewicz to ujrzał, powiedziałby niewątpliwie: „Więc powiadam wam, że tu kiedyś... w Kobylatynie... a wy się nie śmiejcie, bo to naukowo udowodnione, więc było tu zapewne morze... A być może nawet dopływ Dniepru... Proszę spojrzeć, jaki muszlowiec!”

Nagle Hrak wyskoczył z jamy.

— Uff! Ciemno jak w kopalni!

— A był pan kiedy w kopalni?

— No to jak w lochu.

— To już lepsze. Z własnego doświadczenia.

— Daj łyk wody i zapal kaganek.

— Czy wodę pije pan też tak jak wódkę, czy wódkę jak wodę? — Sidałkowski nadstawił twarz do słońca.

— Może chociaż trochę pokopiesz, doktorze?

— Pan mnie obraża, Hrak. Mam wszystko z importu: spodnie, marynarkę, czapkę, pływki i nawet spinaki. Tylko ciało z Tomaszpola. Słyszał pan kiedy o takim mieście? Jestem rodem z Tomaszpola. Ale jako inteligent uformowałem się w Wapniarce. Na placu dworcowym. Między Tomaszpołem a Odessą. Przez Wapniarkę przechodzą wszystkie zagraniczne pociągi. Więc proszę mnie nie porównywać z sobą, Hrak. Jestem Europejczykiem! A poza tym wczoraj zrobiłem sobie świeży manikiur.

— A pedikiuru sobie nie robisz?

— Tylko wtedy, kiedy spotykam się z kobietami, które przypominają boginie z tymczasowym zameldowaniem na ziemi, a stałym w Kijowie.

— Więc po coś tu przyszedł?

— Z ciekawości. Interesuje mnie, ile metrów sześciennych ziemi może wykopać człowiek, przekonany, że dokopie się złota lub innego szlachetnego metalu.

— Bądź człowiekiem, pokop trochę... Patrz, jak mi się trzęsą ręce ze zmęczenia!

— Niech pan nie skomli. Nie do twarzy panu. A że trzęsą się ręce? To normalny objaw: zaczyna się u pana gorączka złota. Ale wnet minie. Proszę trochę odpocząć. Porozmawiamy na pański ulubiony temat: o kobietach, o pańskich sukcesach na tym polu.

Słońce wznosiło się coraz wyżej, a Hrak wgryzał się w ziemię coraz głębiej. Wreszcie wyłonił się na powierzchni, żeby łyknąć trochę świeżego powietrza.

— Niech pan ogoli piersi, już tyle razy panu radziłem. Będzie pan wtedy wyglądał jak normalny robotnik drogowy. No i chociaż trochę się pan opali. I jeszcze jedno — Sidałkowski podał mu flaszkę z wodą. — Proszę nie kopać pod samymi krzakami. Niech pan spojrzy, co pan zrobił: krzaki dogorywają. Skarbu trzeba szukać głębiej, tylko oczywiście nie pod dnem Oceanu Indyjskiego. Nie znajdzie pan tam azylu politycznego. Nawet

gdyby pan miał kilka woreczków z diamentami. Trzeba się zawsze trzymać złotego środka.

— Pokopiesz?

— Zaczyna się pan powtarzać i mnie zmuszać do tego samego. Przecież ktoś musi kierować. Ktoś musi być, że tak powiem, na górze. Poza tym rozszyfrowałem dla pana plan, podsunąłem ideę.

— Ty wszystkim tylko podsuwasz idee — rozzłościł się Hrak, ocierając pot z czoła. — I wszyscy ciebie lubią, z wyjątkiem tych, którzy te twoje idee wcielają w życie.

Hrak wskoczył do czarnego otworu. Lina, którą obwiązał się przed dwiema godzinami, rozwinęła się już na dwa metry.

— Czego to z ludzi nie robi złoto — kpił Sidałkowski, kiedy Hrak znowu pojawił się na powierzchni. — Wnet przekroczy pan nielegalnie granicę. Ciekaw jestem, czy po tamtej stronie też jest czarnoziem?

— Wleź, to sam zobaczysz!

Jewmen Mikołajowicz odkorkował flaszkę i zbliżył do zabrudzonych ziemią warg. Pił wolno, grdyka poruszała się rytmicznie.

— Kiedy patrzę, jak pan pije, to mój żołądek zaczyna wydzielać sok. Czas coś przegryźć.

— Coś ty?! Nie wezmę nic do ust, zanim nie znajdę skarbu.

— Podoba mi się pański optymizm. Ciekawe, co zrobi pan z tym złotem, jeśli go pan znajdzie?

— Kupię najwspanialszy samochód...

— Radzę „Cadillaca”. Wszystkie urządzenia jak w domu... A co jeszcze?

— Będę nim woził dziewczęta...

— A co na to Zosia?

— Zosia? To przecież tylko moja żona. A ja kocham kobiety, wino i pieniądze.

— Czy to pańska dewiza?

— Czego więcej człowiekowi trzeba? Nie jestem obłudny tak jak ty, nie przystrajam wszystkiego pięknymi frazesami. Też chcę dobrze żyć, ale nie tak jak ty... Trwonić pieniądze można tylko wtedy, kiedy się je ma, a ty z pustą kieszenią zgrywasz się na milionera. Odstawiasz arystokratę, który dla zaimponowania ludziom je kawior, a w domu odsmaża na obiad ziemniaki sprzed trzech dni. Znam cię dobrze. Żyjesz tylko z dnia na dzień jak ten konik polny, który ćwierka tam w rowie przydrożnym. Ja tak nie chcę żyć. Chcę pić „Martini” nie tylko w barze dla cudzoziemców, ale i u siebie w domu.

— Jestem tym wstrząśnięty, Hrak! Jest pan gorszy, niż sobie wyobrażałem. Pan też zamierza zostać arystokratą? O Hrak, Hrak! Skąd to się u pana wzięło? W zasadzie to nawet przyjemnie mi słyszeć o pańskim arystokratyzmie, niezależnie od tego, w jakiej formie się przejawia. Szkoda, że ma pan taką powierzchowność, nie mówiąc już o manierach...

— Jesteś jak zwykle zbyt wysokiego mniemania o sobie... I zdaje ci się, że jesteś diabli wiedzą do czego stworzony...

— Nie tylko diabli, ja też wiem: dla idei i dla kobiet...

— Też lubię kobiety, nie mniej niż ty...

— Pan je lubi bardziej ode mnie, bo może pan o nich tylko marzyć. A dla mnie są realną codziennością. Codzienność zawsze jest bardziej prozaiczna od nieziszczalnych marzeń.

— Podrywasz je swoją zakichaną urodą.

— To nie wystarczy, Hrak. Potrzebna jeszcze umiejętność i własny styl, a to nie każdemu dane.

— Jeśli będę bogaty, to będą i kobiety. To tylko sprawa ceny.

— A fe! Nie wiedziałem, że pan żyje tylko dla kobiet, wina i pieniędzy. Karol Iwanowicz na przykład

żyje dla dzieci, Chowraszkiewicz dla wielkich odkryć i trochę dla Kowbyka, Pancziszka dla zadowolenia, Czyhyrenko-Repniński dla sztuki, Adam dla Ewy, Ewa dla siebie samej, Nieszczadym dla innych, pod warunkiem że tym innym będzie źle, a jemu dobrze. A dla kogo i po co żyje pan? Dla jakiegoś metalu, z którego chce pan wytopić swoje mizerne marzenie?

— A po co żyjesz ty, Sidałkowski?

— Ja? — Jewgraf zamyślił się. — Dla piękna. W człowieku wszystko powinno być piękne: figura, słowo i oczywiście charakter pisma. Czy pan zauważył, że często mówię o tym charakterze pisma? Bo w nim odbija się dusza. Kiedy ujrzałem pańskie pismo, od razu wiedziałem, kim pan jest. Lubię elegancję w każdej postaci. Każdy zresztą marzy o tym, czego mu brakuje... Tylko niech mi pan nie mydli oczu. Po co pan chce uchodzić za kogo innego? Pan nawet pić nie umie, a kobiet boi się pan bardziej niż samego siebie. Czy pan kiedykolwiek rozbierał kobietę?

— Rozbierałem.

— Kłamie pan! Pan nie jest zdolny do tego.

— Słowo honoru, że rozbierałem!

— I czym się to skończyło? Ale szczerze.

— Dostałem po gębie.

— No i sam pan widzi. Tu nie wystarczy dyplom, nawet z odznaczeniem. Takim jak pan nawet złoto nie pomoże... Więc lepiej być sobą.

— A ty?

— Co ja?

— A dlaczego ty nie potrafisz być sobą? Też nie jesteś tym, kogo udajesz. Wszyscy to widzą. Wszystko w tobie jest sztuczne i nagrane — Hrak pograżył się z powrotem w ziemi.

Sidałkowski zamyślił się. Nie może już przecież wrócić do poprzedniego życia i do samego siebie. Ale czy

ono kiedyś było, to poprzednie życie? Imponowało mu wszystko, co nowe, spektakularne, eleganckie, arystokratyczne, jak mu się wydawało. Nie mógł już powrócić do dawnej skóry. Nie mógł i nie chciał. Wiedział, że od dawna koegzystuje w nim Sidałkowski-pierwszy i Sidałkowski-drugi. Ale otoczenie znało tylko Sidałkowskiego-drugiego. I nagle zarzut sztuczności? I „nagrywania”? Nawet Hrak to zauważył. Przypomniały mu się słowa Sławatija Murczenki: „Od razu widać, że jesteś z prowincji”. „Dopiero w trzecim pokoleniu rodzą się inteligenci” — powiedział mu Kowbyk. Ale Karapet zapewniła go przecież: „Nigdy bym nie powiedziała, że pan ze wsi”. No i teraz Hrak: że wszystko jest nagrane, sztuczne, fałszywe, że zgrywa się na arystokratę, ale mu się to nie udaje. A przecież Filarët Karłowicz powiedział: „Od razu widać, że w pańskich żyłach płynie szlachetna krew”... No tak, a znów we wsi mawiali: „Patrzcie, jakiego miastowego franta odstawia Sidałkowej syn. Aż śmiech bierze!...”

Sidałkowski (był to chyba Sidałkowski-pierwszy) poczuł, jak krew pulsuje mu w skroniach i zalewa twarz. Czuł się śmieszny, a ludzie niczego się tak nie boją, jak śmieszności. No bo w mieście, mimo stołecznej maski, uważano go za prowincjusza, a na wsi już przestali uznawać za swego. Przypominał teraz człowieka, który odważył się skoczyć ze spadochronem na ziemię, ale zawisł na drzewie i teraz nie mógł już bez pomocy innych ani unieść się w powietrze, ani osiągnąć ziemi.

Jego gorzkie rozmyślania przerwało nagle pojawienie się Hraka.

— Znalazłem. Daj łom...

Sidałkowski chyba po raz pierwszy poczuł naprawdę, gdzie ma serce. A Hrak zniknął pod ziemią tak samo nagle, jak się pojawił. Do Sidałkowskiego doszły silne, ale nieco przytłumione uderzenia o coś twardego i metalowego.

— Cholera! — zaklął po polsku, ukląkł i zajrzał do jamy. Coś uderzyło go w twarz i odrzuciło z siłą do tyłu. Stracił przytomność...

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

w którym opowiada się o nowych odkryciach, rozczarowaniu i radości Hraka, złotym deszczu i o nieoczekiwanym zakończeniu

Sidałkowski odzyskawszy przytomność wytarł chusteczką twarz i otworzył oczy. Zza krzaków, spod ziemi, prosto z czarnego otworu, jak trąba morska, ze świstem uderzyła niebieska fontanna.

— Nigdy bym nie pomyślał, że tak prymitywnym sposobem można dobrać się do podziemnych źródeł. Gratuluję panu, Hrak! — Sidałkowski wstał i podszedł do Jewmena, który ze strachu mrugał oczami i chyba płakał. — Proszę wytrzeć łzy i cieszyć się. Jest pan prawdziwym pionierem! Pan pierwszy tylko za pomocą zwykłego łomu urządził w sadzie teścia taki potężny wodotrysk! Zdaje się, że ta pańska studnia artezyjska to...

Sidałkowski nie dokończył. Skrzypnęła furtka i nad słonecznikami ukazały się wąsy Filareta Karłowicza. Jego oczy miały błyskawice, od których zaczęły momentalnie więdnąć liście kukurydzy.

— Co tu się dzieje, do cholery!

— Dzień dobry, Filarecie Karłowiczu! — Sidałkowski wstrzymując uśmiech uściśnął mu dłoń. — Powinien pan nie kląć, lecz pogratulować zięciowi. Dokołał się jednak: będzie pan miał teraz w swoim sadzie studnię artezyjską do własnej dyspozycji.

— Do cholery ze studnią! — zagrzemiał Czudłowski. — Ja tego wariata powieszę zaraz na pierwszej gałęzi.

— Samosądy, podobnie jak wąskie spodnie, wyszły już z mody.

Hrak, który przez dłuższy czas był jak zamroczony, podniósł się i twarz jego ułożyła się w jakiś śmieszny grymas.

— Nie powinien pan tak brać sobie do serca swoich sukcesów — kpił Sidałkowski. — Proszę wytrzeć rękę i podać Filaretowi Karłowiczowi, który chce panu osobiście pogratulować. Przecież nie każdy może pochwalić się własną fontanną... Prawda, Filarecie Karłowiczu?

— Taki sam z pana wariat jak on! — Czudłowski dokonał po żołniersku „w tył zwrot” i ruszył generalskim krokiem. — Żebyście mi to zaraz zasypali! — rzucał tonem komendy. — Stawu w sadzie nie potrzebuję!

Ale Sidałkowski już tego nie słuchał, wpatrzony w Hraka.

— Zachwycam się panem coraz bardziej, nawet bardziej niż pański teść. Podzieli się pan ze mną doświadczeniem? Jak panu się to udało?

— Idź do diabła! Koło gruszy dwie śliwy... — przedrzeźniał Sidałkowskiego.

— Pan należy do trudnych dzieci i ciężko pana wychować, Hrak. Nawet akademia jest wobec takich bezsilna. No, a teraz niech pan mówi, co i jak. Co to tak zadzwięczało, jeśli to oczywiście nie zawodowa tajemnica?

Hrak przez jakiś czas milczał. Widać było, że ta fontanna była dla niego jeszcze większą niespodzianką niż dla Sidałkowskiego.

— To oskard uderzył o metal — zaczął po chwili. — Tak się ucieszyłem, że chyba straciłem przytomność. Byłem pewny, że to skrzynka ze złotem...

— A co to było?

— Przewód wodociągowy. To jeszcze do ciebie nie dotarło?

Sidałkowski zaniósł się serdecznym śmiechem, łapiąc się za brzuch, a potem ze śmiechu zaczął się tarzać w trawie.

— Nie, Hrak, pan jest nie geniuszem, lecz supergeniuszem! Nigdy bym nie pomyślał, że szukając szlachetnego metalu można tak łatwo zwyczajnym łomem przedziurawić żelazną rurę... Co prawda, kiedy poszukuje się złota, siły się potrajają...

— Trafiłem akurat na złącze... A poza tym rury są już mocno zżarte rdzą.

— Wszystko jedno, ale jest pan dla mnie i tak Atlas, chociaż na pierwsze wejrzenie tego nie widać...

— A ty zamiast gadać, łap się za drugą łopatę. Trzeba szybko zasypać tę jamę, zanim zjedzie tu pogotowie wodociągowe.

— Falszywy adres, szanowny, jak mawia Bubon. Czarna robota jest dla mnie przeciwwskazana, jak twierdzi medycyna, a nie mam podstaw, żeby jej nie wierzyć — uśmiechnął się Sidałkowski, zdejmując kurtkę.

Po godzinie nasi nieumyści bohaterowie, którzy nie spodziewali się takiego finału, siedzieli w milczeniu na ganku. Sidałkowski patrzył to na Cerbera, to na Hraka. Pierwszy dyszał z wywalonym ozorem, drugi wzdychał i robił tak żałosne miny, że Sidałkowski zaniepokoił się.

— Hrak, co z panem?

— Nic. Płaczę.

— Na sucho? Bez łez? Z pana jednak oryginał. Jestem w panu coraz bardziej zakochany. — Sidałkowski nie pozwalał sobie nigdy ani na smutek, ani na szeroki uśmiech, uważał bowiem, że przyczyniają się do powstawania zmarszczek, których nie zlikwiduje nawet żadna importowana kosmetyka. — No cóż, „Cadillac” i kobiety mogą jeszcze poczekać. Tymczasem trzeba zmyć z siebie ten rzeczowy dowód poszukiwaczy złota.

Proszę przynieść mydło i ręcznik — zakończył Sidałkowski podchodząc do umywalni, wiszącej na słupie w pobliżu ganku, gdzie — jak stróże ciszy i spokoju tego domu — warowały dwa gipsowe sfinksy wielkości jednorocznych cieląt.

— Patrzą tak na te sfinksy i myślę...

Hrak podał mydło, które wysliznęło mu się z rąk i upadło na trawę. Sidałkowski pochylił się i zamarł... To, co zobaczył, zmroziło mu krew w żyłach, jak pisze się w powieściach kryminalnych. Wziął jednak się w karby i krew znowu zaczęła pulsować, wykonując małe i duże koła krwiobiegu.

„Więc jednak nie wszystko stracone. Szukaliśmy nie tam, gdzie trzeba. Dwa S? Dwa S!”

— Jak mogłem od razu nie wpaść na to?! — krzyknął, kiedy Hrak wyszedł z mieszkania z ręcznikiem. — Szkoda, że pański ukochany teść tak wcześniej wrócił z targu.

— Czego szkoda? Wyglądasz, jak sędzia śledczy, który szukał niedopałka, a znalazł samego przestępcę.

— Nie myli się pan, panie Czudłowski. Przepraszam, Czudłowski-Hrak. Gdyby nie było teraz nikogo w domu, to w ciągu kilku minut stałby się pan Rothschildem — Sidałkowski namydlił sobie twarz. — Nie szukaliśmy we właściwym miejscu. Zaraz panu pokażę, gdzie trzeba szukać. Tylko mam do pana prośbę: tym razem bez żadnych sztuczek cyrkowych. Żadnych źródeł, żadnego uranu czy tym bardziej gazu ziemnego.

— Nie możesz krócej?

— Dla pana wszystko. Otóż odgadłem, co oznaczają te „dwa S” na planie. To po prostu dwa sfinksy. Tylko błagam, niech pan się weźmie w garść. Otóż złoto jest tu — Sidałkowski poklepał po grzbiecie jednego sfinksa. — Niech pan mu zajrzy pod ogon... Ja wcale nie żartuję, Hrak... Kiedy podnosiłem mydło z trawy, dostrzegłem to.

Hrak spojrział z niedowierzaniem na Sidałkowskiego, pochylił się jednak.

— I co pan widzi?

— Nic — Hrak stał zmieszany, nie wiedząc, czy Sidałkowski i tym razem kpi z niego, czy też mówi serio.

— Oj, Hrak, Hrak! Z pana nigdy nie będzie Poincaré. Nawet mały. Widzi pan ten otwór? Taki sam jak w automatach z wodą sodową. A tam gdzie jest otwór, tam pieniądze. A gdzie pieniądze, Hrak, tam kobiety, wino i miłość. Krótkotrwała co prawda, jak to w życiu.

Hrak poczuł dreszcze. Jego ciało pokryło się zimnym potem. Dopiero teraz zobaczył dwa jednakowe otwory.

— W nocy może je pan wydoić!

— Kogo?

— Te sfinksy — Sidałkowski wyjął plan i pociągnął Hraka w głąb sadu, gdzie stała altanka.

Usiedli, Sidałkowski rozłożył na stoliku stary pergamin.

— Teraz nareszcie już wszystko rozszyfrowałem. KG2S znaczy „koło ganku dwa sfinksy”. A PKSZS to „pod każdym sfinksem złoty skarb” — Sidałkowski patrzył triumfalnie na Hraka.

— Ale tu namalowane jakieś drzewo, chyba sosna, obok krzaki, pagórek, rzeka...

— Niech pan nie będzie naiwny. To jest obliczone na takich właśnie jak pan prostaczków. Dla zamaskowania. Żeby odwrócić uwagę.

— A co oznaczają litery „z” i „s”?

— Przecież już panu mówiłem: złoty skarb — zapewniał Sidałkowski.

— Jak zwykle kpisz sobie ze mnie, doktorze.

— Proszę mnie posłuchać, supergeniuszu, panu potrzebne złoto czy litery? Plan jest teraz czytelny i jednoznaczny: „Koło ganku dwa sfinksy. Pod każdym sfinksem złoty skarb”. I to cały szyfr.

Hrak poskrobał się w tył głowy. Zimny pot ocieplił się i spływał mu teraz po grzbiecie.

— Miałby pan ochotę zaraz rzucić się na te niewinne zwierzęta i porozpruwać im brzuchy, prawda? Trzeba jednak poczekać do wieczora, to już niedługo.

Na ganku pojawiła się Zosia, jakby jeszcze wyższa.

— Ona ciągle jeszcze rośnie.

— Idź do diabła!

— Okazuje się, że nawet dyplom z odznaczeniem nie daje kultury. Tylko pewien zasób wiedzy, i to wątpliwej.

— Prosimy na kolację! — zawołała Zosia.

Podczas kolacji wszyscy byli w takim nastroju, jak Hrak w dniu swego ślubu.

Późnym wieczorem Hrak wyciągnął Sidałkowskiego z mieszkania.

— Pan zamierza natychmiast przystąpić do operacji pod kryptonimem „Dwa S”?

— Zgadłeś.

Hrak wziął latarnię, młotek, przecinak i oczywiście wiadro na złote monety. Sidałkowskiego postawił na czatach koło okna, w którym nieco odsłonił firankę, żeby można było widzieć, co dzieje się wewnątrz. Sidałkowski zajrzał przez tę szczelinę: generał wyjął z szafy swój mundur, włożył generalskie spodnie z lamпасami, ściągnął się pasem, z którego zwisał kordzik, i usiadł przed lustrem.

Zosia zdjęła bluzkę i zaczęła przymierzać stanik.

— Hrak! — zawołał cicho Sidałkowski, a kiedy ten podszedł, przycisnął jego twarz do dolnej szyby.

— Nie ma co oglądać — rzekł Hrak z rozczarowaniem. — Generał co wieczór wyjmuje z szafy swój mundur i kryguje się w nim przed lustrem.

— A Zosia?

— Co Zosia?

— Też co wieczór przymierza staniki?

— Jak ma coś nowego, to przymierza.

Hrak machnął ręką i powrócił do pierwszego sfinksa.

— Pan oszalał, Hrak! Gdzie mu pan wetknął przeci-
nak? Generał zaraz jutro wszystko zauważy. Niech pan
rozpruje mu brzuch.

— A gdzie u diabła sfinks ma brzuch?

— Niech pan zajrzy pod spód, może pod cokołami,
na których leżą te byczki...

Na szczęście postumenty, na których leżały ciężkie
gipsowe sfinksy, były puste. Hrak wsunął się do jedno-
go z nich i przewrócił się na plecy. Gips kruszył się
lekkko, jak kreda. Już po chwili Sidałkowski usłyszał
przyjemny dla ucha brzęk metalu o dno wiadra. Ama-
tor morza i przygód porzucił swój punkt obserwacyjny
i podbiegł do Hraka. Podczas gdy fontanna pod sosną
biła w niebo, tutaj — przeciwnie: jakby z nieba płynął
do wiadra strumień żółtych monet.

— Nareszcie! — westchnął Sidałkowski. — Złoty
deszcz leje się panu prosto do wiadra. Co pan z nim
zrobi?

Hrak milczał. Puls stukał szybciej niż jego zegarek.

— Już ci mówiłem. Natychmiast biorę rozwód. Pie-
niądze to swoboda i niezależność.

— Już raz panu powiedziałem, że pański życiorys
będzie pisał dalej sędzia śledczy. Gdzie pan podzieje to
złoto? Nie przekaże go pan państwu? A może podzieli
się pan z generałem? To chyba jego...

— Gdyby było jego, od razu domyśliłby się, dlaczego
przekopałem prawie cały jego sad.

— Ale to nieuczciwe.

— Pieniądze nie cuchną.

— Zaczyna mi się pan podobać coraz bardziej. Zacy-
tował pan Cyncerona. Po łacinie brzmi to: „Pecunia non
olet”. Już sobie wyobrażam tę pańską niezależność.
Oczywiście taki kompan jak ja nie będzie panu więcej

potrzebny. Oto do czego prowadzi bogactwo. I to nawet tak wspaniałego człowieka, jak pan.

Deszcz monet nagle ustał.

— Niech pan potrząśnie tą skarbonką — poradził Sidałkowski.

Nagle zerwał się z łańcucha Cerber, który zaczął szczeleć tak wściekle, że Sidałkowski na chwilę zamarł.

Na ganku stał generał Czudłowski ze strzelbą w rękach...

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

w którym opowiada się o spowiedzi generała, jego wspomnieniach i rozczarowaniach, znalezionym skarbie, kurtynie kryjącej jeszcze kilka tajemnic i o tęczącej przyszłości Sidałkowskiego

Generał leżał już drugi dzień. W mundurze, ale bez butów. Tapczan okazał się za krótki i nogi zwisały jak z prokrustowego łoża. Sidałkowski wszedł do pokoju cicho i ostrożnie. Filaret Karłowicz poruszył wąsami i wciągnął nogi pod kołdrę.

— Czego pan jeszcze chce ode mnie, Sidałkowski? Pan jest łajdak. Sympatyczny łajdak. Czy nikt jeszcze panu tego nie mówił?

— Mam to uważać za komplement czy za obelgę?

— Pan patrzy na życie jak na grę. Zabrał mi pan dla tej gry Zosię, zniweczył jej i moje nadzieje. Jestem pewny, że gdyby nie pan, to Hrak nigdy nie zostałby moim zięciem. To pan go do tego popchnął, pan mu to podsunął.

— Proszę nie przesadzać, Filarecie Karłowiczu.

— Proszę mi nie przerywać. Czy po to pan przyszedł?

— Słucham uważnie i milczę jak sfinks...

— Ten sfinks, którego rozpruł pan razem z moim zięciem? — Czudłowski wstał z tapczana.

Kordzik zaczepił o szklanę z herbatą i stłukł ją. Herbata wylała się na tapczan. Czudłowski zaklął, zdjął z czoła ręcznik i zaczął nim wycierać lepłą brunatną ciecz. W pokoju nagle się ściemniło. Błysnęło, błyskawica przecięła pół nieba i wydobyła z ciemności na mgnienie stary pergamin w rękach Czudłowskiego.

— To plan — rzekł Sidałkowski.

— Widzę — odparł cicho Czudłowski. — To przez ten plan zryliście mój sad i rozpruli sfinksy, a nasze spokojne życie zamieniliście w piekło. Z jakiej racji włamuje się pan w nasze rodzinne tajemnice?

— Tajemnice są po to, żeby je odkrywać.

— Ale ja ich nie mam.

— Gdyby pan ich nie miał, tobym nie przychodził do pana. Zaintrygował mnie pan tą zaszytą w marynarkę monetę z profilem Mikołaja II. Po co to było? Albo ten cały plan i ta przebieranka generalska... No i te sfinksy, które milczą podobnie jak pan. — Sidałkowski spojrzał pytająco na generała.

Filaret Karłowicz nie spuszczał z Sidałkowskiego swych dużych, wypukłych oczu i jakby odgadywał jego myśli.

— No cóż, tajemnice ma każdy z nas — zaczął po chwili. — Ale w życiu każdego nadchodzi moment, kiedy chce się wreszcie przed kimś wypowiedzieć, uwolnić swą duszę od gniotącego ciężaru. Taki właśnie moment nadszedł dziś dla mnie. Stary już jestem, ale nadal, podobnie jak pan, udaję nie tego, kim jestem naprawdę. I jeśli by pan spytał mnie, dlaczego, nie mógłbym na to odpowiedzieć. Przepraszam, jak pan ma na imię?

— Jewgraf.

— I pewnie dlatego nazywają pana w „Findipoczu” grafem?

— Może dlatego, a może z innych jeszcze powodów.

— Kiedy tak patrzę na pana, to myślę, że skończy pan kiedyś tak jak ja. Kompletnym rozczarowaniem. Zupełnym krachem. Gdy słuchałem pańskich opowieści o morskich podróżach, to patrzyłem na pana, a widziałem siebie. Wiem, że nie jest pan ani popem, ani księdzem. I nigdy ani jednym, ani drugim nie będzie. A jednak jest w panu coś, co skłania mnie do spowiedzi przed panem... Kiedy opowiadał pan o tych portach, w których pan nigdy nie był...

— Przepraszam, ale zawijałem rzeczywiście do Genui, Wenecji...

— Być może. Też kiedyś taki byłem: szukałem przygód, żyłem iluzjami A mam panu powiedzieć, kim się stałem?

Sidałkowski skinął głową. Chyba po raz pierwszy stracił poczucie humoru i optymizmu. Nagle ogarnął go smutek.

— Kobiety — Czudłowski zauważył, że Sidałkowski słucha go tym razem bardzo uważnie — kiedy jest im ciężko, to płaczą, jest im wówczas źlej. My, mężczyźni natomiast, kiedy przygniata nas jakiś ciężar, chcemy się nim podzielić z innym człowiekiem.

— Niech mnie pan dłużej nie intryguje. Ubóstwiam tajemnice tak jak piękne kobiety i wino. Proszę powiedzieć: skąd ta złota moneta, co to za plan, co to za historia z tymi sfinksami, napełnionymi żółtym metalem?

Zanim Filaret Karłowicz zbierze myśli, opowiemy szybko, co zdarzyło się tej sobotniej nocy w sadybie Czudłowskich...

...Monety sypały się z brzucha sfinksa jak złoty grad, a oczy Hraka przypominały popsuty, migający sygnalizator świetlny na skrzyżowaniu.

— Sidałkowski, co ja zrobię z tym złotem? — spytał cicho Hrak.

— Widzę, że pan jednak przejmując się przyszłością. Za granicę bym nie pryskał. Na pańskim miejscu oddałbym po prostu te monety państwu, a za otrzymany procent zbudowałbym sobie daczę. Gdzieś pod miastem. Blisko stolicy lub portu. Z lasem i rzeką w pobliżu. Czyhyrenko-Repniński pięknie by panu tę daczę pomalował, zwłaszcza od frontu.

— Dziwak z ciebie, Sidałkowski.

— To pan jest dziwakiem, nie ja.

— Nie dziwak? No to aktor.

— W tym życiu wszyscy są aktorami. Proszę się tylko dobrze ludziom przyjrzeć. Każdy gra jakąś rolę na miarę swoich możliwości. Tak, jestem aktorem, tylko bardziej od pana utalentowanym.

— A co zrobiłbyś z „Findipoczem”?

— Zbudowałbym fontannę z wodą złocistą, pomarańczową, różową, zieloną, żółtą, błękitną, niebieską... Na fasadzie „Findipoczu” płonąłby neonowy napis: „Damy każdemu obywatelowi po czapce”. Litery byłyby z tęczyowych piżmakowych czapek. Zbudowałbym stawy również z kolorową wodą i wodorostami, w których pływałyby piżmaki, kolorowe jak norki: błękitne, białe, aksamitne, bursztynowe, zielone, buraczkowe... Wyobraża pan sobie, Hrak? Nie, pan nie potrafi sobie tego wyobrazić, bo ma pan bardzo ubogą fantazję, supergeniuszu! — Sidałkowski wstał i poklepał sfinksa po grzbiecie. — Poza tym... — Sidałkowski spojrział na bezchmurne gwiazdziste niebo ze złośliwie uśmiechającym się księżycem. — Założyłbym też w „Findipoczu” ogród. Ale nie taki, jaki zamierza zrobić Chowraszkiewicz. To banalne. Jego fantazja, podobnie jak jego teorie, jest kusa, jak ogon jeża. W moim ogrodzie stałyby w alejach posągi Marsa i Zeusa, Posejdona i Neptuna, Wenus i Afrodyty, Odysa i Penelopy, Peruna i Jaryły. A także mego ulubionego Narcyza z Amazonkami. A dla pana postawiłbym posąg Apolla Belwederskiego,

dla Zosi Andromachę, a dla Dulczenko nimfę Kalipso. Kalipso.

— Co ty tu się ciągle popisujesz swoimi andromachami?

— Bo jestem żelaznym studentem, Hrak. Jest taka kategoria studentów, może pan słyszał?

— To już też słyszałem — Hrak ukląkł, objął wiadro pełne monet obu rękami i zaczął drżeć, nie wiadomo, czy z emocji, czy też z zimna, ale chyba z „gorączki złota”. — Powiedz mi, co zrobiłbyś z tym złotem na moim miejscu?

— Na pańskim miejscu? Po pierwsze, z nikim bym się nie dzielił. Po drugie, ukatrupiłbym współnika i jedynego świadka. Zdaje się, że ma pan na to wielką ochotę, bo oczy tak panu płoną, że blask złota przy nich blednie. A po trzecie, niech pan poświeci latarnią, bo wprawdzie słyszę, jak monety sypią się do wiadra, ale złota nie można sprawdzać tylko na słuch.

Mdłe światło latarni popełzło po wiadrze, do którego ciągle jeszcze sypały się żółte krażki.

— I jak tu panu nie zazdrościć? Najpierw złowił pan w „Findipoczu” ognistego ptaka ze stałym zameldowaniem i willą, potem wyruszył pan na poszukiwanie złotego runa i natrafił na złotą żyłę kobyłatyńskiego Klondike. Same sukcesy. Szczerze panu gratuluję! Dzień iluzji i... noc rozczarowań. Proszę się dobrze przyjrzeć tym monetom, jak pozieleniało z upływem czasu to pańskie złoto...

Hrak zanurzył w wiadrze rękę i przysunął ją do światła.

— Przecież to miedziane piątaki...

— Tym razem pan się nie pomylił.

Hraka opanowała wściekłość. Rzucił się z furią na drugiego sfinksa i wbił po sam trzonek dłuto w alabastrowe ciało w miejscu, gdzie zgodnie z anatomią powinno bić niewinne sfinksowe serce.

Nagle zaszczekał Cerber, a jego szczekanie pochwyciły wszystkie kobyłatyńskie psy. Z mieszkania wyskoczył ze strzelbą Czudłowski w całej swej generalskiej świetności, jak gdyby jeszcze tej nocy szykował się do wojskowej rewii. Generał zapalił na ganku światło. To, co ujrzał, zrobiło na nim większe wrażenie, niż gdyby zobaczył bitwę pod Piławcami.

— Wariat! — krzyczał. — Do cholery! Ty wariacie! Po co ci te miedziaki?!

To były jego ostatnie słowa. Padł jak podcięty kosą. Podnieśli go i nieprzytomnego zanieśli do mieszkania, i położyli na tapczanie.

...I oto Sidałkowski siedzi teraz naprzeciw niego ze złotą monetą i pergaminem w rękę.

— Jest w panu coś z przystojnego Mefista, Sidałkowski. Nawet trzy razy zwiedzione przez pana dziewczęta zaufają panu chyba po raz czwarty?

Sidałkowski milczał.

— No cóż, zwyciężył pan tym razem. Wypowiadam się przed panem.

— Tylko bez zbytniego kajania się, Filarecie Karłowiczu.

— Wszystkiemu winien jestem ja sam. Przez całe życie grałem komedię — rozpoczął spowiedź Czudłowski. — Teraz chyba po raz pierwszy chcę zrzucić z siebie tę komediancką maskę. Kiedy pan przyszedł do nas pierwszy raz i dostrzegłem, jak Zosia patrzy na pana, zrozumiałem, że jest w panu zakochana. Mimo iż wiedziała, że jest pan rozwiedziony i płaci alimenty. Ale usprawiedliwiała pana i była pewna, że pana oszukano. Ja natomiast jestem pewny, że takiego jak pan nikt nie oszuka.

— Zbyt mi pan pochlebia — zareagował skromnie Sidałkowski. — Tym razem pomylił się pan, nie chcę się jednak usprawiedliwiać: pan nie jest prokuratorem, a ja oskarżonym. Tak się to jakoś złożyło i niczego nie

żałuję. Dzieci samotnych matek też ktoś powinien utrzymywać...

— W porządku. Nie będziemy tego roztrząsać, bo to dla mojej spowiedzi i tak nie ma żadnego znaczenia. Kiedy więc zauważyłem, jak na pański widok Zosia się rumieni, dałem sobie słowo, że ożenię pana z nią. Sądziłem, że znam się na ludziach. Tyle ich przecież widziałem w swoim życiu! Wydał mi się pan człowiekiem interesu i pomyślałem sobie, że tacy ludzie jak pan dla grosza pójdą na wszystko. Zagrałem więc komedię. Ale się pomyliłem. Dla mnie skończyło się to dramatycznie. Jedno pańskie słowo, a Zosia byłaby pana. Ale panu nie to było w głowie. Przez całe życie się myliłem. Zawsze mi się wydawało, że jestem stworzony do czegoś szczególnego. W młodości też marzyłem o dalekich portach i nieznanym krajach. Szukałem przygód, a czym się to wszystko skończyło?!

— Ostatecznie stopień generała to wcale nieźle — przerwał mu Sidałkowski. — Nie wiem, co prawda, czy generał-lejtnant czy generał-pułkownik, ale zawsze generał... Nie widziałem dotąd pańskich dystynkcji...

Czudłowski wybałuszył oczy i zaczął ustami chwycić powietrze.

— Idź pan do cholery! — wypalił. — Jestem taki sam generał, jak pan graf. Przez całe życie byłem szwajcarem w restauracji i dzięki temu mundurowi z lamпасami przewali mnie generałem... Wie pan przecież, jakie u nas na Ukrainie ostre języki... No więc zostałem generałem Filaretem Karłowiczem Czudłowskim... Sprzedałem swój stary dom i przenieśliem się tutaj. Liczyłem na to, że zgubię to przezwisko, ale polazło za mną aż tu. Nie wiem jak. Później, już na emeryturze, sam zacząłem wierzyć, że jestem generałem. Kupiłem od znajomego pułkownika na emeryturze tę amfibię, sądząc, że zależy od tego szczęście

mojej jedynej córki. Ale i tym razem się pomyliłem.

— Marzenia i życie to zupełnie różne rzeczy...

— Teraz już wiem o tym. Dlatego tak ciężko przeżywam to niepotrzebne małżeństwo Zosi. Bałem się jednak, by nie została starą panną. To dla dziewczyny okropne...

— Okropne, ale nie najokropniejsze, Filarecie Karłowiczu.

— Pewnego razu — zwierzał się dalej Czudłowski — zaprosili mnie do szkoły jako generała na „błękitny ogień” uczniów. Nie poszedłem jednak. Wymówiłem się chorobą. Po tym zaproszeniu nawet Zosia uwierzyła, że jestem generałem. Teraz jestem na emeryturze. Emeryturę mam oczywiście nie generalską. Ale się nie skarżę. Mam wszystko. Kiedy jednak idę co miesiąc na pocztę odebrać emeryturę, nie zapominam wstąpić do kasy oszczędności, by przynieść Zosi prawdziwą generalską pensję. Pracując w restauracji coś niecoś zaoszczędziłem — Czudłowski zamilkł na chwilę, dotykając swoich niegdyś chwackich wąsów, które teraz żałośnie obwisły. — Nie chciałem, żeby Zosia się rozczarowała. Tak się mną chlubiła! Kiedyś pojechałem do Odessy i na tamtejszym bazarze kupiłem stare generalskie spodnie, bluzę, czapkę i akselbanty, a nawet trzy krzyże św. Jerzego, które kosztowały mnie dwuletnie napiwki. Nie jestem już młody, więc łatwo przekonałem Zosię, że wojowałem jeszcze w pierwszej wojnie światowej, że jestem kawalerem trzech carskich orderów, ale że lepiej o tym milczeć. Kordzik i pas sprzedał mi kelner z naszej restauracji. No i potem co wieczór przywdziewałem ten mundur, siadałem przed lustrem i przymykałem oczy... A Zosia, patrzyła na mnie i lubowała się tym widokiem. Wie pan, jaka z niej romantyczna marzycielka. Gdy tak patrzy na mnie, przeżywa różne bitwy i batalie, czuje zapach prochu, słyszy kanonadę i wybuchy pocisków. A ja przenoszę się w marzeniach

do mojej restauracji, gdzie w nocnym programie zgrabne tancerki popisują się ładnymi nóżkami w czarnych i brązowych ażurowych pończoszkach. Jak te kobietki się poruszały, z jakim wdziękiem zarzucały nogę na nogę, z jaką gracją paliły długie bułgarskie papierosy! Wie pan, gdybym był wtedy młodszy, to mógłbym dośłużyć się kelnera. Umiem trochę po niemiecku... No a teraz uczę się wojskowej terminologii. Specjalnie dla Zosi. Wypytuje mnie przecież często o różne bitwy... A ile widziałem w swoim życiu ładnych kobiet! — Czudłowski nagle ciężko westchnął. — Może dlatego tak późno się ożeniłem. Z Teresą. Zosia urodziła się późno. Gdzieś kiedyś wyczytałem, że z małżeństw zawartych w późnym wieku, rodzą się genialne dzieci. Zwłaszcza z małżeństw mieszanych. Ożeniłem się z Polką.

— A pan?

— Nie jestem Polakiem. Używam tylko kilku polskich słów. Zostały po Teresie. Umarła przy porodzie.

— Zaczął pan o kobietach. Z prawdziwą przyjemnością posłucham dalej. Nigdy nie przypuszczałem, że pan tak ciekawie potrafi opowiadać. Zwłaszcza o kobietach... A kobiety to również i mój ulubiony temat.

— O kobietach mogę opowiadać godzinami. Przez całe życie tylko je rozbierałem i ubierałem. A jakie to kobiety oddawały mi garderobę, jakie damy! Teraz to już chyba takich nie ma.

— Wszystko, co utracone, wydaje nam się dziś piękne, jak zgubiony los loteryjny.

— Ubierałem wytworne kobiety, uczonych, słynnych futbolistów, docentów... A ile artystek przeszło przez moje ręce! Tancerki, śpiewaczki, gwiazdy filmowe... Jakie one miały szyje, jakie ramiona, dekolty, biusty, ile miały gracji...

Sidałkowski nie przerywał, wpatrzony we własne wspomnienia.

— Być może, to chorobliwe, ale lubię przesiadywać

wieczorami przed lustrem, przy orderach, i patrzeć na siebie... Tylko ten pański wariat mi przeszkadza! Jak on mnie drażni tym swoim „tato”! Powiada, że to nie jest generalska bluza. „Pewnie ją tato kupił w Odesie...” Może by pan sam spojrzął?

— A skąd pan ma te złote monety? — Sidałkowski uchylił się od roli eksperta.

— O, to też bardzo ciekawa historia. Słyszał pan zapewne o sławetnej „szachini” z restauracji „Stołecznej”? Dzięki „oszczędnym” porcjom stała się w ciągu kilku lat milionerką. Skupowała serwisy, złoto, magnetofony, kryształ, złote zegarki, brylanty. Jeden taki brylant nosił na obroży nawet jej pies Cezar. Otóż w dniu, kiedy wpadła, przyszedł do naszej restauracji jeden z jej pomagierów. Zjadł obiad, a kiedy podawałem mu palto, włożył mi do ręki garść monet. Ledwie się zmieściły, a dłoń mam, jak pan widzi... Zawsze był co prawda hojny, ale tym razem... Zdawało mu się, że jest śledzony. Nie przywiązywałem do tego żadnej wagi. Myślałem, że to miedziaki. Dopiero wieczorem, kiedy zacząłem obliczać napiwki z całego dnia, nie chciałem wierzyć własnym oczom: moja kieszeń była nabita złotem! Przekazałem je państwu. Dostałem tyle rubli, że mogłem kupić za nie tę łódź, co stoi na dworze. Nie uwierzy pan, ale ta złota dziesiątka, którą panu podarowałem, to jedyna, jaka mi została.

Czudłowski zamilkł i podszedł do okna, by je zamknąć. Za oknem było jasno i słonecznie.

— A co oznacza ten plan, Filarecie Karłowiczu?

— Plan? — powtórzył Czudłowski, odwracając się do Sidałkowskiego. — Nie wiem, jak panu najprościej wytłumaczyć... To dziecięca zabawa na stare lata... Kiedy się tu przeprowadzałem, natrafiłem na kawałek pergaminu. Te sfinksy stały tu już, podobnie jak i filary na ganku. Teresa marzyła o takim właśnie dworku, jak mawiała. No i zacząłem wrzucać do tych sfinksów,

jak do skarbonki, pięciokopiejkowe miedziaki. A później przyszedł mi do głowy ten dziecinny pomysł. Każdy z nas w dzieciństwie czytał różne przygodowe książki. Jedną taką mam do dziś: „Wyspa skarbów”. Więc ten plan wziąłem stamtąd. Ale litery były moje. Musi pan wiedzieć, że zanim zostałem szatniarzem, to też byłem marynarzem. Ale nie wypłynąłem poza Odesę i Chersoń. Teraz już wie pan wszystko.

— Tak mi się wydaje, że pańskie opowiadania, to jak etykietyki na winie: nie odpowiadają zawartości flaszek...

— Cóż robić? Całe swoje życie zawsze chciałem jakoś upiększać. Chciałem je zrobić chociaż trochę tajemniczym... Zosia też do niedawna tak żyła... No i zjawił się pan, przyprowadził tego wariata i rozbił może niezbyt cenny, ale piękny wazon...

— A skąd pan wziął tyle miedziaków? Okradł pan może w młodości kasy kijowskiego metra?

— Pan mnie obraża, Sidałkowski. Sądziłem, że moja uczciwa spowiedź zmieni pański stosunek do mnie. Jest pan jednak inny niż pana wyobrażenie o sobie.

— Poddaję się, Filarecie Karłowiczu, zdając się na łaskę bogów i zwycięzców.

— Proszę zapamiętać, że Czudłowski nigdy nie kradł. Brał tylko napiwki.

— Samymi piątakami?

— Dawali i srebrne, ale ja zamieniałem na miedziaki. Właśnie w kasach metro.

— A dlaczego nie puszczał ich pan w obieg albo nie zamieniał na ruble?

— Wstyd mi było. Honor mi na to nie pozwalał. Nie jestem żebrakiem. Napiwki otrzymywałem przecież za swoją pracę. Umiałem ubierać damy, były ze mnie zadowolone. Panowie też. A poza tym miedziaki są najpewniejsze, bo jak dotąd żadne reformy pieniężne ich nie objęły.

— No dobra. Czas już na mnie. Podobała mi się pańska autobiografia, choć oczekiwałem od pana czegoś bardziej sensacyjnego...

— Ja od pana też.

— Ode mnie oczekiwał pan, że zostanę jego zięciem.

— Skończy pan tak jak ja. Proszę wierzyć memu doświadczeniu.

— Nie nazwałbym tego tęczą przyszlnością. Nie mówię jednak: „Żegnam pana”. Mówię: „Do szybkiego spotkania”. I niech pańska tajemnica będzie i moja.

— Zosia nie powinna nic wiedzieć.

— Obiecuję to panu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

w którym opowiada się o firmowych blankietach, jubileuszowych kopertach, znaczkach, numizmatykach, findipoczowskim ogrodzie, elipsoidalnym klombie, podziale premii, strasznej wiadomości, propozycji Sidałkowskiego oraz o miłości, ciepłe i smażonych ziemniakach

„Findipocz” przygotowywał się aktywnie do swego czterdziestolecia. Dla uczczenia tej historycznej daty zamówiono nowe blankiety firmowe, trzy stemple i dwie pieczętki w postaci czapki Wołodymyra Monomacha oraz puszczono w obieg w wielotysięcznym nakładzie jubileuszowe koperty i znaczki pocztowe jak również znaczek findipoczowski; jeż na tym znaczku był nie na drugim, jak poprzednio, lecz na pierwszym planie, na drugi zaś zszedł piżmowiec, mimo że w doświadczeniach Chowraszkiewicza to on właśnie (czy raczej ona) odgrywał czołową rolę. Cena na te znaczki, zarówno w Kobylatynie Turbinnym, jak i w stołecznym Ogrodzie Botanicznym, gdzie wieczorami zbierali się filateliści,

numizmatycy i inne podejrzane typy, rosła w oczach, jak szklarniowe ogórki.

Czyhyrenko-Repniński odnowił na budynku „Findipoczu” hasło „Damy każdemu obywatelowi po czapce!!!”, zabrakło w nim jednak teraz trzech wykrzykników, straconych przez wiosenną burzę, osłabił się więc jego wojowniczy duch.

Hrak zgłosił propozycję, która najbardziej podobała się Kowbykowi, żeby na jubileuszowy bankiet zamówić w podopiecznym kołchozie parę prosiąt na bite kotlety po stratonowsku oraz jednego barana na szaszłyki po findipoczowsku.

Kowbyk zlecił Pancziszce połączyć się z leśnictwem (tym, które swego czasu dostarczało „Findipoczowi” jeży i piżmaków) i dowiedzieć się, czy można by u nich dostać miód na krupnik i pierniczki, oczywiście według przepisów Margaryty Izotowny.

Karol Iwanowicz wypisał kilka litrów spirytusu na konto laboratorium, gdzie po pojawieniu się pierwszych czapopiżów eksperymenty naukowe zostały czasowo wstrzymane.

Adam Kuchłyk zaproponował zasadzić findipoczowski sad i nazwać go „Sadem młodych uczonych” (w skrócie SMU). Uznano jednak, że nazwa jest pesymistyczna (kojarzy się ze smutkiem), zmieniono więc ją na SUM („Sad uczącej się młodzieży”), zmianę tę zaproponował sam Kowbyk, jako amator rybołówstwa.

Chowraszkiewicz nie mógł oczywiście pozostać na uboczu; zaproponował posadzić prócz drzew owocowych ozdobne krzewy oraz skrzyżować kalinę z dziką różą, z czego powstałby nowy gatunek: „findziróżka” („findipoczowska dzika różo-kalina”). Hybryda ta miała symbolizować i uwiecznić wiekopomny wynalazek Chowraszkiewicza. Wokół findziróżki miał być zrobiony elipsoidalny klomb z gladiolusami i tulipanami oraz z tabliczkami w języku łacińskim i ukraińskim.

Ewa Granat, nie należąca do załogi „Findipoczu”, miała zupełnie inne plany, trzymała je jednak w sekrecie nawet przed Sidałkowskim, chociaż zapewniała go stale, że dzieli się z nim wszystkim, nie wyłączając samej siebie.

Sidałkowski nosił się ze swoimi ideami jak Chowraszkiewicz z teoriami. Miał ich kilka, jednak żadna nie podobała się konserwatywnemu Kowbykowi. Wówczas Sidałkowski zaproponował zorganizowanie własnymi siłami jubileuszowego koncertu „Findipoczu”, ale Kowbyk i na to nie przystał.

— A co, może chciałby pan, żebyśmy tańczył na tym koncercie kołomyjkę?

W najbliższy wtorek w „Findipoczu” miał się odbyć rozdział jubileuszowych premii. Na tę uroczystą chwilę wszyscy czekali jak kibice na pucharowy mecz piłki nożnej. Jeden tylko Czyhyrenko-Repniński nie uległ emocjom, będąc przekonany, że we wtorek istotnie ma być mecz.

— Świat zupełnie oszalał z tym futbolem, który degraduje ludzkość. Ludzie zamiast zwiedzać muzea, chodzą na stadiony, a zamiast chodzić na wystawy malarzy pieriedwiżników*, wysiadują godzinami przed telewizorem.

Pancziszka wprost przeciwnie: zawsze pierwszy wiedział o premiach, z nikim się jednak nie dzielił tą wiadomością, wypromieniowywał wówczas z oczu jeszcze bardziej różowe spojrzenia, od których różowiały żółte ściany „Findipoczu”.

Mychajło Chowraszkiewicz wiedział nie tylko o nagrodach, ale i o tym, że on i Masik, przodujący naukowcy „Findipoczu”, zostali wysunięci przez Kowbyka do awansu na stanowiska starszych pracowników nauko-

Pieriedwiżnicy — malarze rosyjscy zgrupowani w Towarzystwie Objazdowych Wystaw Artystycznych, istniejącym w latach 1870—1923; propagowali malarstwo realistyczne.

wych. Nie mógł jednak długo utrzymać tego w tajemnicy, podobnie jak żadnej ze swoich kolejnych teorii, mówił więc o tym awansie każdemu, prosząc oczywiście o dyskrecję.

Nadszedł wreszcie długo oczekiwany dzień. W alei przyszłego findipoczowskiego sadu zjawił się Adam Kuchłyk z damską torebką w rękach oraz Karol Iwanowicz Bubon.

— Nareszcie nastał dzień zapłaty — Masik zacytował Sidałkowskiego.

Bubon spojrział na młodszego kolegę z dezaprobatą. Właśnie zbliżał się Sidałkowski.

— Nie w pieniądzech szczęście, szanowny — zareplikował Bubon.

— Więc wyrzekam się szczęścia.

Zebrań było zwołane w trybie nagłym. W gabinecie zgromadzili się niemal wszyscy findipoczowcy, zabrakło tylko Chowraszkiewicza i Neszczadyma. Chowraszkiewicz pobiegł do klatek, gdzie zgodnie z jego obliczeniami miało właśnie lada moment przyjść na świat równocześnie kilka czapopizów. Neszczadym zaś — jak wyraził się Kowbyk — „szukał w stolicy prawdy i adwokata”. Mimo powszechnego podniecenia nastrój zebranych był „na trójkę”.

— Ten Neszczadym popsuł nam cały jubel — gderał za swym biurkiem Kowbyk. — No, ale przejdźmy do rzeczy. Proszę zgłaszać swoje propozycje. Tylko krótko.

Zajął miejsce w prezydium. Obok niego Bubon i Paniszka jako społeczny czynnik. Każdy miał prawo się wypowiadać, ale ostatnie słowo należało oczywiście do Stratona Stratonowicza.

— Myślę, towarzysze — zakończył swoje wystąpienie — że czas już skończyć te dyskusje. Otóż wydaje mi się... — przerwał nagle, bo w drzwiach zjawił się jego pupil, Chowraszkiewicz, blady jak śmierć (choć tej śmierci nikt nigdy jeszcze nie widział).

— Są czapopiże — obwieścił Kowbyk, wychodząc zza stołu, żeby, jak wszyscy sądzili, uściśnąć naukową dłoń wielkiego wynalazcy.

Chowraszkiewicz posłał Kowbykowi mordercze spojrzenie, przypominające wystrzał ze strzelby, ale ślepym nabojem.

— Nie ma czapopizów — Kowbyk wycofał się na swoje miejsce za stołem.

— Nie ma także piżmaków i jeżów — oznajmił Chowraszkiewicz tragicznym tonem.

— Co takiego?! — spytali wszyscy zgodnym chórem.

— Zdechły wszystkie zwierzęta doświadczalne.

Wiadomość ta mogła mierzyć się siłą tylko z trzęsieniem ziemi. Wszyscy, jak zwykle się pisać, wstrzymali oddech, łącznie z Kowbykiem.

— Nigdy nie przypuszczałem, że wtorek może być gorszy od poniedziałku — przerwał wreszcie napiętą ciszę Kowbyk. — No i mamy jubileusz...

— Życie utkane jest z przeciwieństw — szeptem cytował siebie Sidałkowski. — Od radości do tragizmu tylko jeden krok, tak jak od miłości do nienawiści, jak od jubileuszu do...

— O czym pan tam mruczy pod nosem, Sidałkowski? Wiadomo coś panu na ten temat?

— Nie. Mówię tylko, że od jubileuszu do reorganizacji tylko jeden krok.

— Przepraszam — wybuchnął Chowraszkiewicz — ale mówi pan bzdury! Teraz nie będzie żadnej reorganizacji. Jesteśmy właśnie u progu nowego odkrycia...

— Już za progiem — poprawił go Kowbyk.

— Na progu, Stratonie Stratonowiczu — nie ustępował Chowraszkiewicz. — Żadne niepowodzenia ani nawet ten cios nie zepchną nas z raz obranej drogi. Jeśli nie na czterdziestolecie, to do pańskiego pięćdziesięciolecia... To znaczy do naszego pięćdziesięciolecia, a pańskiego sześćdziesięciolecia, Stratonie Stratonowiczu, na

pewno uda się wyhodować czapopiza... To jedyny sens mojego życia.

— Szkoda tylko, że się ich nie doczekam. Trzeba będzie chyba pójść na emeryturę bez czapki z czapopiza.

— Doczeka się pan! Głęboko w to wierzę. I to wam jeszcze powiem — zapalał się coraz bardziej — że jeśli zabraknie Stratona Stratonowicza, to nie będzie i „Findipoczu”. Nie mówię tego dlatego, że Straton Stratonowicz tego słucha, powtórzę to także i pod jego nieobecność. Bo „Findipocz” i Straton Stratonowicz są dla siebie stworzeni. Osobiście nie wyobrażam sobie „Findipoczu” bez Stratona Stratonowicza, tak jak i Stratona Stratonowicza bez „Findipoczu”...

— No, no, dość już tego — Kowbyk przerwał mu z dobrotliwym pobleżaniem. — Nie ma ludzi niezastąpionych.

— Są! — nie ustępował Chowraszkiewicz.

— Nie ma — słabo oponował Kowbyk.

— Są. Są wyjątki. A takim wyjątkiem jest właśnie pan, Stratonie Stratonowiczu.

Kowbyk skapitulował. Na czole pojawiła się zmarszczka, świadcząca o intensywnej pracy myśli.

— Joli-pali — przerwał ciszę Panczyszka.

— Masik! — Straton Stratonowicz spojrział na niego karcąco. — Przynajmniej w takiej chwili mógłby pan zachować powagę. A co, wszystkie zdechły? — zwrócił się do Chowraszkiewicza.

— Żywy pozostał tylko kameleon.

— Czy pan słyszał? W przełomowych chwilach pozostają przy życiu tylko kameleony — szepnął Sidałkowski do Hraka.

— Powinien się pan podzielić swymi uwagami z kolektywem — Kowbyk wydmuchał z cygarniczki niedopałek.

— Mogę się podzielić, dlaczego nie? — Sidałkowski

wstał. — Chciałbym jednak przedtem wiedzieć, na co one zdechły.

— Od jeźów i piżmaków mocno zalatuje — wyjaśnił Chowraszkiewicz.

— Czym?

— Alkoholem.

— Czy to pan je tak spoił w przeddzień jubileuszu?
— spytał Kowbyk, zwracając się do Chowraszkiewicza.

— Nie.

— Jeśli tak, to wam powiem: spoił je ten, któremu nie udało się nigdy spoić mnie.

— To sprawka Neszczadyma — zawyrokowała Dulczenko, która siedziała dotąd w milczeniu.

— Dlaczego pani tak sądzi? — spytał Kowbyk łagodnym tonem.

— Ja nie sądzę, lecz wiem. Mam szósty zmysł..

— E! Ja też mam szósty zmysł, ale to nie wystarcza. Potrzebne są dowody.

— Zrobił to Czombe — obwieścił Hrak.

— Kto? — Kowbyk uniósł się na krześle.

— Przepraszam, chciałem powiedzieć, Neszczadym. Żeby zemścić się za zwolnienie. On naśle nam na kark komisję i złoży zeznanie, że Chowraszkiewicz podczas swoich doświadczeń upijał zwierzęta... Żeby je ośmielić...

— To zupełnie logiczne — Straton Stratonowicz wstał i zaczął dużymi krokami przemierzać gabinet.

Wiadomość o tym przezwisku dotarła do Neszczadyma bardzo szybko.

— Nie puszczę tego płazem! Nie, mileńki, ten numer nie przejdzie! Nie jestem Czadiuk! — wdarł się do gabinetu Kowbyka bez pukania, zapominając że on bardzo tego nie lubi.

— Wdziera się pan do mego gabinetu jak chuligan — zaprotestował Kowbyk, który czytał właśnie w gazecie o chuliganach.

— Nie mam zamiaru dłużej tego tolerować! Zamiast zajmować się pracą naukową, wymyślają dla każdego różne przezwiska...

— Czy mógłby się pan uspokoić, Ariju Fedorowiczu? O co chodzi?

— Ktoś w „Findipoczu” przezwiał mnie Czombe.

— Kto?

— Chyba Pancziszka. Któż by inny? Jemu tu wszystko wolno...

— Konkretnie!

— Konkretnie? Pancziszka!

— Zawołajcie Pancziszkę!

Po chwili Neszczadym powrócił z Masikiem.

— Towarzyszu Pancziszka — zaczął oficjalnie Straton Stratonowicz. — Wiecie zapewne, w jakiej instytucji pracujecie?

— Wiem — Masik spojrzał z lękiem na Neszczady-
ma, który wyglądał jak lodówka z otwartym zamrażal-
nikiem.

— Chciałem panu przypomnieć, że jesteśmy filią in-
stytutu naukowo-doświadczalnego do badania popytu
na czapki. A panu się wydaje, że to przedszkole.

— Ależ Strat Stratycz...

— Nie jestem dla pana Strat Stratycz... Proszę mnie
nie skracać! Dowiedziałem się, że wymyślił pan dla
naszego powszechnie szanowanego...

Arij Fedorowicz spojrzał na Kowbyka, w jego oczach
nie dostrzegł jednak ironii.

— Powtarzam: naszego szanownego Arija Fedoro-
wicza przezwiał pan haniebnym nie tylko dla niego, ale
i dla naszej instytucji przezwiskiem.

— Jakim? — skrzywił się Masik.

— Czombe! — Kowbyk rzucił to słowo jak petardę.

— Czombe?! Ja... Czombe?

— Nie pan, tylko Arij Fedorowicz.

Nieszczadym raz jeszcze spojrział podejrzliwie na Kowbyka.

— Ja? Ja miałem to wymyślić? — dziwił się szczerze Masik.

— A kto, kochaneńki? Kto pańskim zdaniem?

— Zaraz wszystko panu wyjaśnię, Strat... Stratonie Stratonowiczu.

— Niech pan wyjaśnia — Kowbyk podciągnął spodnie.

— Otóż Arij Fedorowicz podsłuchiwał... proszę wybaczyć... chciałem powiedzieć, stał pod naszymi drzwiami i...

— Zupełnie przypadkowo — przerwał Nieszczadym.

— Właśnie mówię, że Arij Fedorowicz zupełnie przypadkowo stał pod naszymi drzwiami. W pokoju był Chowraszkiewicz i Adam Kuchłyk, przepraszam, Adam Baronecki. Nagle zadzwonił telefon. Podnoszę słuchawkę. „Halo, Czombe?” „Jaki Czombe? — pytam. — Tu poważna instytucja, «Findipocz». Tu nie ma żadnego Czombego!” Chciałem już odłożyć słuchawkę, kiedy nagle drzwi się otworzyły i stanął w nich Arij Fedorowicz. „Proszę nie odkładać słuchawki — mówi. — Czombe to ja”. — Panczyszka zwrócił swą łagodną różową twarz do Nieszczadyma. — Było tak, Ariju Fedorowiczu? No, niech pan powie!

— To jest... to jest... — krztusił się z gniewu Nieszczadym. — To jest niegodziwość! Z pana gorszy łajdak, niż sądziłem!

— Proszę nie obrażać ludzi! — zareagował ostro Kowbyk. — Przecież on nic złego o panu nie powiedział.

— Ale wszystko poprzekręcał. To stało się wtedy, kiedy już wcześniej tak mnie przezywali. Telefon był później...

Kowbyk wysłuchał wtedy wszystkiego ze złośliwą satysfakcją. Ale teraz nie było mu do śmiechu. Wszyst-

kie zwierzęta doświadczalne z powodu znacznej dawki alkoholu wyciągnęły, jak powiedział, kopyta, nie zdążwszy przejść do nieśmiertelności.

— Ja również jestem przekonany, że to sprawka Neszczadyma. I w każdej chwili można oczekiwać komisji dla przeprowadzenia śledztwa. Czy są jakieś sugestie?

— Mam propozycję — zaryzykował raz jeszcze obrażony Sidałkowski.

— Jubileuszowy koncert? — spytał złośliwie Kowbyk.

— Polowanie na jeże i piżmaki pod pretekstem badania popytu na czapki. Teść Jewmena Mikołajowicza ma własną amfibię. Otóż gotów jestem natychmiast udać się na poszukiwanie piżmaków i jeży. Mam nadzieję, że pomoże mi w tym Jewmen Mikołajowicz. Żeby tylko Filaret Karłowicz pożyczył nam swojej amfibii.

— Ojciec pożyczy — zapewniła Zosia.

— No więc będzie futro i będą kolce — oświadczył Sidałkowski.

— To jest myśl — Kowbyk skinął aprobująco głową. — Ale musimy wszystko utrzymać w tajemnicy. Gwarantuje pan, że nałowicie piżmaków i jeży?

— A ile ich trzeba? — spytał Hrak.

— Sześć par kłujących i sześć par z futrem.

— Jeśli można się wtrącić... Cztery samice i dwa samce piżmaków, jeży zaś odwrotnie: cztery samce i dwie samiczki — uzupełnił Chowraszkiewicz.

— To coś dla Jewmena Mikołajowicza. Ma dyplom z odznaczeniem, więc potrafi, mam nadzieję, odróżnić samca od samicy — Sidałkowski spojrział z uśmiechem na Hraka.

— Tylko jak najszybciej! — Kowbyk zadymił papierosem. — A my tu już wszystko dobrze obmyślimy. Margaryto Izotowno, proszę natychmiast wystawić delegacje, a pana, Karolu Iwanowiczu, proszę o wypłace-

nie pieniędzy. I jeszcze jedno: trzeba będzie przejrzeć raz jeszcze listę nagród. Karolu Iwanowiczu, zdaje się, że w pierwszym wariantcie podeszliśmy zbyt subiektywnie do tej ważnej findipoczowskiej sprawy — Kowbyk spojrzął po ojcowsku na Sidałkowskiego, co zdarzyło mu się po raz pierwszy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

w którym opowiada się o kaloryferach, wyjeździe do Paryża, Iji, rozczarowaniu i ochłodzeniu, pistolecie, „wstydlivej ślicznotce”, genialnych rzeczach, wszechstronnym mechanizatorze, miedziankach, spódnicy, bulce francuskiej posypanej cukrem pudrem, i o zielonym korytarzu

— Sidałkowski — mówiła Ija. — Ja nie mama i nie Tamara.

— Wiem o tym. Jest pani czymś pośrednim.

— Niech pan nie igra z ogniem!

— Ale ogień też nie jest wieczny, jak kaloryfery, które również od czasu do czasu chłodną.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Tylko jedno: jest już lato, skończył się sezon ogzewczy.

— Cham!

— Pani mnie z kimś pomyliła. Nie mam nic wspólnego z synami Noego, Chamem, Semem i Jafetem. Miałem natomiast wiele wspólnego z panią, ale...

— No, no, proszę skończyć — Ija usiadła na jedynym w pokoju krześle i demonstracyjnie wydmuchiwała dym z papierosa prosto w jego twarz.

— Iju — mówił dalej spokojnie. — W granicach możliwości jestem porządnym i uczciwym człowiekiem. Gram uczciwie, nie wychodząc poza te granice. Pani natomiast zaczyna je przekraczać... Ożenić się dwukrotnie to jest to samo, co wziąć na kredyt dwie dro-

gie rzeczy, których cena wielokrotnie przekracza niską pensję. Nie mogę sobie na to pozwolić...

— Nie jestem prostytutką!

— Iju — Sidałkowski ukląkł przed nią. — Pani mnie obraża. Dlaczego tak wulgarnie? Można przecież delikatniej, po europejsku...

— Idź pan do diabła ze swoją Europą!

— Przecież my też żyjemy w Europie. Pomyślała pani kiedyś o tym?

— Sidałkowski — przemówiła nagle cicho i łagodnie. — Kocham pana. Nie mogę bez pana... Bardzo się do pana przywiązałam, a pan ostatnio mnie unika... Całymi dniami nie ma pana w domu, często nie wraca pan na noc... A bez pana czuję się jak...

— Proszę tak nie mówić. Tak trzeba. Dla pani dobra. Unikam pani, żeby pani zaczęła przyzwyczajać się do przyszłości. Nie mogę się z panią ożenić. Pozostały mi jeszcze resztki sumienia. Nie mógłbym już po raz drugi spojrzeć pani matce w oczy jako teściowej.

— Ale przecież możemy... Możemy wyjechać!

— W Genui już byłem. W Wenecji też. Cudowne miasta! Ale bliższy memu sercu jest Kijów... Nie byłem, co prawda, w Paryżu, ale pani mi tego i tak nie może załatwić.

— A jeśli mogę?

— Poważnie?

— Poważnie. W naszym zjednoczeniu można załatwić skierowanie.

— Jeśli tak, to się zgadzam. Tylko nie na stałe. Z moim charakterem nawet w Paryżu pani długo by nie wytrzymała. A poza tym, jak mówiła pewna moja znajoma z Tuluzy, Paryż jest sławniejszy od Kijowa, ale Kijów od niego piękniejszy. A ja, jak pani wie, cenię piękno wyżej niż sławę.

— Błazen! Ale z pana błazen!

— Rozczarowała się pani do mnie?

Ija milczała. Sidałkowski wstał z klęczek i spojrzał na nią.

— Nie jestem wielkim Heine, nie potrafię płakać u nóg kobiety.

— Oczywiście, pan potrafi tylko się naśmiewać.

— Nie śmieję się. A jeśli, to jest to śmiech przez łzy. Zresztą komu teraz potrzebne łzy. Nie są w modzie.

— W Europie, tak?

— Nie, w Europie płaczą. A my się śmiejemy. Proszę mi dać rękę. Uprzedzam jednak uczciwie: nie na zawsze. Żeby nie było potem wyrzutów. Grajmy uczciwie: pani podoba mi się, dopóki się pani podoba. Ja pani też. Ale kiedy nadejdzie kres miłości, rozstaniemy się bez łez i wyrzutów.

Sidałkowski przebrał się, zarzucił na ramię nowy plecak i pocałowałszy Iję jak młodszą siostrę, ruszył na dworzec.

— Odprowadzę pana. Jeśli oczywiście nie ma pan nic przeciwko.

— Przeciw pani, Ijo? Chyba pani kpi.

— Czy z panem nie można rozmawiać poważnie?

— A jak dotąd rozmawialiśmy?

Ija nie odpowiedziała, zatopiona w jakichś swoich myślach. Sidałkowski pochłonięty był zbliżającym się polowaniem na jeże i piżmaki.

Czudłowski początkowo nie chciał się zgodzić na wypożyczenie amfibii, twierdząc, że nie należy ona do posagu Zosi, córka jednak przekonała go, że jest to prośba samego Kowbyka.

— Więc dokąd się wybieracie? — zapytał Filaret Karłowicz.

— Do Spirydonówki.

— Do Spirydonówki? — spytał z przestraczem. — Czy nie lepiej do Charłampówki? Bliżej, więcej lasów, teren błotnisty...

— Pomyślmy jeszcze — odparł Hrak.

— Tu nie ma nad czym myśleć! — rozłościł się stary. — Macie jechać tam, gdzie każe!

— Oczywiście — uspokoił go Sidałkowski, przydep-tując bucik Hraka. — Pojedziemy do Charłampówki — zapewnił Czudłowskiego, decydując się ostatecznie wyjechać do tej zagadkowej Spirydonówki, kryjącej być może jeszcze jedną tajemnicę generała...

— Iju — Sidałkowski wziął ją za rękę. — Jadę teraz do Kobylatyna Turbinnego, a stamtąd razem z Hra-kiem w delegację.

— Czy ma pan teraz jakąś kobietę? — Ija spojrzała mu przenikliwie w oczy.

Sidałkowski opuścił rzęsy i zaprzeczył ruchem głowy.

— Niech pan nie kłamie. Czuję to...

— Pani już dawno czuje to, czego ja nie czuję...

— Widzę to po pańskich oczach.

— Przecież mam je zamknięte.

— Wszystko jedno. Wiem swoje.

— W porządku. Ja też wiem swoje, że obejmuję pa-nią i całuję, jak dawniej. Do widzenia. Czekają na nas sukcesy na polu nauki.

— Chwileczkę. To jeszcze nie wszystko.

— A co jeszcze? Zacznie mnie pani bić?

— Ale z pana tchórz!

Sidałkowski nie zareagował na to, wyczuł jednak w głosie Iji jakiś nieprzyjemny ton.

— Zapomniałam panu powiedzieć, że przyszedł do pana list. Od matki... Dlaczego podaje się pan za sierotę? Przecież matka żyje... Pozwoliłam sobie przeczytać ten list. Mógłby pan chociaż napisać do niej od czasu do czasu, jeśli nie chce pan pojechać... Poza tym nigdy nie przypuszczałam, że pan...

— Dość! — przerwał ostro Sidałkowski, domyślając się, co ona chce powiedzieć. — Gdzie ten list?

— Proszę — Ija wyjęła list z torebki.

Sidałkowski spojrział na kopertę i krew uderzyła mu do głowy. Jego przypuszczenie potwierdziło się. Wskoczył na stopień pociągu elektrycznego i nie żegnając się wszedł do wnętrza wagonu.

— Sidałkowski! — zawołała za nim Ija. — A co z tym Paryżem? Załatwiać skierowania?

— Paryż może się bez nas obejść — zawołał ze złością przez otwarte okno. — Tak jak ja bez ciebie — dodał ciszej.

Nie będziemy zagłębiali się w przeżycia naszego bohatera i od razu przeniesiemy się do cieniowego ogrodu Filareta Karłowicza, w którym czekają na Jewgrafa Jewmen Mikołajowicz Hrak-Czudłowski, jego teść, no i oczywiście Zosia.

Stali pod rozłożystą jabłonią. Filaret Karłowicz objaśniał zięciowi wyjątkowo łagodnym tonem, jak najlepiej dojechać do Charłampówki, zostawiając oczywiście na uboczu Spirydonówkę. Sidałkowski jeszcze poprzedniego wieczoru dokonał spisu niezbędnych do zabrania rzeczy.

— Namiot jest, brezent jest, cebula, ogórki, pomidory, kanister spirytusu... Na wymianę z tubylcami na jeże i piżmaki. Ale trzeba było z jednego kanistra zrobić dwa.

— Tak właśnie zrobiliśmy — powiedziała Zosia.

— Doskonale. Więc jedziemy dalej. Jewmenie Mikołajowiczu — zwrócił się do Hraka. — Niechże pan będzie dżentelmenem i przejmie w swoje męskie dłonie wszystko z delikatnych i zmęczonych rączek Zosi. A teraz proszę nadstawić swoich midasowych uszu i słuchać uważnie. Sprawdzamy: konserwy mięsne są, spodniki kąpielowe, jajka, jabłka, rakiety do badmintona... I żeby pan nie zapomniał zabrać swoich wspaniałych aksamitnych szortów. Zrobi pan furorę na plaży w Charłampówce... No dobra, jedziemy dalej. Słonina, mąka, kiełbasa, przybory do golenia... Dlaczego pan

milczy, Hrak? Pan jednak nigdy nie zostanie wielkim człowiekiem. To panu nie grozi. Zawsze już pan pozostanie Napoleonem: metr czterdzieści osiem wzrostu.

— Dobra, dobra... Wyjaśnij lepiej, po co nam zastawa stołowa?

— Dla dyplomacji. Będziemy wydawali obiady dla miejscowych wodzów i poili ich ognistą wodą z dodatkiem wody z rzeki. Bo inaczej możemy się pożegnać z jezami i piżmakami. I oczywiście z nagrodą. No więc czytam dalej: masło, kawa, rondle, kociołek, trójnóg, pościel... Niech pan zabierze karty, tubylcy to lubią. Dalej: ręczniki, słoneczne okulary, apteczka, gumowe buty, butla z gazem, kasza, cukierki i przynajmniej dziesięć kieliszków... To wszystko, co wypisałem. Czy chce pan coś jeszcze dodać?

— Kilka butelek monopolowej — podsunął nieśmiało Hrak.

— Supergeniusz! Ciągłe to mówię.

— I jeszcze coś ciepłego. Żeby było czym się przykryć.

— Na taki upał? Przegrzeje się pan. Może coś chłodniejszego?

— Woda mineralna.

— To już lepiej.

— A sieć? — spytała Zosia. — Zabraliście sieć?

— Jaką sieć?

— A czym będziecie łowić piżmaki?

— Nie, Hrak, pańska żona przewyższa pana zdecydowanie. Przynajmniej o dwie głowy. Za wcześniej pana pochwaliłem. Na polowanie i bez strzelby?

— O, dobrze, żeś przypomniał. I pistolet...

— Jaki pistolet?

— Startowy. Mam startowy pistolet. Jeszcze z akademii...

— A w akademii dotąd podczas startów uderzają

starym kaloszem i ciągle myślą, gdzie się zaprzepaścił pistolet startowy... A on u pana!

— Idź do diabła!

— A co panu tam sterczy z kieszeni? Czy nie dyplom czasem?

— Dokument!

— Rozumiem. Zaświadczający o tym, że jest pan wszechstronnym mechanizatorem. Pochwalam to.

Filaret Karłowicz rozwiązał brezent i odrzucił go ruchem, jakim różne ślicznotki odrzucają poły szlafroka, by niby to przypadkiem odsłonić swoje wdzięki.

— Proszę wybaczyć, Filarecie Karłowiczu — Sidałkowski nachylił się nad łodzią i omal nie upadł z wrażenia. — Pan to nazywa amfibią?

— Przepraszam, graf, a co to jest pańskim zdaniem?

— Nie graf, tylko Jewgraf. A jak pan myśli? — zwrócił się do Hraka. — Co przypomina ten pancernik?

— To pływający czołg, grafie. A przypomina ropuchę powiększoną tysiąckrotnie.

— Jesteś wariat, z przeproszeniem...

Sidałkowski zwrócił delikatnie uwagę, że Jewmen Mikołajowicz ma w jakiejś mierze rację.

— Ale pański zięć przesadza. To oczywiście morski ośmionóg, ale tylko trochę powiększony, a nie tysiąckrotnie. No ale mnie interesuje tylko jedno: czy ta maszyna chodzi? I dlaczego ma takie dziwne imię: „Mahaceta”?

— Ona nie chodzi, a, z przeproszeniem, pływa. Ma motor taki silny, że niesie ten korpus jak piórko. A nazwałem ją tak dla uczczenia mojej żony Marii Haliny Cecylii Teresy. Amfibia ta otrzymała — oczy Filareta Karłowicza zaszyły łzami — pierwszą nagrodę na wystawie republikańskiej.

— A jak ona reaguje na sygnały milicji drogowej?

— Nie rozumiem.

— Jak często milicja ją zatrzymuje?

— Zatrzymują ją amatorzy motoryzacji, którzy interesują się skrzynią biegów, cylindrami i konstrukcją silnika.

— A jak można dostać się nią do Spirydonówki, przepraszam, chciałem powiedzieć, Chałampówki?

— Tylko rzeką. Po drugiej stronie są nieprzebyte krzaki wikliny.

Ruszyli natychmiast. Po drodze zatrzymali się przy jedynej w Kobylatynie Turbinnym stacji benzynowej, a potem podjechali pod sklep, w którym zawsze można było dostać parówki, za którymi Sidałkowski przepadał, oraz dobrze uwędzoną kiełbasę, na której Hrak zjadał swoje ostatnie zęby. Zatrzymali się kilkanaście metrów przed wejściem.

— Smok Fantomasa! — zawołał jakiś niepełnoletni amator motoryzacji na widok „Mahacety”.

— Przepraszam — do Sidałkowskiego podszedł jakiś starszy mężczyzna, chyba były wojskowy, bo w oficerskich bryczesach. — Czy zaczęły się manewry?

Wokół amfibii zebrał się tłum gapiów. Podszedł też milicjant.

— Tu jest zakaz zatrzymywania się ciężkich pojazdów — powiedział ostro. — Nie zna pan znaków drogowych? — zwrócił się do Sidałkowskiego.

— Przepraszam, towarzyszu sierżancie, ale to amfibia, motorówka.

— Proszę nie zawracać mi głowy. To tramwaj bez szyn, a może nawet pancernik — milicjant zbliżył twarz do twarzy Sidałkowskiego. — Oo, obywatelu!... Chuchnijcie!

Sidałkowski chuchnął, uśmiechając się.

— Tak też myślałem: ukraińska z pieprzem — milicjant postawił nieomylną diagnozę.

Sidałkowski potwierdził. Istotnie wczoraj gołnęli sobie do kolacji.

— Zgadza się. Wczoraj wieczorem. Z generałem. Ale skąd pan...

— To ja was pytam, obywatelu, skąd? — przerwał mu sierżant. — Gdzie pan dostał, w sklepie czy w restauracji?

— W sklepie z upominkami — zełgał Sidałkowski. — Ale samej pan nie kupi, panie sierżancie. To transakcja wiązana: trzeba jeszcze kupić damski kostium i pudełko pudru „Znowu młodość”.

— Wszystko jedno. Mam dziś gości. Z Gruzji. Muszę im podarować coś naszego, ukraińskiego. A ten za kółkiem, to nie tego?...

— On w ogóle nie pije. Wrzód żołądka.

— Rozumiem — milicjant pokiwał smutno głową. — Rozejść się! — krzyknął, zwracając się do zbiegowiska. — Co, nie widzieliście nigdy ssącej pogłębiarki?

Ze sklepu wybiegł wreszcie Hrak.

— Jak najszybciej na wodę! — zawołał Sidałkowski. — Ószaleć można! Wyobrażam sobie, co się będzie działo we wsi, kiedy nawet wśród obojętnych na wszystko kobyłatyńców wzbudziliśmy taką sensację...

„Mahaceta”, jak stary, ale z potężnym sercem pterodaktyl, nabierała stopniowo szybkości, jakby chciała oderwać się od powierzchni błękitnej rzeki i zawisnąć na cichym jak marzenie niebie, płosząc drobne ptactwo samym już wyglądem. Powietrze, przesycone zapachem kwiatów i rzecznych roślin, drżało w promieniach słońca złotą mgiełką. Jako dziecko urodzone nie na asfalcie, jak mawiał Kowbyk, lecz pośród płaczących wierzb nad błękitnymi jeziorami usianymi białymi i żółtymi nenufarami, jak piersi generała Czudłowskiego austro-węgierskimi orderami, kupionymi u odeskich numizmatyków, Jewgraf stał się sentymentalny i miękki, jak przednie siedzenie „Mahacety”.

— Po co wziął pan ze sobą miedziaki?

— Generał kazał. Wyjąłeś, powiada, to je teraz sam

wymień, ja nie pójdę. Honor mi nie pozwala, powiada!
— Hrak splunął przez szczeliny rzadkich zębów. — A jak można mówić o honorze, gdy chodzi o forszę? Prawda, doktorze?

— Wiadomo — odparł z ironią Sidałkowski, który zawsze w obliczu przyrody cichł i popadał w zadumę.
— Jak będzie je pan wymieniał? W wiadrze?

— Zaraz zobaczysz.

Przed nimi zamajaczyła jakaś wieś. Gdy podpłynęli bliżej, dostrzegli przystań, a w pobliżu niej dwupiętrowy budynek. Hrak podpłynął do spadzistego brzegu. „Wstydliva ślicznotka”, jak nazwał Sidałkowski amfibię, lekko wpełzła po oczeretach na brzeg.

— A może ty, doktorze, zejdziesz na ląd i wymienisz bilon?

— Przepraszam, ale to poniżej mojej godności.

„Wszyscyście jednacy — pomyślał Hrak, krzywo się uśmiechając. — U generała honor, u grafa — godność. A wszystko to fałszywe, jak te rzekomo złote monety”.

Wysiedli obaj. Hrak ruszył przodem do wiejskiego sklepu, Sidałkowski trzymał się z tyłu, jakby nie miał z nim nic wspólnego. Przy kasie siedziała sympatyczna dziewczyna, która skojarzyła się Sidałkowskiemu z francuską bułeczką posypaną cukrem pudrem. Zatrzymał się w pobliżu kasy, tak żeby słyszeć rozmowę Hra-ka z kasjerką.

— Słuchaj, córeczko! Nie są ci potrzebne drobne?

— Słyszysz, Haniu?! — krzyknęła kasjerka przez cały sklep do ekspedientki. — Tato się znalazł!

Hrak podał jej bilon zawinięty w szmatę.

— Miedziaki czy srebro?

— Same piątaki, córko...

— Więc proszę podejść do wagi. Haniu, zważ mu, dziad z torbą prosi.

Dziewczyna spodobała się Sidałkowskiemu, szkoda, że Hrak zawraca jej głowę tymi miedziakami.

— Hej ty, spódniczko! — krzyknął Hrak do ekspedientki. — Chcę ci pomóc wykonać plan. Zamienię pieniądze na wódkę i zakąskę.

— Patrzcie go! — dołki na jej policzkach wydłużyły się.

— Jesteście siostrami?

— Będzie pan za dużo wiedział, to szybko się pan zestarzeje.

Dziewczyna w milczeniu zważyła bilon i wymieniła sumę. Hrak odwrócił się w stronę kasy.

— Może weźmiesz jeszcze, córko?

— A dużo jeszcze macie tej miedzi, dziadku?

— Dwa wiadra.

Kasjerka parsknęła śmiechem.

— A nie fałszywe?

— Spróbuj na ząb.

— A jak je pan zdobywa w tym wieku? Podwiązuje pan rękę czy nakleja na nogi fałszywe rany?

— Nakładam ciemne okulary i zakładam nogę za ucho. No to jak, weźmiesz, czy mam jechać dalej?

— A prawdziwe? — kasjerka zmierzyła go oczami.

— Jak twoje policzki. Przecież ci radziłem: spróbuj na ząb. Widzę, że nie sztuczne. Jak korale. Czym je czyścisz?

— Mydłem.

— Pomaga? Muszę i ja spróbować.

— No niech pan już przyniesie! — zniecierpliwiła się kasjerka.

Hrak był już na progu.

— A co to, spadek? — zainteresowała się ekspedientka.

— Nie, posag — Hrak postawił na ladzie wiadro z „posagiem”. — Rozbiłem skarbonkę ojca. Powiedział, że jeśli będę się żenić, to mogę zamienić na srebro albo na banknoty. I żebym się ożenił z taką, jak ty. Wyjdiesz za mnie, spódniczko?

— Ma pan za długi język.

— A nos?

— Jeszcze dłuższy.

— Teraz długie nosy modne. A ojciec zbierał te pieniądze przez całe życie. Kupimy welon. Wyjdiesz za mnie?

— Phi!

— Dlaczego phikasz? Tak albo nie. Widzisz, ile forsy? I to wszystko będzie twoje. Nasze. No to jak, zgoda?

— Zgoda, zgoda! — uśmiechnęła się ekspedientka.
— Skąd tyś się wziął, taki szybki Bill?

— Z Kobylatyna Turbinnego. Słyszałaś o takim mieście? Tam wszyscy tacy. Słowem, napiszesz jutro podanie o zwolnienie z pracy, a ja za dwanaście dni będę wracał i zabiorę ciebie. Będziesz mieszkać w eleganckim mieście.

— A po co czekać do jutra? Napiszę podanie jeszcze dziś.

— Słusznie. Tylko żebyś na mnie czekała. A mój przyjaciel zabierze twoją siostrę, tę z kasy. Będziemy krewnymi.

Ta paplanina Hraka początkowo zaczęła irytować Sidalkowskiego, chciał nawet ingerować, ale się rozmyślił. Nie było sensu. Ten Hrak mu się jednak podoba. A może dlatego, że podoba mu się ta francuska bułeczka z kasy?

Dziewczyna poczuła na sobie spojrzenie Sidalkowskiego i chyba się zarumieniła. Potem spojrzała na niego ciepło swymi dużymi pięknymi oczami i znów przykryła je długimi rzęsami.

„W takich mężczyźni zakochują się od tak zwanego pierwszego wejrzenia” — pomyślał wychodząc ze sklepu. Po chwili wyszedł również Hrak.

— Dlaczego uciekłeś, doktorze? Podobały ci się te bławatkowe oczy, co?

— A panu ekspedientka chyba jeszcze bardziej?

— Ożeniłbym się z nią, gdybym znalazł nie miedziaki, lecz złoto. Ty byś się z taką oczywiście nie ożenił, bo jesteś arystokratą. Dziewczyna ze wsi nie dla ciebie.

— Myli się pan. Z taką jak ta kasjerka ożeniłbym się bez namysłu.

— Więc nad czym się zastanawiać? Pieniądze na delegację mamy, trochę też z tych miedziaków. Więc jak? Wracamy i robimy weselisko. Dwa, bo ja też.

— Z pana to rzeczywiście szybki Bill.

— A po co odkładać?

— A jak będzie z jeżami i piźmakami?

— Niech cię o to głowa nie boli. Wymienimy za spirytus.

Hrak wymijał łodzie motorowe z taką lekkością, jak odrzutowce wymijają kukuruźniki.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

w którym opowiada się o Spirydonówce, dziadku Tryfonie, dwóch oryginalnych napisach, które omal nie zgubiły naszych bohaterów, cielecej radości, niespodziewanym powrocie, spółdzielni „Iskra”, piźmakach i o polowaniu

Po południu przybyli do Spirydonówki, pozostawiając daleko za sobą Charłampówkę. Był upał i jedyna tu sprzedawczyni wody sodowej nalewała w tym dniu pełną szklanekę.

Przed samą Spirydonówką rzeka nagle się urwała, drogę zagrodziła im grobla. Hrak ledwie zdążył skrócić w lewo i wyskoczyć na nasyp. „Wstydliva ślicznotka” z dużą szybkością pómknęła po bruku.

Po prawej stronie widniała duża tablica z napisem: „Szczęśliwej drogi, kierowco!” A niżej informacja dopisana ręcznie: „Uwaga! Most rozebrany!” Jednak ani

Hrak, ani Sidałkowski nie zdążyli tego przeczytać ze względu na szybkość jazdy. Jewgraf zauważył tylko, że po drugiej stronie rzeki leżała typowa ukraińska wieś: białe chaty-lepianki w zielonych sadach, mały staw, bocianie gniazda na wysokich konarach, las telewizyjnych anten, a nad wszystkim dominowały dwie wysokie budowle — cerkiew oraz stara forteca usiana żółtymi liszajami.

„Mahaceta” nagle zerwała się z nasypu i zawisła w powietrzu.

— No to koniec z nami! — krzyknął rozpaczliwie Hrak.

„Mahaceta”, rozganiając swym olbrzymim cieniem dzikie kaczki i ryby, chlupnęła w wodę jak ciężka gęś i ruszyła niczym pływający czołg do przeciwległego brzegu z szybkością psa zrzuconego niespodziewanie z mostu do wody. Kiedy zatrzymała się pod olchą i zdyszana pykała rurą wydechową, Hrak obmacał swoje ciało i nagle roześmiał się: był cały!

Cieleca radość ogarnęła naszych bohaterów z powodu podarowanego im nieoczekiwane życia. W takich chwilach ma się ochotę śpiewać, podskakiwać, stawać na głowie, jeśli oczywiście wiek i kondycja na to pozwala, obcałowywać od stóp do głów nie tylko kochankę, ale nawet żonę, z którą jeszcze wczoraj zamierzaliśmy się rozejść. A ponieważ Hrak nie miał pod ręką ani żony, ani kochanki, rzucił się więc w objęcia Sidałkowskiego, ten jednak poradził mu objąć „Mahacetę” bardziej zasługującą na takie czułości.

Nagle Hrak dostrzegł w krzakach niski barak. W pobliżu wygrzewał się na słońcu jakiś stary kołchoźnik, który zapewne widział, jak „Mahaceta” zleciała z nasypu.

— Zobaczysz, jaki będzie ubaw — powiedział wyjmując pistolet startowy. — Ja strzelam, a ty padasz, rozumiesz?

Sidałkowskiemu nie bardzo podobał się ten pomysł, ale że lubił w życiu grać jak na scenie, zgodził się. Podniósł więc ręce do góry i szedł przodem, zamierzając ze względu na garnitur upaść dopiero tam, gdzie gęsta trawa. Rozległy się trzy strzały. Po dwóch pierwszych padł Sidałkowski, po trzecim — sam przestraszony Hrak. Sidałkowski otworzył oczy i omal nie zemdlął: z dubeltówki staruszka uchodził dym. Nabiwszy ponownie strzelbę stróż skierował tym razem lufę nie w niebo, lecz w plecy Hraka, który wypuścił z ręki startowy pistolet, czując jak po grzbiecie ścieka mu zimny pot.

— Dziadku, tylko nie zróbcie z niego przetaka, ma i tak marną skórę, nawet na bęben się nie nadaje.

Dziadek skoczył do baraku, bardziej niż strzałami Hraka przerażony tym, że „zabity” przemówił. W oczach jego był strach połączony z determinacją, jakby zamierzał strzelać do latających talerzy.

— To był żart, dziadku. Pistolet jest nieprawdziwy, to zabawka. Chcieliśmy tylko trochę was przestraszyć. Proszę opuścić swoją haubicę, bo może pan nieumyślnie podziurawić mojego towarzysza.

— Leżeć obaj! — zawołał dziadek. — Tak długo, aż przyjdzie milicja!

Taka perspektywa zupełnie naszym bohaterom nie odpowiadała, jednak pokojowe pertraktacje z dziadkiem nie dawały żadnego rezultatu.

— Nie dam się wziąć na żadną propagandę. Patrzcie, nawet po naszymu umieją gadać...

— No więc proszę nas zaprowadzić do rady gminnej, leżenie na ziemi szkodzi mi, mam chroniczny bronchit. A pan jak się czuje, Hrak?

— Dziadku, opuśćcie tę pukawkę! — krzyknął Hrak.

— Ja ci dam pukawkę! Jak wygarnę, to zaraz poczujesz, czy to pukawka, czy strzelba.

— Nie jest pan dyplomata, Hrak. Czy można taką

piękną strzelbę nazywać pukawką? To nieładnie. A czym naładowana, dziadku? — Sidałkowski uniósł się nieco na łokciach. — Tylko uczciwie.

— Leżeć, bo i do ciebie będę strzelał!

— Dobrze. A jak się nazywacie, dziadku?

— Tryfon Sakowicz.

— No więc, Tryfonie Sakowiczu, czy umiecie czytać?

— Umiem.

— Więc pokażemy wam nasze dokumenty.

— Nie wierzę dokumentom.

— No to prowadźcie nas do rady gminnej.

— Nie zawracaj mi głowy!

Nagle Hrak wyprężył się jak ryś i skoczył wprost na stróża. Dziadek zaczął krzyczeć.

— Tryfonie Sakowiczu — przemówił do niego Sidałkowski tonem spokojnej perswazji — tylko bez krzyku. Myśmy nie krzyczeli, kiedy leżeliśmy.

Jewgraf rozładował strzelbę, wywrócił dziadkowi kieszenie, w których były trzy naboje, i zwrócił mu strzelbę.

— A teraz możemy iść do rady gminnej.

Dziadek jednak podniósł taki wrzask, że Hrak zmuszony był zapuścić silnik „Mahacety”. Z lasu wybiegły pastuszki.

— No a teraz chodźmy, dziadku. Tylko bez krzyku — rzekł bardzo głośno Sidałkowski, usiłując przekrzywić warkot silnika. — Pokażecie nam, gdzie tu hotel i rada gminna.

— Hotelu nie ma.

— Ale rada gminna chyba jest?

— A jakże bez rady gminnej?

Na podwórzu, dokąd wjechali na amfibii w otoczeniu gwardii honorowej spirydonowskich uliczników, dziadek znów nabrał waleczności i wyskoczywszy z kabiny skierował lufę na Hraka i Sidałkowskiego.

— Z was, dziadku, nie gorszy komediant niż z mojej

go kolegi — uśmiechnął się Sidałkowski. — A może słońce wam zaszkodziło?

Na ganek wyszedł, lekko utykając, mężczyzna średniego wzrostu w welwetowej kurtce i bryczesach.

— O co chodzi, Tryfonie Sakowiczu?

— Zatrzymałem ich. Latali nad rzeką na tym aeroplanie. Bez śmigła. Są jeszcze ślady na niebie po tym ich lataniu. Początkowo myślałem, że to szpiedzy albo ci, jak im tam, co to mieszkają na innych planetach. Ale słyszę, a oni gadają po naszemu. No to ich tego... zatrzymałem.

— Na pomidorach — uśmiechnął się Sidałkowski, podając rękę przewodniczącemu rady gminnej, którym okazał się mężczyzna w welwetowej kurtce. — Sidałkowski, starszy pracownik naukowy doświadczalno-naukowego instytutu „Findipocz”. A to mój kolega z instytutu, Jewmen Mikołajowicz.

— Cudłło. Przez dwa „ł” — przedstawił się przewodniczący rady gminnej. — Dnytro Panasowicz. U nas pełno Czudłów i Spirydonenków, więc dla odróżnienia trzeba było dodać jedno „ł”.

— Hrak-Czudłowski — Jewmen wyciągnął rękę do Dmytra Panasowicza.

— Bardzo mi przyjemnie. U nas też są Czudłowscy. Co prawda, mniej niż Spirydonenków. Ale Hraków nie ma. Pan pierwszy. No to co, towarzysze, zajdziemy do mnie. A wy, dziadku, możecie wracać do swojej warty.

— Tak jest! — stróż wyprężył się przed przewodniczącym jak przed generałem.

— Artysta — uśmiechnął się Sidałkowski.

— Zgadł pan. Należy do kółka amatorskiego.

— To widać.

Przewodniczący usiadł za stołem, zabrudzonym plamami z atramentu, jak uczniowski zeszyt.

— Przyjechaliśmy do was, Dmytrze Panasowiczu —

zaczął Sidalkowski, przysuwając krzesło bliżej stołu — studiować faunę i florę. A ściślej, życie piżmaków i jeży. Mnie interesuje dojrzałość płciowa piżmaka, jego zachowanie się w warunkach normalnych i sztucznych w świetle najnowszych doświadczeń metodą naukowego postrzegania. Jewmen Mikołajowicz natomiast bada popyt na czapki z piżmaka w takich niewielkich miasteczkach jak Spirydonówka.

— No, cóż ja mogę wam powiedzieć, towarzysze — przewodniczący z całej tej gadaniny Sidalkowskiego zrozumiał tylko jedno słowo: czapka. — Czapkami oczywiście u nas się interesują. Właśnie tymi z futra. Przedtem się wstydzili nosić, że to niby ze szczura. Ale teraz noszą. A co do piżmaków... — Dmytro Panasowicz strącił popiół do drucianego kosza z papierami. — Jest u nas spółdzielnia „Iskra”, która wyrabia z wikliny takie oto plecione zydle — wskazał na krzeselko, na którym siedział Hrak — fotele i etażerki. Łoży było u nas bardzo dużo, od kiedy jednak zaprowadzono tu hodowlę piżmaków, spółdzielnia ma coraz mniej surowca, nie wykonuje planu. No więc teraz, prawdę mówiąc, zaczęliśmy tępić tego deficytowego piżmaka, który niszczy łożę i spółdzielnię. Tak że przyjechaliście do nas, można powiedzieć, w niewłaściwym czasie.

— Hm... To gorsza sprawa — odkaszlnął Hrak. — Więc żadnych już piżmaków tu nie ma?

— Dlaczego nie? Są. Tylko spróbuj je złowić... Do wody wychodzą tylko w nocy — przewodniczący wstał i podeszedł do okna, jakby chciał zademonstrować przybyłym swoje bryczesy z dwoma skórzanymi łatkami naszytymi z tyłu.

Sidalkowski nie mógł oderwać od nich oczu.

— A co to za helikopter macie? Czy rzeczywiście i pływa, i lata?

— I pływa, i lata, i wiele innych rzeczy wykonuje — kpił Hrak.

— Ciekawe. Państwowy czy własny?

— Własny.

— A wiklinę też tnie?

Hrak odebrał to jako kpinę i już miał wybuchnąć gniewem.

— Proszę się nie gniewać, pytam poważnie. U nas takie tu błota, że bardzo ciężko jest dobrać się do wikliny. Więc gdyby tak...

— Nie, nie tnie, tylko pływa. To amfibia.

— Naprawdę? Wy serio?

— Absolutnie.

— To może tego... może wieczorem pojechalibyśmy tak zapolować na pizniki? Idą na światło jak zające. A jak tam reflektory?

— Potężne! Kobylatyn Turbinny widać stąd jak na dłoni. A gdyby tak przystawić do nich karabin maszynowy, to kaczki można by strzelać w locie.

— Kiedy ja poważnie. Widzicie? — przewodniczący podszedł do strzelby stojącej w kącie za sejfem i podrzucił ją w ręce. — Kaliber dwanaście. Zasięg 350 metrów. Belgijka. Jeszcze z wojny. No to jak? Pojedziemy?

— Pojedziemy. Tylko pod jednym warunkiem: nam potrzebne są pizniki nie martwe, lecz żywe. Zanim zaczniecie do nich strzelać w imię szlachetnego celu ochrony łoży, musicie wpierw tuzin złowić.

— Ale jak?

— Siatką. Wspaniałą kapronową siatką ze znakiem jakości — uśmiechnął się Sidałkowski.

— A nutrii nie potrzebujecie? Bo u nas nutrii do diabła!

— Potrzebne nam są przede wszystkim pizniki i jeże, ale można złapać trochę nutrii. W naszych eksperymentach naukowych nutrie też się przydadzą...

— A wy co, przeprowadzacie na nich doświadczenia?

— Tak.

— Jak na psach?

— Jeszcze bardziej skomplikowane — wyjaśnił Hrak.

— Płacimy za nie. Bilonem. Albo spirytusem.

— Ile trzeba wam jeży?

— Też z tuzin. Tylko musi być w tym osiem samców.

— A jak ich rozpoznać?

— Od tych spraw jest w naszej ekspedycji ten oto towarzysz — Sidałkowski wskazał na Hraka. — Ma dyplom z odznaczeniem.

— A, chyba że tak... Piżmaków i nutrii u nas jak psów. No a czy wyście jedli już kolację?

— Jeszcze nie, ale mamy w planie — odpowiedział Hrak.

— To może razem?

— Można, czemu nie.

Po dobrej, zakrapianej kolacji Sidałkowski stanowczo odmówił udziału w piżmakobójstwie.

— Jestem naukowcem, a nie barbarzyńcą. Ani kłusownikiem. A poza tym na polowanie na piżmaki jest za wcześnie. Wychowują jeszcze młode.

Sidałkowski zanocował w jednej z tych chat, które w naszych wsiach zastępują przyjezdnym hotele, bez obowiązku wypełnienia formularzy meldunkowych. U jakiejś wdowy.

Na dużej płycie w kuchni gotowały się ziemniaki, obok skwierczała jajecznica ze słoniną; po chwili gospodyni postawiła ziemniaki na stole przed Sidałkowskim.

— Monopolowej nie mam, ale może się pan napije samogonu. Albo wiśniówki? — spytała pulchna madonna spirydonowska bez dziecka na ręku. A jej dziecko tak szybko się ośmieliło, że zabrało się najpierw do uszu gościa, wpychając tam paluszki, a potem do jego fryzury. Sidałkowski nie był tym zachwycony, ale robił minę człowieka najszcześliwszego na świecie.

— Jak on się garnie do pana... — zachwycała się gospodyni. — Jak do rodzzonego ojca.

Słowa te sprowadziły niezbyt przyjemne dla niego skojarzenia. Wiedział z własnego doświadczenia, że małe dzieci nie tylko zbliżają dorosłych, ale również ich oddalają...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

w którym opowiada się o pieśniach, dzieciństwie, życiu jako małym spacerze, supergeniuszu, fenomenalnej pamięci, mlecznej mgiełce, boskiej ruszałce i wyczynie Hraka

Noc minęła Sidałkowskiemu na słuchaniu pieśni. Bo czy jest na Ukrainie wieś, w której nie śpiewano by do rana? Śpiewy te oczarowały Jewgrafa, jak syreny Odyssa, topniał więc jak wosk w uszach towarzyszy antycznego bohatera. Chodził po pokoju i nucił zasłyszane melodie, oglądając wyszywane ręczniki; wszystko to przypominało mu dalekie dzieciństwo i Wapniarkę...

Z sentymentalnej wycieczki w krainę dzieciństwa wyrwało go szczekanie psów. Sidałkowski wyjrzał przez okno. Dniało. „Mahaceta” stała przed bramą, oblepiona gliną, ziemią, słomą i tatarakiem.

— Ubiliśmy dwa piźmaki — zawołał podniecony Hrak. — W sam raz na czapkę.

— I to wszystko?

— I cztery złowiliśmy. I dwie nutrie.

„Mahaceta” wjechała na wąską drogę gruntową i szczęśliwie przejechała przez mostek, budowany od nowa po każdej powodzi. Dziadek Tryfon przywitał ich tym razem bez strzelby, nawet bezzębnym uśmiechem, zdejmując z głowy przepoconą czapkę. Podczas gdy Hrak mył z Tryfonem w rzece pomidory i ogórki, Si-

dałkowski stawiał namiot, bo za czarnym lasem zaczęły się zbierać chmury. Jedynym pocieszeniem było to, że deszcz rozpędzi komary oraz pastuszków, którzy obstąpili amfibie i przewyciężając strach patrzyli na nią jak na latający talerz.

Pierwsze ciężkie krople zabębniły o liście, kiedy wszyscy trzej siedzieli już w namiocie i przyjaźnie gawędzili.

— Na tym miejscu, gdzie teraz siedzimy — opowiadał Tryfon — stał kiedyś bardzo stary dąb. W czasie wojny zniszczył go pocisk niemiecki, pozostał tylko potężny pień, widoczny z daleka ze wszystkich stron. No i kiedyś przyjechali tu uczeni z Moskwy, a może z Kijowa. Tacy jak wy. A może inni. Jakieś historyki. No i te historyki ścięły ten dąb. Powiadali, że po to, żeby się dowiedzieć, jak jest stary. A może i nie dlatego, kto ich tam wie, tych uczonych...

Deszcz lał bez przerwy. Był koniec sierpnia i widocznie w niebieskiej kancelarii stwierdzili, że plan deszczu nie został wykonany. Za to w południe słońce było takie, że można było się upiec. Sidałkowski siedział na samotnej wysepce, na której rosło samotne drzewo, nie wiedział jednak, jakie. Odróżniał tylko jabłoń od gruszy, dąb od sosny, olchę od jodły, ale ze świerkiem i sosną już były kłopoty. W tej jednak chwili interesowały go nie drzewa, lecz piżmaki. Bo wśród tych czterech, które złowił Hrak, były trzy samce, a dwa zabite — to były właśnie samiczki.

Kiedy więc Sidałkowski opalał się pod samotnym drzewem, Hrak i Tryfon zastawiali sieć. Na drugim brzegu rosła łożyna i widać było mnóstwo nor. Szum liści kołysał Sidałkowskiego do snu. Nagle poderwał go jakiś krzyk.

— Sidałkowski! — zawołał Tryfon. — Niech się pan obejrzy, piżmaki płyną!

Sidałkowski odwrócił się i zobaczył, jak prosto do

sieci płynie piżmak, przypominający małego pieska. Gdy piżmak minął „boję” (jak Hrak nazwał zwykły korek), obaj z dziadkiem szybko wyciągnęli sieć. Piżmak próbował zawrócić, ale było już za późno, łapki zaplątały się w sieć, i jeszcze jedna ofiara nauki była złowiona.

Słońce nadal mocno przygrzewało. Sidałkowski miał ochotę rzucić to nudne zajęcie, położyć się gdzieś w cieniu i spać do wieczora, i dopiero przy świetle księżyca lub reflektorów „Mahacety” rozpocząć łowy. Hraka jednak trudno było oderwać od piżmaków, które — jak podejrzewał Sidałkowski — były mu potrzebne nie tyle do celów naukowych, co na czapki dla siebie. Z trudem udało się uzyskać kompromis: teraz zastawi się sieć, a po obiedzie zaczną burzyć nory i zaganiać piżmaki do sieci.

Hrak nabrał do kociołka źródlanej wody i zawiesił na trójnogu. Po obiedzie, mając już doświadczenie, zaczął kopać rowy i wykurzać spod ziemi piżmaki.

— Z pana urodzony kopacz — kpił Sidałkowski, otwierając konserwę mięsna „Śniadanie turysty”, którą nazwał „Śniadaniem szpiega”.

Tryfon Sakowicz spojrział na niego podejrzliwie, bo to określenie wywołało w nim pewne skojarzenia. W skrytości ducha ciągle jeszcze nie wierzył, że przybysze są naukowcami, i był przekonany, że to jednak szpiegdy, którzy dla zamydlenia oczu łowią piżmaki.

Hrak kopał nie w głąb, lecz w szerz, próbując w ten sposób poszczególne nory; wkrótce jednak przekonał się, że nory ciągną się w głąb i chyba przechodzą pod dnem rzeki.

— Hrak! — zawołał Sidałkowski. — Uprzedzam pana: tym razem bez żadnych sztuczek. Obrzydły mi już pańskie odkrycia. Żadnej natfy, żadnego uranu.

Hrak nie zareagował na to i kopał zawzięcie dalej.

— Proszę pamiętać — ciągnął dalej Sidałkowski —

że jeśli odkryje pan jakiś cenny surowiec, to zaraz zbudują tu fabrykę i znikną ryby i piżmaki razem z rzeką. Pod jakim znakiem się pan urodził?

— Skorpiona. A co?

— To widać. A ja pod znakiem jakości.

— Och, jak tyś mi już obmierzył, Sidałkowski!

— O, to coś nowego w pańskim słownictwie. Im głębiej w ziemię, tym bogatszy język. Ciekawa metamorfoza.

— A może ty byś trochę pokopał, doktorze?

— Nie mam sumienia pozbawiać pana zarobku. To przecież całe pięć rubli!

— Mało!

— Dobra, niech pan zna moją hojność: dziesięć rubli. Nikt chyba jeszcze nie ocenił pana tak wysoko: dziesięć rubli dziennie za nędzną parę nie złowionych piżmaków.

W krótkim czasie zbiegła się tu niemal cała wieś. Ciekawiła ich nie tyle praca Hraka, co „Mahaceta”, której sława przetoczyła się jak wiosenny grzmot przez całą wieś. Przypatrywali się jej z taką ciekawością, z jaką młode szlifibruki oglądają pod hotelem „Inturistu” zagraniczne samochody. Maszyna, która lata (płód fantazji dziadka Tryfona), pływa, jeździ, kosi jak kombajn (o tę cechę wzbogacił amfibię przypuszczalnie przewodniczący rady gminnej) i strzela (relacje naocznych świadków) — taka maszyna musiała w Spiridonówce sensację. Kiedy wreszcie gapie dość napatrzyli się na „Mahacetę”, zaczęli podchodzić do naszych bohaterów i zadawać im pytania:

— Co wy tu kopiecie?

Hrak dawał różne odpowiedzi, a wszystkie jak najbardziej serio. Najpierw powiedział, że znajdują się tu kości mamuta sprzed miliona lat, które można dobrze sprzedać.

— A może wystarczą wam kości końskie? Możemy

sprzedać. Niedrogo — odpłacali mu pięknym za nadobne.

— Czego tu szukacie? — zapytał ktoś inny.

— Złota! — odparł ze złością Hrak, któremu przestało dopisywać poczucie humoru.

— Wy co, macie nas za durniów?! — wybuchnął jeden z kołchoźników. — Myślicie, że jak my ze wsi, to nie rozumiemy, gdzie kamień, a gdzie złoto? Chcecie pewnie nakopać kamienia na podmurówkę i żarty sobie z nas stroicie.

— Niech pan nigdy nie kłamie, Hrak — pouczał Sidałkowski. — Ludzie chętnie wierzą kłamstwu. Prawda jest mniej prawdopodobna niż kłamstwo. Proszę spróbować mówić prawdę

Hrakowi jednak trudno było sobie wyobrazić, że można mówić prawdę.

— Więc ja spróbuję — powiedział Sidałkowski. — Łowimy tu piżmaki — rzekł, zwracając się do gapiów. — Może nam pomożecie? Trzeba wykurzyć je z nor do wody, a my je będziemy łowić.

— Piżmaki? Co wy, wariatów z nas robicie? Mamy wam jeszcze pomagać? A co to sami nie mamy roboty?

Gapie powoli zaczęli się rozchodzić. Hrak znowu chwycił za łopatę. Sidałkowski przyglądał mu się, żując jakąś trawę, ale myślał o Iji, która nieoczekiwanie odkryła jego „rodzinny sekret”, ujrawszy na kopercie prawdziwe nazwisko Jewgrafa. Myślał też o Filarecie Karłowiczu i jego przerażeniu, kiedy się dowiedział, że Sidałkowski i Hrak chcą się wybrać do Spiridonówki. Co go tak strwożyło? Potem myśli zaczęły krążyć wokół Ewy Granat i zatrzymały się na pięknej kasjerce, przypominającej francuską bułeczkę...

Tymczasem na plecy Hraka zaczął się opuszczać sierpniowy wieczór. Na jasnogranatowym niebie, wymyłym wczorajszym deszczem jak okna „Findipoczu”, zapalały się pierwsze gwiazdy, z których — jak zauważył Jew-

men — nie ma żadnego pożytku, bo nie można przy nich pracować. Ziemia ciężko oddychała i parowała jak Hrak przez nylonową koszulę.

— Cudownie! — westchnął Hrak ku zaskoczeniu Sidałkowskiego, przerywając pracę i spoglądając znowu na niebo.

— Pan o czym?

— O otaczającej nas przyrodzie. Jak pachnie nać ziemniaczana, olchy, sosny...

— ...i cejlońska herbata, o której pan chyba zapomniał.

Zabrali się do parzenia i picia herbaty. Wieczór był łagodny i ciepły. Rzeka parowała jak świeżo wydojone mleko. Niebieskawa mgła zawisła nad wodą i snuła się nisko nad pochyłymi brzegami. Od czasu do czasu załopotał nad głową nietoperz lub poderwała się krzyżówka.

Od strony wsi doleciał pierwszy śpiew dziewcząt. Z przeciwległej strony ktoś smutnie ciągnął stary ukraiński romans:

Powiedz, po co pokochałaś, czemu zaufałaś mi...

— Niech pan nie płacze, Hrak...

— Nie mam zamiaru.

— Cynik z pana. Czy ten głos pana nie wzrusza?

Gdzieś chlupnęła ryba i woda, rozchodząc się ciemnymi kołami, ledwo słyszalnie uderzyła o brzegi. Z mlecznej mgły na spotkanie księżycą, który ostrożnie zaczął wychylać się spoza ciemnej ściany lasu, wyłoniła się zjawiskowa postać. Hrak otworzył usta.

— Co za cudo! — zawołał Sidałkowski.

— Niezły towar. I dobrze reklamowany.

— Pan jest cynik i prymityw, Hrak. Mówi pan jak weterynarz. O kobietach, tak jak o zmarłych, trzeba mówić „aut bene aut nihil”.

Hrak cicho i zwinnie jak kot podczołgał się do „Mahacety”. Sidałkowski odgadł jego zamiar.

— Hej, supergeniuszu! Żeby pan nie odważył się włączyć reflektorów. Kobieta na światło nie pójdzie, to nie piżmak. Kobiety są jak błona fotograficzna: lubią ciemność.

— Co za figura! — westchnął Hrak, opierając się o burtę amfibii. — Ciekawe, doktorze, dlaczego kobiety tak się lubią rozbierać, kiedy są na łonie przyrody? To chyba wpływ Zachodu.

— Pan pozostał jednak w stadium rozwoju „pan troglodytes”, czyli szympansa.

— Sam jesteś troglodytes!

— Albo jeszcze wcześniejszym. To zew przodków. W kobietach zakodowana jest naturalna skłonność człowieka jaskiniowego do stanu nagości. Dopiero chrześcijaństwo narzuciło im te ciuchy. I proszę zapamiętać jeszcze jedno: nikt tak często i tak chętnie nie rozbiera się, jak kobiety ładnie zbudowane. O tym oczywiście pan nie mógł wiedzieć, bo tego w akademii nie uczą. To, podobnie jak i poezja, pochodzi od Boga. Czy pan mnie zrozumiał, posiadaczu dyplomu z odznaczeniem? To spóźniony protest przeciw spódnicom, nawet tym „mini”.

— A ja sądzę, że trzymać atrakcyjny towar pod ladą to przestępstwo.

Księżycowa nimfa rozpuściła włosy, które spadły jej na białe plecy, podeszła do kładki i zanurzyła nogę w wodzie jak termometr. Widocznie temperatura jej odpowiadała, bo zaczęła stopniowo wchodzić do rzeki.

— Powrót Amfitryty do Posejdona — wyjaśnił Sidałkowski.

— A niech to diabli! Żebyś wiedział, doktorze, jak mi się podobają nagie kobiety!

— Takie kobiety nie dla pana. W panu pozostało zbyt wiele dzikich instynktów. Jest pan zaprzeczeniem ewolucyjnej teorii Darwina.

Hrak wyciągnął rękę, by włączyć reflektor.

— Przy świetle księżycowym kobiety wyglądają o wiele piękniej, Hrak. A poza tym może pan ją wystraszyć. Czy chce pan przyspieszyć proces zanurzania się jej w wodę?

— Już i tak się zanurzyła. Po łabędzią szyję.

— Myli się pan. Miał pan chyba na myśli jej łabędzią pieśń: zaraz zacznie wołać pana na pomoc.

— Mnie?

— Oczywiście. Za dychę rzuci się pan do wody, nawet gdyby pan nie umiał pływać. Ma pan szansę za chwilę trafić w objęcia tej ślicznotki. Co prawda, będą mokre.

— Kto?

— Nie kto, tylko co: objęcia.

Sidałkowski zgadł. Po chwili mgłę przebił sygnał SOS, który wyraża się znanym krzykiem: „Ratunku!...”

Hrak zrobił trzy olbrzymie jak na niego kroki, zrzucając w biegu spodnie. Wyglądało to bardzo zabawnie. Jednak w tym miejscu zmuszeni jesteśmy przerwać akcję, by czytelnika zaintrygować i skłonić do przeczytania następnego rozdziału.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

w którym opowiada się o nierównym boju, sądzie, scenariuszu Chowraszkiewicza, przekonujących dowodach, jeszcze jednym dokonaniu w imię ludzkości, o boskiej rusałce i hrabinie Bourgeois, prawdziwym mężczyźnie, plusach i minusach, meteorach i o młodej, urodziwej wdowie

W „Findipoczu” przygotowywano się do rozprawy sądowej. Kowbyk chodził chmurny po korytarzu. Nieszczęśliwym szukał wszędzie Czadiuka, który podobno urządził się gdzieś jako ekspedytor, chcąc razem z nim utworzyć wspólny front przeciw findipoczowcom.

Ci ostatni też nie zasypiali gruszek w popiele. Przede wszystkim puścili plotkę, że Kowbyk ma u góry plecy i nie boi się żadnych sądów. Po drugie, każdy findipoczowiec, z wyjątkiem Hraka i Sidałkowskiego, uczył się na pamięć roli świadka i gotów był wydać bój nie tylko Nieszczadymowi, ale nawet dwom Czadiukom, gdyby nagle zjawili się na horyzoncie.

Karol Iwanowicz Bubon kiepsko ostatnio sypiał i chwilowo nie wyobrażał sobie siebie jako zastępcy ministra finansów, bo jego wyobraźnię zapełniali kontrolerzy i rewizorzy, którzy we śnie zmieniali się w psy milicyjne i ciągle coś znajdowali, potrząsając połączanymi obrożami. Kupował im codziennie pasztetówkę i częstując ich pytał: „Szanowni, a czego tu szukacie?”. A oni odpowiadali ludzkim głosem: „Już my wiemy, czego”, i żując kiszkę pasztetową uśmiechali się złośliwie.

Chowraszkiewicz i Panczyszka męczyli się nad scenariuszem rozprawy sądowej na wypadek, gdyby się odbyła. W świetle tego scenariusza Nieszczadym był zadufanym w sobie, zacofanym zarozumialcem, odstającym od współczesności o czterdzieści lat, który posługiwał się starymi, skompromitowanymi metodami, zapominając o tym, że życie idzie naprzód i staje się coraz bardziej skomplikowane i doskonalsze. Scenariusz ten przedstawiał Nieszczadyma jako złośliwego pijanicę, który stale wykradał z laboratorium „Findipoczu” spirytus i nawet próbował początkowo, oczywiście bezskutecznie, rozpić niepijącego i chorego Kowbyka. Po „chorego” zostawiono w scenariuszu wolne miejsce, by po konsultacjach wpisać rodzaj choroby. Dosłownie brzmiało to tak: „Nieszczadym ciągle próbował spić kradzionym w laboratorium spirytusem Stratona Stratonicza Kowbyka, który choruje na... (wątrobę, żołądek, serce). Jednak nie udawało mu się to, więc Nieszczadym pije jeszcze więcej sam ze złości”. Dalej mówiło

się o nim jako o podstępnyim karierowiczu, który usiłował upijać Stratona Stratonowicza po to, by skompromitować go w oczach podwładnych, spowodować jego zwolnienie i zająć jego dyrektorski fotel.

Margaryta Izotowna miała zaświadczyć, że Neszczadym jest bumelantem. Miało o tym świadczyć między innymi wystąpienie Neszczadyma na zebraniu załogi, w którym postawił wniosek o zlikwidowanie listy obecności wraz z „prawem trzech kałamarzy”. W księdze obecności ostatni był istotnie podpis Neszczadyma, a kolor atramentu świadczył wymownie, jak pamiętamy, że spóźnił się on w tym dniu do pracy.

Faktów, świadczących przeciw Neszczadymowi, było, jak widzimy, sporo, findipoczowcy nie zamierzali jednak spocząć na laurach: mieli jeszcze w zanadrzu — jak to określił Panczyszka — „bombę z opóźnionym zapłonem”. Otóż zdecydowano przemilczeć sprawę wyjazdu służbowego Hraka i Sidałkowskiego po jeże i piżmaki, które miały zastąpić zwierzęta strute spirytusem Neszczadyma. Na tę ostatnią okoliczność Panczyszka miał zeznać, iż widział to na własne oczy. Otóż po długotrwałych obserwacjach miał on jakoby zasnąć w pobliżu klatek (fakt nieobecności jego przez jedną noc w domu miała potwierdzić Majolika). Spał czujnie. W pewnym momencie wyczuł czyjaś obecność. Otworzył oczy i ujrzał na jednej z klatek czyjś cień. Schował się szybko w krzaki i zaczął obserwować. Do klatek zbliżał się Neszczadym. W rękach obleczonych w czarne rękawiczki trzymał dwie szpryce. Rękawice — miał dalej zeznać Panczyszka — były po to, by nie pozostawić żadnych śladów i chronić przed pokłuciem przez jeże. W ten haniebny sposób Neszczadym zamordował kotne już piżmaki i przystosowane do hybrydyzacji jeże. Margaryta Izotowna zgodziła się chętnie stwierdzić, że do takiej okrutnej podłości zdolni są tylko mężczyźni, dlatego jest pewna, że zrobił to Neszczadym.

Chowraszkiewicz obiecał przedstawić sądowi dowody naukowe. Otóż miał przekonać sąd, że zwierzęta zostały spite na śmierć przez Neszczadyma nie spirytusem pszenicznym, dziewięćdziesięciosześcioprocentowym, jaki jest w laboratorium „Findipoczu”, lecz ziemniaczanym, przyniesionym do „Findipoczu” przez Margarytę Izotownę do nacierania Stratona Stratonowicza, cierpiącego po rybołówstwie na bóle krzyża; ten właśnie spirytus Neszczadym ukradł z gabinetu Stratona Stratonowicza

Możemy uprzedzić czytelnika, że istotnie rozprawa się odbyła, jednak szanse obu stron były bardzo nierówne. Przeciw Neszczadymowi i Czadiukowi wystąpili tacy przeciwnicy i wydali im taki nie notowany w dziejach sądownictwa bój, że tylko dzięki humanizmowi sędziów ludowych nie zasiedli oni na prawdziwej ławie oskarżonych — jeden jako złoczyńca, a drugi jako oszczerca. „Findipocz” triumfował, ale wszystko to odbyło się znacznie później.

Powróćmy teraz do Sidałkowskiego i Hraka, którzy z poświęceniem kontynuują połowy piżmaków...

Sidałkowski uśmiechał się do życia, życie zaś, jak mówił, śmiało się nie tyle do niego, co z niego. Minęły już dwa dni polowania, a potrzebnych piżmaków i jeży ciągle nie mieli. Właściwie to w klatkach „Mahacety” było ich więcej, niż trzeba, tylko że wszystkie jeże były samcami, a piżmaki — samicami.

Więc trzeciego dnia od samego rana Hrak kopał nowe rowy, łączące nory piżmaków, które robiły wrażenie pierwszej linii obrony.

W tym czasie Sidałkowski oddawał się innym łowom: na strychu znanej już nam młodej wdowy łapał osy.

Widzimy go teraz, jak trzymając w lewej ręce elektroluks wchodzi po drabinie na strych; wyglądał z dołu jak chwacki strażak. Nie zamierzał jednak gasić pożaru, lecz zemścić się na tych złośliwych żółtych owadach, które tak zeszpeciły jego piękną twarz. Oczy pło-

nęły nienawiścią, a gorące serce domagało się zemsty i sprawiedliwości.

Pod drabiną stała wdowa, śmiejąc się i udzielając Sidałkowskiemu dobrych rad, które on odrzucał.

— Jeśli wierzyć Swetoniuszowi — mówił filozoficznie — to Domicjan zamykał się w swojej cesarskiej komnacie i łapał muchy. Ja jednak stoję wyżej od cesarza. Po pierwsze, łapię nie muchy, lecz osy, po drugie, nie gołymi rękami, lecz odkurzaczem, a po trzecie, jestem nie w cesarskiej komnacie, lecz na strychu, a więc znacznie wyżej.

Tak się przejął swoim nowym polowaniem, że zapomniał nawet o polowaniu na piżmaki i jeże.

Jewgraf przyłożył rurę odkurzacza marki „Tajfun” otworem do miejsca, w którym, jak sądził, było gniazdo os i włączył elektroluks. Osy, wracające do gniazda, wpadały nieoczekiwanie w silny, wciągający strumień powietrza i znikaly w rurze, nie zdążywszy opamiętać się i zrozumieć, co to za jakieś nowe zjawisko w przyrodzie.

— Weźmiemy przyrodę w swoje ręce — Sidałkowski zacytował kogoś tam. — Oczywiście ręce wsparte rozumem i odkurzaczem.

Wdowa radziła, żeby oblał te przeklęte osy ukropem albo za pomocą patyka wyrzucił całe gniazdo. Ale, po pierwsze, Sidałkowski gniazda nie widział i tylko domyślał się, gdzie ono jest, a po drugie, bał się ryzyka nowego ataku na swoje piękne oblicze.

— Operacja „Tajfun” trwa nadal! — zawołał z drabiny w odpowiedzi na rady wdowy, prosząc ją o ponowne włączenie odkurzacza.

Uniwersalny artykuł gospodarstwa domowego, za pomocą którego można było czyścić odzież, miękkie meble, firanki, ściany, dywany oraz odkurzać książki, aparaty radiowe i telewizory, znalazł teraz jeszcze jedno zastosowanie.

— Romantyczna noc na sianie nie zawsze romantycznie się kończy — powiedział rano do wdowy, która przykładała na pokąsane miejsca zimne kompresy. — Z taką twarzą nie miałbym czego szukać na konkursie męskiej piękności, prawda?

— Proszę się nie przejmować, pan i tak przystojny. Pierwsza lepsza dziewczyna u nas na wsi wyszłaby chętnie za pana. Nie mówiąc już o wdowach...

— Pierwszej lepszej to ja nie chcę — odparł Sidałkowski, trzymając wdowę za rękę.

A teraz czatował na drabinie na pojawienie się nowej żółtej eskadry. Dzień był ciepły, słoneczny. Sidałkowski mrużył oczy o podpuchniętych powiekach, jak niedźwiedź po zimowym śnie...

W poprzednim rozdziale przerwaliśmy akcję w najciekawszym miejscu, kiedy Sidałkowski i Hrak usłyszeli wołanie księżycowej rusałki. Należy się więc czytelnikowi dalszy ciąg tej zaskakującej przygody.

— Niech pan się tak nie spieszy! — zawołał Sidałkowski za Hrakiem, który rzucił się na ratunek tonącej. — Proszę spokojnie zdjąć spodnie, bo się pan w nich zapłaczę i upadnie. Rusałka może poczekać. Rzeka nie jest głęboka, więc ta ślicznotka stoi na twardym gruncie, chociaż jest on pod wodą — Sidałkowski rzucił Hrakowi kij. — Niech pan jej poda tę pałeczkę sztafetową.

— Doktorze, do mnie! — usłyszał po chwili głos Hraka.

Sidałkowski pobiegł i stanął jak wryty.

— Ewa? Tu? Czy pani z nieba spadła?

— Przyjechałam za panem. Adam powiedział, że gdzieś tu polujecie na jeże i piżmaki.

— Ale co pani tu robi?

— Kąpię się.

— To już widziałem. Ale w ogóle?

— Ponieważ pan przestał śledzić mnie, więc teraz ja śledzę pana.

Rozczarowany Hrak powlókł się do namiotu.

— Lecą jak ćmy do reflektorów „Mahacety”. Lecą, padają, opiekając sobie skrzydła, podnoszą się i znowu lecą... — rzucił kij w ogień, powodując fontannę diamentowych iskier.

Zazdrościł Sidałkowskiemu. Zazdrościł mu wzrostu, urody, powodzenia u kobiet, uśmiechu. Przyłapał się na myśli, że właściwie nie lubi swego dobroczyńcy. A może nawet...

Jewgraf w tym czasie wycierał Ewę ręcznikiem myśląc o tym, jak wiele tracą te kobiety, które same się narzucają. „Uroda i rozum — filozofował — rzadko chodzą w parze. Zwłaszcza jeśli chodzi o rodzaj żeński.”

— Taka piękna kobieta — rzekł głośno. — i też będzie kiedyś starą, pomarszczoną babusią. Trudno w to uwierzyć.

— Ewa nigdy taka nie będzie.

— Od starości i miłości nie ma ucieczki.

— Ewa umrze, zanim się zestarzeje.

— O! Nie wiedziałem, że przede mną druga hrabina Burżua!

— A kto to taki?

— Nie wie pani, kim była hrabina Burżua?

— A pan wie?

Sidałkowski też nie wiedział, bo tę hrabinę na poleceniu wymyślił. Słyszał lub czytał gdzieś o jakiejś hrabinie, która była tak pięknie zbudowana, że stanęła pewnego razu przed Napoleonem III i całym dworem naga, kiedy zaś się postarzała, wstąpiła dobrowolnie do klasztoru i nikt już jej nigdy nie widział.

— Hrabina de Burżua była faworytką Ludwika Napoleona III. Słyszała pani o takim?

— Słyszałam. To ten, co jadał wrony.

— Wrony jadł jego stryj, też Ludwik. Dziwię się pani: aktorka stołecznego teatru Ewa Czupryna-Granat i nie wie, kim była hrabina de Burzua. Chwilami zaczynam wątpić, czy z takim wykształceniem może mi się pani podobać.

— Ewa podoba się wszystkim. Chyba pan o tym wie.

Sidałkowski patrzył na nią w milczeniu. Ewa podobała mu się, ale tylko wówczas, gdy milczała.

— Po co pani tu przyjechała, Ewo? — zapytał raz jeszcze.

— A pan nie jest zadowolony?

— Jak by to pani powiedzieć... — zaczął patykiem podgarniać żar.

— Myślałam o panu przez cały czas. — Ewa przysunęła się do Sidałkowskiego. — Nie mogę bez pana. Pan to nie Adam. Pan jest bogiem. Moim bogiem!

— Proszę tak nie mówić, bo jeszcze gotów jestem uwierzyć — usiłował się zdystansować jakoś, ale to porównanie spodobało mu się. Zmiękł i objął czule Ewę, która w odpowiedzi przypadła do jego piersi i zarzuciła mu ręce na szyję tak, że poczuł, iż mimo nocy jest upał.

— Kocham pana, Jewgrafie! Słyszysz pan? Pana, a nie Adama. Pan jest mój... Mój jedyny bóg!

— Szkoda, że nie mam tej boskiej mocy, żeby na nowo panią stworzyć dla domu i rodziny. Jest pani taka jak ja. Nie jesteśmy stworzeni do wielkiej i trwałej miłości.

— To nieprawda!

— Proszę się nie oszukiwać. Pani uczucia są jak morskie fale.

— Pan kpi sobie z biednej Ewy. Kpi pan z jej miłości.

— To pani ze mnie kpi. Proszę mi wierzyć, że umiem odróżniać złoto od miedzi. Może to potwierdzić nawet

Hrak. Proszę się nie okłamywać. I nie obrażać. Pani nie kocha nikogo. I nie po to zresztą została pani stworzona. W tej pani grze jestem tylko zbytecznym kibicem.

— Pan jest okrutny! Wyśmiewa pan, depcze moje uczucia.

Ewa wstała, przestąpiła to, co jeszcze przed godziną było ogniskiem, i odeszła.

— Żegnaj, Jewgrafie.

— Pani dokąd?

— Ewa też ma własną godność.

— Nie wątpię w to, ale...

Ewa już tego nie słyszała. Odeszła w noc. W sierpniową noc, z napiętym przez wiatry namiotem nieba, z zawieszonymi na nim lampionami gwiazd, które nie dawały ni światła, ni ciepła. Meteoryty, których w sierpniu jest tyle co pomidorów, wybuchały i łagodnie pikując, opalały sobie ogony.

Ewa szła. Szedł i Jewgraf. Dokąd? Szli do stacji kolejowej. Do tej, z której pociągi odchodzą w różnych kierunkach. Ciszę nocną rozcinał smutny, jak wspomnienie dzieciństwa, gwizd lokomotywy, manewrującej po wąskich torach.

— Niech pan wraca! Mnie nie trzeba odprowadzać — zawołała Ewa.

Szedł za nią jednak dalej.

Na peronie stali w milczeniu. Chciał ją pocałować, odchyliła jednak nawet w ciemności piękną twarz. Potem Ewa wsiadła w jakiś pociąg towarowy, nie interesując się nawet, dokąd on jedzie.

W sercu Sidałkowskiego było tak, jak w pokoju, z którego nagle wyniesiono stare, niepotrzebne już rzeczy, bez jakich stało się teraz smutno.

W ciemnosinej mgle migały czerwone ogniki, a na peronie długo jeszcze majaczyła samotna postać Sidałkowskiego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

w którym opowiada się o elegancji, modzie, przyjeździe nieznanego, zagadkowych napisach, nowej znajomości, jeszcze jednej odkrytej tajemnicy, rozczarowaniu Hraka, liście do Sidałkowskiego oraz o życiu, które chciałoby się zacząć od nowa

— Kiedy piję lub trzymam w ręku papierosa, to staram się, Hrak, żeby to wyglądało elegancko i estetycznie — Sidałkowski uzupełniał edukację towarzyską przyjaciela. — Jeśli chce pan to osiągnąć, to proszę ćwiczyć przed lustrem. Kiedy zobaczy pan w lustrze, jak pan pije, to powinno się panu zrobić wstyd. Przepraszam... Zapomniałem, że takie uczucie, jak wstyd, jest panu obce.

Hrak w milczeniu znosił chrust, by przygotować pożegnalną kolację dla miejscowych władz. Dziadek Tryfon otrzymał polecenie, by nałowić jak najwięcej ryb na zupę rybną, do której wrzuci się jeszcze wyhodowaną na ziarnie kurę.

Przewodniczącemu kołchozu bardzo się podobała „Mahaceta”; ciągle nie tracił nadziei, że Hrak mu ją sprzeda. Ten, mimo że nie była jego własnością, dyplomatycznie nie zaprzeczał.

— To potwór, nie maszyna — monologował Sidałkowski. — Smok z archipelagu Galapagos. Ale można przecież ją upiększyć, zdjęć z niej ten żabi kolor i ładnie pomalować. Wszystko w życiu trzeba upiększać, Hrak. Czy pan sądzi, że pańska Zosia nie mogłaby być piękna?

Hrak wynosił z „Mahacety” resztki produktów żywnościowych, nie zwracając uwagi na to, co mówił Sidałkowski. Jewgraf też się nie przejmował jego milczeniem, mówił do siebie jakby w natchnieniu i w przekonaniu, że mówi bardzo ładnie.

— Nie wolno ulegać modzie, Hrak, lecz samemu ją dyktować. Co ładne, to zawsze modne. Ija zarzuca mi,

że jestem staromodny, bo nie ulegam ślepo modzie. Nie rozumie, że mogę, ale nie chcę. Sam dla siebie jestem prawodawcą mody. Nikogo nie naśladowuję i nie kopiuję...

— Z wyjątkiem Europy — Hrak rzucił pierwszą dziś replikę. — U ciebie wszystko europejskie: odzież, maniery, poglądy, nawet okno w twojej kuchni wychodzi na Europę.

— Nikogo nie naśladowuję. Ubieram się z wrodzoną elegancją prostotą. I dlatego się podobam. A pan jest offerma. Proszę się nie obrażać, ale z pańskimi napoleońskimi danymi mógłby pan zejść znacznie wyżej.

Zbliżał się do nich na rowerze jakiś nieznamy. Chudy i długi jak rezerwowi koszykarz. Wyglądał na dwadzieścia kilka lat. Miał duże oczy, nieco wypukłe i niewiarygodnie błękitne.

— Przewodniczący kazał mi to przekazać — rzucił na ziemię jakieś papiery. — Trzeba to zawiesić. Dziadek Tryfon wie, gdzie.

Sidałkowski rozwinął w milczeniu, dwa rulony papieru, na których widniał ten sam pięknie wykaligrafowany napis: „Wjazd wzbroniony! Teren manewrów wojskowych!”

— Czy pamięta pan, o co pytali ludzie w Kobylatynie Turbinnym, kiedy na ulicy pojawiła się „Mahaceta”?

— Nie pamiętam.

— Pytali, czy nie zaczęły się może manewry.

— A jaki to ma związek z nami?

— Nic pan nie kojarzy? To, co ludzie tam mówili o manewrach, ma związek nie z nami, lecz z tymi napisami. Tak pięknie nawet ja bym nie napisał.

— Być może. Ale dalej nie rozumiem, jaki związek...

— Te hasła trzeba jak najszybciej wywiesić. Ale gdzie? Na szczęście zbliża się dziadek Tryfon.

Na dnie łodzi srebrzyły się i trzepotały płatki, wzdręgi, liny i karasie; oddzielnie leżało kilka szczupaków.

— Nameńczyłem się z tą rybą! — gderał dziadek, wyciągając łódź na brzeg. — Coraz mniej ryby. A kiedyś... Zarzucisz, bywało, do wody zaostrzony kij, a on stoi na sztorc...

— Tryfonie Sakowiczu, po co te napisy i gdzie je zawiesić?

— Aa, to? — zainteresował się żywo dziadek Tryfon. — Trzeba pójść z tym na Makarową polanę. Czemu Makarową? Bo kiedyś na tej polanie powiesił się jakiś Makar. Tam właśnie będziemy wieszkać. Podobno ma przyjechać naczalstwo z powiatu. Zawsze tak jest: jak każą rozwiesić transparenty, to wiadomo, że będzie naczalstwo. I że będzie większa popijawa.

Kiedy przyjechali amfibią na Makarową polanę i zawiesili przy wjeździe po obu stronach transparenty, nagle dał się słyszeć warkot samochodu.

— Ktoś jedzie — zauważył Hrak.

Tryfon Sakowicz zwinął dłoń w trąbkę i przyłożył do ucha.

— To Iwan Andrijowicz z Karpem.

— A dlaczego z Karpem?

— Bo tylko Karpo tak jeździ. Kiedy za kierownicą jest Iwan Andrijowicz, to słyszeć nie warkot, ale szum.

Dziadek Tryfon nie omylił się: na polanę wpadł gazik, z którego wysiedli przewodniczący kołchozu, przewodniczący rady gminnej i przewodniczący powiatowej spółdzielni spożywców oraz kierowca Karpo.

— No, jak tam, chłopcy? — Dmytro Panasowicz przywitał się podając każdemu rękę. — Zamoczymy waszą... jak jej tam... amfibię i przebijemy! A teraz poznajcie się. Iwana Andrijowicza już znacie. To znaczy tylko Jewmen go zna. To przewodniczący naszego kołchozu.

— Dzerkalny — podał dużą i pulchną rękę korpu-
lenty mężczyzna z szyją, której obwód dorównywał
głowie.

— Mykita Prokopowicz Rozdobud'ko — zapiszczał
chudy człowieczek, który, zdawało się, przez całe ży-
cie tylko biega, nie mając czasu usiąść.

„Chyba śpi też na stojąco” — pomyślał Sidałkowski,
ściskając małą i chudą rękę.

— Zuchy z was, żeście rozwiesili transparenty —
pochwalił Dzerkalny. — Teraz nikt nam nie będzie
przeszkadzał. Chyba że powiatowy prokurator. No
i jeszcze może przewodniczący rady powiatowej. Ale
to właśnie ich wynalazek. Zawsze rozwieszają takie
hasła, więc korzystamy z ich doświadczenia. Niegłupio
to wykombinowali.

Sidałkowski chyba po raz pierwszy w życiu nie wie-
dział, co odpowiedzieć.

— No to jak, zamoczymy waszą „Mahacetę”? Wspa-
niała maszyna. U nas by się taka przydała. Można by
nią ścinać nawet oczerety i łożę na błotach. Chyba
przyjmiecie nas do swego towarzystwa? — ciągnął
Dzerkalny. — Nie przyjechaliśmy z próżnymi rękami.
Z chlebem i solą. A do chleba też się coś znajdzie.
Prawda, Prokopowiczu?

— Dlaczego nie — zgodził się przewodniczący po-
wiatowej spółdzielni spożywców. — Wykładaj, Karpo,
co tam mamy.

Wyjęli z samochodu złożony we czworo brezent, ja-
kieś uniwersalne siedzenie, które rozkładało się jak
ława i równocześnie służyło za stół.

Stół nakrywali Rozdobud'ko i Karpo, zaś Dmytro
Panasowicz brał butelki i opuszczał je delikatnie do
małego źródelka; pomagał im w tym Hrak. A dziadek
Tryfon przyniósł tymczasem wiadra. W jednym była
oczyszczona ryba, w drugim — świeże pomidory
i ogórki.

Nie spuszczać oczu z baterii koniaków, Sidałkowski obliczał swoje możliwości.

— My możemy zrewanżować się tylko dobrym kucharzowaniem — powiedział. — Jewmen Mikołajowicz Hrak na międzynarodowym konkursie kulinarnym w księstwie Lichtenstein zdobył najwyższe nagrody za czterdzieści gatunków najpożywniejszej, najsmaczniejszej i najbardziej kalorycznej zupy rybnej, przyrządzanej w polowych warunkach. Ma dyplom i medale, wrodzona skromność nie pozwala mu jednak wozić ich ze sobą. Prawda, Jewmenie Mikołajowiczu?

Hrak łypnął na Sidałkowskiego wzrokiem Filareta Karłowicza.

— Co prawda — ciągnął dalej Jewgraf — główną nagrodę i złotą palmę wręczono niestety innemu kucharzowi. Z Lichtensteinu. Oni mają zupełnie inny smak niż my.

— To zrozumiałe — rzekł Dzerkalny. — Ale w naszym powiecie takiej zupy rybnej, jak mój Karpo, nikt nie ugotuje.

Kierowca uśmiechnął się do swego szefa z wdzięcznością.

— No, co my tak stoimy? Nalewać! — zawołał wesoło Iwan Andrijowicz. — Pierwszy kielich oczywiście za naszą znajomość.

Wypili. Dziadek Tryfon na zakąskę powąchał skórkę chleba i podszedł do Hraka.

— No to proszę się teraz popisać, co pan potrafi.

— Przepraszam, dziadku — odparł zmieszany Hrak — ale ja nie umiem gotować zupy rybnej.

— Co takiego? — Sidałkowski wstał, wszyscy wybuchnęli śmiechem. — Jakże to, Jewmenie Mikołajowiczu? Odbywał pan przecież praktykę, rada zakładowa stworzyła panu taką możliwość. Składał pan egzamin przed samym Stratonem Stratonowiczem!

— Przepadłem na egzaminie konkursowym — uśmiechnął się Hrak.

Sidałkowski spałowski.

— Proponuję wzniesć toast za kobiety! — zawołał Hrak.

— Potem pili za tych i za tamtych, za to i za owo...

— Ale jakoś smutno, towarzysze! Może jeszcze po jednym, żeby języki się rozwiązały — zaproponował Czudłło.

Propozycję przyjęto jednogłośnie. Tylko Karpo się wstrzymał.

— Bierzcie, towarzysze, wędzonego jesiotra. Częstujcie się — zachęcał Rozdobud'ko.

— Jesiotr ma teraz taką przyszłość, jak dinozaur — zauważył Sidałkowski. — Nawet w muzeach już się ich nie spotyka.

— No to co, chłopcy, możebyście opowiedzieli jakąś anegdotę? — zaproponował Dzerkalny. — Stołeczną.

— Specjalistą od opowiadania anegdot jest Hrak...

— Też bierze udział w konkursach?

— Oczywiście! — zapewnił Sidałkowski. — No, ale tym razem ja opowiem. Otóż w pociągu spotykają się dwaj znajomi. „Wiesz — powiada jeden z nich — że na dworcu chcieli mnie zbić?” „A skąd wiesz, że chcieli?” — pyta drugi. — „Bo jakby nie chcieli, toby nie zbili.”

Ale nikt się z tego nie śmiał.

— No to jeszcze jeden stary kawał — nie rezygnował Jewgraf. — Opowiedział mi go Filaret Karłowicz Czudłowski.

— Kto, kto? Pan zna Filareta Karłowicza? — spytał Dmytro Panasowicz.

— Jewmen Mikołajowicz Hrak-Czudłowski pozostaje z nim w rodzinnych stosunkach. To jego zięć.

— Więc jesteśmy krewni! — ucieszył się Dmytro Panasowicz.

— Tylko z nim — Sidałkowski wskazał na Hraka.

— Słyszałeś, Iwanie Andrijowiczu? — Czudłło zwrócił się do Dzerkalnego. — Filaret Karłowicz... Filko tak teraz siebie nazywa. Po stołecznemu, znaczy się. A w dowodzie osobistym to on Filimon Karpowicz. Więc wy... to znaczy ty — zwrócił się do Hraka — jesteś mężem Tezi... Co za spotkanie! I nazywasz się też Czudłowski. Po żonie...

— Hrak-Czudłowski — poprawił go Jewmen.

— Aleś trafił na rodzinę! Nienudno ci z nimi?

— Wprost przeciwnie: bardzo wesoło. A pan co, nie odpowiada panu nowy krewny?

— Odpowiada! Jeszcze jak! — Czudłło objął go czule. — A twój teść to mój rodzony brat. Patrzcie, generałem się mianował... A z niego taki generał, jak ze mnie generalny prokurator. Filko pracował przez całe życie jako szatniarz w restauracji. Zapomniałem, jak się ta restauracja nazywa. Słowem, dziwak z niego...

Hrak chciał wstać, wiadomość ta poraziła go, ale Sidałkowski nadepnął mu na nogę.

— Mam nadzieję, że pan nie zemdleje. Co, pan nie wiedział o tym? Ach tak, zapomniałem panu powiedzieć. Ale sam dowiedziałem się o tym już po pańskim ślubie. No, nie trzeba zaraz się wieszać z tego powodu. Żenił się pan nie z generalskimi szlifami, lecz z piękną Zosią. A poza tym dom jednorodzinny, piwnica w ogrodzie...

Trzech przewodniczących tarzało się ze śmiechu. Tylko dziadek Tryfon patrzył na wszystkich trzeźwo i krytycznie.

Dmytro Panasowicz otworzył kolejną flaszkę.

— Trzeba wypić za dziwaków. Sporo ich teraz na świecie. Ja też jestem dziwakiem. Kiedy służyłem w wojsku, doczepiłem sobie do nazwiska jedną literę. A po co mi to było potrzebne? Pojęcia nie mam! No to za Czudłłów? — trącił się ze wszystkimi i wypił do dna.

— Historia się powtarza — rzucił w przestrzeń Sidałkowski.

— Pan o czym? — zainteresował się Dzerkalny.

— O sobie — przypomniał sobie adres na liście, przyniesionym przez Iję.

Był to list od matki, która błagała syna, by przyjechał do niej chociaż na jeden dzień, bo czuje się bardzo niedobrze. Czyniła mu wyrzuty, że nie może znaleźć czasu nawet na list do niej, a przecież ma taki ładny charakter pisma... Kiedy przychodzi od niego list, zawsze chwali się nim przed sąsiadami.

Był zły na matkę, że tak do niego zaadresowała, był zły na Iję, że buszuje mu po kieszeniach i czyta adresowane do niego listy. Im więcej pił, tym bardziej trzeźwiał. Po co te maski? Po co to upiększanie nazwisk? Dlaczego ludzie chcą uchodzić za innych, niż są, uważając, że przez zmianę czy też „poprawienie” nazwiska stają się lepsi? Bo przecież chodzi nie tylko o niego, Jewgrafa Sidałko-Sidałkowskiego. Adam Barancki przez zmianę jednej tylko litery zrobił się Baranckim, Karpo Iwanowicz Bubon zmienił się w Karola Iwanowicza, Andrij Fedorowicz Neszczadym stał się Arijem Fedorowiczem, a teraz jeszcze ten Filimon Karpowicz Czudło wydłużył nazwisko i zniekształcił imię, i nazywa się Filaret Karłowicz Czudłowski, a nawet jego brat, Dmytro Panasowicz, też czuł się źle z rodzowym nazwiskiem i wzbogacił je o jedną literę, uważając, że Czudłło brzmi znacznie lepiej niż Czudło.

Sidałkowski zakrył dłońmi twarz i przymknął oczy.

— Pan się źle czuje? — ktoś objął go ramieniem, Jewgraf nie miał jednak ochoty sprawdzać, kto to, był bowiem myślami daleko od tej polany i popijawy.

Ucztowali i śpiewali do późnej nocy. Była oczywiście i „Czeremcha”, i „Oj, chmielu, chmielu”, i „Tam za rzeką, za mgłą”, i „Na dębowym moście spotkali się goś-

cie” i „Hej, tam w Dunaju”, i wiele jeszcze innych wesółych i smętnych pieśni.

Wreszcie zaczęli się żegnać, długo i wylewnie. Dzerkalny objął Hraka jak rodzzonego syna i coś mu szeptał do ucha. Hrak słuchał w milczeniu i kiwał potakująco głową, chociaż niewiele rozumiał. Dmytro Panasowicz na prawach krewnego obcałowywał Hraka, który bardzo mu się podobał.

— Jest w tobie coś z nas, Czudłów. Masz jakiś taki nasz dryg!

— Jeszcze jaki! — uśmiechnął się Sidałkowski. — Kto to jest Czudło, Hrak? Powiem panu: to pański ukochany teść, jeszcze jeden arystokrata...

— Ale nie z Wapniarki — odrzucił złośliwie Hrak.

— Oczywiście. Z Kobylatyna Turbinnego.

— Wszyscyście jednacy — zareplikował Hrak, lokując się na przednim siedzeniu „Mahacety”.

— Wiem o tym, bo mam nie ukończone studia uniwersyteckie. Pan może oczywiście się wyłączyć, skrócić swoje podwójne nazwisko na Hrak-Czudło, z jednym „ł”. Przy takim wzroście poprzednie było stanowczo za długie. Tylko niech pan nie mówi o tym wszystkim teściowi. Prosił przecież, żebyśmy nie jechali do Spirydonówki. Teraz rozumie już pan, dlaczego? Proszę pozostawić mu tę ostatnią tajemnicę jego życia. On tego by nie przeżył. Dwa zawały pod rząd w takim wieku...

Hrak już spał. Sidałkowski położył się na dmuchanym zagranicznym materacu, założył ręce na kark i patrzył w niebo. Było czyste i przejrzyste, jak błękitna nylonowa bluzeczka Zosi Czudłowskiej, którą wkładała tylko w niedziele i święta. Jego myśli pracowały leniwie, było ciepło i zaćisznie. Z pamięci wyłoniła się mamuńcia Karapet, przypomniał się Sława Murczenko.. Żeby tak można zacząć żyć od początku... Tylko od którego? Tego Sidałkowski nie wiedział.

EPILOG

Szykowali się już do powrotu. Sidałkowski przemierzał dużymi krokami polanę, nie spuszczać wzroku z Hraka, który za dziesięć rubli zobowiązał się pozasypywać rowy. Za wzgórzem rozległ się warkot samochodu. Na drodze pojawił się zakurzony gazik. Gdzieś za lasem przewalił się odległy grzmot. Sidałkowskim targnęło jakieś niedobre przeczucie.

— Sidałkowski! — wołał z daleka Dzerkalny. — Telegram do pana!

Jewgraf czuł, że to jest to, czego w życiu najbardziej się obawiał.

— Tylko że na poczcie zniekształcili, jak zwykle, nazwisko i zaadresowali Sidałko. Z oszczędności — Dzerkalny nie wysiadł nawet z samochodu. — Myślałem, że to nie do pana — mówił, wręczając mu telegram. — Dzwoniliśmy do pana do pracy i tam powiedzieli, żeby zaraz panu ten telegram doręczyć, bo to oni go przesłali. Przyszedł do „Findipoczu”. Dlatego dotarł do pana z opóźnieniem. Może już po pogrzebie...

Sidałkowski czuł, jak zimny pot spływa mu po twarzy i po plecach.

— Moje kondolencje! — Dzerkalny zapuścił silnik i odjechał.

— Mama! Mama umarła! — Sidałkowski chwycił się za głowę. — A ja nie znalazłem dla niej czasu. Nie znalazłem. I już nigdy nie znajdę! Miałem czas na udzielanie innym rad, na przemówienia, na wycieczki do lasu, na restauracje, na kochanki i fikcyjne śluby. Znalazłem nawet czas na połowy piżmaków i jeży. Nie znalazłem jednak czasu dla matki, żeby ją odwiedzić, kiedy jeszcze żyła. Nie znalazłem czasu dla matki! — krzyczał rozpaczliwie w niebo, ale odpowiedział mu tylko gdzieś bardzo blisko grom.

Pierwsze ciężkie krople deszczu zaszumiały w koronach drzew, mimo że przebijało się jeszcze słońce, ale coraz cięższe chmury zasłaniały niebo, przecinane błyskawicami.

Hrak końcem buta wiercił ziemię. Sidałkowski przypominał młodego szczeniaka, wychowanego w lesie wśród wilków, do którego nie chcą się teraz przyznać ani wilki, ani psy. Trzymając się rękami za głowę padł na maskę silnika „Mahacety”. Wstrząsał nim tłumiony szloch, coraz gwałtowniejszy, coraz głośniejszy.

— Arystokrata z Wapniarki — dudniły grzmoty.

— Arystokrata z Wapniarki — odpowiadało basem Kowbyka echo odbite od ciemnej ściany lasu.

— Arystokrata z Wapniarki — krzyczały dzikie kaczkami głosem mamuńci Karapet.

— Arystokrata z Wapniarki — sowy zanosiły się śmiechem Tamary, Iji, Ewy, tenorem Chowraszkiewicza i altem Panczyszki.

— Arystokrata z Wapniarki — rechotali złośliwie pod starą wierzbą Czadiuk i Neschadym...

Dopiero teraz Sidałkowski uprzytomnił sobie, nad jaką znalazł się przepaścią. Przed jego oczyma przesuwało się dotychczasowe bez troski życie. I już nigdy nie będzie w tym życiu złotych trzmieli na czerwonej koniczynie dzieciństwa ni jaskrów z kropelkami porannej rosy na płatkach, ni mlecznych mgieł nad wieczornym jeziorem, ni żniw pachnących, ni łąk kwiecistych...

Wiele by dał Sidałko, żeby to wszystko wróciło. Ale do zagubionej miłości nie było już powrotu...

Cena zł 120,—

ISBN 83-07-00701-1

146/109